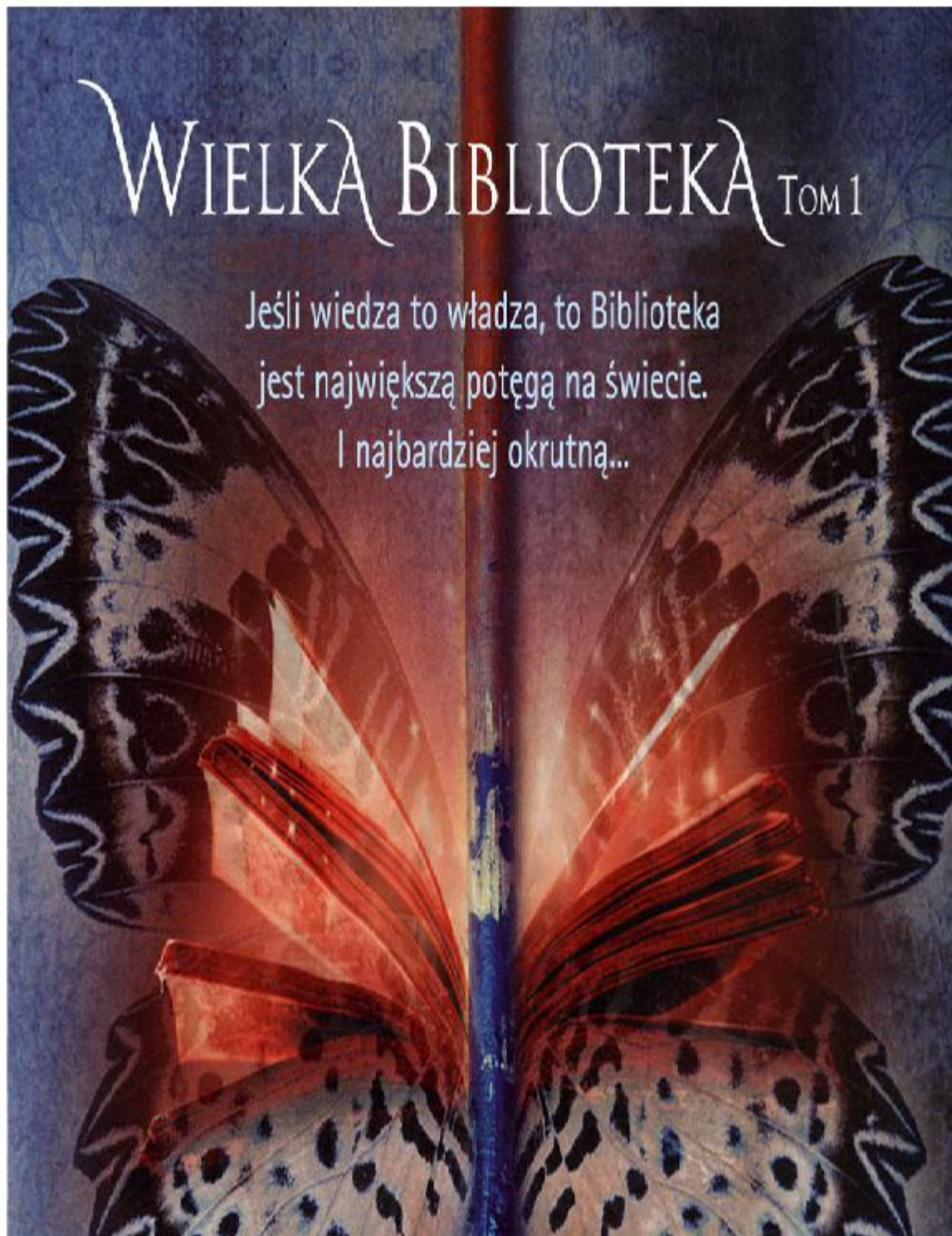


WIELKA BIBLIOTEKA TOM 1

Jeśli wiedza to władza, to Biblioteka
jest największą potęgą na świecie.
I najbardziej okrutną...



WIELKA BIBLIOTEKA^{Tom 1}

ATRAMENT
I KREW

RACHEL CAINE

Przekład
JULIA WOLIN



Korekta

Magdalena Stachowicz

Agnieszka Pyśk

Projekt graficzny okładki

© Christina Griffiths/bookdeluxe

Ilustracje na okładce

© Charles Taylor/Jagcz/Hramovnick/Fotolia

Tytuł oryginału

Ink and Bone

Copyright © Rachel Caine, LLC 2015

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana

ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu

bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6151-5

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

Carrie Ryan i Kami Garcii.

To dla was, drogie przyjaciółki.

LIST

Tekst historycznego listu, którego oryginał przechowywany jest pod szkłem w Wielkiej Bibliotece Aleksandryjskiej i skatalogowany w Zbiorze Głównym:

Od uczonego w piśmie skryby faraona Ptolemeusza II Filadelfosa do jego najznamienitszego sługi Kallimacha z Cyreny, Archiwisty Wielkiej Biblioteki, w trzecim roku jego łaskawego panowania:

Wielki król Ptolemeusz, Światło Egiptu, rozważył twą radę, jakoby należało wykonać kopie najważniejszych dzieł zgromadzonych w Bibliotece i przekazać je do jednego z siostrzanych przybytków, od tej pory zwanych serapejonami, aby korzystać z nich mogli wszyscy. Faraon, którego boska mądrość rozległa jest jak Nil, przychyliła się do tego zamiaru.

Przedtem jednak należy sporządzić spis wszelakich dzieł zgromadzonych w Wielkiej Bibliotece, który po wsze czasy służyć już będzie jako katalog tego wielkiego królestwa wiedzy.

Naradz się z Edytorem Biblioteki, a następnie przygotuj doskonałe kopie woluminów, które oddane zostaną do użytku serapejonowi. Miej przy tym na uwadze, by wybrane księgi niosły oświecenie i naukę.

Niniejszym utrwalimy wiedzę gromadzoną i chronioną od najdawniejszych czasów i powierzmy ją tym, którzy przyjdą po nas.

Faraon wysłuchał również twej prośby, by kobiety mogły wchodzić do tego uświęconego miejsca bez opieki, jednak w swej boskiej mądrości odrzucił ten zamysł: kobieta winna być pouczona przez obdarzonego bardziej rozwiniętym umysłem mężczyzną, aby nie zrozumiała bogactw zebranych w Bibliotece błędnie. Wiedza przeinaczona jest po stokroć gorsza niż brak wiedzy.

Faraon i bogowie chronić będą owo wielkie dzieło i wspierać je swą wieczną łaską.

Odręczny dopisek do listu poczyniony przez Kallimacha:

Jego boska mądrość może mnie pocałować w mój prostacki tyłek. Właśnie taką ignorancją oślepiamy i kaleczymy połowę świata. Nie pozwolę na to. Kobiety winno się skłaniać do nauki i pomagać im. Niech faraon skaże mnie na śmierć, jeśli zechce, ale dość już widziałem

*straconych umysłów. Mam córkę.
Moja córka będzie się uczyć.*

Prolog

Sześć lat temu

Uspokój się i przestań się wiercić – warknął ojciec i uderzył go tak mocno, że został ślad. Jess znieruchomiał. Nie zamierzał się wyrywać, ale sakwa przytroczona do nagiej piersi wydawała się rozpalona i złowroga, jak zwierzę gotowe do ataku.

Spojrzał na ojca, który ciasniej związywał paski uprząży. Gdy były już zaciśnięte tak, że niemal dusiły chłopca, rzucił mu starą brudną koszulę.

Jess robił to tak często, że zdążył się przyzwyczaić, chociaż wciąż się bał. A jednak tym razem czuł, że coś się zmieniło. Nie wiedział co, ale ojciec był bardziej nerwowy niż zwykle.

– Powinienem o czymś wiedzieć? – spytał z wahaniem.

– Pies trącał, co wiesz. Oddaj książkę Straży, a zawiśniesz na stryczku. Jak będziesz miał szczęście. Chyba że ja cię dorwę pierwszy. Trasę znasz. Biegnij prosto do celu i lepiej żebyś zdechł, niżbyś miał to dać komukolwiek poza tym, który zapłacił.

Callum Brightwell spojrzał krytycznie na szczupłą sylwetkę syna, ściągnął kaftan i zarzucił mu na koszulę. Kaftan miał tylko jeden guzik. Jess zapiął go starannie. Był o dwa rozmiary za duży, ale o to chodziło: lepiej maskował nosidło.

Brightwell skinął głową i cofnął się. Był drobny, w młodości nie dojadał, ale teraz przynajmniej dobrze się nosił: miał na sobie jaskrawożółtą jedwabną kamizelkę i spodnie z drogiej bawełny.

– Może być – ocenił. – Tylko pamiętaj, żebyś się trzymał z gońcami. Nie odłączaj się od nich, chyba że Straż zastawi pułapkę. Ale nawet wówczas pilnuj trasy.

Jess skinął głową na znak, że rozumie. Znał trasę. Znał wszystkie trasy, wszystkie szlaki, z których korzystała jego rodzina, żeby przechytrzyć konkurencję działającą na terenie wielkiego Londynu. Był szkolony, odkąd nauczył się chodzić, najpierw za rękę z ojcem, a później drepcząc za starszym bratem, Liamem.

Liam już nie żył. Miał siedemnaście lat, gdy londyńska Straż

pojmała go za kolportaż książek. Ojciec nie poszedł po zwłoki. Liam trzymał się rodzinnych zasad. Milczał aż do końca.

W nagrodę za tę lojalność miasto wrzuciło go do nieoznakowanego grobu wraz z innymi bezimiennymi przestępcami. On miał siedemnaście lat, a Jess dziesięć i nie rozumiał, że brat wysoko ustawił poprzeczkę.

– Tato? – Ryzykował kolejny policzek, a może i coś gorszego, ale odetchnął głęboko i ciągnął dalej: – Sam mówiłeś, że dzisiaj jest kiepski dzień na szmugiel. Straż wyszła na miasto. Nie możemy poczekać?

Callum Brightwell spojrział ponad głową syna na solidną ścianę magazynu. Miał tam jedną z wielu kryjówek, w których składował cenne przedmioty, a wśród nich, ma się rozumieć, także najrzadsze skarby: książki. Prawdziwe, oryginalne. Półki i skrzynie pełne książek. Był zamożnym, mądrym mężczyzną, ale w tej chwili, gdy przez wysokie, wieloskrzydłowe okna padało na niego ostre światło, wyglądał dwa razy starzej.

– Po prostu zrób to. Masz wrócić za dwie godziny. Nie spóźnij się, bo wyciągnę laskę. – Nagle ojciec się skrzywił. – Jak zobaczysz gdzieś tego łajzę, swojego brata, powiedz mu, że czekam i że srogo pożałuje. Dzisiaj ma dyżur gońca.

Choć Jess i Brendan byli bliźniakami podobnymi do siebie jak dwie krople wody, nie mogli się bardziej różnić pod względem charakteru. Jess był zuchwały, a Brendan wydawał się cichy. Jess był powściągliwy, a Brendan skłonny do wybuchów wściekłości.

Jess był biegaczem, a Brendan... intrygantem.

Jess doskonale wiedział, gdzie się chowa jego brat, widział go nawet, przyczajonego na cienkiej kładce na wysokości drugiego piętra, wczepionego w starą drabinę prowadzącą na dach. Obserwował, jak to miał w zwyczaju. Lubił przebywać wysoko, poza zasięgiem rąk ojca i gdy tylko mógł, unikał ryzykownego przemytniczego obowiązku.

– Powiem mu, jak go zobaczę – odparł Jess i popatrzył prosto na brata. Złaz stamtąd, mały gównojadzie, pomyślał. W odpowiedzi Brendan znikł na majaczącej w ciemności drabinie. Już się zorientował, że dzisiaj to Jess dźwiga najcenniejsze trofeum. Pewnie uznał, że żal mu skóry na odgrywanie przykrywki dla brata.

– No więc? – spytał ojciec ostro. – Na co czekasz? Na całusa od

mamy? Już cię nie ma!

Popchnął Jessa w kierunku potężnych, dodatkowo wzmocnionych drzwi magazynu, które otworzyło przed nim trzech milczących mężczyzn. Jess ich nie znał i starał się nie wiedzieć, jak mają na imię, bo na tym stanowisku rotacja była duża. Zatrzymał się i zaczął oddychać szybko, lecz głęboko. Szykował się. Zauważył stado gońców rozstawionych w zaułku i dalej, na ulicy. To były dzieciaki w jego wieku albo i młodsze, wszystkie gotowe do biegu.

Czekały tylko na niego.

Wydał dziki wojenny okrzyk i puścił się naprzód. Pozostali potraktowali to jak zachętę i wychudzone ramiona i nogi wdarły się między zaskoczonych przechodniów w roboczych strojach. Kilkoro dzieciaków wybiegło nawet na ulicę, co wiązało się z ryzykiem, ale pruli między powozami parowymi, nie zważając na wściekłe pokrzykiwania kierowców. Na najbliższym rogu cała dwunastka, czy ile ich tam przyszło, ustawiła się w szyku, a Jess miał z nimi przebiec pierwszą część trasy. W grupie było bezpieczniej, jako że ulice stawały się coraz czystsze, a przechodnie lepiej ubrani. Pokonali już cztery długie przecznice z domami i różnymi przybytkami, a potem skręcili przy tawernie, mimo wczesnej pory porządnie zapełnionej; biegli bez przeszkód, aż ze spożywczaka wyłonił się groźnie wyglądający mężczyzna i złapał za długie włosy jedną z dziewczynek. Ułatwiła mu zadanie, bo większość dziewczyn spletała włosy na czubku głowy albo strzygła na krótko.

Jess zwalczył odruch zatrzymania się i pójścia z pomocą.

Krzyczała i protestowała, ale osilek popchnął ją na krawężnik i walnął na odlew tak, że zaczęła płakać.

– Przeklęci gońcy! – wrzasnął. – Straż! Straż! Szmuglerzy uciekają!

To wystarczyło. Zawsze znalazł się jakiś cwaniak o najszczerzych, oczywiście, intencjach, który starał się ocalić świat, jak mawiał ojciec Jessa. Dlatego wysyłał gońców w grupach, większość z bezwartościowymi śmieciami w nosidłach. Straży rzadko się udawało kogoś złapać, ale jak już zapunktowali, sownie płacili donosicielowi, dzięki któremu trafili na ślad szmuglerów.

Inni londyńczycy też zaczęli się rozglądać, a w ich oczach pojawiła się żądza gotówki. Tymczasem Jess schylił głowę i biegł dalej.

Gońcy gwałtownie zawrócili, rozdzielili się, a potem przegrupowali jak stado ptaków. Niektórzy nosili z sobą noże i używali ich, gdy zostali złapani, co było ryzykowne, nawet bardzo, bo dzieciak z zakrwawionym nożem stryczek miał jak w banku, nieważne, czy zadał powierzchowną ranę, czy śmiertelny cios. Chłopiec po lewej stronie Jessa, zbyt masywny, żeby dobrze biegać, choć pewnie był od Jessa młodszy, wpadł na mur złożony ze zbliżających się pijaczków. Miał nóż i ciął nim na ślepo, Jess zobaczył tryskającą w powietrze jaskrawą fontannę krwi, ale potem już się nie odwracał.

Nie mógł. Musiał się skupić na ucieczce.

Na następnym skrzyżowaniu ich drogi miały się rozejść; teraz każdy biegł już na własną rękę, żeby rozproszyć uwagę Straży. W każdym razie taki był plan.

Gdy jednak Jess dotarł na róg, Straż już czekała. Zauważyli go i wydali ryk wściekłości.

Podjął błyskawiczną decyzję zejścia z trasy, za co, jak dobrze wiedział, ojciec sprząby go na kwaśne jabłko.

Skrećiwszy w prawo, niemal wpadł na dwoje obcych gońców, którzy popatrzyli na niego ze zdumieniem, a dziewczyna wrzasnęła, żeby zmiatał z ich szlaku. Zignorował ich i mimo dławiącego bólu w piersi i rosnącego ciężaru książki, znalazł nowe zapasy sił, żeby ich wyprzedzić.

Słyszał za plecami krzyki i odwrócił się, żeby zobaczyć wylewającą się z zaułków Straż. Chrzanione kraby w brudnych czerwonych płaszczach. Szybko złapali tamtych dwoje.

Ale Jessa nie. Jeszcze.

Wpadł w ciemny, wijący się tunel, zbyt wąski, żeby nazwać go choćby zaułkiem; sam, chociaż był drobny, ocierał się ramionami o ceglany mur po obu stronach. Zahaczył rękawem koszuli o zardzewiały gwóźdź i rozdarł materiał, więc przez upiorny ułamek sekundy myślał, że pójdzie też skórzany pasek od uprzęży, ale nie, ruszył dalej. Z powodu gęstej jak atrament ciemności nie mógł teraz biec zbyt szybko, ale nos podpowiadał mu, że w tym miejscu wyrzucano resztki zgniłych

ryb. Pod palcami czuł zimne i oślizgłe cegły.

Wciąż słyszał pokrzykiwania Straży, ale oni nie wcisnęliby potężnych cielsk do tego labiryntu; ba, przez moment, kiedy zobaczył na końcu skrawek światła, zaczął się niepokoić, że nawet on się tam nie zmieści. Korytarz zwężał się i zwężał, aż musiał zacząć iść bokiem i przeciskać się między szarpiącymi za ubranie cegłami. Książka zaczołowała go na wylocie jak korek w butelce i niewiele brakowało, by spanikował.

Myśl! Musisz się stąd wydostać.

Wypuścił z płuc całe powietrze i wciągnął brzuch jak mógł najbardziej, co zapewniło dodatkowe półtora centymetra konieczne do wydostania się z wąskiej gardzieli.

Wypadł spomiędzy dwóch ładnych budynków na szeroką, czystą ulicę, którą skądś znał, a jednak wydawała mu się dziwna, jakby nie na miejscu... Aż ją rozpoznał.

Znalazł się zaledwie trzy przecznice od ich kamienicy, która dopiero co zyskała nowy społeczny prestiż, wciąż niedościgniony dla usiłujących mu sprostać rodziców Jessa. Gdyby został złapany tutaj, na pewno znalazłby się ktoś, kto by go rozpoznał i wszystko skończyłoby się o wiele, wiele gorzej nie tylko dla niego, bo przy okazji pogrzyłby całą rodzinę. Musiał stąd zniknąć. Natychmiast!

Wypadł na ulicę prosto pod koła pojazdu parowego i wdarł się w ciemność kolejnego zaułka. Biegł we właściwym kierunku, ale szybko skręcił w zupełnie inną stronę. Nie zbadał jeszcze najbliższych okolic domu, dość miał problemów z trasami uczęszczanymi przez gońców. To dlatego ojciec zawsze nakazywał mu trzymać się szlaku: w poplątanym Londynie bardzo łatwo było zabłądzić, a zgubienie się w czasie przenoszenia kontrabandy mogło się skończyć tragicznie.

Kawałek dalej na ulicy zauważył charakterystyczny punkt: lśniąca kopułę Serapejonu św. Pawła, siedziby Wielkiej Biblioteki Londyńskiej, jednej z największych siostrzanych bibliotek w Europie. Wyglądała pięknie i złowrogo, więc odwrócił wzrok i przysięgł sobie, że już nigdy, przenigdy więcej nie pójdzie tą drogą.

Ale nie miał wyjścia.

Od jej wrót oderwał się członek Straży, wbił w niego wzrok i

zaczął krzyczeć. Za skierowanym w swoją stronę palcem Jess zobaczył młodego chłopaka, może w wieku Liama, kiedy ginął na stryczku. Młodzieniec miał jasne włosy i cofnięty podbródek, a jego mundur z drugiej ręki wisiał na nim tak samo, jak maskujący kubrak na Jessie.

Ale co z tego, skoro był szybki. Zbyt szybki. Jess ruszył pędem, ale tuż za plecami usłyszał odgłos stóp uderzających o bruk, a po chwili także świdrujący gwizd. Nagle w jego kierunku rzucili się inni Strażnicy. Jeśli odetną mu drogę ucieczki...

Wybrał jedyną drogę dającą szansę na uratowanie skóry. Kolejny ciemny, ciasny zaułek, ale ten Strażnik nie miał rozmiaru poprzedników i wślizgnął się niemal z równą łatwością, jak Jess. Musiał biec, chociaż płuca paliły żywym ogniem, a długie nogi Strażnika doścignęły go, gdy tylko wypadli na ulicę. Kaprawe londyńskie słońce zdawało się padać prosto na głowę Jessa, bo pot z niego spływał. Był przerażony, że uszkodzi książkę.

Ale myśl, że zostanie złapany, przerażała go bardziej.

Więcej gwizdków. Straż się zbliżała.

Nie miał już wyjścia. Gnali go w jednym kierunku: do Serapejonu. Jeśli uda mu się minąć tamtejszy szpaler Straży, znajdzie się na terytorium Biblioteki, rządzącym się zupełnie innymi prawami. Londyńska Straż nie może tam wkroczyć bez zezwolenia.

Przed sobą widział pomarańczowo-czarną barykadę Straży i stojący przed nią ogonek chętnych do wejścia i oczekujących na sprawdzenie dokumentów. Jess sięgnął po rezerwy sił, bo ten przekłety długonogi Strażnik był już tak blisko, że mógłby go złapać za koszulę. Ruszył naprzód, wycelował w lukę między ludźmi i rzucił się w kierunku barykady. Ścigający go Strażnik zaczął wzywać towarzyszy, a Jess wsparł się na pomalowanym w tygrysie barwy drewnie, przeskoczył nad barykadą płynnym susem, wylądował po drugiej stronie i biegł dalej. Ktoś się roześmiał, ktoś krzyknął, żeby dawał gazu, więc szatańsko wyszczerzył zęby i zaryzykował rzut oka za siebie.

Strażnik zatrzymał się przy barykadzie, bo jeden z kolegów powstrzymał go przed dalszą pogonią. Zaczęli się przepychać, młodszy wrzeszczał. Musiał być bardzo pobudzony po biegu, w przeciwnym razie zachowałby więcej rozsądku. Jess wiedział, że nie ma dużo czasu, bo

wkrótce zgłoszą się do Najwyższej Straży, elitarnego zastępu strażników biblioteki, i poproszą o przechwycenie go na ich terenie. Musiał się stąd szybko wydostać.

Ulicą przed nim szło może z pięćdziesiąt osób, w tym co najmniej dziesięciu uczonych w powiewających czarnych togach. Żadnym powozom parowym nie wolno było tu wjeżdżać, w każdym razie odkąd zamknięto tę ulicę dla ruchu. Nad ich głowami górowała wdzięcznie złota, lśniąca kopuła, a w dół spływał wodospad schodów.

Mimo wysiłków włożonych w czyszczenie, na stopniach wciąż było widać ślady po ostatnim ataku Podpalacza. Plamy po ogniu greckim i spalonych ciałach. Miejsce zamachu wskazywał stos więdnących kwiatów, choć woźny zaczął już ładować je do worów na śmieci. Koniec żałoby. Czas iść naprzód.

Na widok lwów Jess zwolnił. Wyglądały jak wykute w kamieniu, ale miały w sobie żywą dzikość, jakby zostały przyłapane w chwili ataku, wściekłe, żądne krwi i gotowe do zadania śmierci. Słyszał o automatach, czyli maszynach, które mogły się same poruszać, ale teraz, kiedy się do nich zbliżał i widział je na własne oczy, wydawały się o wiele, wiele bardziej przerażające.

Jeszcze raz zerknął przez ramię. Londyńska Straż zapewne skrzykuje już ludzi, którzy będą na niego czekać przy barykadzie po drugiej stronie, jeśli oczywiście Najwyższa Straż Biblioteki nie postanowi go dopaść pierwsza. Musiał biec, mknąć jak błyskawica, ale chociaż dobrze o tym wiedział, jego nogi zwolniły do spacerowego tempa.

Dławił go strach. Panika. Przerażające doznanie bycia ściganym. Jeden z lwów odwrócił łeb w jego stronę. Oczy zapłonęły czerwienią. Kolorem krwi. Ognia.

Czują to, zwęszyły bezprawnie posiadaną książkę. A może tylko jego strach.

Lodowata groza, która go przeszła, była tak dojmująca, że z trudem zapanował nad pęcherzem, ale jakimś cudem udało mu się wytrzymać płomienne spojrzenie lwa i iść dalej. Zszedł z chodnika i dalej ruszył środkiem ulicy, gdzie tłoczyło się więcej przechodniów, mających prawo do przebywania tutaj, więc miał nadzieję ukryć się

wśród nich przed dzikimi oczami.

Lew wyprostował się, otrząsnął i zaczął schodzić ze schodów, bezgłośnie, dostojnie i groźnie. Pozostałe bestie także się obudziły, w oczach pojawiły się im czerwone błyski, przeciągały się.

Jedna z idących ulicą kobiet, która właśnie przeszła przez kontrolę, krzyknęła alarmująco, przycisnęła do siebie torbę i zaczęła uciekać. Pozostałym udzieliło się jej przerażenie i rzucili się do biegu, więc Jess też ruszył w nadziei, że wmiecha się w tłum, jak w grupę gońców, chociaż ci tutaj nie wiedzieli, że są z nim w spółce.

Odwrócił się i zobaczył, że lwy idą za nimi. Nie śpieszyły się. Nie musiały się wysilać, żeby prześcignąć ludzi.

Pierwszy z nich zrównał się z najwolniejszą z uciekającego stadka, uczoną w nieporządnie zarzuconej todze, uginającą się pod ciężarem torby, której z jakiegoś powodu nie porzuciła. Potem skoczył. Jess zamarł, bo było to najpiękniejsze i jednocześnie najpotworniejsze, co widział w życiu. Patrzył, jak kobieta się odwraca i dostrzega, co się zaraz wydarzy, widział na jej twarzy wyraz przerażenia, a jej krzyk urwał się nagle, gdy lew przygniótł ją do ziemi...

...ani na chwilę nie odrywając oczu od Jessa. Zabił ją, zostawił i skierował się prosto na niego. Jess słyszał zgrzyt maszynerii w jego wnętrzu.

Nie zdążył się nawet przerazić.

Myślał, że nie ma już siły na bieg, ale teraz, kiedy śmierć zajrzała mu w oczy, wprost unosił się w powietrzu. Nie czuł nic poza oporem wiatru, wiedział, że wokół jest tłum ludzi wzywających pomocy i błagających o litość, ale nie słyszał ich. Na odległym końcu ulicy stała kolejna barykada i kolejny tłumek oczekujący na wejście, który zaczął się rozpraszać. Co prawda lwy nie powinny nikogo gonić poza granicami św. Pawła, ale nikt nie miał ochoty przekonać się o tym na własnej skórze. Nawet Strażnicy, którzy porzucili posterunek i czmychnęli wraz z resztą.

Jess dotarł do barykady jako pierwszy i przeskoczył przez nią, a lwy tymczasem dopadły i zabiły dwie osoby za nim. Potknął się, upadł i zrozumiał, że za sekundę dosięgnie go śmierć. Przekręcił się na plecy, żeby widzieć, jak nadchodzi, z trudem złapał oddech i podniósł ręce w

beznadziejnym odruchu obronnym.

Niepotrzebnie. Lwy zahamowały przed barykadą. Zataczały przed nią koła i wpatrywały się w niego z lodowatą, czerwoną furią, ale nie przekroczyły, bo być może nie mogły, wiotkiej drewnianej bariery.

Jeden z nich zaryczał. Dźwięk przypominał kruszenie kamieni zmieszane z krzykami konających, których stratował, a Jess zobaczył w jego paszczy ostre kły. Następnie obydwie lwy odwróciły się i poczłapały z powrotem, po schodach na górę, na podesty, gdzie ułożyły się, wciąż gotowe do skoku.

Widział krwawe ślady ich łap, rozdarte ciała, które zostawiły po sobie, i nie mógł zapomnieć – nigdy nie zapomni – wyrazu rozpacz i przerażenia na twarzy kobiety, która zginęła jako pierwsza.

To moja wina.

Nie mógł o tym myśleć. Nie teraz.

Przekręcił się na brzuch, niezdarnie wstał i wmieszał się w spanikowany tłum. Po przejściu trzech długich przecznic wrócił na trasę. Straż najwyraźniej straciła zainteresowanie pościgiem. W oficjalnych wiadomościach ofiary w Serapejonie zostaną jakoś dyplomatycznie wytłumaczone, nikt bowiem nie chciał się dowiedzieć, że mechaniczne biblioteczne pieszczoszki zerwały się z uwięzi i zamordowały niewinnych. Podobno zdarzało się to już wcześniej, ale Jess widział to po raz pierwszy.

I po raz pierwszy uwierzył.

Zatrzymał się przy fontannie, żeby napić się wody i zapanować nad roztrzęsionym ciałem, a następnie skorzystał z szaletu publicznego i upewnił się, że książka jest nadal bezpiecznie zapięta w nosidle. Na szczęście. Resztę drogi pokonał wolnym krokiem i dotarł na miejsce z zaledwie kilkuminutowym opóźnieniem, wyczerpany, ale wprost obezwładniony uczuciem ulgi. Chciał jak najszybciej wypełnić zadanie i wrócić do domu, choć czekało go tam chłodne powitanie

„Nie mazgaj się, chłopcze”. Prawie słyszał ostry głos ojca. „Nikt nie żyje wiecznie. Potraktuj ten dzień jak zwycięstwo”.

Może i zwycięstwo, stwierdził Jess, ale powierzchowne.

Miał szukać mężczyzny w czerwonej kamizelce i zaraz go zauważył, siedzącego spokojnie przy wystawionym na ulicę stoliku.

Popijał herbatę z porcelanowej filiżanki. Jess go nie znał, ale znał ten typ: obrzydliwie bogaty, próżniaczy, pragnący uczynić się ważnym poprzez kolekcjonowanie cennych rzeczy. Wszystko, co miał na sobie, było skrojone po mistrzowsku.

Wiedział, jak nawiązać kontakt. Podbiegł, zrobił swoją najlepszą łobuzerską minę i zagaił:

– Proszę pana, proszę o datek dla chorej mamy.

– Chorej? – Mężczyzna uniósł starannie przystrzyżone brwi i odstawił filiżankę. – A co jej dolega?

To było pytanie-sygnal i gdy Jess odpowiadał, nie spuszczał mężczyzny z oczu.

– Brzuch, proszę pana. O, tutaj. – Ostrożnie wskazał palcem na środek klatki piersiowej, gdzie znajdowało się wybrzuszenie.

Mężczyzna skinął głową i wstał.

– Zdaje się, że to szczytny cel. Chodź ze mną, pomogę ci. No chodź, nie bój się.

Jess poszedł za nim. Za rogiem czekał piękny powóz parowy, zdobiony złotymi i srebrnymi ornamentami, pokryty czarną emalią, z herbami na drzwiach, na które zdążył tylko rzucić okiem, zanim mężczyzna podsadził go do środka. Jess był przekonany, że kupiec wsiądzie za nim, ale nie.

Sufit powozu otaczała od wewnątrz świetlówka, rzucająca ciemne, złociste światło, i to tam Jess zorientował się, że mężczyzna, którego uważał za kupca, był jedynie sługą.

Starszy mężczyzna siedzący naprzeciwko niego wyglądał jeszcze bardziej wielkopańsko. Czarny surdut dopiero co wyszedł spod igły, koszulę uszyto z najdoskonalszego jedwabiu, cały strój cechował się niewymuszoną elegancją.

Jessowi mignął złoty błysk przy mankietach i blask wielkiego brylantu przy wpiętej w krawat szpilce.

Jedynym szczegółem, który nie pasował do wizerunku, były lodowate oczy spoglądające z łagodnej, pomarszczonej twarzy. Takie spojrzenie mógłby mieć zabójca.

A jeśli jemu nie chodzi o książkę?, pomyślał Jess. Wiedział, że czasem dzieciaki porywano dla straszliwych celów, ale jego ojciec

zawsze się zabezpieczał i karał tych, którzy wykorzystywali gońców. Zdarzało się to bardzo rzadko, bo nawet możni wiedzieli, że lepiej trzymać się z daleka od wszędobylskich i silnych rąk Brightwellów.

Nie czuł się jednak ani trochę bezpiecznie w towarzystwie tego mężczyzny. Spojrzał w wielkie zaciemnione okno. Nie można było zajrzeć do środka. Nikt by nic nie zobaczył.

– Spóźniłeś się. – Wielki pan mówił spokojnie i cicho. – Nie jestem przyzwyczajony do czekania.

Jess przełknął ślinę.

– Przepraszam, proszę pana. To tylko minuta. – Rozpiął kubrak i zaczął walczyć z umieszczonymi na plecach sprzączkami, które rozluźniały uprząż. Tak jak się obawiał, skóra aż pociemniała od potu, ale skrytka na książkę została dobrze zabezpieczona, a sam wolumin kilkakrotnie owinięty w ochronną warstwę woskowanego papieru. – Książka jest nietknięta.

Mężczyzna wyrwał mu ją z rąk jak narkoman i rozdarł opakowanie. Gdy jego palce natrafiły na zdobioną, skórzaną oprawę, powoli wypuścił powietrze.

Jess uświadomił sobie z przerażeniem, że zna tę książkę. Przez całe dzieciństwo widywał ją w szklanej gablocie w najgłębiej ukrytej, najtajniejszej skrytce ojca, tej na największe skarby. Nie umiał jeszcze czytać greki, ale wiedział, co znaczą litery wytłoczone w skórzanej oprawie, tyle ojciec zdążył go nauczyć. Patrzył na jedyny istniejący rękopis *O tworzeniu kuli* Archimedesza i tym samym jedną z pierwszych oprawionych książek. Oryginalny zwój został zniszczony dawno temu przez Podpalacza w Bibliotece Aleksandryjskiej, ale zrobiono jedną kopię. Tę. Za jej posiadanie groziła kara śmierci. „Gdy kradniesz książkę, okradasz cały świat”, głosiło prawo Biblioteki, a Jess podejrzewał, że to może być prawda.

Zwłaszcza, jeśli chodziło o tę książkę.

Kolportował jedyną i najcenniejszą rzecz na całym świecie. Nic dziwnego, że ojciec nie ośmielił się powiedzieć mu, co przynosi.

Mężczyzna spojrzał na niego z szaleńczym błyskiem w oczach.

– Nie masz pojęcia, od jak dawna na to czekałem – wyznał. – Nic nie może się równać z posiadaniem tego, co najlepsze, chłopcze. Nic.

A następnie, na oczach oniemiałego z przerażenia Jessa, wyrwał z książki stronicę i wpackował sobie do ust.

– Nie! – pisnął Jess i rzucił się na książkę. – Co pan robi?!

Starszy pan odepchnął go i przyszpilił do ściany powozu zakończoną srebrem laską. Następnie wyszczerzył się, wyrwał kolejną stronę i począł przeżuwać.

– Nie – szepnął Jess, Był śmiertelnie przerażony, choć sam nie wiedział dlaczego. Czuł się jak świadek morderstwa. Profanacji. Tylko że to było jeszcze gorsze. Nawet w jego rodzinie, choć byli handlarzami nielegalnym towarem, książki uchodziły za świętość. Jedynie Podpalacze byli innego zdania. Podpalacze i takie perwersyjne kreatury, jak ten tutaj, kimkolwiek był.

Starszy pan leniwie zajął się kolejną kartą. Odprężył się. Nasycił.

– Rozumiesz, co robię, chłopcze? – Jess pokręcił głową. Cały się trząsał. – Znam ludzi, którzy wydają fortunę, żeby zdobyć truchło ostatniego żyjącego przedstawiciela rzadkiego gatunku, a następnie podać go na kolację. Nie istnieje bardziej ostateczny sposób wyrażenia własności jakiejś rzeczy niż spożycie jej. To jest moje. Nigdy już nie będzie należało do nikogo więcej.

– Pan jest szalony – wycedził Jess. Miał wrażenie, że choćby nieskończenie wiele razy splunął na otaczającą go miękką skórę i ozdoby, nie uzyskałby poczucia czystości w ustach.

Bogacz przełykał właśnie kolejną przeżutą stronę, ale jego twarz nabrała wyrazu goryczy.

– Uważaj na język. Jesteś niepiśmiennym ulicznikiem. Jesteś nikim. Mógłbym cię zabić i porzucić tutaj, a nikt by ani tego nie zauważył, ani się nie przejął. Ale nie jesteś wystarczająco wyjątkowy, żeby cię zabijać. Nie jesteś wart złamanego grosza. – Wydarł następną kartę. Jess znów spróbował odebrać mu książkę; starzec wyrwał mu ją i mocno trzepnął go laską w skroń.

Jessa aż odrzuciło. Miał łzy w oczach, a w głowie dzwoniły mu dzwony św. Pawła. Bogacz zastukał w drzwi powozu. Sługa w mgnieniu oka je otworzył, złapał Jessa za rękę i ściągnął prosto na bruk, co na nowo pobudziło dzwonienie w głowie.

Starszy mężczyzna wychylił się i uśmiechnął, szczerząc uwalane

atramentem zęby. Wyrzucił coś z powozu – podartą koszulę Jessa i kubrak. A na koniec złotą monetę.

– Za fatygę, szmaciarzu – oznajmił i wcisnął do paszczy kolejną kartę, która kiedyś była doskonałością.

Jess zorientował się, że łka, chociaż nie do końca wiedział dlaczego, poza tym, że nigdy już nie będzie tym, kim był, zanim wszedł do tego powozu; wiedział to na pewno. Nawet nie będzie pamiętał, jak było przedtem.

Mężczyzna w kamizelce wdrapał się na miejsce kierowcy. Spojrzał w dół, na Jessa, bez uśmiechu, całkowicie beznamiętnie, i uruchomił silnik.

Starzec, zanim zatrzasnął drzwi, uchylił kapelusza, a po chwili pojazd ruszył i odjechał.

Jess pozbierał się i przebiegł kilka kroków za oddalającym się powozem.

– Czekaście! – krzyknął, ale niepotrzebnie, bezsensownie, tyle tylko, że zwrócił uwagę na to, że jest półnagi, a na piersi ma bardzo dobrze widoczną szmuglerską uprząż. Chciało mu się wymiotować. Śmierć ludzi zmiażdżonych przez lwie łapska zszokowała go, to prawda, ale widok przerażającego, dobrowolnego unicestwienia książki, zwłaszcza tej książki, okazał się znacznie gorszy. Jak to powiedział św. Paweł, życie jest krótkie, ale wiedza jest wieczna. Jessowi nigdy nie przyszło do głowy, że ktoś może być tak pusty, żeby nasycić się zniszczeniem czegoś tak cennego, unikalnego.

Powóz zniknął za rogiem, a Jess musiał zacząć myśleć o sobie, chociaż trząśł się jak osika. Na nowo zaciągnął paski nosidła, włożył przez głowę koszulę, narzucił kubrak i ruszył wolnym krokiem, już nie biegiem, do magazynu, gdzie czekał na niego ojciec. Miasto wirowało wokół niego w smudze ludzkich twarzy i najdziwniejszych kolorów.

Nie czuł nóg, bo cały czas dygotał. Drogę miał wyrytą w pamięci, więc szedł zupełnie bezmyślnie, odruchowo zakręcał, aż nagle zdał sobie sprawę, że stoi na ulicy przed wejściem do magazynu.

Zauważył go jeden ze strażników dyżurujących przy drzwiach, wybiegł i wprowadził go do środka.

– Co się stało, chłopcze?

Jess zamrugał. Mężczyzna nie wyglądał w tej chwili jak morderca, choć Jess dobrze wiedział, że i to potrafi. Pokręcił głową i otarł twarz. Dłonie miał mokre.

Mężczyzna spojrział ponuro, i skoro Jess nie chciał mówić, skinął na jednego z towarzyszy, który zaraz pobiegł szukać jego ojca. Jess skulił się w kącie, wciąż roztrzęsiony, a gdy podniósł wzrok, zobaczył stojące naprzeciwko swoje lustrzane odbicie. No, może nie aż tak lustrzane, bo Brendan miał dłuższe włosy i małą bliznę na brodzie.

Kucnął, żeby spojrzeć bratu w oczy.

– W porządku? – spytał. Jess pokręcił głową. – Jesteś ranny? – Gdy Jess nie odpowiedział, Brendan nachylił się bardziej i ściszył głos. – Trafieś na Kanciarza?

Tak nazywali zboczeńców, mężczyzn i kobiety, którzy czerpali przyjemność z obcowania z dziećmi. Jessowi po raz pierwszy udało się zdobyć na odpowiedź.

– Nie – odparł. – Nie w tym sensie. Gorzej.

Brendan zamrugał.

– Co może być gorsze od Kanciarza?

Jess nie chciał mówić i na szczęście jeszcze nie musiał. Na górze trzasnęły drzwi do biura, więc Brendan zerwał się na równe nogi i śmignął po drabinie do ciemnego schowka, gdzie trzymali skrzynie na książki.

Ojciec pośpieszył do miejsca, gdzie starszy z bliźniaków siedział oparty o ścianę i szybko obmacał go w poszukiwaniu ran. Gdy żadnych nie znalazł, ściągnął Jessowi kubrak i koszulę. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że nosidło jest puste.

– Dostarczyłeś! – Zmierwił mu włosy. – Dzielny chłopak.

Słowa uznania z ust ojca wycisnęły Jessowi łzy z oczu i musiał je szybko zdławić. Mazgaj ze mnie, pomyślał i zawstydził się. Nic mu się nie stało. Nie dobrał się do niego Bajarz. Czemu więc czuł się tak zbrukany?

Zaczerpnął tchu i wyznał ojcu prawdę, całą, od lwów i zabitych, przez bogacza w powozie aż do śmierci *O tworzeniu kuli*. Bo tego był świadkiem: morderstwa czegoś niewypowiedzianie cennego i niezastąpionego. Zaczęło do niego docierać, że tego właśnie uczucia

doświadczał, to ono nie dawało mu spokoju: żałoba. Żałoba i przerażenie.

Spodziewał się, że ojciec, w głębi serca kochający książki, które nielegalnie nabywał i sprzedawał, będzie wstrząśnięty, a przynajmniej podzieli przerażenie syna. Ale Callum Brightwell wyglądał po prostu na zrezygnowanego.

– Masz szczęście, że uszedłeś z życiem. Musiał być upojony władzą, skoro ci to pokazał i pozwolił odejść. Przykro mi. Wiem, że jest kilku takich jak on. Nazywamy ich atramentozercami. To zboczeńcy.

– Ale... to była książka. Archimedes. – Jess rozumiał, choć na bardzo podstawowym poziomie, że patrząc na księgę ulegającą zniszczeniu, widzi, jak na świecie przygasa światło. – Dlaczego to zrobiłeś, tato? Dlaczego mu ją sprzedałeś?

Callum odwrócił wzrok. Mocno poklepał Jessa po ramieniu i ścisnął z taką siłą, jakby chciał mu zmiażdżyć kość.

– Bo na tym polega nasz fach. Sprzedajemy książki tym, którzy płacą za przywilej posiadania ich. Lepiej się naucz, że to, co się z nimi dzieje potem, to nie nasza sprawa. Tak czy inaczej, dobra robota. Dzielnie się sprawiłeś. Jeszcze będzie z ciebie Brightwell.

Ojciec zawsze pilnował, żeby jego dzieci co wieczór robiły wpisy do dziennika, więc przed pójściem do łóżka Jess sięgnął po pióro. Po długim namyśle opisał atramentozercę i uczucie, którego doznał, patrząc, jak przeżuwa tak rzadką, piękną rzecz. Tata zawsze mówił, że zostawi po sobie te zapiski, a rodzina będzie mogła go wspominać, gdy go zabraknie. Nie pozwalał tylko pisać o pracy, bo ona żyje własnym życiem. Pomiął więc relację z ucieczki. Opisał tylko zboczeńca i swoje uczucia, gdy na to patrzył. Jego tacie mogłoby się to nie spodobać, ale prywatnych dzienników nikt nie czytał. Nawet Brendan by się nie ośmielił.

Tej nocy Jess spał niespokojnie, śnił o krwi, lwach i umazanych atramentem zębach. Wiedział, że nic z tego, co zrobił, nie było zrobione dobrze.

Ale w takim świecie przyszło mu żyć, taki był Londyn w 2025 roku.

DEKRET

Dekret Magistra Archiwisty odnoszący się do sprawy uczonego Johanna Gutenberga, w roku 1455. Zgodnie z nakazem Magistra Archiwisty przeniesiony do Czarnego Archiwum i dostępny jedynie dla Kuratorów.

...Oto, co jest pewne: założenia Wielkiej Biblioteki, od wejścia w życie Doktryny Odzwierciedlenia począwszy, bezpieczeństwo i przyszłość wiedzy składają w rękach Obskurystów, a to nie do pomyślenia.

Proponuję rozwiązanie czysto mechaniczne. Załączone projekty przedstawiają maszynę pozwalającą kopiować tekst wydajnie i dokładnie, bez udziału Obskurysty, a jedynie przy użyciu wycinanych ręcznie czcionek, ramy, w której będą układane, atramentu i czystego papieru. Dzięki tej metodzie możemy wyeliminować Doktrynę Odzwierciedlenia i szybko, bez wysiłku reprodukcować księgi.

Zbudowałem egzemplarz próbny i odbiłem na nim stronicę, którą trzymacie w rękach. To pierwszy model w historii. Wierzę, że będzie przyszłością świata.

Omnis cogito est.

Odręczna adnotacja Magistra Archiwisty:

To nader przykra okoliczność, że uczonego Gutenberg padł ofiarą tak złowrogiemu podszeptu. Nie pojmuję, jakie niebezpieczeństwo niesie z sobą jego propozycja. Maszyna owa, używana bez surowego nadzoru Biblioteki, doprowadzić może do niekontrolowanego rozprzestrzeniania się nie tylko wiedzy, ale i treści buntowniczych. Wyobraźmy sobie świat, w którym każdy, wszędzie i zawsze, może stworzyć i obwieścić własne słowa, bez względu na to, ile w nich będzie uchybień i wypaczeń! Nieraz byliśmy świadkami przejawów tak groźnego postępu, które w samą porę zostawały przez nas przechwycone i unicestwione.

Maszynę ową należy, ma się rozumieć, zniszczyć i objąć zakazem. Niestety, wyszło przy tym na jaw, że uczonemu Gutenbergowi nie wolno ufać. Należy go uciszyć, a jego straszliwe herezje wyprzeć z pamięci.

Zdaję sobie sprawę, jak wielka to strata, ale jeśli Biblioteka ma się dalej opierać natarczywym i coraz powszechniejszym ruchom postępowym, nie wolno nam okazać słabości.

Rozdział 1

Dzisiaj

Jess domyślił się, że jego kryjówka została zdemaskowana, gdy mocno oberwał otwartą dłonią w tył głowy. Siedział zatopiony w lekturze i nie usłyszał złowróżbnego skrzypienia desek za plecami.

Pierwszym odruchem była, ma się rozumieć, ochrona książki, więc chociaż zjeżdżał z fotela, troskliwie pochylił się nad delikatnymi stronicami, a wolną prawą ręką sięgnął po nóż. Niepotrzebnie.

– Braciszku – powiedział. Ale rękojęści nie puścił.

Brendan się śmiał, ale gorzko.

– Wiedziałem, że cię tu znajdę. Musisz sobie wyszukać jakąś nową melinę. Tata zaraz cię stąd wykurzy. W czym się tak zaczytałeś tym razem? – Teraz, jako dorośli, już nie wyglądali identycznie. Brendan był rozczochrany, a część włosów zakrywała świeżą bliznę nabytą w czasie szmuglu. Rośli jednak w tym samym tempie, więc oczy mieli na jednym poziomie. Wzrok Jessa ział ogniem.

– *Inventio Fortunata*. Zapiski mnicha z Oksfordu, który sto lat temu pożegłował do Arktyki i z powrotem. Tata nie znajdzie tego miejsca, jeśli mu o nim nie powiesz.

– Nudy. – Brendan uniósł jedną brew. To była jego autorska sztuczka, której Jess nie potrafił powtórzyć, więc Brendan robił to bez przerwy, żeby go rozdrażnić. – Jak chcesz, żebyś nie powiedział, zrób tak, żeby mi się opłacało. – Brendan stał się równie bezwzględny negocjatorem jak ich ojciec. I nie był to komplement. Jess sięgnął do kieszeni i wyciągnął suwerena, którego Brendan przyjął z wyraźnym zadowoleniem. – Zgoda. – Z wielką wprawą przekładał monetę między palcami.

– Niech cię szlag, zdechlaku. Byłem zajęty. – Jess nazywał brata zdechlakiem tylko kiedy naprawdę się wściekł, bo było to dość okrutne przezwisko: Brendan urodził się kilka sekund po nim i przyszedł na świat bardzo mały. Jak odpadek, produkt uboczny.

Zdechlak.

Jeśli Brendanowi nie spodobało się użycie niegdyś

zniechęconego przezwiska, dobrze to ukrywał. Po prostu wzruszył ramionami.

– Tata zawsze mówi, że handlujemy tym towarem, więc nie powinniśmy go używać. Tracisz czas, ot co.

– W przeciwieństwie do ciebie, hazardzisto i chlejusie?

Brendan rzucił na podłogę przed sobą mokry egzemplarz „London Timesa”. Jess ostrożnie odłożył *Inventio Fortunata* i dopiero wtedy podniósł przemoczoną gazetę. Starł ze stronicy krople wody. Informacja dnia ilustrowana była rysunkiem twarzy, którą rozpoznał – była starsza, ale zawsze wiedział, że nie zapomni wulgarnego uśmiechu tego drania. Ani poczerniałych zębów, przeżuwających bezcenne słowa napisane przez geniusza przed tysiącami lat.

– Pamiętasz? – spytał Brendan. – Minęło pięć lat, ale ktoś w końcu dorwał twojego starego atramentożercę. Zgodnie z wersją oficjalną zginął w tajemniczych okolicznościach.

– A naprawdę?

– Ktoś mu wbił nóż między żebra, jak wychodził ze swojego klubu. Czyli nic tajemniczego. Chcą to wyciszyć. Zresztą nawet jak przyznają, co się stało, zwałą to na Podpalaczy.

Jess spojrzał na brata i na końcu języka miał pytanie, czy to jego sprawa, ale tak naprawdę nie chciał znać odpowiedzi.

– Przyszedłeś taki kawał, żeby mi to pokazać?

Wzruszył ramionami.

– Pomyślałem, że poprawi ci humor. Wiem, jak cię dręczyło, że nie dostał za swoje.

To było poranne wydanie, a chyba właśnie robił się wieczór, bo gdy Jess oddawał gazetę bratu, słowa w rubrykach zaczęły się rozmywać, a następnie, wers za wersem, pojawiać od nowa. Atramentożerca pozostał tematem z pierwszej strony, co pewnie bardzo by ucieszyło starego szubrawca.

Brendan zrolował gazetę i wsunął do kieszeni. Ściekająca z niego woda zrobiła na podłodze kałużę, więc Jess rzucił mu brudny ręcznik, którego używał do wycierania butów. Brendan parsknął i odrzucił.

– Więc jak? – spytał. – Idziesz do domu?

– Za jakiś czas.

– Tata chce z tobą porozmawiać.

Oczywiście. Ojciec nie lubił, gdy Jess znikał, zwłaszcza, że miał nadzieję wychować go na spadkobiercę rodzinnego biznesu. Problem w tym, że Jess nie miał do tego serca. Dobrze znał fach szmuglerski, ale Brendan był chętniejszy i stanowił zdecydowanie lepszy materiał na następcę Calluma Brightwella. Ukrywanie się dawało Jessowi wolność, a Zdechlakowi szansę, która zwykle omija młodszych synów.

Nigdy się do tego nie przyznał, przed bratem ani przed nikim innym, ale robił to w takim samym stopniu dla niego, jak dla siebie.

– Niech się wypcha. Jak przyjdę, to będę. – Jess ponownie zatopił się w fotelu. To zakurzony starość, wyrzucony z domu pewnego bogatego bankiera, a Jess taszczył go prawie przez kilometr do tego na wpół zawalonego domostwa przy Warren Street. Było zbyt zrujnowane, żeby ktoś je kupił, a z kolei dla dzikich lokatorów okolica była zbyt ruchliwa. Jednym słowem dobre miejsce na kryjówkę, gdzie nikt nie zawraca mu głowy.

Tym większa szkoda, że Brendan go wytropił, bo mimo tego suwerena Jess będzie musiał sobie poszukać nowej czytelnicy. Nie wierzył, że brat nie zasugeruje ojcu, gdzie Jess się podziewa. Dla jego własnego dobra, ma się rozumieć. A to oznaczało ciągnięcie ze sobą fotela. Znowu.

Brendan ani drgnął. Woda spływała z niego strumykami prosto na stare płyty. Wpatrywał się w brata stanowczo i uważnie, a w jego oczach nie było śladu wesołości.

– Tata powiedział, że masz przyjść natychmiast. Rusz się.

Kiedy Brendan używał tego tonu, nie było z nim dyskusji, bo skończyłoby się bójką z wszelkimi chwytami dozwolonymi, a Jess nie chciał przegrać. Przegrywał zawsze, bo w głębi duszy nie chciał zrobić bratu krzywdy.

Brendan nie miał podobnych oporów.

Jess ostrożnie owinął cenną książkę w wodoodporne płachty, a następnie umieścił w szmuglerskim nosidle. Zdjął luźną koszulę i nawet o tym nie myśląc, zapiął sprzączki z łatwością zdradzającą wieloletnią praktykę. Następnie włożył koszulę i kubrak, starannie dopasowane, tak żeby nie zdradzały obecności cennego ładunku. Nie wyglądał już jak

goniec-obdartus, koszulę miał lnianą, a kubrak starannie uszyty i haftowany jedwabną nicią. Na to narzucił gruby skórzany płaszcz, dla ochrony przed deszczem, a drugi rzucił bratu, który włożył go bez słowa podziękowania.

Następnie wyruszyli przez miasto, dwóch szesnastolatków, podobnych jak dwie krople wody i różnych jak dwa światy.

Brendan czmychnął, jak tylko dotarli do rodzinnej kamienicy, pomknął na górę, mijając przerażoną służącą, która krzyknęła, że zabłoci dywany. Jess wysuszył się w sieni, mokry płaszcz oddał pokojówce, a zanim wszedł na wypastowaną drewnianą podłogę, starannie wytarł buty.

Matka właśnie wychodziła z saloniku, chociaż godzina odwiedzin już dawno minęła. Objęła syna szybkim spojrzeniem od stóp do głów. Jego strój musiał zyskać aprobatę, bo zbliżyła się i złożyła na jego policzku oschły pocałunek. Była miłą, ładną kobietą zbliżającą się do wieku średniego, z ledwie widocznymi pasemkami siwizny we włosach w kolorze popielatego blondu. Lekko pachniała lawendą i dymem. Ciemnoniebieska sukienka, którą miała dziś na sobie, bardzo do niej pasowała.

– Musisz tak drażnić ojca? – spytała i przelotnie położyła mu dłoń na ramieniu. – Dziś jest w jednym z tych swoich nastrojów. Postaraj się go nie rozjuszyć, dla mojego dobra.

– Oczywiście – zapewnił, choć była to pusta obietnica. Tak samo zresztą, jak jej troska. Nigdy nie byli z matką blisko. W tej sytuacji, jak i w wielu innych, Jess był sam.

Zostawił ją tam, pochłoniętą już poprawianiem świeżego bukietu róż i stokrotek, i poszedł korytarzem do gabinetu ojca. Zastukał uprzejmie i wszedł dopiero, gdy usłyszał przyzwalające warknięcie.

Gabinet urządzono meblami z ciemnego drewna, a ogrzewany był ogniem płonącym w palenisku. Półki wypełniały książki z pieczęcią Biblioteki na grzbietach, oznaczone kolorami wedle tematyki. Ojciec najbardziej lubił biografie i książki historyczne, więc dominowały oprawy z kasztanowej i niebieskiej skóry. Wykupił dyspensę, by mieć w domu stałą kolekcję, więc większość z tych tomów nie straci ważności ani nie wyblaknie.

W zasięgu wzroku nie było ani jednej oryginalnej, przepisywanej ręcznie książki. Nikt by nie powiedział, że Callum Brightwell był kimkolwiek więcej niż odnoszącym sukcesy importerem rarytasów. Dziś ubrał się na modłę dalekiego Wschodu: czerwono-pomarańczowa kamizelka z chińskiego jedwabiu, a na to marynarka.

– Ojciec – odezwał się Jess i zaczekał, aż podniesie wzrok i zauważy jego obecność.

Jeszcze przez kilka sekund pióro Calluma przesuwano się po karcie dziennika, dopiero potem powiedział:

– Siadaj, Jess. Chciałbym z tobą zamienić słowo.

– Tak, Brendan mówił.

Callum odłożył pióro i złożył dłonie w kształt trójkąta, stykając z sobą palce. Siedział przy bogato zdobionym biurku z mahoni, z rzeźbionymi maskaronami i nogami w kształcie ogromnych łap z pazurami, które zawsze przypominały Jessowi lwy z Biblioteki.

Usiadł na krześle ustawionym najdalej od nich. Ojciec zmarszczył czoło. Prawdopodobnie uznał to za oznakę braku szacunku. Jess nigdy by się nie przyznał, że chodziło o złe wspomnienia.

– Musisz przestać się włóczyć – zaczął. – Pogoda nie służy wędrownikom, a poza tym mam dla ciebie zajęcie.

– Przepraszam.

– Wiesz może, gdzie jest mój egzemplarz *Inventio Fortunata*?

Mam na niego klienta.

– Nie wiem – skłamał Jess, chociaż książka ukryta pod jego koszulą zrobiła się jakby cięższa. Ojciec zwykle się nie przejmował konkretnymi książkami, a Jess zawsze brał takie, które nie były przeznaczone do rychłej sprzedaży. – Poszukać? Może została źle skatalogowana.

– Nieważne, sprzedam mu coś innego. – Ojciec odsunął fotel, wstał i zaczął krążyć wokół biurka. Jess też miał ochotę wstać, ale się powstrzymał. To by świadczyło o niepewności. Nie węszył co prawda niebezpieczeństwa, ale ojciec był mistrzem niespodziewanych wybuchów przemocy. Czujność była lepsza niż okazywanie słabości. – Czas, żebyś zaczął na siebie zarabiać, synu. Jesteś już pełnoletni. – Tak jakby nie spłacił zawiązki kredytu, przez całe dzieciństwo narażając

życie. Zauważył, że z każdym krokiem ojciec coraz bardziej się do niego zbliża, okrężną drogą, ale świadomie. – Nie spytasz, o co mi chodzi? Sprytnie. Pod tym względem jesteś podobny do brata, obaj umiecie kombinować. To znaczy, że jesteś bystry, dobrze. Na tym zimnym, okrutnym świecie przydaje się lotny rozum.

Jess trwał w gotowości, ale ojciec i tak był szybszy: wystrzelił naprzód, oparł się o podłokietniki krzesła Jessa i zawisł nad nim. Mimo swoich szesnastu lat, wzrostu i siły, Jess nagle poczuł się jak niezdarny dziesięciolatek, szykujący się na cios.

Zamierzał przyjąć go bez skrzywienia, ale uderzenie nie nadeszło. Ojciec tylko się w niego wpatrywał, z bliska i stanowczo zbyt osobiście. Jess musiał się uzbroić, żeby znieść ten wzrok.

– Nie chcesz przejąć interesu, to oczywiste – oznajmił ojciec. – I nie jesteś też stworzony do prowadzenia go. Masz naturę uczonego. W twoich żyłach płynie atrament, chłopcze, i nic nie można na to poradzić. Książki nigdy nie będą dla ciebie tylko sposobem zarabiania na życie.

– Zawsze spełniałem twoje polecenia.

– A ja nigdy nie polecałem ci niczego, czego nie mógłbyś wykonać. Gdybym kazał ci wrzucić do ognia książkę, którą szmuglujesz pod kapotą, zawiódłbyś mnie, tego jestem pewien.

Jess zacisnął pięści i musiał się skupić, żeby nie wykrzyczeć odpowiedzi.

– Nie jestem przeklętym Podpalaczem. – Jakimś cudem udało mu się powiedzieć to spokojnie.

– W tym rzecz. Ale czasem w naszej branży zniszczenie książki jest koniecznością, a nie tylko bezsensowną manifestacją polityczną. Ale ty byś nie mógł. Nawet, żeby ocalić skórę. – Ojciec pokręcił głową i wyprostował się. Nagła wolność sprawiła, że Jess poczuł się dziwnie słaby, a ojciec z powrotem zatopił się w fotelu. – Muszę cię gdzieś umieścić. Nie możesz do końca życia doić nas jak jakieś książątko. Wydawałem pieniądze, żeby zapewnić ci najlepszych nauczycieli, podczas gdy twój brat rzetelnie na siebie zarabiał. I przyznaję, twoje osiągnięcia naukowe dostarczyły nam powodów do dumy. Ale czas pomyśleć o zabezpieczeniu cię. – Dziwne, ale myśl o uznaniu ojca sprawiła, że zrobiło mu się zimno i jednocześnie gorąco. Nie wiedział,

jak to przyjąć ani co powiedzieć. Nie powiedział więc nic. – Słyszałeś mnie? – Głos Calluma Brightwella był niepodziewanie łagodny i Jess dojrzał w jego twarzy coś nowego. Nie wiedział, co to, ale odrobinę się cofnął. – Mówię o twojej przyszłości.

Jess przełknął kulę w gardle.

– O jakiej przyszłości, jeśli nie tutaj, z tobą?

– Wykupiłem ci miejsce w Bibliotece. Odbędziesz szkolenie.

– Błagam! – Kpiarski ton nie zmienił wyrazu twarzy ojca. Nie zirytował się ani odrobinę. – Nie mówisz poważnie! Brightwell? W Bibliotece?

– Mówię bardzo poważnie, chłopcze. Syn na służbie w Bibliotece może przynieść rodzinie wielki pożytek. Pójdiesz na kilka szmuglerskich łapanek, przejmiesz kilka bezcennych egzemplarzy i przyniesiesz nam fortunę! Będziesz nas uprzedzał o akcjach, o strategiach Najwyższej Straży... A poza tym zyskasz dostęp do wszystkich książek, jakie ci się zamarzą.

– Nie wierzę – wydukał Jess. – Chcesz ze mnie zrobić szpiega?

– Chcę, żebyś był naszym asem w rękawie. Adwokatem, gdyby Brightwellowie takiego potrzebowali. Biblioteka rządzi światem. Dobrze mieć zaklepane miejsce przy korycie. Możesz robić wiele rzeczy, ale najbardziej pomożesz bratu z serca Biblioteki. Może któregoś dnia uratujesz mu życie.

Oczywiście, musiał uderzyć w łzawe tony.

– Ale ja nie zdam egzaminu.

– Myślisz, że dlaczego płaciłem za nauczycieli? Musisz tylko uważać, żeby nie powiedzieć więcej, niż młodzieniec w twoim wieku może wiedzieć z Kodeksu. Masz w głowie mnóstwo nielegalnej wiedzy. Jeśli się zdradzisz, zrobią ci coś gorszego, niż zhańbienie i odesłanie do domu.

Ojciec mówił poważnie, a gdy Jess to sobie uświadomił, jego gniew przygasł. Nigdy nie myślał o pracy w Bibliotece. W jakimś sensie ta myśl go przerażała, nigdy nie zapomniał traumy związanej z bibliotecznymi machinami, miażdżącymi pod łapami niewinnych ludzi, którzy stanęli im na drodze. Ale jednocześnie w Bibliotece zawierało się wszystko, czego kiedykolwiek pragnął. Cała istniejąca wiedza w zasięgu

ręki.

Ponieważ nie odpowiedział, ojciec westchnął i w jego głosie pojawiły się nuty zniecierpliwienia.

– Uznajmy to za obustronnie korzystną umowę. Ty dostajesz to, o czym marzysz, a my dostajemy fory. Spróbuj. Ale ostrzegam: jeśli się poddasz albo nie zdasz egzaminu, nie dostaniesz ode mnie nic więcej.

Ani pensa.

– A jeśli tu zostanę?

– I tak nie będę mógł karmić i ubierać bezużytecznego lenia.

Pracujesz dla nas albo lądujesz na ulicy.

Ojciec mówił stanowczo i bezlitośnie, a Jess nie miał wątpliwości, że nie żartuje. Egzamin, szkolenie, a może i służba w Bibliotece lub życie na własną rękę w wieku szesnastu lat i poniewierka na ulicach. Widział, jak kończą chłopcy w takiej sytuacji. Nie chciał takiego losu.

– Jesteś podły – orzekł. – Ale zawsze o tym wiedziałem, tato.

Callum się uśmiechnął. Jego oczy wyglądały jak lodowate, suche kamyki.

– Rozumiem, że się zgadzasz?

– A dałeś mi wybór?

Zbliżył się i zatopił palce w ramieniu Jessa z taką siłą, żeby pozostawić siniaki.

– Nie, synu. Dlatego jestem taki dobry w interesach. Zobaczymy, czy mi dorównasz.

Wykupienie miejsca na szkolenie w Bibliotece było kosztowne. Większości rodzin nie byłoby stać nawet na marzenie o tym, to przywilej dla obrzydliwie bogatych i dobrze urodzonych. Brightwellowie byli wystarczająco bogaci, ale mimo wszystko mowa była o zniewalająco wysokiej sumie.

Jess nie mógł się pozbyć wrażenia, że o jego przyszłości zdecydował pradawny tekst Archimedesesa, pożarty na jego oczach w ponurym powozie, gdy miał dziesięć lat. Kolejna rzecz, której nie ośmieliłby się zapisać w dzienniku, chociaż zapełniał strony starannym, równym pismem, opowiadając, jakie to uczucie znaleźć się pod presją sukcesu. O tym, jak bardzo się cieszył i jak jednocześnie nienawidził tej szansy.

Ojciec opłacił wpisowe, reszta zależała od Jessa. Pierwszym krokiem, pod wieloma względami najtrudniejszym, było zgłoszenie się do Londyńskiego Serapejonu na egzamin wstępny. Od spotkania z lwami unikał tego miejsca i nigdy nie chciał tam wrócić. Ku jego uldze powóz parowy podwiózł go pod publiczne wejście w zachodnim skrzydle. Tu też stało kilka pomników, ale na postumentach, więc nie będzie musiał patrzeć im w oczy.

Czuł się z tą myślą lepiej, aż zauważył automat przedstawiający królową Annę, wpatrującą się pustymi oczami we wspinających się po schodach. W lewej ręce trzymała królewskie jabłko, a w prawej złote berło skierowane ku przechodzącym pod jej piedestałem.

Wyglądała niezwykle ludzko. Doznał niepokojącego wrażenia, że ona, tak samo jak lwy, ocenia cicho i bezlitośnie, i przez sekundę wyobraził sobie, że w jej oczach płoną krwawe płomienie, a berło opada na jego czaszkę. Niegodny służby.

Nie drgnęła jednak, gdy w pośpiechu przechodził obok niej wraz z resztą kandydatów.

Egzamin odbywał się na chórze w Czytelni Publicznej. Gdy usiedli, uczona w czarnej todze i ze srebrną opaską na nadgarstku rozdała każdemu z nich cienkie arkusze papieru. Jess oszacował, że do egzaminu przystępowało około pięćdziesięciu osób. Większość wyglądała na przerażonych, ale trudno powiedzieć, czy bardziej bali się sukcesu, czy porażki. Pewnie jednak porażki. Wszyscy byli ubrani w drogie stroje i nie ulegało wątpliwości, że od wyniku egzaminu zależy ich przyszłość. Jak to mawiał jego ojciec: dziś zamożny drugi syn, jutro nieudacznik bez grosza przy duszy.

Arkusze testowe leżący na ławce Jessa zaczął wypełniać się tekstem. To był stary biblioteczny krój pisma, zaprojektowany, żeby cieszył oczy zdobieniami, ale czytanie go było męką. On jednak znał i dla przyjemności rozszyfrowywał jeszcze trudniejsze teksty. Pierwsze pytania testu sprawdzającego granice wiedzy kandydata były żenująco proste.

Zbyt szybko jednak pośpieszył z westchnieniem ulgi, bo już następny dział okazał się znacznie trudniejszy, a wkrótce zaczął się poważnie martwić i naprawdę pocić. Sekcje Alchemiczna i Mechaniczna

wyczerpały go do szczętu, a nie był też wcale pewien, czy w sekcji Medycznej poradził sobie tak dobrze, jak by chciał. To by było na tyle, jeśli chodzi o wiarę, że pójdzie mu jak po maśle.

Długo się wahał, zanim się podpisał, bo po tym nie mógł już nic zmienić. Arkusz zrobił się znów czysty, a eleganckie pismo, które pojawiło się po chwili, poinformowało, że wyniki będą znane wkrótce, a tymczasem może opuścić Serapejon.

Gdy wychodził, królowa Anna wciąż z potępieniem patrzyła na mijających ją, a on starał się nie patrzeć wprost na nią, kiedy zbiegał po dwa stopnie naraz. Dzień był ciepły i słoneczny, gołębice trzepotały skrzydłami nad dziedzińcem, a on zaczął wypatrywać powozu Brightwellów, który powinien czekać gdzieś w pobliżu. Znalazł go przecnicę dalej i podbiegł. Zauważył, że jest zdenerwowany. Autentycznie zdenerwowany tym, jak mu poszło. Zależało mu. To było nowe doznanie, niespecjalnie oczekiwane.

– Proszę pana? – Kierowca łypał niespokojnie ze swojego kozła i najwyraźniej chciał już stąd zniknąć. Był to jeden z mięśniaków ojca, który przez większość swojej kariery przestępczej robił wszystko, żeby trzymać się z dala od Biblioteki. Za co zresztą Jess nie miał do niego żalu. Wsiadł do powozu, a gdy tylko zajął miejsce, jego Kodeks – oprawna w skórę księga odzwierciedlająca dzieła ze Zbioru Głównego prosto z Wielkiej Biblioteki w Aleksandrii – zabrzęczał. Ktoś przysłał notatkę. Otworzył księgę i patrzył, jak strona zapełnia się Bibliotecznym krojem pisma, jedna okrągła litera za drugą. Czuł nawet delikatne wibracje pióra, którym skrobał biblioteczny sekretarz przepisujący wiadomość.

Miło nam poinformować, że pan JESS BRIGHTWELL został niniejszym przyjęty na zaszczytne stanowisko służącego Wielkiej Bibliotece. Jest pan zobligowany do stawienia się w dniu jutrzejszym na stacji św. Pankracego w Londynie o godzinie dziesiątej rano, skąd wyruszy pan do Aleksandrii. Prosimy zapoznać się z listą przedmiotów dozwolonych, które można wziąć z sobą na służbę.

Wiadomość zwieńczona została pieczęcią Biblioteki, która wybrzuszyła się na czerwono pod literami wypisanymi atramentem. Jess dotknął jej palcem. Była lepka jak wosk, ale ciepła jak krew; w niej też

czuł delikatne drżenie, jakby była żywa.

Jego nazwisko, wypisane czarną, pogrubioną czcionką, też rzucało się w oczy. JESS BRIGHTWELL.

Przełknął ślinę, zamknął książkę i resztę drogi do domu, przebył w klekoczącym powozie, poświęcił próbom okiełznania rozszalałego nagle pulsu.

Matka, bardzo poruszona (a w każdym razie czująca się w obowiązku, żeby się tak czuć), podarowała mu zestaw pięknych grawerowanych rysików, a ojciec nowiutki, oprawny w skórę Kodeks, edycję dla uczonych, wyposażoną w wiele dodatkowych stron przeznaczonych na notatki.

Brat nie dał mu nic, ale Jess niczego się nie spodziewał.

Kolacja była tego dnia wyjątkowo spokojna i uroczysta. Po wypiciu odrobiny brandy, na którą zgodziła się matka, Jess zasiadł samotnie na schodach prowadzących do ogrodu na tyłach domu. Była przejrzysta, chłodna noc, niespotykana w Londynie, a on wpatrywał się w idący ku pełni biały księżyc. Tam, dokąd jedzie, gwiazdy będą inne. Ale księżyc ten sam.

Nigdy by nie pomyślał, że perspektywa opuszczenia domu przepełni go smutkiem.

Nie słyszał, że Brendan wyszedł, ale też nie zdziwił się na dźwięk skrzypienia butów na kamieniach.

– Ty już nie wrócisz.

Tego Jess na pewno się nie spodziewał, więc odwrócił się, żeby popatrzeć na Brendana, kulącego się w cieniu ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Nie widział wyrazu jego twarzy.

– Jesteś mądry, ale tata myli się w jednej kwestii: ty masz atrament nie tylko we krwi. Wypełnia też twoje kości. Twój szkielet jest od niego aż czarny. Jak tam pojedziesz, do nich, stracimy cię na zawsze. – Zmienił trochę pozycję, ale nie spojrział na niego. – Więc nie jedź.

– Myślałem, że chcesz, żebym zniknął.

Brat uniósł ramiona, a potem je opuścił. Odepchnął się od ściany i rozpląnął w ciemności. Poszedł robić Bóg jeden wie co. Przykro mi, Zdechłak. Ale wcale nie było mu przykro, tak naprawdę wcale. Pozostanie tutaj to nie była przyszłość dla niego, tak samo jak Biblioteka

dla Brendana.

To będzie jego ostatnia noc w domu.

Wszedł do środka, zrobił zapis w dzienniku i przez resztę wieczoru czytał *Inventio Fortunata*.

Co, jak zauważył, zdawało się potwierdzać teorię Brendana.

Nazajutrz ojciec towarzyszył mu w drodze na stację i odprawił służących, bo chciał sam zanieść jego walizkę. Bez słowa czy choćby wymiany spojrzeń. Dopiero gdy Jess wziął od niego rzeczy, ojciec się w końcu odezwał:

– Daj nam powody do dumy, synu, albo Bóg mi świadkiem, że tak ci wtłukę, aż się weźmiesz za siebie. – W oczach miał jednak wilgotny blask i Jess poczuł się z tym bardzo nieswojo. Ojciec nie był słaby, nigdy nie okazywał uczuć.

To, co widział, to nie mogły być łzy.

Następnie ojciec krótko, stanowczo skinął głową i odszedł przez rój pasażerów i gołębi. Wilgotne wyziewy pary z silników unosiły się ku sklepieniu i splatały z żelaznymi zdobieniami. Dziwne i znajome jednocześnie. Przez chwilę Jess stał tak sam i sprawdzał. Chciał zobaczyć, jak się czuje, uwięziony między starym światem a nowym, który dopiero nadejdzie.

Do odjazdu miał jeszcze dwadzieścia minut i zastanawiał się, czyby nie kupić sobie czegoś ciepłego do picia na jednym ze straganów przy torach, ale gdy już się prawie zdecydował na herbatę, usłyszał dochodzące z tyłu zamieszanie.

Jakiś mężczyzna przenikliwie krzyczał i coś w jego głosie sprawiło, że Jess odwrócił się i zaczął słuchać.

– ...powiadam wam, że was oszukują! Te słowa są niczym więcej, jak fałszywymi bożkami, których czcicie! Wielka Biblioteka może kiedyś była skarbem, ale dzisiaj? Co nam daje? Tłamsi nas! Dławi! Czy pan, proszę pana, ma książkę? Nie, nie tę pustą, wypełnianą treściami, które chcą panu wcisnąć. Prawdziwą książkę, oryginalną, która wyszła spod ręki pisarza. A pani? Biblioteka posiada nasze wspomnienia, ale wy nie możecie mieć własnych książek. Dlaczego? Czego się obawiają? Dlaczego boją się dać wam wolność?

Jess zauważył wreszcie mówcę, który wdrapał się na kamienną

ławkę i przemawiał do mijających go, wymachując trzymanym w ręce dziennikiem. To nie był zwykły egzemplarz z Serapejonu, ozdobiony bibliotecznym emblematem. Zeszyt, który dzierzył ów człowiek, był znacznie bardziej wysmakowany, ręcznie oprawiony w skórę, ze złotym nazwiskiem na okładce. Osobisty dziennik, w którym coś zapisywał każdego dnia. Jess miał podobny. W końcu Biblioteka obdarowywała nimi nowo narodzone dzieci i zachęcała obywateli do odnotowywania myśli i wspomnień od możliwie najwcześniejszego wieku. Ten zapis godzin i dni składających się na życie miał po śmierci autora trafić do Biblioteki. Tym samym stawał się w pewnym sensie pomnikiem. Z tego powodu wszyscy kochali Bibliotekę: dawała im złudzenie nieśmiertelności.

Ten mężczyzna wymachiwał swoim dziennikiem jak pochodnią, a z jego twarzy buchało gorączkowe światło, które niepokoiło Jessa. Znał tę retorykę. Straż pewnie jest już w drodze.

Ludzie omijali go szerokim łukiem, przerażeni jego pasją i dzikimi oczami. Jess się rozejrzał. Tak jak myślał, sznur Londyńskiej Straży w czerwonych płaszczach zmierzał już na miejsce. Podpalacz też ich zauważył. Zacisnął zęby i zbladł pod strzechą niechlujnych włosów. Jeszcze bardziej podniósł głos:

– Człowieka nie da się sprowadzić do stadium papieru, zdań i słów! Nie da się go odstawić na półkę! Życie jest cenniejsze niż książka!
Sed liber vitae est dignius!

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak okrzyk zwycięstwa. Sięgnął za pazuchę i wyciągnął butelkę chorobliwie zielonego płynu, kciukiem otworzył korek i wylał kroplę na okładkę dziennika. Następnie rzucił go na kamienną posadzkę i w tej samej sekundzie w górę wystrzelił szmaragdowy na brzegach, przerażający jęzor ognia i zatrzymał się w powietrzu jak kolumna płomieni. Ci, którzy stali najbliżej, cofnęli się, gwałtownie łapiąc powietrze i wydając okrzyki zaskoczenia.

– Ogień grecki! – zawołał ktoś i ludzie rzucili się do wyjść. To jeszcze ponagliło Straż, prącą w przeciwnym kierunku.

– Biblioteka chce was oślepić! – krzyknął Podpalacz. – Zginę, żeby pokazać wam światło! Nie ufajcie im! Oni kłamią!

Jess też powinien uciekać, tak sądził, bo ze wszystkich stron

otaczali go rozsądniejsi, pierzchający ludzie, ale stał jak wmurowany i wpatrywał się w mężczyznę z przerażeniem i... no tak, z fascynacją. Z płonącej na posadzce książki wydobywało się straszliwe echo bezradnej furii i przerażenia, tak jakby jej stronicę wzywały pomocy. To było oryginalne dzieło, jedyna kopia, zapisana atramentem na papierze. Myśli i marzenia tego człowieka właśnie... umierały. To nic w porównaniu z egzemplarzem *O tworzeniu kuli*, ale Jess i tak musiał się mocno powstrzymać, żeby nie ruszyć jej na ratunek.

– Z drogi! – zawołał Strażnik i tak mocno popchnął go w stronę wyjścia, że prawie zwałił go z nóg. – Uciekaj! Nie wiesz, jak wygląda ogień grecki?!

Wiedział i także zdał sobie sprawę – choć z opóźnieniem – że Podpalacz ma więcej niż tylko kroplę, której użył do demonstracyjnego spalania dziennika. Wyposażony był w pełną butelkę, którą podniósł wysoko. We wpadającym przez okna ponurym świetle lśniła jak mroczny szmaragd.

Jess zrobił krok do tyłu i wpadł na swoją walizkę. Przewrócił się, ale nie spuścił Podpalacza z oczu. Powinienem się stąd zmywać, pomyślał, ale czuł, jakby jego mózg przeszedł w stan uśpienia, ukołyszany hipnotyzującym szumem płomieni. Chciał iść, ale ciało nie reagowało.

– Zamknij butelkę, chłopcze. – Jeden ze Strażników zbliżył się do Podpalacza. Był już starszy, brzmiał stanowczo, ale dziwnie uprzejmie. – Nie musisz tego robić. Wiemy, co chciałeś powiedzieć. Jeśli miałeś ochotę zniszczyć swoje słowa, to twój problem, nie nasz. Zatkaj butelkę i odstaw. Nic ci nie zrobimy. Odejdiesz wolno, obiecuję ci.

– Kłamca! – odparł mężczyzna i wtedy dopiero Jess zdał sobie sprawę, że był od niego niewiele starszy. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. Wyglądał poważnie, na przerażonego desperata i miał coś w oczach, coś dzikiego. – Jesteś pionkiem Biblioteki, nie będziesz mnie uciszał! *Sed liber vitae est dignius!*

To było motto Podpalaczy: „Życie warte jest więcej niż książka”.

Tak też brzmiały jego ostatnie słowa

Wylał ogień grecki z butelki na swoje ubranie, a resztę na głowę. Wtedy ten, który chciał go skłonić do poddania się, odwrócił się i zaczął

uciekać.

Jess widział, jak mikstura Isni, iskrzy, zapala się i pochłania Podpalacza w zielonym ogniu, który w potwornej eksplozji światła wystrzelił w kierunku sklepienia. Takiego dźwięku Jess nie słyszał nigdy dotąd: świst wciągane powietrza, trzaski, syk, a potem krzyki.

Boże, straszliwe krzyki.

Jeden ze strażników złapał Jessa i ściągnął poza krawędź peronu, na wysypane twardym żwirem torowisko, zaledwie kilka metrów od czoła lokomotywy. Przywalił go całym ciałem do torów, a Jess walczył o zaczerpnięcie tchu. Kątem oka widział szalejącą nad ich głowami burzę płomieni, fale zieleni, żółci i czerwieni.

Krzyki ustały i straszliwy sztandar ognia skurczył się, ale nie zgasł. Jess próbował wstać, ale Strażnik go przytrzymał.

– Nie – wysapał. Twarz pod czarnym hełmem była całkiem blada.
– Zostań tu, dopóki ogień się nie wypali, powietrze jest zatrute.

– Ale on...

– ...nie żyje – dokończył mężczyzna i mocno schwytał Jessa za ramię. – Nic nie możemy na to poradzić. Głupi chłopak, nie musiał... – Głos mu się załamał, a potem urwał się całkiem i chociaż Jess został wychowany jako zaciekły wróg Straży, w tej chwili łączyło ich to samo przerażenie. – Przekłęci Podpalacze. Nie ma z nimi dyskusji. Z roku na rok są coraz gorsi. – Szybko zamrugał, żeby powstrzymać łzy, i odwrócił wzrok.

Jess usiadł, oparł się o szorstką kamienną ścianę i patrzył, jak ogień nad nimi migocze, aż w końcu wygasa.

Straż wzięła go na przesłuchanie. Nie, żeby go o coś podejrzewali, ale został, choć wszyscy inni uciekli i był w wieku, gdy młodym mężczyznom różne rzeczy przychodzą do głowy. Odpowiadał na pytania zgodnie z prawdą i pokazał im Kodeks, zawierający bilety do Aleksandrii oraz oficjalny dokument przyjęcia do Biblioteki. Martwił się, że się spóźni na pociąg, ale okazało się, że ruch został wstrzymany, aż Straż upewni się, że nikomu nie grozi niebezpieczeństwo.

Trwało to kilka godzin i podejrzewał, że zawiadomili jego rodzinę, ale nikt nie przyszedł. Pamiętał, jak tata się dowiedział, że Liama złapali na szmuglowaniu, pamiętał wyraz rozpacz i rezygnacji w jego twarzy.

A jednak nie poszedł po ciało. Nie przyszedłby też do Straży po Jessa, choćby stało się najgorsze.

Nerwy Jessa napięły się jak postronki, ale w końcu Straż puściła go z powrotem na peron, gdzie po kilku godzinach pracy nie pozostały już prawie żadne ślady po śmierci Podpalacza, nie licząc kilku odbarwień. To książka, pomyślał Jess, gdy przystanął i spojrzał pod nogi, na niewielką plamę na posadzce. Tutaj umarła książka. Taka sama brzydka blizna jak ta na ławce, gdzie Podpalacz dokonał samospalenia.

Ludzie i książki zostawiają takie same ślady, kiedy płoną.

Myśl o tym, że chłopak zabrał z sobą w płomienie dziennik, pozostawiła nieprzyjemny, kwaśny smak na języku. On nie tylko odebrał sobie życie, ale także pozbawił się nadziei, że inni ludzie będą mogli zrozumieć jego intencje. Może nikt by tego nigdy nie przeczytał, a jego motywacje okazałyby się całkowicie przyziemne i bezsensowne. Ale spalenie tego... To wymazanie się z życia w stopniu ostatecznym. Dla współczesnego człowieka, dorastającego ze świadomością, że Biblioteka zachowa jego wspomnienia nienaruszone, coś takiego wydawało się... niepojęte.

Jess zorientował się, że ludzie zaczynają na niego dziwnie patrzeć, więc wziął walizkę i poszedł na swój peron.

Wszystkie pociągi miały opóźnienie i stacja znów pękała w szwach. Dziwne, że wszystko tak szybko wróciło do normalności. Lokomotywy wypuszczały smugi bladego dymu, a mężczyźni, kobiety i dzieci przemierzali się albo krzątali, pochłonięci swoimi sprawami. Gołębie też już nadleciały, wykradać okruchy opadające z jedzonych w pośpiechu ciast i kanapek. Jedyna różnica, jaką potrafił wskazać, polegała na tym, że wokół stacji kręciło się więcej Straży. Wypatrywali Podpalaczy, którzy mogli chcieć naśladować swojego najnowszego męczennika.

Chociaż to potworne, Jess odnosił wrażenie, że śmierć tego człowieka była niczym więcej, jak kamieniem wrzuconym do szybko płynącego strumienia: krótkim pluskiem, po którym nie został ślad. Sam nie wiedział, czy ta myśl jest przerażająca, czy kojąca.

Stał w długiej kolejce czekających na wejście do długiego, opływowego, srebrzystego pociągu. Stojący w drzwiach starszy

konduktor w mundurze powiedział:

– Usiądź sobie wygodnie, kolego. Czeka cię długa podróż. Tunelem do Francji, potem do Hiszpanii, przez Maroko i dopiero potem do miasta. Miej dokumenty pod ręką, żeby je pokazać na granicy aleksandryjskiej. Na pewno niczego nie zapomniałeś?

Jess podziękował i rozejrzał się za swoim miejscem. Nie zdziwił się, że ojciec wykupił mu najtańszą miejscówkę. Co elegantsi podróżujący mieli siedzenia wyściełane pluszem i wózki z herbatą do dyspozycji, ale jego wagon lata świetności miał już za sobą i śmierdzał pleśnią, zgniłym jedzeniem i brudnymi stopami. Stawał się też coraz bardziej zatłoczony, bo dosiadały się coraz to nowe osoby, zajmując miejsce stosami bagaży. Jess postawił nogi na walizce. Nie wierzył w dobre zamiary obcych.

Napisał w dzienniku o Podpalaczu, o podróży i o współpasażerach, a potem odłożył pióro. Spał i jadł, a kilometry znikwały pod kołami i coraz mniej przystanków zostawało do celu. Ludzie zaczęli wysiadać i teraz więcej wychodziło niż się dosiadało, co przyjmował z ulgą. Nastroje wokół niego zmieniały się powoli, im bliżej byli opuszczenia Anglii przez podziemny tunel i wjazdu na terytorium Biblioteki Francuskiej. Po drodze na wybrzeże nie milkły nerwowe rozmowy o niebezpieczeństwach jakie na nich czyhały, a gdy bezkolizyjnie dotarli do tunelu, wielu odetchnęło z ulgą. Walijska armia napierała coraz bardziej. Spokojna podróż nie była w tych dniach oczywistością, ale jak na razie pociąg uniknął niebezpieczeństw.

Gdy po całym dniu podróży dojechali do granicy hiszpańskiej, pasażerowie podzielili się na dwie grupy: kandydatów do Biblioteki, takich jak on, młodych i w większości zdenerwowanych, zbitych w niewielkie grupki, oraz pewnych siebie pracowników Biblioteki, nawet w cywilnych ubraniach łatwo zauważalnych dzięki opaskom na nadgarstkach, miedzianych, srebrnych i – choć to bardzo rzadki widok – złotych. Jess się zastanawiał, jakby to było żyć ze świadomością, że ma się status, który nigdy nie straci znaczenia. To daje wolność, czy przeciwnie, poczucie uwięzienia? I tak się nie dowiem, pomyślał. Biblioteka przyznawała złote opaski kilkorgu wybrancom na całe pokolenie.

Reszta podróży dłużyła się, ale przebiegła bez utrudnień, minęli po drodze jedynie kilka burz, poza tym spokojna jazda aż do koniuszka Hiszpanii, gdzie pozostali pasażerowie wysiedli i mrużąc oczy w ostrym słońcu, zaczęli ładować się na duży prom, bo dalszą część podróży mieli odbyć drogą morską.

Do aleksandryjskiego pociągu, do którego przesiedli się w Maroku, dosiadło się kilku nowych pasażerów. Jednego z nich nie można było nie zauważyć. Blondwłosy, niebieskooki chłopak mniej więcej w wieku Jessa, tak potężny, że wyglądał, jakby mógł zginać rękami żelazne pręty, więc tym dziwniejsza była ostrożność, z jaką się poruszał w tłumie i przepraszał za każdą najmniejszą kolizję. Był wręcz nadgorliwy.

Ich spojrzenia na sekundę się spotkały, więc Jess skinął głową i to był błąd. Olbrzym ruszył wprost do niego i spytał:

– Mogę się dosiąść? – Dobrze mówił po angielsku, ale niemiecki akcent był słyszalny.

– Wszędzie są wolne miejsca. Siadaj, gdzie ci się podoba.

Liczył, że chłopak zrozumie aluzję i pójdzie dalej, ale nic z tego. Podetknął Jessowi pod nos wielką łapę, a po wymianie uścisków przedstawił się jako Thomas Schreiber.

– Jess Brightwell.

Chłopak opadł całym ciężarem na siedzenie obok Jessa i wydał ostentacyjne westchnienie ulgi.

– Wreszcie jest czym oddychać.

Jessowi trudno się było z tym zgodzić, bo Thomas odebrał mu właśnie całą wolną przestrzeń.

– Z daleka przyjechałeś? – spytał.

– Z Berlina. Znasz Berlin?

– Nie osobiście – odparł Jess. – Ładnie tam?

– Bardzo. A ty skąd jesteś?

– Z Londynu.

– Anglia? Też daleko.

– No tak. Pewnie też jedziesz na szkolenie do Biblioteki?

– Tak. Mam nadzieję, że załapię się do Inżynierii. Mój dziadek miał tam przez wiele lat srebrną opaskę.

– Inżynieria podpada pod Artifex. Słyszałem, że mają tam ciężko.

Masz jakieś przywileje z racji posiadania przodka ze srebrną opaską? – Thomas spojrzął na niego bezradnie, więc zaczął tłumaczyć: – Chodzi mi o to, czy mogłeś nie zdawać egzaminu. Dzieci złotych opasek trafiają od razu na szkolenie, ale nie wiem, jak ze srebrnymi.

– Byłoby miło, co? Ale nie ma tak dobrze. Zdawałem egzamin.

– I jak ci poszło?

Thomas wzruszył ramionami.

– W porządku.

– Ja zdobyłem siedemset pięćdziesiąt punktów. Najwięcej w Londynie. – Zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to pyszałkowato. Trudno. Był z siebie dumny.

Thomas uniósł jasne brwi i kiwnął głową.

– Bardzo dobrze. – Ale w jego ostrożnie uprzejmym tonie rozbrzmiewało coś, co się Jessowi nie spodobało. Łypnął spode łba.

– Ile ty dostałeś?

Thomas nie chciał powiedzieć, ale Jess patrzył nieustępliwie i w końcu wyciągnął niego odpowiedź.

– Dziewięćset dwadzieścia pięć.

– Co?!

– Kandydaci z Berlina zawsze mieli dobre wyniki. – W jego głosie słychać było jednocześnie dumę i zawstydenie.

– Dobrze? Jestem pewien, że żaden uczony z Londynu nie zdobyłby takiej punktacji! To chyba najlepszy wynik w tym roku!

– Nie – zaprotestował Thomas. – Najlepszy ma ona. – Rozejrzał się po wagonie, a potem wskazał na młodą dziewczynę siedzącą z tyłu.

Jess stwierdził, że już ją widział. Wsiadła jakiś czas temu, z gromadą krewnych, którzy ciasno ją otaczali i wysiedli tylko dlatego, że konduktor im pogroził.

Była bardzo drobna i na ile Jess widział, miała ciemną skórę i czarną chustę zakrywającą włosy. Poza tym trudno było powiedzieć coś więcej, bo siedziała zatopiona w lekturze.

– Tak, tamta – potwierdził Thomas. – Jako pierwsza w historii uzyskała sto procent. Nie, że jako pierwsza dziewczyna, tylko w ogóle po raz pierwszy. – Ewidentnie zrobiło to na nim wrażenie, może nawet trochę się jej bał. Gapili się na nią obaj, a ona opuściła książkę i

odwzajemniła się spojrzeniem brązowych oczu, spoglądających wprost i badawczo. Thomas się zawstydził, że go przyłapała i szybko odwrócił głowę.

Ale Jess nadal patrzył. Była ładna, może nie piękna, ale na pewno miała w sobie coś interesującego. Uniosła jedną brew, jak to robił jego brat, a on spróbował odpowiedzieć tym samym. Jak zwykle nie wyszło.

Postanowił wstać, więc zaczął się przedzierać przez kolana Thomasa, wypiętrzone jak łańcuch górski.

– Gdzie idziesz? – szepnął Thomas.

– Przywitać się. Z najmądrzejszą dziewczyną na świecie.

Znajomość warta zadziergnięcia.

– Ja bym nie...

Ale Jess już się przedzierał na tyły, w stronę dziewczyny, która wciąż patrzyła na niego chmurnym, wyzywającym wzrokiem, oraz mężczyzny, który zasiadł obok. Był to okrągłutki, starszy jegomość, odziany w kosztowne arabskie szaty.

Jess przystanął i uprzejmie się skłonił. Odpowiedziała skinieniem głowy.

– Chciałbym się przedstawić – oznajmił. – Jess Brightwell. Jestem z kolegą, Thomasem Schreiberem. To ten nieśmiały olbrzym.

– Khalila Seif – odparła. – Czy mogę przedstawić mojego wuja, Nasira? Towarzyszy mi do granicy z Aleksandrią.

Wujek obdarzył Jessa ciepłym uśmiechem, podniósł się i uklonił. Wszystko bardzo elegancko, ale widać było, że nie zamierza odejść od dziewczyny na krok.

Jess zwrócił się z powrotem do niej.

– Najwyższa punktacja na egzaminie. Rozumiem, że ma pani pewne miejsce?

– W życiu nie ma nic pewnego. Możliwe, że nie podołam pracy w Bibliotece. Niektórzy są na to zbyt delikatni.

– Delikatni – powtórzył Jess. – No tak, nie pomyślałbym.

– Pan także jest uczniem? – spytał wuj.

– Nie dorastam pańskiej siostrzenicy do pięt, ale tak.

– Skąd pan pochodzi?

– Z Anglii.

– Ach. Czy nie jesteście przypadkiem w stanie wojny...?

– Nie ta część kraju, z której przyjechałem – wyjaśnił Jess.

Mężczyzna miał stanowczo zbyt dobre maniery, żeby to powiedzieć na głos, ale z pewnością uważał Anglię za siedlisko zła. – Nie będę pani przeszkadzał w lekturze. Życzę przyjemnej podróży.

– Miło było pana poznać. Ja także życzę przyjemnej drogi. –

Odpowiedziała bardzo formalnie, ale uśmiechnęła się. Może nie ciepło, ale bez obaw.

I z całą pewnością nie wyglądała na delikatną.

Jess ponownie gramolił się nad Thomasem, żeby wrócić na swoje miejsce.

– Jedno miejsce w Bibliotece jest już zajęte. Pewnego dnia zostanie Kuratorką. A może i Archiwistką, niech ją szlag. Moja przyszłość jawi się w coraz mroczniejszych barwach. – Ale nie mówił poważnie. Lubił wyzwania, a to zapowiadało się na jedno z najlepszych w jego życiu. Nudno zawsze być tym mądrzejszym. Czuł, że będzie musiał się wziąć do pracy.

„Ty już nie wrócisz”, przypomniał sobie nagle słowa Brendana. Zdawały się prorocze, bo już teraz jego rodzina jawiła mu się jak odpływający sen. Dobrze się tu czuł.

U siebie.

Gdy konduktorzy ogłaszali ostatnią szansę na wejście do pociągu, dostrzegli mknącą w stronę ich wagonu młodą kościstą dziewczynę. Nie wyglądała najwdzięczniej, ale jej długie nogi połykały kolejne metry i wskoczyła do środka, zanim w sekundę później konduktor zatrzasnął drzwi i odgwizdał odjazd. Spocona i zdyszana, oparła się o ścianę, a gdy pociąg ruszył, straciła równowagę i padła prosto na kolana Thomasa i Jessa.

Nie była lekka. I miała ostre łokcie. Jess się skrzywił i pomasował pierś, gdy wstała, łypiąc na nich wściekle, jakby dopuścili się jakiegoś wykroczenia.

– Witamy – odezwał się Thomas. – Jestem Thomas Schreiber. Z Berlina. – Wyciągnął do niej rękę. Odgarnęła z twarzy rozczochrane, kręcone włosy i zmarszczyła czoło, ale ucisnęła mu dłoń. Choć niechętnie. – A pani...?

– Glain Wathen. Z Merthyr Tydfil. – Zamilkła i od razu przeniosła wzrok na Jessa.

– Jess Brightwell. Londynu.

Spojrzała na niego kwaśno, odwróciła się i poszła szukać miejsca na końcu wagonu.

– Nie lubi cię – stwierdził Thomas. – Znasz ją?

– Nie muszę. – Czuł spojrzenie Glain wwiercające się w tył jego głowy. – Ale trudno ją winić, jest Walijką. Prawdopodobnie spróbuje mi wbić nóż w nerkę, zanim dotrzemy do granicy. – Thomas nadal wyglądał, jakby nic nie rozumiał. – Jestem Anglikiem. Mamy wojnę. Ludzie wariują.

– Ach – stwierdził Thomas, ale nadal nie wyglądał na przekonanego. To nie to, co jego wojny, pomyślał Jess. A może nie wiedział, że Konflikt Południowy toczy się od ponad pięćdziesięciu lat i zebrał krwawe żniwo po obu stronach, walijskiej i angielskiej. Ostatnio szala zwycięstwa przechylała się na stronę Walińczyków.

Glain wyglądała jak jedna z tych wichrzycielek, które nie są w stanie pozostawić urazy na granicy. Zresztą Jessowi niespecjalnie to przeszkadzało. Przynajmniej jedna osoba, której nie będzie mu żal, gdy wykurzy ją w walce o miejsce.

Mijał kilometr za kilometrem, a pociąg wiozł ich ku niepewnej przyszłości.

Przejazd przez granicę aleksandryjską wiązał się z opuszczeniem pociągu przez każdego, kto nie miał pozwolenia na przebywanie na terytorium Biblioteki. Dotyczyło to także wuja Khalili. Wyraźnie nie chciał zostawić swojej podopiecznej tłumowi brudasów – zresztą trzeba mu oddać sprawiedliwość, że obecnie wszyscy pasowali do tego opisu, bo nikt nie grzeszył czystością – ale odszedł godnie.

Jess uprzejmie skłonił mu się na do widzenia, a następnie odwrócił się i mrugnął do Khalili. Zignorowała go. Oddała się szeptanej, ale zapalczywej rozmowie z tą Walijką, Glain, chociaż trudno sobie wyobrazić, co mogły mieć wspólnego. Glain była nijaka w takim samym stopniu, jak Khalila ładna, a jej maniery, w zderzeniu z gracją i urokiem Arabki, wydawały się wręcz fatalne. Stwierdził jednak, że o gustach się nie dyskutuje. On i Thomas grali w karty, a z biegiem czasu przyciągnęli

kolejnych graczy, nawet jednego z pracowników Biblioteki, ze srebrną opaską, i chociaż jego angielski najeżony był chińskim akcentem, licytował jak szatan i zanim Jess się wycofał i ułożył do snu, stracił połowę gotówki, którą miał ze sobą.

Gdy się obudził, Thomas zdążył już odzyskać większość pieniędzy i wyglądał jak zadowolony z siebie przerośnięty cherubinek, a pociąg wjeżdżał do Aleksandrii, w Egipcie.

Nie tylko Jess wgapiał się w okna, robiła to większość pasażerów, nawet dorośli z opaskami na nadgarstkach. Miasto bowiem... warte było spojrzeń.

Wjechali na dworzec Misr, wyłożony lśniącymi białą marmurami i kamieniem w kolorze wypłowiałej żółci, oślepiającymi w południowym słońcu. Stacja była trzypiętrowa, a każdy poziom piękniejszy od drugiego, podparty żłobkowanymi kolumnami. Prastare posągi egipskich bóstw sięgały do sufitu. Pociąg zatrzymał się na wysokości ogromnej stopy Horusa, boga o twarzy jastrzębia. Dziobata głowa zasłaniała słońce, a złoto i błękitna emalia lśniły jaśniej niż cokolwiek, co Jess widział w życiu.

– Niebywałe – wysapał Thomas. – Myślisz, że to automat? Takiej wielkości?

Jess aż się zatrząsł.

– Wypluj te słowa.

Thomas podniósł się, złapał torbę (dwa razy większą niż bagaż Jessa, ale przecież sam był od niego dwa razy większy) i pośpieszył do drzwi. Stał na peronie, zanim Jess zdołał choćby wytargać swoją walizkę spod siedzenia, ale szybko dogonił kolegę, a potem nieświadomie zwolnił i wkrótce całkiem się zatrzymał. Stali obok siebie i chłonęli. Słońce było tu inne: nieznośnie gorące, ale jednocześnie dziwnie gościnne. Wilgotny wiatr znad oceanu potargał Jessowi włosy i osuszył pot, który zalewał mu twarz. Milczące, majestatyczne szeregi bóstw ciągnęły się, jak się zdawało, całymi kilometrami, a każde było inne. Obdarzone inną historią, pomyślał Jess. Muszę je poznać, postanowił. A co najlepsze, mógł to zrobić. Tutaj mógł się dowiedzieć wszystkiego.

Czuł, że ma nieograniczone możliwości.

Dołączyła do nich Khalila i zauważył, że ona też nie może

uwierzyć własnym oczom. Nawet Glain oniemiała, gdy zeskokczyła ze schodków pociągu i wylądowała w tej obcej, onieśmielającej krainie.

Wydawało się, że jest tu tak czysto!

Wkrótce zebrała się wokół nich cała grupka kandydatów, którzy wysiadali z pociągu. Może dlatego, że Thomas był taki wysoki i stanowił dobry punkt zbiórki. Jess się rozejrzał i oszacował, że było ich około trzydzieścioro, wszyscy równie niepewni, co dalej. Dopiero wówczas z cienia przy stopie Horusa wyłonił się mężczyzna i ruszył w ich stronę.

Wszyscy na niego patrzyli: czarna toga Uczzonego falowała wokół prostego, czarnego stroju. Złota bransoletka, grawerowana eleganckimi hieroglifami i nosząca pieczęć Biblioteki, lśniła na jego nadgarstku. Długie do ramion, ciemne włosy nosił spięte w koński ogon, żeby odsłonić diabelnie inteligentną twarz. Oczy miał ciemne i lekko skośne, a skórę brązową jak łupina orzecha. Gdy się zbliżał, milczeli, tylko zbili się w ciaśniejszą gromadkę. Jak antylopy stawiające czoło lwu, pomyślał Jess.

Uczony omiótł ich bezlitosnym spojrzeniem. Cisza była wręcz namacalna i skondensowana do tego stopnia, że Jess zaczął się obawiać, czy nie roztrzaska stóp biednego, starego Horusa, ale wówczas mężczyzna przemówił:

– Uczony Christopher Wolfe. Domyślam się, że jesteście postulantami. Żebyśmy się dobrze zrozumieli: większość z was może równie dobrze zawrócić i wsiąść w pociąg powrotny. Mam sześć wolnych miejsc. Jeśli oczywiście zdecyduję się w ogóle je obsadzać, bo na pierwszy rzut oka szanse są niewielkie. Czy ktoś z was chce kupić bilet powrotny i tym samym zaoszczędzić sobie czasu i cierpienia?

Nikt się nie zgłosił, choć kilka osób zadrżało nerwowo, jakby się jednak zastanawiali. Ale nie Jess. Thomas też nie, ani Khalila i Glain. Byli nieugięci. Na razie, pomyślał Jess.

Zaczynało się robić bardzo ciekawie.

LIST

Tekst listu napisanego przez Thomasa Paine'a z Terytorium Amerykańskiego w roku 1795. Przeniesiony do Czarnego Archiwum, poza Kodeksem. Dostęp ściśle ograniczony. Oznaczony jako TREŚĆ BUNTOWNICZA.

Na proces nauki składają się trzy elementy: fakty, wiedza i mądrość. Zwykle zebranie faktów nie jest jeszcze wiedzą, a dar wiedzy nie jest sam w sobie mądrością.

Biblioteka uzurpuje stanowisko strażnika wiedzy i mądrości, ale to nieprawda. Tak wiele nie powinno się w żadnym razie znaleźć w rękach tak nielicznych, choćby przez wzgląd na naturalną cechę ludzi, jaką jest dążność do posiadania władzy. A wiedza jest jej najczystsza formą.

Kuratorzy wydzielają wiedzę i szansę na postęp po odrobinie i poczytują swoje zobowiązanie wobec ludzi jako stosunek rodzica do dziecka. A ponieważ rodzic winien chronić dziecko przed niebezpieczeństwem, tak i Biblioteka chroni nas przed tym, co ma za najgroźniejsze: przed wiedzą.

Jednak bez wiedzy nie ma mądrości, a postępu bez ryzyka, ja natomiast nie jestem dzieckiem Biblioteki! Muszę poznawać fakty, budować z nich wiedzę i dzięki doświadczeniu przekształcać ją w uświęcony klejnot mądrości.

Tym samym powiadam, że największym darem dla ludzkości będzie roztrzaskanie wrót do Biblioteki, przejęcie zasobów tej skarbnicy wiedzy i rozprzestrzenianie ich jak świat długi i szeroki, bo choć dzieje Biblioteki sięgają daleko w przeszłość i onieśmielają rozmachem, nawet największe wynalazki mogą obrócić się przeciwko ich twórcom. Instytucja owa, która – jak sądziliśmy – będzie dla świata kagankiem oświecenia, zatopila go w ciemności i poczęła wmawiać nam, że cienie to najjaśniejsze światło. A my, ślepe istoty, wierzyliśmy w to kłamstwo.

Szlachetną intencją jest przechowywanie wiedzy, ale stawianie Wielkiej Biblioteki ponad człowiekiem, narodami i ponad życiem? To nie jest akt mądrości.

Nie wierzę, że życie mniejszą ma wartość niż kropla atramentu na stronicy. Niechże to będzie naszym sygnałem do walki. Sławmy to, gdzie

możemy. Unieśmy ręce w sprzeciwie wobec fałszywych bogów, jakimi są serapejony, wszędzie na świecie.

Spalmy dzieło naszego życia, zanim oni zacisną na nim łapy i wtrącą w ciemność.

Spalmy je i zalejmy świat nowym światłem.

Odręczna adnotacja poczyniona ręką Magistra Archiwisty, Alessandra Volty, w roku 1795:

Terytorium Amerykańskie zmieniło się w gnijącą dżunglę, w której kiełkują niebezpieczne rewolty. Dopilnować, aby po tej nie został choćby ślad, bez względu na kroki, jakie będzie należało podjąć.

Abyśmy mogli istnieć, filozofia Podpalaczy musi zostać unicestwiona.

Rozdział 2

Jessowi Londyn wydawał się zawsze imponującą, nowoczesną metropolią. Trudno mu było sobie wyobrazić coś bardziej zachwycającego niż budynki rzucające wyzwanie niskiemu, szaremu niebu. Gdzieś w głębi zawsze był przekonany, że Anglia, a zwłaszcza Londyn, są lepsze niż reszta świata.

Pierwszym sygnałem, że to przekonanie nie miało nic wspólnego z prawdą, były wieści od nowego kolegi, Thomasa, który poinformował go, że Berlińczycy zazwyczaj zdobywali na egzaminie znacznie wyższe noty, niż Jess. Ale można by to ostatecznie uznać za przypadek, gdyby nie rozmowy z innymi postulantami, które uświadomiły mu, że wszyscy, ale to wszyscy tutaj uzyskali ocenę taką jak on, albo lepszą.

A później jeszcze ta Aleksandria. Ach, Aleksandria!

Londyn był labiryntem wąskich, krętych ulic, ciemnych kątów i ślepych zaułków. Do tego tłupy. Brud, nigdy do końca nie domyty, nawet w najczystszych miejscach. Owszem, Londyn był cudem, ale wzniesionym na liczących tysiąc lat pokładach potu i plugastwa.

Aleksandria, mimo długiej i burzliwej historii, lśniła niby miasto niebiańskie. Wszystko schludne i wypucowane, dla powozów parowych szerokie jezdnie, dla pieszych rozległe chodniki, a przy nich antyczne pomniki. Bezcenne, zdobione złotem posągi upamiętniały przebogate dziedzictwo miasta, a kiedy Jess głębiej się nad tym zastanowił, zdumiało go, że nikt nie zakradał się po nocy, żeby ukraść cenne ozdoby. Tu nawet najbiedniejsi szanowali historię. Wszystkie budynki były zadbane, co roku odmalowywane, co – jak mu powiedziano – zmieniało się w huczną zabawę miejską, ulice natomiast otoczone były pięknymi ogrodami, kwiatami, drzewami i fontannami, którymi ktoś się najwyraźniej opiekował. W tym mieście nawet pachniało ładnie.

Większość mieszkańców pasowała do otoczenia: egzotyczni, czyści, atrakcyjni, uprzejmi. Światowi.

W porównaniu z tymi, których widział po drodze do postulanckiej stacji, czuł się jak ubogi krewny. Uczony Wolfe zamówił duży powóz, do którego zmieścili się wszyscy, a gdy turkocząc, pojazd sunął wśród tych onieśmielających cudów, Wolfe stanął pośrodku i przemówił:

– Zamieszkacie w Domu Ptolemeusza – zaczął. – Traktowani będziecie jak dorośli, dzieciństwo się skończyło, nikt się nie będzie z wami pieścił. Dostaniecie wspólne pokoje. Warunki nie będą luksusowe. W obiekcie przebywa personel, ale nie są waszymi służącymi i nie będą po was sprzątać. Jutro zaczynacie naukę. Czy to jasne?

Wymamrotali coś na znak, że owszem, ale zaraz potem powtórzyli głośnym chórem, bo Wolfe domagał się zdecydowanej reakcji. Gdy powóz się zatrzymał, wysiadł jako pierwszy, zanim jeszcze Jess zdążył zastanowić się nad pytaniami, które chciałby mu zadać. Choć oczywiście nie podejrzewał, żeby uczony Wolfe zhańbił się odpowiadaniem na nie.

Dom Ptolemeusza okazał się rzeczywiście całkiem przeciętnym kwadratowym budynkiem niedaleko Uniwersytetu Aleksandryjskiego. Tak jak mówił Wolfe, nic luksusowego, ale Jess sypiał już w gorszych miejscach. Było czysto i chłodno, tylko to się liczyło.

Listę z nazwiskami osób przypisanych do poszczególnych pokoi wywieszono w korytarzu. Znalazł swoje, otworzył wskazane drzwi i na wpół wniósł, a na wpół wciągnął swoją walizę, a następnie padł na pierwsze z brzegu posłanie jak nieżywy.

Nie przeszło mu przez myśl, że to może być nie jego łóżko, pomyślał o tym dopiero, gdy otworzyły się drzwi do łazienki i nieznośnie przystojny młody chłopak w szkarłatnej todze zawołał:

– *Quién diablos es usted?* Kim ty do diabła jesteś? – Kasztanowy kolor szaty pasował do jego śniadej skóry, a oczy miał niemal równie czarne, jak włosy.

Jess poznał już wystarczająco wielu nowych ludzi, jak na swoją wytrzymałość, ale podniósł się do pozycji siedzącej, wytarł spoconą dłoń i wyciągnął do chłopaka:

– Jess Brightwell – przedstawił się. – Jak rozumiem, mieszkamy razem?

– Nie – odparł chłopak. – Mam prywatny pokój. Wyjdź.

I już. Tylko te lodowate słowa. Jess powoli opuścił rękę i zaczął się zastanawiać, co powinien teraz zrobić, ale w rezultacie po prostu opadł na poduszkę. Jak dobrze!

– Jestem na to zbyt zmęczony – wyjaśnił. – Zajmuję to łóżko w imię Anglii.

Poleżał jakieś pięć sekund, bo Hiszpan złapał go za kołnierz koszuli, poderwał do góry i cisnął nim o podłogę.

– Jazda! – wycedził przez zęby, bardzo białe. – Ostatnie ostrzeżenie. To jest mój pokój. Nie dzielę się z nikim.

Jess ocenił sytuację i uznał, że atak chłopaka nie był brutalny, widocznie nie zamierzał się bić naprawdę. Urodził się w bogatym domu i był przyzwyczajony, że wszyscy wkoło robią to, co chce.

Pozbierał się, potem wystrzelił w górę i popchnął chłopaka na ścianę, przyciskając mu gardło ramieniem.

– Zaczynajmy od początku. – Teraz to on obnażył zęby. – Mieszkam tu, bo tak napisano na zafajdanej liście wiszącej na tym zafajdanym korytarzu. Jeśli to twoje łóżko, przepraszam, zajmę drugie. Może być? – Ostatnie słowa podkreślił, nachylając się do rozmówcy. Hiszpan trochę się szamotał, ale gdy w końcu na siebie spojrzeli, musiał się zorientować, że Jess nie żartuje.

– Zatrzymaj łóżko – wydusił z trudem ponad jego ramieniem. – Jest całe w twoim pocie. Nawet bym go nie dotknął.

– Dobrze. – Jess go puścił i cofnął się. Znow wyciągnął rękę. – Nie kłóćmy się. Jestem Jess Brightwell.

Hiszpan wciąż się w niego wpatrywał, bez najmniejszego grymasu wokół bystrych oczu, ale w końcu odwzajemnił uścisk, choć stanowczo zbyt mocno.

– Dario Santiago. Nie będziemy przyjaciółmi.

– Pewnie nie – zgodził się Jess. – Ale jesteśmy współlokatorami.

Dario nagle uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją.

– Niewykluczone, że tego pożałujesz.

Z jakiegoś powodu Jess założył, że zajęcia biblioteczne będą się odbywały... no tak, w Bibliotece, ale okazało się, że to instytucja znacznie rozleglejsza niż jeden budynek. Spodziewał się przewidywalnego planu zajęć, esejów, sprawdzianów, jak w Londynie, w administrowanych przez Bibliotekę szkołach publicznych.

Ale uczony Wolfe był nieprzewidywalny.

O świcie następnego ranka w dormitoriach rozdzwonił się przenikliwy dzwonek, oznaczający pobudkę. Jess wyskoczył z łóżka, jęcząc, wciąż obolały i skołowany ze zmęczenia. Nie zdążył się

rozpakować i szarpał się z zamkami walizki stanowczo za długo, zanim wreszcie sobie przypomniał, jak to zrobić. Jego ubrania przeszły wonią Londynu, więc śmierdziały wilgocią i poczuł chwilowe ukłucie tęsknoty za domem, ale nie tyle za rodziną, co za przewidywalnością.

Złapał parę czystych spodni, koszulę, bieliznę oraz kamizelkę i pośpieszył do łazienki.

Za późno. Dario już był w środku i nie omieszkał zamknąć drzwi. Jess zatrzymał się wpół kroku i nie miał wyjścia, musiał czekać, aż współlokator zakończy rozkoszny, poranny rytuał. Wciąż jeszcze czekał, gdy Thomas najpierw zabębnił do drzwi wejściowych, a potem je otworzył.

– Idziesz, Angolu? Bo już się spóźniłeś!

– Czekam, aż prysznic się zwolni. On jest powolniejszy niż moja matka!

– Na twoim miejscu już bym szedł. Uczony Wolfe nie wygląda na gościa, który lubi czekać.

Tak, sądząc po pierwszym spotkaniu na stacji kolejowej to z całą pewnością była prawda. Jess zaklął pod nosem i zaczął się rozbierać, a Thomas dyskretnie odwrócił się swoim imponującym tyłem do niego. Jess wkładał już buty, gdy Dario wreszcie otworzył zasuwkę i wyszedł z łazienki, rozsiewając wokół pachnącą ziołami chmurę pary. Wyglądał świeżo i nienagannie, jak dżentelmen w każdym calu.

Jess poczuł się jak brudas z zaropiałymi oczami, ale dokończył wkładanie butów i podniósł się, żeby wyjść. Thomas zrobił Dariowi miejsce, a potem pytająco uniósł jasne brwi:

– Jakiś problem?

– Nawet nie pytaj.

– Musisz wstawać przed nim – doradził kolega.

– Co ty powiesz?

Thomas tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu i przytrzymał drzwi. Był tak wysoki, że Jess prawie nie musiał się schylać, żeby przejść pod jego ramieniem.

Świetlica na parterze już się zapełniła i Jess poczuł się jeszcze gorzej na widok towarzyszy, którzy mieli świeżo umyte twarze i starannie uczesane włosy. Usiłował prowizorycznie ułożyć swoje, ale

sądząc po ponurym geście Thomasa, nie udało się.

Uczony Wolfe do nich nie przyszedł. Przysłał za to wysokiego mężczyznę w onieśmielającym czarnym stroju, członka elitarnej Najwyższej Straży Biblioteki ze złotą opaską na nadgarstku. Broń, którą miał przypiętą do pasa, wyglądała na zadbaną, a może wręcz: rozsądnie używaną.

Thomas niezbyt dyskretnie trącił Jessa łokciem i nachylił się do niego, żeby szepnąć:

– To żołnierz Biblioteki!

– Wiem – odszepnął Jess. – Co on tu robi?

Kolega wzruszył ramionami.

– Może chce nas nastraszyć?

Słuszna obserwacja, bo stojący niedaleko mężczyzna właśnie omiótł ich obojętnym spojrzeniem, co okazało się bardziej onieśmielające niż gdyby groźnie łypnął. Szybko ich przeliczył, a następnie wypowiedział dwa krótkie słowa:

– Za mną. – To powiedziawszy, wyszedł na korytarz, a oni nerwowo ruszyli za nim.

Na zewnątrz nie czekał powóz, a Strażnik szedł już bulwarem, narzucając szybkie marszowe tempo. Słońce dopiero wschodziło, ale już zrobiło się nieznośnie gorąco i wilgotno, a strój wygodny w Londynie, w Aleksandrii zdawał się dusić Jessa. Stwierdził, że koniec końców wyszedł lepiej na ominięciu prysznic, bo pocił się tak samo mocno, jak cała reszta, nawet Dario, i gdy wreszcie zatrzymali się przed niskim, dziwnym budynkiem, nie był w gorszym stanie niż oni.

Zauważył, że dotarli aż do portu; ponad niskimi dachami widział kołyszące się na falach statki parowe i wielkie statki pasażerskie wpływające do doków, gotowe do wypuszczenia pasażerów na brzeg. Tęsknił za takim widokiem; zawsze uwielbiał wizyty w londyńskich dokach, gdzie było gwarno i zawsze się coś działo. Trochę smrodliwy, ale jednak świeży aromat przywodził na myśl dom.

Zamiast jednak do portu, przewodnik powiódł ich do cichego, ciemnego budynku z jednym wejściem. Bez okien. Jess czuł się, jakby schodzili do krypty. Podłoga zaczęła opadać.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Thomasa, ale on tylko pokręcił głową.

Sufit był na tyle niski, że musiał się schylić. Na ścianach nic nie wisiało, ale znaczyły je brudne smugi, a wszędzie wkoło cuchnęło czymś kwaśnym, chemicznym. Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać, bo ich przewodnik nadal narzucał szybkie, żołnierskie tempo.

A potem, zupełnie nagle, weszli do znacznie bardziej przestronnego, wyższego pomieszczenia. Jess wspiął się na trzy stopnie i zatrzymał się, odchylając głowę, żeby z podziwem przyjrzeć się wysokiemu sklepieniu. Ktoś na niego wpadł, więc usunął się na bok i zaczął się rozglądać po miejscu, w którym się znaleźli. Było okrągłe i tak jak korytarz, pozbawione wszelkich dekoracji. Ich niewielka trzydziestoosobowa grupa zajmowała niewiele przestrzeni.

Wnętrze robiło wrażenie spartańskiego. Imponujące, ale puste, na ścianach ciemne smugi, a w powietrzu ten sam drażniący, chemiczny zapaszek. Coś Jessowi przypominał, ale nie mógł dojść, co.

Czekali w milczeniu. Strażnik zniknął, więc stali bez ruchu i patrzyli jedno na drugie. Jess poznał już większość postulantów, ale zmęczenie nie pozwalało mu przypomnieć sobie ich imion. Najlepiej znał oczywiście Daria, no i Thomasa. Zauważył też Khalilę, stała sama, świeża i spokojna, w chuście na głowie i luźnej szacie, a Walijka Glain górowała nad innymi dziewczynami, wyższa o kilka centymetrów.

Żadne z nich się nie odezwało. Kilkoro przestępowało nerwowo z nogi na nogę, odczuwając skutki długiego spaceru, ale wszyscy rozumieli, że to nie jest miejsce do rozmów.

Jedynymi drzwiami wszedł nagle Wolfe i zatrzymał się na środku salki. Wyglądał tak samo jak na dworcu: śniady, groźny i niecierpliwy. Przez chwilę rozglądał się, patrząc na każde z nich, a potem oznajmił:

– Zaczyna się szkolenie. Stoicie w pierwszej siostrzanej bibliotece w Aleksandrii, w pierwszym Serapejonie. Tutaj kopie dzieł z zasobów Wielkiej Biblioteki zostały po raz pierwszy udostępnione każdemu, kto zechciał przyjść i poczytać. Nawet kobietom, choć wówczas nie było to powszechnie praktykowane. Aleksandria stała się pierwszym miejscem na świecie, w którym zachęcano zwykłych ludzi do czytania i nauki. Prawo do edukacji mieli wszyscy, bez względu na status, wyznanie, płeć czy religię. Znajdujecie się w miejscu, gdzie narodziła się nasza historia.

Pozwolił tym słowom wybrzmieć w ciszy i faktycznie, Jess odczuł

ich wagę. Ściany zostały najwyraźniej odnowione, ale podłoga nie. Zbudowana została z wiekowego już dziś kamienia, wypolerowanego przez miliony kroków. Może chodził tędy Archimedes, pomyślał. Może tu napisał pierwszą wersję *O tworzeniu kuli*, przy jednym z tutejszych pulpitów.

Zadygotał, jakby otaczały go duchy.

– Jestem tutaj jako wasz opiekun naukowy, żeby nauczyć was, kim jesteście i co robimy. Zaczynamy w miejscu, z którego Wielka Biblioteka poczyniła pierwsze kroki by stać się potęgą. – Zamilkł i przyjrzał się nam. – Czy rozumiecie, na czym polega praca bibliotekarza? – Wydawało się, że to głupie pytanie, więc ręce od razu wystrzeliły w górę. Wolfe westchnął. – Nie jesteście dziećmi i nie życzę sobie chowania się po kątach. Jeśli znacie odpowiedź, wystąpcie naprzód.

Rozległ się chór głosów. Wolfe się rozejrzał i wskazał na kogoś.

– Proszę – powiedział. – Niech pani wystąpi, powie, jak się nazywa i odpowie na pytanie.

Ładna dziewczyna z lśniąco rudymi włosami i pewnym siebie uśmiechem z gracją wyszła przed szereg.

– Anna Brygstrom z Danii. Bibliotekarze prowadzą siostrzane biblioteki, serapejony.

– Nie pytałem o pani narodowość, postulantko Brygstrom. Tutaj nie macie ojczyzny, bo gdy wstępujecie do służby w Bibliotece, ona staje się waszą ojczyzną. My jesteśmy waszymi rodakami. – Zamilkł, a w jego oczach czaił się okrutny błysk. – Jeśli pokonała pani taki szmat drogi, żeby dowiedzieć się, jak rozdzielić zadania i służyć czytelnikom, źle pani trafiła. Siostrzaną biblioteką może pokierować dobrze wytresowana marmozeta, bo to po prostu odzwierciedlenie tego, co robimy tutaj, w Aleksandrii. Proszę wrócić do grupy.

Gdy zniknęła w kręgu, już się nie uśmiechała, ani pewnie, ani w żaden inny sposób.

Ktoś inny wystąpił, by zająć jej miejsce; Jess poznał, że to ta Arabka, Khalila.

– Postulantka Khalila Seif. Nie przybyliśmy tutaj, by uczyć się, jak prowadzić bibliotekę siostrzaną. Mamy się dowiedzieć, jak działa

Wielka Biblioteka.

Wolfe przyglądał jej się przez kilka długich sekund, a następnie ostro skinął głową.

– Zgadza się. Proszę wrócić do szeregu, postulanko Seif.

Biblioteka istnieje dlatego, że korzysta z niej każdy naród świata, a ona żadnego nie faworyzuje i od nikogo nie zależy. Długo trwało, zanim udało nam się uwolnić od tyranii polityków, królów i duchownych, wiele czasu zajęło zgromadzenie majątku i sił wystarczających do obrony tego, co mamy. Ale przede wszystkim potrzeba było cudu. Jakiego?

Jess skorzystał z okazji i wystąpił naprzód.

– Jess... Postulant Jess Brightwell. Chodzi o odkrycie odzwierciedlenia. – Odpowiedział krótko i zwięźle, bo to uczony Wolfe miał udzielić wykładu, a poza tym wiedział, że gdyby spróbował coś dodać, gorzko by pożałował. Gdy Wolfe skinął głową, cofnął się.

– W 1029 roku został do cna zniszczony Serapejon w Rej, w Persji. Unicestwieniu uległo ponad pięćdziesiąt tysięcy oryginalnych dzieł. Tysiące lat wiedzy strawił ogień, a potem szabrownicy. Czteryście drugiemu prowadzącemu Wielką Bibliotekę, Magistrowi Archiwście Akkadeviemu zawdzięczamy odkrycie odzwierciedlenia, dzięki któremu treść każdej książki, każdego zwoju i dokumentu można wczytać w biblioteczny blankiet. Korzyści z odzwierciedlenia? Proszę. – Wolfe nie czekał na ochotników. Sam kogoś wskazał.

– Postulanka Glain Wathen. Pozwoliło ono Bibliotece uniknąć narażania oryginalnych ksiąg i zwojów. Nawet jeśli blankiet zostanie uszkodzony albo zgubiony, można go wznowić.

– Zgadza się. Zniszczenie biblioteki w Rej nauczyło nas, że wyrachowana polityka i bezmyślny gniew – pamiętajcie, że często idą ramię w ramię – są największym zagrożeniem dla wiedzy. Doktryna Odzwierciedlenia była pierwszym z wielkich kroków naprzód Biblioteki, na nim opierają się wszystkie pozostałe. Zapewnia bezpieczeństwo wiedzy, jednocześnie dając wolny do niej dostęp. To niekwestionowane osiągnięcie. Ale co się stało potem?

Przez chwilę nikt się nie ruszał, a Wolfe tym razem nie wywoływał do odpowiedzi. Czekał. W końcu ze swojego miejsca obok Jessa wyłonił się Thomas i odchrząknął.

– Postulant Thomas Schreiber. Następnym krokiem była Doktryna Wyłączywości.

– Doktryna Wyłączywości stanowi: by ochronić i zachować wiedzę dla dobra ludzkości, Wielka Biblioteka musi posiadać tę wiedzę. To oznacza co, postulancie Schreiber?

– Że niezgodne z prawem jest posiadanie oryginałów.

– Niezgodne z prawem – powtórzył Wolfe. – A czy pan się zgadza z tą doktryną, postulancie Brightwell?

Jess się skrzywił, bo nie spodziewał się tego pytania. Ani trochę. Wystąpił naprzód. Thomas nie wiedział chyba, czy się wycofać, stali więc ramię w ramię. To trochę ułatwiło Jessowi sprawę.

– Słucham?

– Spytałem pana o zdanie na temat Doktryny. Czy zgadza się pan z tym, że posiadanie oryginałów powinno być zakazane?

Oczywiście, powinien powiedzieć i dobrze o tym wiedział, taka była standardowa odpowiedź. Biblioteka nigdy się nie myli. Ale coś sprawiło, że odparł:

– Nie jestem pewien.

Oczy Wolfe'a rozbłysły.

– Dlaczego?

– Chciałbym móc wziąć oryginał do ręki – odparł Jess szczerze. – Poczuć w rękach jego wagę i historię. Blankiet to nie to samo.

– Nie – przyznał Wolfe. – Blankiet jest nędzną, wyblakłą imitacją, chociaż słowa są ustawione dokładnie w tym samym porządku. To jak różnica między ideą a namacalną rzeczą. I są tacy, którzy pragną tej namacalności, zgodnej z prawem czy nie. Dlatego mamy do czynienia z czarnym rynkiem i atramentożercami.

Krew stężyła Jessowi w żyłach, bo poczuł – być może niesłusznie – że to osobisty przekaz od Wolfe'a. Nie ukryje, kim jest i skąd pochodzi.

Uczony wskazał ręką, żeby się cofnęli, co przyjęli z wielką ulgą. Później zaczął krążyć wokół i zaglądać każdemu z nich w oczy.

– Choć Doktryna Wyłączywości wydaje się oczywista, wywołała rozruchy. Początkowo ludźmi, którzy ukrywali w domach książki, powodowały względy czysto sentymentalne. Może to był prezent od przodka, może najulubieńszy tom... Ale z czasem wkradł się w to zysk.

Wykradano całe wozy książek. Do dziś, gdy wychodzi na światło dzienne odkrycie jakiegoś oryginalnego dokumentu, zaczyna się wyścig między przestępcami a Biblioteką. Gdy coś trafi na czarny rynek, może zniknąć na zawsze: uszkodzone, zagubione, chciwie zawłaszczone. A to oznacza ograbienie ludzkości z czegoś cennego.

– A co z Podpalaczami? – spytał ktoś ostrożnie.

– Proszę naprzód, postulantko.

Smukła młoda dziewczyna z gładko uczesаныmi czarnymi włosami i subtelnymi japońskimi rysami wystąpiła z grupy i lekko skłoniła głowę przed uczonym Wolfe'em.

– Izumi Himura. Czy Podpalacze nie są większym zagrożeniem niż szmuglerzy?

– Proszę umotywować tę tezę.

– Szmuglerzy dążą do ocalenia oryginałów, na tym polega ich fach. Podpalacze to ideolodzy, chcą odebrać Bibliotece władzę nad oryginałami.

– To nieadekwatne wnioski. Musi się pani zagłębić w motywacje ruchu Podpalaczy. Ale dzisiaj nie będziemy grzebać w tej ranie.

Gratuluję. Jak na pierwszą lekcję, nie było tak tragicznie.

Jess usłyszał zbiorowe westchnienie ulgi. Poczuł, że sam też spokojniej oddycha. Pod spojrzeniem ostrych jak sztylety oczu Wolfe'a czuł się jak przygotowywany do wiwisekcji.

Grupka zaczęła się przesuwać do wyjścia, ale szybko się zatrzymali, bo czekał tam na nich żołnierz Najwyższej Straży. Z ramionami skrzyżowanymi na piersi blokował drzwi.

Wolfe przemówił głosem pełnym ponurego rozbawienia:

– Czy ja powiedziałem, że możecie wyjść? Nie wolno wam drgnąć, dopóki was nie zwolnię. Nie wyjdziecie, dopóki nie rozwiążecie problemu, z którym was tu zostawię. Ostrzegam, że czas jest ograniczony. Im szybciej znajdziecie zagrożenie, tym lepiej. Postarajcie się współpracować.

Wolfe wszedł pomiędzy nich jak nóż i wraz ze Strażnikiem ruszyli korytarzem, a następnie zniknęli.

– Co mamy zrobić? – spytała rudowłosa Anna, poirytowana. – Nie wyznaczył zadania!

Jess się rozejrzył, ale znajdowali się wciąż w tym samym pustym i ascetycznym pomieszczeniu. Nadal było tu tylko jedno wyjście. Żadnych okien.

– O jakie niebezpieczeństwo mu chodziło? – dociekał Dario. – Tutaj nic nie ma. To pusty pokój.

Jess musiał niechętnie przyznać mu rację. Wszyscy się rozpięchli i zaczęli uciskać ściany. Glain dotknęła poplamionej powierzchni i ze zmarszczonymi brwiami potarła palce. Powąchała je.

– To jest coś dziwnego – ogłosiła. – Oleistego. Chemicznego

– Całe pomieszczenie tym cuchnie – zgodził się Dario. Podszedł do Glain. – Wydawałoby się, że skoro to święte miejsce, będą o nie bardziej dbać. Nie wiem, jakie niebezpieczeństwo może nas tu czekać. Że się pobrudzimy?

Jess zdał sobie sprawę, że to może być wskazówka. Pierwszy raz w Aleksandrii widział coś niedoczyszczonego. Dlaczego? Przecież sam Wolfe przyznał, że to święte miejsce.

A zapach coś mu przypominał.

– Te plamy mogą być pozostałościami po dymie z pochodni. Może kiedyś odprawiano tu jakieś ceremonie – odpowiedział inny uczeń. Możliwe, ale Jess czuł, że to bardzo, bardzo zły trop. Czuł, że ścisną go w piersi, a serce zabiło mu szybciej. Jego ciało rozumiało coś, co umysł jeszcze próbował odkryć.

Jaki był cel dzisiejszego wykładu Wolfe'a? Oryginały książek. Oryginały zniszczone i rozkradzione z Serapejonu w Rej. Rozwój Kodeksu i blankietów. Oryginały.

Niebezpieczeństwo, z jakim wiąże się posiadanie książek. Szmugiel.

Podpalacze.

Podniósł wzrok, bo wszyscy inni szukali pod nogami. Zobaczył, że panele w sklepieniu kopuły zostały bezgłośnie rozsunięte, a pomiędzy nich zwisa teraz pękata szklana butelka, kręcąca się wokół własnej osi. Niełatwo było wypatrzeć, co zawierała, ale Jess zauważył wyjaśniający wszystko zielony blask.

Zamarł.

– Wyjdź. – Popchnął Thomasa, który jak oniemiały stał obok

niego. – Zjeżdżaj stąd. Już!

Thomas wybałuszył oczy.

– Ale uczoney mówił...

– Idź stąd!

Siłą zmusił Thomasa do ruchu i popchnął go jak mógł najmocniej, a potem łapał innych i mimo protestów wypychał w kierunku wyjścia. Dario mu się wyrywał, aż obnażył idealnie białe zęby.

– Nigdzie nie idę, głupku. Jak chcesz, możesz się poddać, ale ja zostanę. Jeśli jest tu jakaś zagadka, rozwiążę ją.

Jess spojrział mu w oczy i wycedził:

– Ja już rozwiązałem. – Wskazał w kierunku sufitu i zniżył głos. – To jest butelka ognia greckiego, którego używają Podpalacze. Może spaść w każdej chwili, a sądząc po smrodzie i stanie tego miejsca, spadała już nieraz. A teraz pomóż mi ich stąd wyprowadzić.

Dario poruszał się teraz zaskakująco szybko i razem zagonili całą grupę w stronę wąskiego korytarzyka, choć wszyscy niestrudzenie z nimi walczyli. Jess pośpieszył za nimi. Wyobrażał sobie, jak butelka spada, obraca się w powietrzu, potem ląduje na gładkiej posadzce i rozpryskuje się, wzbudzając toksyczne płomienie.

Ale na razie nie było ognia.

Wypadł z długiego korytarza na oślepiający aleksandryjski poranek i zastał całą grupę kryjącą się w cieniu wyższego budynku, podczas gdy Wolfe i żołnierz Najwyższej Straży wpatrywali się w chronometr.

– Wszyscy wyszli – zauważył żołnierz. – Nie tak źle.

– Ale i nie tak dobrze – odparł Wolfe. – Uznajmy, że zadowolająco.

Jess w napięciu wpatrywał się w Wolfe'a, aż się wystraszył, że wybuchną mu gałki oczne.

– Mógł pan nas wszystkich zabić!

– Tylko tych, którzy by się za wolno poruszali. Doceniam, że jako pierwszy zauważył pan butelkę, postulancie.

– Skąd pan wie? Przecież pana tam nie było! – zaprotestował oczywiście Dario.

Wolfe popatrzył na niego przeciągle tak, że chłopak nie śmiał się już odezwać, a potem wytłumaczył:

– Otrzymałem raport od osoby obserwującej was ze szczytu kopuły. Proszę nie próbować mi wmawiać, że to panu należą się honory. Brightwell? Jedno pytanie: czemu nie ogłosił pan od razu, że wszyscy muszą uciekać?

– Gdybym krzyknął, że nad nami jest ogień grecki, wszyscy zderzyliby się w wąskim wyjściu. Nikt by nie uciekł.

– Prawda – przyznał Wolfe. – Z drugiej jednak strony, podjął pan ryzyko.

Khalila była blada, gdy występowała naprzód.

– Czy gdybyśmy nie zauważyli butelki, spuścilibyście ją?

– Nie pierwszego dnia – rzucił Wolfe podejrzenie lekko. – Oto posumowanie dzisiejszej lekcji: szmuglerzy drażą Bibliotekę powoli, jak termity drewno, ale wy nie możecie tracić czujności i omijać wzrokiem Podpalaczy. Niektórzy z was pochodzą z krajów przegniłych od buntu, inni z nietkniętych rewoltą. To nie ma znaczenia. Nadrzędnym zadaniem Bibliotekarza jest ochrona książek i walka o nie. Czasem trzeba za nie zginąć. Albo doprowadzić do tego, że zginie kto inny. *Omnis cogito est.*

Wiedza jest wszystkim. Motto Biblioteki. Wszyscy powtórzyli je pod nosem, jak kiedyś w szkole.

– Do rzeczy. Wszyscy poza postulantami Seif, Santiagiem, Wathen i Brightwellem losują z pojemnika żeton. Są na nich cyfry od jednego do sześciu.

Żołnierz wyjął skądś niewielkie gliniane naczynie wypełnione żetonami. Przeszedł z nim wśród wszystkim uczniów. Thomas, nic nie rozumiejąc, wpatrywał się w swój żeton i szeptem pytał, co to ma znaczyć, ale Jess nie miał pojęcia.

Następnie strażnik wyciągnął dwie kościane kostki do gry i podał je Wolfe'owi. On potrząsnął nimi w dłoni i rzucił na bruk.

– Niech wystąpią wszyscy z numerami dwa i pięć.

Z szeregu wyszło tylko dwoje uczniów, zaciskając w dłoniach żetony. Wśród nich znalazła się rudowłosa Anna. Żołnierz zebrał żetony i włożył z powrotem do naczynia.

– Możecie się spakować – oznajmił Wolfe. – Wracacie do domu. Skończyliście szkolenie.

– Ale... – Anna zbladła jak śmierć. – Dopiero co przyjechaliśmy!

To pierwszy dzień! Co za niesprawiedliwość!

– Przeciwnie, sprawiedliwość oraz przypadek. Jedynie Seif i Wathen podały starannie sformułowane i poprawne odpowiedzi na moje pytanie. Tylko Brightwell zauważył ogień grecki, zagrożenie, wobec którego bibliotekarze muszą zachowywać stałą czujność. Łaskawie przypisałem Santiagowi zasługę pomocy przy opróżnieniu pomieszczenia. Reszta z was nie zrobiła nic i fakt, że nie odsyłam was wszystkich, uznajcie za dowód mojej bezkresnej łaskawości.

– Odwołam się! Nie może pan tego zrobić!

– Naturalnie, może się pani odwoływać. Magister Archiwista zawsze chętnie słucha rozpieszczonych bachorów, które uważają, że zostały niesłusznie osądzone. Muszę jednak uprzedzić, że jeśli uzna moją decyzję za leżącą w zakresie moich uprawnień, poniesie pani karę za marnowanie jego czasu, a pani miejscówka w pociągu zostanie wycofana i będzie pani musiała sama opłacić powrót do domu. Nadal ma pani ochotę na odwołanie?

Jess jej współczuł, ale dominującym uczuciem było przerażenie, odczuwane, gdy patrzył na poszarzałe twarze dwójki wracającej do domu pierwszego dnia. Ja zostaję, ale tylko dzięki Bogu, pomyślał. I mojej znajomości z Podpalaczami.

Do dormitorium wracali w przeszywającym milczeniu, a Jess nie mógł się doczekać powrotu do pokoju. Chciał wyjąć pióro i zapisać w dzienniku, jak bardzo zaczyna nienawidzić uczonego Wolfe'a.

Pierwszy dzień wyznaczył rytm kolejnych. Wolfe był bezlitosnym tyranem, bezwzględnie odsyłającym tych, którzy, jak sądził, nie byli warci jego czasu. Pierwszy tydzień okazał się ciągiem porażek.

Z trzydziściorga dwojga, którzy wnieśli bagaże do Domu Ptolemeusza, dwanaścioro odeszło w ciągu siedmiu dni. Jedna osoba zniknęła z własnej woli, nic nikomu nie mówiąc. Jess to rozumiał. Nieustanną presję odczuwał jak broń stale przytkniętą do skroni i wiedział, że gdyby tylko na to pozwolił, jego duch zostałby bez trudu złamany.

Ale nie miał w zwyczaju się poddawać.

Wolfe nie zabrał ich więcej do prastarej biblioteki. W każdym razie nie w pierwszym tygodniu. Wykłady odbywały się na Uniwersytecie

Aleksandryjskim, w zwykłej sali, gdzie bez końca maglował ich jedno po drugim z niejasnych dziejów Biblioteki. Jess został drugiego dnia przyłapany na niewiedzy i oszczędzony jedynie dzięki szczęściu w losowaniu, wziął się więc do pracy.

Tak samo jak cała reszta. Nawet Dario.

– Co za bzdura – narzekał Santiago następnej nocy. Było już tak późno, że Jessa bolało całe ciało. Dzwonki budziły ich codziennie o świcie, a zajęcia zaczynały się, nim się porządnie ocknęli, ale ilość pracy, jaką musieli wykonać, nie pozostawiała wiele czasu na sen. – Przecież mówił, że będziemy się uczyć przydatnych rzeczy. A on nie robi nic, poza wbijaniem nam bzdur do głowy. Kogo obchodzi, jak się nazywał czterdziesty drugi Artifex Magnus?

Khalila podniosła palec, nie odrywając wzroku od blankietu, który studiowała. Zajęła fotel w kącie, podczas gdy Jess musiał się zadowolić siedzeniem po turecku i opieraniem się o gładką białą ścianę niedaleko paleniska.

– Artifex Sarenpet.

– Jak ty to robisz? – spytał Thomas. Nawet on, choć zwykle pogodny, wydawał się nachmurzony i zmęczony. – Znasz też wszystkich Archiwistów?

– W moim domu kładło się nacisk na naukę – wyjaśniła Khalila. – A mnie niespecjalnie interesowały bardziej tradycyjne zajęcia, jak gotowanie, więc tak. Znam ich wszystkich. Ty też powinieneś spróbować się nauczyć.

– Lepsza historia niż niesmaczne opowieści o szmuglerach – wtrącił Dario. – To są naprawdę niepotrzebne informacje.

– Uczeni często badają czarny rynek, szukając rzadkich książek – zaprotestowała Izumi. – Przynajmniej tam, skąd pochodzę. W waszych krajach tego nie ma? Czy jesteście tak szlachetni, że u was się nie handluje oryginałami?

– To jak rozmowa o całowaniu własnej siostry – wyjaśnił Dario. – Jeśli jesteś na tyle nieprzyzwoity, żeby to robić, przynajmniej o tym nie mów.

Khalila się roześmiała i sięgnęła po herbatę, stojącą na stoliku obok niej.

– Ja się nie boję o tym mówić. Słyszałam, że tutaj, w dokach, rynek kwitnie. Znam już kilka nazwisk.

Jess miał wielką nadzieję, że przesadza. Była co prawda bezlitośnie szczerą, ale czasem jej opowieści wydawały się niewiarygodne.

– Lepiej się trzymaj z dala od tych ludzi. – Dla mojego dobra, dodał w myślach. W końcu to jego kontakty. Zanim ojciec wsadził go do pociągu, dał mu listę nazwisk i adresów, które Jess co wieczór recytował w myśli przed zaśnięciem.

– Jestem kobietą o wielu zdolnościach – zaprotestowała. – Jedną z nich jest umiejętność patrzenia w przyszłość. Jeśli mam zostać uczoną, jak Wolfe, będę potrzebowała takich źródeł.

– Kiepskie towarzystwo – podsumował Dario. – Niewłaściwe dla takiego niewinnego kwiatka.

– Mówisz jak mój wujek. A przecież można być niewinnym i jednocześnie nie być ignorantem. – Jess pomyślał, że nie da się jej nienawidzić, mimo że była tak pewna siebie. – Dobrze wam radzę, przynajmniej spróbujcie zapamiętać nazwiska Archiwistów. Wolfe będzie o takie rzeczy pytał.

– Próbujemy – zapewnił Jess. Oczy go piekły i nie mógł się powstrzymać od ziewnięcia. Zaraził tym wszystkich w świetlicy i posypał się na niego grad tłumionych przekleństw. – Po prostu nie jesteśmy w tym tak dobrzy, jak ty, Khalilo. Powinnaś się już do tego przyzwyczaić.

– Pozwoliłam ci używać mojego imienia? – spytała, ale brzmiało to raczej, jakby się z nim droczyła, niż była urażona.

– Proszę o wybaczenie, postulanko Seif – zareagował od razu i skłonił się tak nisko, jak tylko mógł bez wysilania się. – Wiem, że jestem tylko twym nic niewartym sługą.

– Wreszcie – mruknął Dario. Zajął najwygodniejszy fotel, a wokół niego zebrała się niewielka, ale silna grupka wyznawców. – Wycierus w końcu się zorientował, gdzie jego miejsce.

Jess podniósł wzrok i napotkał spojrzenie współlokatora. Wyzywające i gorzkie, a w komplecie taki sam uśmiech. On nie żartował.

– Ależ znam swoje miejsce – zapewnił. – Znajduje się przed tobą.

Przypomnij, ile punktów zdobyłeś na sprawdzianie?

To wywołało kilka stłumionych śmiechów i zaskarbiło mu uśmiech Khalili. Dario udawał, że go to nie obchodzi.

Ale oczywiście obeszło.

Jak tylko Jess miał okazję, zasnął jak zabity i to się okazało błędem. Kiedy się obudził następnego ranka, po zaledwie trzech godzinach odpoczynku, dzwonki dudniły w ciemności, a łóżko Daria było puste. Znowu przegapił szansę na prysznic.

Gdy otworzył walizkę, żeby wyjąć czyste ubrania, okazała się pusta.

Wstrząs zaczynający się w palcach u nóg przeszył całe jego ciało, aż do czubka głowy i pomknął z powrotem w dół. Już nie był ani trochę śpiący. Łajdak! Miał ochotę wyważyć drzwi do łazienki, wywlec Daria nagiego i skopać jego arogancki tyłek, ale zasady obowiązujące w Domu Ptolemeusza były jasne: przemoc fizyczna skutkuje wyrzuceniem, a Jess nie zamierzał pozwolić Santiagowi tak łatwo wygrać.

Skrzynia współlokatora zamykała się na zamek – najwidoczniej przewidział taką konieczność – ale Jess pochodził z rodziny szmuglerów, którym szczypta złodziejstwa nie była obca. Umiał otwierać zamki, a ten nie stanowił wyzwania.

Koszula Daria przyjemnie otaczała skórę. To było coś w porównaniu z jego własną garderobą. Wziął też spodnie, trochę za długie, ale wcisnął je do butów, których Dario na szczęście nie zabrał.

Następnie złapał Kodeks i ruszył do świetlicy na śniadanie, składające się z owoców i gęstej, egipskiej kawy. Zjawił się wcześnie, ale przy stołach siedzieli już uczniowie, gdy Dario wpadł do środka, z wciąż wilgotnymi włosami i czerwoną twarzą. Gorzkie spojrzenie czarnych oczu skupił na Jessie i ruszył w jego stronę. Szybko.

Jess spokojnie siedział i obierał pomarańczę.

– Dzień dobry – powiedział. Nie zamierzał się bronić i nawet nie wstał. Dario dopadł go i złapał za koszulę, ale potem zamarł i puścił, pewnie przypomniawszy sobie, że niszczy własne, drogie stroje.

– Powinienem był wiedzieć, że ktoś o tak rynsztokowych manierach okaże się cuchnącym złodziejem.

Jess wrzucił kawałek skórki do miseczki.

– Gdy moje ubrania wrócą do mojej walizki, oddam ci te –
zapewnił. – Ale do tej pory na pewno chętnie się podzielisz.

Dario zaklął kwiecicie po hiszpańsku, a następnie sięgnął po ostry
nóż, ale Jess go wyprzedził i wywołując szcęk naczyń, przygwoździł
rękę Daria do blatu.

– Zastanów się – nachylił się do niego – kto będzie umiał z tego
sprawniej skorzystać: ty, mały księżę, czy ktoś o rynsztokowych
manierach? I kogo odeślą do domu zaraz po tym, jak przestanie płakać?

Khalila wstała i łagodnie położyła rękę na ramieniu Daria.

– Proszę cię. Już i tak wszyscy walczymy, żeby przetrwać. To
głupota.

Dario odwrócił głowę i spojrzał na nią wściekle.

– Nazywasz mnie głupcem?!

– Tak – potwierdziła bardzo spokojnie. – A teraz przestań.

Zamrugnął, a wysokie, gładkie czoło lekko drgnęło, ale zaraz potem
powróciła jego zwyczajowa niewzruszona maska. Skinął z uniżeniem.

– Dla ciebie wszystko, kwiecie pustyni.

Ze spojrzenia Khalili nic nie dało się wyczytać, gdy sięgała po
bułkę, a następnie kierowała się w stronę najodleglejszego kąta pokoju,
gdzie otworzyła blankiet i zaczęła czytać.

Jess puścił nóż i wrócił do wyzwalania pomarańczy z jej
gruboskórego więzienia. Miał ochotę jeszcze poprowokować Daria, ale
wiedział, że to nierozważne. Zauważył, jak Thomas bez słów ostrzega,
żeby nie przeciągał struny i uznał, że kolega ma rację.

Zajęcia z Wolfe'em odbyły się w sali, zwyczajnym pomieszczeniu,
przestronnym, z wąskimi oknami, ławkami, krzesłami i wielkim
arkuszem papieru zamontowanym przy ścianie, na wypadek, gdyby
Wolfe go potrzebował. Ale nie potrzebował. Przez pięć godzin
odpytywał ich bez wytchnienia, a zakres pytań obejmował historię i
geografię (Jessowi nie udało się zapamiętać lokalizacji wszystkich
siostrzanych bibliotek, ale to samo zagadnienie pokonało też troje innych
uczniów) oraz wykorzystanie Kodeksu do przeprowadzenia bardziej
zaawansowanej kwerendy.

Wszyscy byli już wyczerpani i przerażeni, że zaraz znów pojawią
się ceramiczne żetony, gdy nagle odezwała się Khalila:

– Opowie nam pan o Żelaznej Wieży?

Na kilka sekund wszystko zamarło, a następnie Wolfe powoli się do niej odwrócił. Wyraz jego twarzy sprawił, że Jessa przeszył dreszcz i nie mógł sobie wyobrazić, jakby to było stać się odbiorcą tego spojrzenia.

– Słucham?

– Żelazna Wieża. – Tym razem powiedziała to z mniejszą pewnością siebie. Patrzył na nią ponuro i z namysłem, jakby się zastanawiał, co chciała osiągnąć, pytając o to.

– Skoro chce się pani dowiedzieć więcej o Żelaznej Wieży, niech będzie. Proszę powiedzieć, co pan wie na ten temat, postulancie Schreiber.

Pytanie wydawało się całkiem niespodziewane, ale zupełnie nie zbiło Thomasa z tropu. Przeciwnie, wydawał się zachwycony, że może odpowiedzieć.

– Wieżę zbudowali inżynierowie z Artifexu w 1789 roku. Plany przygotował ówczesny Magnus Obskurystów. Wzniesiono ją z rzadkiego rodzaju żelaza, które, co niecodzienne, nie rdzewieje. Z tego samego materiału zbudowana jest Żelazna Kolumna w Delhi. Mechanizm ten badany jest od...

– To z pewnością fascynujące – przerwał mu Wolfe bezbrzeżnie znudzonym tonem. – Ale mnie chodziło o rezydentów Wieży, choć jej projekt może być nadzwyczajny.

Opowiadając o osiągnięciach inżynierów Thomas był bardzo pewny siebie, ale teraz mina trochę mu zrzędła i Jess dostrzegł wahanie, zanim zapytał:

– Ma pan na myśli Obskurystów?

– Prawidłowa odpowiedź, jakkolwiek niepełna – zgodził się Wolfe.

– Proszę rozwinąć.

– Dzięki nim działa Biblioteczny Kodeks.

– W jaki sposób?

– Słucham?

– Postulanka Seif zapragnęła wiedzy o Obskurystach, więc rozmawiamy o nich. Proszę szczegółowo opisać, w jakiś sposób umożliwiając odzwierciedlanie danych bibliotecznych na największe

nawet odległości. Na czym polega ten cudowny mechanizm?

– Ja... – Thomas z trudem przełknął ślinę. – Nie wiem.

– W takim razie w co jeszcze zaopatrują Bibliotekę?

– Inicjują iskrę, która zasila automaty broniące serapejonów?

Wolfe potrzymał go chwilę w niepewności, a następnie splótł ręce na plecach i zagapił się w okno, na Żelazną Wieżę.

– Spalenie Serapejonu w Rej, o którym mówiliśmy pierwszego dnia, zmieniło wszystko – zaczął. – Przed tą tragedią alchemicy pracowali w sekrecie. Po tragedii rozpoczęli współpracę. Ich odkrycia doprowadziły do opracowania Doktryny Odzwierciedlenia, ale przy okazji odkryli coś ciekawego: osiągnięcia alchemiczne są nie tylko efektem połączenia chemikaliów i eliksirów, jak dotąd myślano. Formuły w rękach jednych mistrzów działały, a innych nie, ponieważ iskra żarzyła się tylko u niektórych, tylko oni mieli talent do przesycania formuł prawdziwą mocą.

– I to ci zostali Obskurystami – odezwała się Khalila.

– Najcenniejszym skarbem świata. – Wolfe nagle obrócił się w jej kierunku i ruszył wprost na nią, a Jess zauważył, że lekko zadrżała, pragnąc się wycofać. Fakt, że została na miejscu uznał za wyjątkowe osiągnięcie; nie miał pewności, czy jego byłoby na to stać. – Proszę nigdy więcej nie wspominać o Obskurystach, postulantko Seif. Pani czcza ciekawość nie zostanie wynagrodzona.

Milczała przez moment, a następnie zrobiła coś według Jessa nadzwyczajnego. Z ledwie słyszalnym drzeniem w głosie przemówiła:

– Z najwyższym szacunkiem... nie pytam z powodu czezej ciekawości, tylko z pragnienia pełnego pojęcia obowiązków bibliotekarza. Bibliotekarze uczą, wspomagają, badają, rozwijają, tworzą i chronią, czy tak?

– Tak. I co?

– Powiedział pan, że są naszym największym skarbem. Czy to nie czyni ich jednocześnie naszą największą słabością?

Wszyscy zebrani głośno wciągnęli powietrze, bo to wyglądało raczej na wyzwanie niż pytanie.

W jej słowach czaił się bunt.

Wolfe bez mrugnięcia cofnął się o krok i założył ręce za plecami.

Uśmiechnął się. Dziwnie wyglądał. Nienaturalnie, niemal bezbrinnie.

– Proszę wyjaśnić.

– Możemy aspirować do wszelkich innych specjalizacji Biblioteki: Medica, Artifex, Historia, Lingua. Ale alchemii nie można się nauczyć w ten sam sposób. Żadne z nas nie zostanie Obskurystą, bo oni rodzą się z wyjątkowym darem. To sprawia, że są rzadkością – mówiła dalej Khalila. Głos drżał jej coraz bardziej i na chwilę zamilkła, żeby przełknąć ślinę. – Musimy ich znać, jeśli mamy pomóc ich chronić.

– Gdy awansuje pani do rangi starszego uczonego, posiadzie pani tę wiedzę – odrzekł. – Tymczasem takie pytania są stratą pani czasu. Obskuryści pracują w odosobnieniu i chroni ich Żelazna Wieża. To wystarczy.

– Ale bez nich nowe dokumenty nie mogą być dodawane do Archiwum, czyż nie? Bez nich automaty strzegące naszych bibliotek pozbawione będą ożywczej iskry. Bez nich...

Wydawało się, że nagle opuściła ją odwaga i zamilkła.

Jess dokończył jej myśl.

– Bez nich nie będzie funkcjonował Kodeks i Biblioteka upadnie.

To zwróciło uwagę Wolfe'a. Jess natychmiast pożałował, że się w ogóle odzywał. W pomieszczeniu było gorąco, powietrze znieruchomiało, a gdy zazgrzytał zębami, żeby nie skrzywić się pod spojrzeniem Wolfe'a, zaboląła go szczęka.

Zdołał jednak nie odwrócić wzroku.

– Pamiętajcie – zaczął Wolfe, a jego głos brzmiał miękko, niemal delikatnie – że nawet tutaj możecie zadać złe pytanie i wygłosić nieprawdziwe twierdzenie. Na tym zakończymy dzisiejszą lekcję. *Omnis cogito est.*

Ich wymamrotana odpowiedź towarzyszyła mu, gdy odwracał się na pięcie i opuszczał salę, a słowa mieszały się z szeptem jego czarnej togi muskającej kamienną posadzkę. Wreszcie, gdy drzwi się za nim zamknęły, Jess wypuścił powietrze z płuc.

– *Scheisse*, Jess – zareagował Thomas. – Czy on ci groził?

Khalila spojrzała na niego z niepokojem, a jej twarz była stanowczo zbyt blada.

– Przepraszam – zaczęła. – Nie chciałam...

– Nie szkodzi – zapewnił Jess i wziął Kodeks z ławki. – To było dobre pytanie.

Na zewnątrz czekał już Strażnik, przyjaciel Wolfe’a, z naczyniem żetonów. Jess automatycznie sięgnął po jeden.

Mężczyzna wyjął mu go jednak z ręki i uśmiechnął się zadziwiająco serdecznie.

– Pan nie – wyjaśnił. – Przechodzi pan dalej.

Co jeszcze bardziej zdziwiło Jessa.

W wyniku dzisiejszego losowania nikt nie odjechał. Gdy wrócili do Domu Ptolemeusza, słońca już zaszło, a oni byli wykończeni i przesiąknięci potem. Jess stał pod prysznicem chyba przez godzinę, zastanawiając się, czy w ogóle przetrwa to zabójcze szkolenie i, co więcej, czy naprawdę powinien.

Gdy wyszedł z łazienki, jego zaginione ubrania wróciły już do walizki. Poplamione, ubłocone i plugawe, ale wróciły, a on nie zastrzegł przecież, że mają być w takim samym stanie, jak kiedy zniknęły. W milczeniu zeszkrobał ze spodni i koszuli najgorszy brud, przywdział je i począł się zastanawiać nad wejściem na wyższy poziom zemsty. Jego brat ze pewnością by to zrobił, aż doszłoby do walki na noże i czyjegoś martwego ciała na podłodze.

On nie był swoim bratem. Z tego powodu postanowił odpuścić. Dario wykorzystał okazję i zaliczył pozbawione znaczenia zwycięstwo, ale odrobina błota specjalnie Jessa nie zabolęła. Takie są korzyści z łotrzykowskiego dzieciństwa. Tego wieczoru napisał nawet w dzienniku coś niemal pozytywnego na temat współlokatora, bo wierzył, że osiągnęli porozumienie.

Jednak, jak się przekonał już następnego ranka, mylił się. Jess jeszcze spał, gdy Dario brutalnie nim potrząsnął.

– Gdzie on jest?! – warknął. Jess kilka razy zamrugał i spróbował usiąść. Dario popchnął go z powrotem na łóżko. – Mów, wycierusie!

– Gdzie co jest?

Dario się na niego rzucił, więc leżący na boku Jess przyłożył mu łokciem w twarz i poderwał się na równe nogi, w ciągu kilku sekund stając w pozycji do walki, ale przeciwnik się zachwiał. Następnie twardo usiadł na zadku i został tam, ciężko dysząc i pocierając nos. Który nie

był złamany. Ani nawet nie krwawił.

– Zabiję cię! – zawarczał ponownie. Słowa wyrwały się z głębi jego trzewi i Jess przekonał się, że mówi poważnie.

– Za co? – spytał. – Poza ogólnymi założeniami. Myślisz, że co zrobiłem?

– Mój Kodeks – odparł Dario. – Wzięłeś go, żeby się zemścić. Oddawaj!

To nie były przelewki. Kradzież czyjegoś Kodeksu oznaczała odcięcie go od dostępu do Biblioteki i nawet w normalnych okolicznościach byłoby to straszne wykroczenie. Teraz, gdy codzienne lekcje z Wolfe'em okazywały się pasmem klęsk, oznaczało to katastrofę.

– Nie wziąłem go – zapewnił i wyciągnął rękę. Dario patrzył na niego przez sekundę, ale potem pozwolił Jessowi podnieść się do pozycji stojącej. – Mógłbym zrobić wiele rzeczy. Zastanawiałem się, czy by nie wysłać wszystkich twoich ubrań do Barcelony, żebyś musiał błagać o ich zwrot. Ale nie zrobiłem tego, tak jak nie wziąłem twojego Kodeksu.

– Niestety, wierzę ci – uznał Dario. – Ale przyznaj, że byłeś pierwszym podejrzanym.

– To dla mnie zaszczyt. Gdzie go zostawiłeś?

– Bawisz się w moją matkę i każesz mi sprawdzić w ostatnim miejscu, w którym go widziałem? *Vete al Diablo!* Leżał tu. Na biurku. Teraz go nie ma.

Jess podszedł do drzwi. Otworzyły się z zaskakującą łatwością.

– Zamykałem na klucz. Ktoś je otworzył.

– Możliwe, że to ja, kiedy wchodziłem.

– Nie zamknąłeś ich?

Dario wzruszył ramionami.

– A może nawet zostawiłem otwarte. Piliśmy wino... Ale nie zgubiłem Kodeksu. Nie byłem aż tak pijany.

– Po prostu kup sobie nowy. Na biednego nie trafiło.

– Dostałem go od ojca – wyjaśnił Dario. Odwrócił wzrok. – Jak miałem dziesięć lat. Ostatni prezent od niego. Chcę go odzyskać.

Jess wciągnął powietrze, a potem wypuścił.

– Dobrze. Poszukamy. Na wypadek, gdybyś jednak był aż tak pijany, żeby go zgubić.

Sprawdzał właśnie skłębioną pościel, gdy Dario pochylił się nad biurkiem, a potem ogłosił:

– Chyba wiem, co się stało. – Jego głos brzmiał dziwnie. Gdy Jess podszedł, Dario podał mu kawałek papieru z odręcznym napisem:

Wciskasz nam do gardeł swoje pieniądze, status i przywileje. Liczysz, że będziemy się uśmiechać i ci dziękować. Mamy cię dość. Wsiadaj w najbliższy pociąg do domu, to zwrócimy ci Kodeks. Jeśli zostaniesz, więcej go nie zobaczysz.

Podpisu nie było.

– To nie od ciebie – przyznał Dario – Ty byś mi to powiedział w twarz. – Opadł na krzesło przy biurku i począł wpatrywać się w intensywny, pomarańczowy świt, wstający na wschodnim horyzoncie.

– Komu jeszcze dokuczałeś?

Wzruszenie ramion Daria wystarczyło za odpowiedź.

– Wszystkim. Należało mi się, co?

– Tak. – Nie było powodu do ukrywania tego. – I co zrobisz?

Poddasz się i wyjedziesz?

Dario przez moment milczał, a potem głośno westchnął.

– To tylko Kodeks. Kupię sobie nowy, tak jak mówiłeś. – Ale w jego spojrzeniu czaiła się rozpacz. – Daj mi spokój, wycierusie. – Sięgnął po dziennik i pióro. Jess aż za dobrze rozumiał odruch wylania gorczy i bólu na papier, gdzie nikt ich nie zobaczy.

Sam za to nie stracił okazji, by być pierwszym w łazience.

LIST

Tekst listu wysłanego za pośrednictwem Kodeksu do Jessa Brightwella przez jego matkę, Charity Brightwell.

Najdroższy synu,

liczę, że list mój zastanie cię w zdrowiu i radości z nowego, emocjonującego życia. Ojciec i ja bardzo za tobą tęsknimy, Twój brat także. Przy tej okazji zasyla serdeczne pozdrowienia. Mówi, że w pracy wszystko dobrze i ma nadzieję, że pewnego dnia będziesz w niej uczestniczył w bardziej znaczący sposób.

Ojciec otrzymał zaproszenie do komitetu zajmującego się upiększaniem okolicy. W następstwie lord Peter Foxwroth zaprosił nas na kolację, żeby przedyskutować kwestię żywoptotów. Spędziliśmy uroczy wieczór i wiem, że byłbyś zachwycony, mogąc poznać jego przemiłą córkę Juliet. Wujek Thaddeus przeszedł na emeryturę i przeniósł się do domu na wsi, na północy. Zapewnił nas, że zawsze jesteśmy tam mile widziani. Obawia się, że Londyn padnie ofiarą walijskich zakusów, ale my w to nie wierzymy. Jesteśmy przekonani, że armia ich powstrzyma.

Chciałabym dowiedzieć się więcej o Twoich sukcesach. Odpisz, proszę.

Z miłością,

Twoja matka

Załączona do listu oddzielna notatka od Calluma Brightwella. Podejrzana o zaszyfrowaną zawartość i przejrzana przez Obskurystów. Analiza nie wykazała niepokojących treści.

Pozdrowienia od Twojego staruszka, synu. Nie zapominaj o słowach Kartezjusza: „Lektura dobrych książek jest jak rozmowa z najtęższymi umysłami minionych wieków”. Korzystaj w pełni z możliwości, jakie daje Wielka Biblioteka i daj nam powody do dumy. Wszyscy Twoi bracia i siostry, żywi oraz nieobecni, liczą, że dowiedziesz, ile wart jesteś dla świata. Nie zapominaj o kuzynach. Nie mogą się doczekać ponownego spotkania.

Rozdział 3

Gdy tylko Jess odebrał list, od razu wiedział, że ojciec domaga się wreszcie spłaty długu. W słowach matki nie zauważył zakamuflowanych treści, ale bazgranina ojca to co innego.

Wspomniał o Kartezjuszu. Przywołanie najmniej przez ojca lubianego filozofa oznaczało pilne wezwanie. Jess przeczytał wiadomość i poczuł, jak przyśpiesza mu puls. „Wszyscy Twoi bracia i siostry”... Brendan, Trina, Liam. Troje rodzeństwa. Trzecia praca Kartezjusza traktowała o optyce i załamaniu fali, co oznaczało, że ojciec każe mu wypatrywać. Ale czego?

„Ile wart jesteś dla świata”. Dziwny zwrot w ustach ojca. Jess przeczytał to kilka razy, zanim dotarło do niego znaczenie. To cytat, ukryty, ale nie zamaskowany. Nie umiał jednak przywołać z pamięci pracy, z której pochodził, a nie śmiałyby bezwstydnie zlecać wyszukania go Bibliotece.

Ojciec chciał, żeby zdobył książkę, z której cytat pochodził i dostarczył ją „kuzynom”, czyli osobom z listy, którą kazał mu wkuć na blachę, zanim wsadził go do pociągu. Z większością z nich łączyło go dalekie pokrewieństwo, ale okazali się zaufanymi współpracownikami.

W tej jednej wiadomości ojciec nakazał mu znaleźć konkretną książkę i dostarczyć Aleksandryjskim kontaktom, a korzystając z cytatu z Kartezjusza, zasugerował, jak pilna jest to sprawa.

Bardzo.

Pierwsze zlecenie dla Brightwellów.

Jess spodziewał się, że będzie zachwycony, gdy ta chwila wreszcie nadejdzie, gdy nareszcie będzie mógł okazać się przydatny, ale wcale nie, czuł się po prostu... wykorzystany. Czyli nic nowego, pomyślał. Rodzina wykorzystywała go od dnia, gdy był już na tyle duży, żeby móc szmuglować. Nie musisz tego robić, słyszał podszept. Teraz już nie będzie mógł cię ukarać. Za dużo w to zainwestował. A jeśli zostanie złapany? Nie tylko go wyrzucą. Tym razem nie będzie tylko anonimowym gońcem z londyńskiej ulicy. Będzie znany. Rozpoznawalny.

Jednak sprzeciwienie się ojcu niosło równe ryzyko.

– W porządku?

Jess wzdrygnął się i prawie pogniótł Kodeks, bo Thomas wyłonił się tuż za jego plecami, a on go nie zauważył.

Jak na kogoś tak potężnego poruszał się stanowczo zbyt cicho. Jess zamknął książkę.

– Sprawy rodzinne – wyjaśnił. – Nic takiego.

Thomas usiadł naprzeciwko na starej sofce, która nie była przystosowana do dźwigania takich ciężarów, więc zaskrzypiała złowrogo, a zdobione nogi aż się ugięły, ale Thomas nic nie zauważył. Glain, siedząca na drugim końcu, wstała, żeby ulżyć meblowi, i z typową dla siebie ponurą miną spojrzała na nich obu. Następnie poszła nalać sobie wody z dzbanka stojącego w kącie pokoju, a potem znalazła nowe miejsce, jak najdalej od nich. Nie licząc Glain i rozkrzyczanej grupki grającej w innym kącie w kości, byli prawie sami. O tej porze już dawno powinni spać.

– Ja się tak nie krzywię, jak przychodzą listy od mojej rodziny – zauważył Thomas. – Złe wieści?

Jess wzruszył ramionami i zmusił się do uśmiechu.

– W mojej rodzinie wszystkie wieści są złe. Znasz książkę, z której pochodzi fraza „Ile wart jesteś dla świata”?

– Nie, a co?

Nie mógł powiedzieć prawdy, nie śmiałby. Znow wzruszył ramionami.

– Nic takiego. Gdzieś to usłyszałem i wydało mi się znajome.

– To z jednej ze Straconych Ksiąg – nieoczekiwanie odpowiedziała Glain. Nawet nie wiedział, że ich słucha. – Sztuka Arystofanesa spalona w Rej. Myślałam, że jesteś ekspertem, Brightwell.

– Widocznie nie dzisiaj – odparł. – Dzięki. – Naprawdę był jej wdzięczny. Ojciec chciał, żeby jak najszybciej znalazł zaginioną książkę Arystofanesa i przekazał komuś z listy kontaktów. Znajdowała się gdzieś w Aleksandrii.

Ale „gdzieś w Aleksandrii” nie wystarczyło.

Jess ziewnął, przeciągnął się i zamknął Kodeks. Thomas, który zdążył już oprzeć głowę o poduszki, uchylił półprzysłone oko.

– Idziesz spać?

- Tak, niedługo świta, a Wolfe jest bezlitosny. *Gute nacht*.
- Masz koszmarny akcent.
- Sam mnie uczyłeś.

Ale Jess nie poszedł spać. Chyłkiem wszedł na drugie piętro, niemal puste, bo prawie wszyscy już spali. Trasę opracował wcześniej, więc śmiało wyszedł przez narożne okno rzadko używanego schowka. Stąd już tylko krótki skok na gzyms, a stamtąd do zaułka za Domem Ptolemeusza. Nawet o tak późnej porze na ulicach było wciąż gwarno. Był tu wystarczająco wiele razy, żeby znaleźć drogę.

Przez większą część nocy szukał „kuzyna” z czarnego rynku, który znał książkę, o którą chodziło i wiedział, kto w mieście ma jej kopię: okazało się, że znajduje się w zbiorze niejakiego Abdula Nejema. Nejem, jak mu powiedziano, nie zamierzał jej sprzedawać, stanowiła klejnot koronny jego kolekcji.

Co nie miało znaczenia, bo tak czy inaczej Jess nie miał funduszy, żeby ją kupić. Ojciec nakazał mu ją zdobyć.

Więc ją ukraść.

Nie było to trudne, ale już prawie świtało, gdy wrócił ze zwojem Arystofanesa na miejsce spotkania ze swoim kontaktem... którego nie zastał, a zamiast niego w ciemności czaił się ktoś inny.

Nowa twarz prawie nigdy nie okazywała się dobrym znakiem, więc Jess się zatrzymał, cofnął i przygotował do ucieczki.

Postać pojawiła się w plamie światła z zaciętym, oszczędnym uśmiechem.

– Cześć, braciszku – powiedział Brendan. – Widzę, że nie zapomniałeś, jak to się robi. I bardzo dobrze. Już się bałem, że to miejsce sprowadzi cię na uczciwą drogę.

Zrobił krok naprzód i zamknął brata w surowym uścisku. Jess nigdy by się nie przyznał, jak się cieszy, widząc kogoś z rodziny.

– Jestem uczciwy, na ile się da – odparł. – To wystarczy. Ale co ty tu robisz?

– Przyjechałem po to – wyjaśnił Brendan i wskazał na zdobiony zwój w ręce Jessa. – Arystofanes, tak? Nigdy do mnie nie przemawiał, ale jeśli w grę wchodzi żywa gotówka, mam gdzieś sympatie osobiste. Miałeś jakieś problem ze zdobyciem tego?

– Posłuchaj... – Jess głęboko wciągnął powietrze i pokręcił głową.
– Co ty tu robisz? W Aleksandrii?

– Już ci powiedziałem. Śledził cię ktoś?

– Masz mnie za amatora? Odpowiedz na moje przekłete pytanie!

– Ojciec chciał, żeby zwój trafił w najbardziej zaufane ręce. Które okazały się moimi, ma się rozumieć. Jedzie prosto do kupca, nie chciał jej powierzać niepewnym pośrednikom. Nawet naszym kuzynom.

Myśl o tym, że Brendan bez żadnych oporów pojawił się w Aleksandrii, żeby wywieźć stąd przemycaną książkę, sprawiła, że Jessa zemdliło. Dosłownie.

– Tutaj się nie ginie przez powieszenie, braciszku. Mają tu własną tradycję sprawiania, że ludzie konają w mękach. Niech ponoszą ryzyko ci, którym tata za to płaci.

– Wyraźnie nakazał mi przyjechać po nią osobiście – powtórzył Brendan. – I znam ryzyko, ale dzięki za troskę.

– Ja... – Chciał powiedzieć, że mu na nim zależy i to byłaby prawda, ale wiedział, że obaj poczują się niezręcznie, jeśli to wyduka. – Jak cię złapią, będzie też po mnie. Mamy tę samą twarz.

Brendan odsłonił zęby w uśmiechu.

– Przecież nie narażę się na brutalne tortury i śmierć, żeby cię wyrzucili ze szkółki, prawda? Nie martw się, braciszku, nic mi nie będzie. Lepiej wracaj, zanim ktoś zauważy, że cię nie ma.

– Brendan...

– Przynajmniej przestałeś do mnie mówić „Zdechlak”. Myślałem, że będę cię musiał któregoś dnia porządnie zlać, żeby cię tego oduczyć.
– Już się nie uśmiechał i wyglądał niemal jak ktoś obcy. Ktoś, kogo Jess kochał, ale nie był pewien, czy kiedykolwiek będzie mógł mu naprawdę zaufać. – Przekażę ojcu wyrazy miłości.

W słowach tych zawarł dość sarkazmu, żeby można się na nie boleśnie nadziać, a następnie zniknął za drzwiami ukrytymi na tyłach opustoszałego sklepu i Jess został sam z nadzieją, że kiedy następnym razem zobaczy brata, Brendan nie będzie właśnie konał. A może będzie już martwy.

Wrócił do Domu Ptolemeusza równo z dzwonkami oznaczającymi kolejny dzień z uczonym Wolfe'em.

– Wyglądasz koszmarnie – zauważył Thomas, gdy Jess, bez mycia się i przebierania, wszedł od razu do świetlicy. Marzył o kawie. – Ciężka noc?

Delikatnie mówiąc, pomyślał Jess.

Sztuka Arystofanesa była cenna, ale wysyłanie po nią Brendana uważał za głupotę. Nieostrożność. Zastanawiał się, co jego ojciec sobie myślał. A potem zwątpił, czy to w ogóle był jego pomysł.

– Nie wierzę! – wypaliła nazajutrz rano Izumi, gdy wszystkie Kodeksy rozbłysły i chórem zabrzęczały, przekazując, jak dowiedział się Jess, gdy otworzył swój, instrukcje od Wolfe’a. – Już i tak prawie nie śpiamy, tyle od nas wymaga, nie wiadomo po co. A teraz jeszcze i to!

– Co? – dopytywał Jess. – Ja mam napisane, żebym przyszedł do sali. A ty?

Zacisnęła usta tak, że wyglądały jak cienka kreska.

– Ja mam się zgłosić do siedziby Mediki. Czeka mnie trwający pół dnia kurs specjalny. Oprócz normalnych zajęć.

Jess rozejrzał się wśród zebranych w świetlicy.

– Ktoś jeszcze coś takiego dostał? – Ręce podniosła połowa klasy, w tym Thomas. – Gdzie cię przydzielili?

– Do Artifexu. – Starał się nie okazywać radości, ale jak to zwykle w przypadku Thomasa, nie potrafił jej ukryć. – Będę się uczył przygotowywania projektów.

Przykłady innych dowodziły, że Wolfe zauważył ich wyjątkowe zdolności, które dopraszały się rozwijania. Khalila miała indywidualne zajęcia z uczonego biegłym w wyższej matematyce i astronomii. Dario był wyraźnie zadowolony z zaawansowanych studiów historycznych. Glain, żadna niespodzianka, miała się zgłosić na szkolenie do Najwyższej Straży.

A Jess nie dostał nic. Nie wróżyło to dobrze. Tak, jakby Wolfe po prostu machnął na niego ręką. „Wszechstronny, ale nigdy mistrz”, tak brzmiało kolejne uwielbiane przez ojca powiedzonko. Jess zawsze myślał, że rozległe umiejętności będą jego mocną stroną.

Teraz czuł się nic niewarty.

Ale dzisiejsze zajęcia grupowe okazały się zaskakująco zindywidualizowane. Mieli czekać w klasie i czytać o wewnętrznej

strukturze Biblioteki, co Jessowi wychodziło już nosem, tymczasem Wolfe wzywał ich pojedynczo do mniejszego pomieszczenia obok. Gdy przyszła jego kolej, Jess pomyślał, że to może być przełomowa chwila: albo zrobi na Wolfe'ie wrażenie, albo może się pożegnać z Biblioteką.

Znajdował się na szóstym miejscu w klasowym rankingu, ale wiedział, że jeśli w niczym się nie wykaże, może go nie utrzymać.

– Proszę usiąść – nakazał Wolfe, wskazując brodą na proste drewniane krzesło ustawione przy biurku pośrodku sali. Na biurku stało pudełko. – Czy znana jest panu teoria translokacji?

– Tak. Jest to gałąź odzwierciedlenia, nie chodzi jednak jedynie o stworzenie kopii dokumentu, ale również o przeniesienie go z miejsca na miejsce.

– Oszczędnie, ale prawidłowo. Elementem pracy bibliotekarza jest umieszczanie oryginalnych dokumentów w kolekcji, czy będzie to dziennik przejęty po śmierci właściciela, czy odzyskane stare książki. Rozumiem, że wie pan, jak to się robi?

Na tym będzie polegał jego sprawdzian.

– Teoretycznie tak. Ale nigdy tego nie robiłem.

– Więc robi pan teraz – oznajmił Wolfe. – Proszę otworzyć pudełko.

Jess wstał i podniósł wieko. W środku znajdowało się dwadzieścia, czy może nawet więcej, książek. Oryginałów. Ich zapach był przejmująco znajomy. Wziął pierwszą i spojrzał na Wolfe'a, który opierał się o ścianę, skrzyżowawszy ręce na piersi.

Uniósł ciemne brwi.

– Niech pan na mnie nie czeka, postulancie. Twierdził pan, że wie, co robić. Proszę zajrzeć do szuflady.

Jess ją otworzył i znalazł w środku klipsy do dokumentów, całkiem zwyczajne, z symbolem Biblioteki wygrawerowanym na pieczęci. Takie, jakimi sekretarz mógłby spiąć plik papierów. Pospolite.

Wziął klips i położył na blacie obok książki, ale co dalej? Teraz mam zapiąć go czy...?

– Czekam.

Czegoś mu brakowało, ale nagle doznał olśnienia. Wyjął z kieszeni Kodeks i położył na biurku, a następnie otworzył i... znów się zawahał.

Najpierw klips? Czy Kodeks? Przestań tyle myśleć, upomniał się. Przecież wiesz, co robić, Wolfe cię dostatecznie przemaglował. Po prostu to zrób.

Starannie zapiął klips na okładce, a następnie otworzył książkę, żeby sprawdzić tytuł. Gdy już to zrobił, zajrzał do Kodeksu. Tytuł znajdował się w katalogu. Podniósł książkę i postukał postulancką opaską w pieczęć na klipsie. W jej wnętrzu rozżarzyło się ponure światło. Następnie pojaśniało.

– Radziłbym usiąść – podsunął Wolfe. Jess posłuchał. Wciąż trzymał książkę i obserwował narastający blask. Czuł coś dziwnego w głowie, jakby lekkie wyładowania elektryczne. – Radzę również odłożyć książkę, jeśli nie chce pan stracić ręki.

Szybko zastosował się do rady. Blask jaśniał coraz bardziej i bardziej, aż... wybuchł czerwienią. Jess poczuł ssanie powietrza i usłyszał dziwne pyknięcie, ale chyba raczej we własnej głowie, i blat biurka był pusty.

Książka zniknęła.

– Gratulacje – odezwał się Wolfe. – Wysłał pan książkę do Archiwum. Jeszcze raz. Szybciej.

Tak zrobił. Tym razem się nie wahał. To był przyjemny proces: klips, Kodeks, biurko, pyknięcie, pustka.

Wolfe nic nie mówił. Jess wyciągnął z pudełka trzy kolejne książki i odesłał jedną za drugą, szybko. Ostatniej nie było w Kodeksie, więc musiał wyciągnąć rysik i ostrożnie zanotować tytuł i autora na pustej stronie, dopiero potem odesłał książkę.

– Dość – zatrzymał go Wolfe, gdy sięgnął po kolejną. Marszczył czoło. – Myślę, że wystarczy.

– Dziękuję. – Podniósł się. Na chwilę zakręciło mu się w głowie, ale utrzymał równowagę. Zaburczało mu w brzuchu.

– Odczuwa pan skutki utraty energii, której wymaga alchemiczny transfer dokonywany przez Obskurystę. Znaczniki działają na tej samej zasadzie, co Kodeks: istnieją zarówno tutaj, jak i w Archiwum. Poprzez działania w obrębie istoty przedmiotu, Obskurysta jest w stanie przenieść go z jednego miejsca na drugie. Pan jest paliwem. – Wolfe przyglądał mu się z intensywnością, która zaczęła Jessa stresować.

– Mogę wyjść?

– Tak. I proszę przysłać Dantona. Nie wolno panu z nikim o tym rozmawiać.

– Oczywiście.

To była jedna z najprostszych rzeczy, jakich od niego dotychczas wymagano i bardzo poprawiło mu humor, że z jakiegoś powodu Wolfe wpatrywał się w niego z żywym zainteresowaniem. Tego wieczoru zapisał w dzienniku: „Chyba wreszcie znalazłem swoje miejsce”.

Oczywiście mylił się.

Gdy nazajutrz rano Kodeksy dostarczyły nowe instrukcje, Jess wciąż nie został przyporządkowany do zajęć indywidualnych. Wydawało mu się to głęboko niesprawiedliwe, zwłaszcza, że był teraz już tylko jednym z czworga postulantów bez przydzielonej dziedziny.

– To nic fajnego – pocieszał go później Thomas, gdy wieczorem zebrali się w świetlicy. – Te indywidualne zajęcia pokazują mi tylko, jak mało rozumiem. A bez względu na to, ile wiemy, Wolfe i tak zawsze będzie wiedział więcej. – Starał się rozchmurzyć kolegę, co było bardzo miłe z jego strony, ale nie działało. Jess był w złym humorze. – Jeszcze jedna okazja do poniesienia porażki. Może i lepiej, że ci tego oszczędzili. Będziemy mieli szczęście, jeśli ktokolwiek dotrwa do ceremonii przydziałów.

– Mów za siebie – odezwał się Dario ze swojego miejsca przy ogniu. – Ja zamierzam któregoś dnia włożyć złotą opaskę i nosić tytuł Jego Ekscelecji Magnusa Historii. Ale skoro masz inne zamiary, może powinieneś oszczędzić sobie upokorzenia i wrócić do swojej ojczyzny, słynącej z... kapusty, czy tak?

Thomas, bardzo zajęty pracą nad rozkręconym na części zegarem, zignorował go. Jego wielkie dłonie z niesłychaną precyzją obracały i czyściły maleńkie trybiki. Dario grał w kości z jednym ze swoich koleśków, Hallemem, a drugi, Portero, im się przyglądał.

Mimo parszywego nastroju Jess zgodził się na partyjkę strategicznej gry z Khalilą. Nauczył się już, żeby nie grać z nią w szachy, w których przodowała, ale zasad gry *go* nie przyswoiła z taką łatwością. Wygrał, co odrobinę poprawiło mu nastrój. Reszta towarzyszy rozsiadła się po pokoju, w różnych konfiguracjach. Niektórzy się uczyli, i ci mieli

zmarszczone czoła i wyglądali na stroskanych, inni grali w coś albo drzemali na zużytych fotelach. Jess zastanawiał się, do czego Dario zmierza. Nie podobał mu się chytry wyraz oczu współlokatora.

– Nie skupiasz się – upomniała go Khalila, więc spojrzął z powrotem na planszę. Miała rację, nie uważał, i prawie udało jej się go przyskrzynić. Wybrnął jednak z sytuacji i prawie się roześmiał, gdy się nachmurzyła. Gdyby miała rozmiary i temperament Glain, miałby się czego obawiać, ale to przecież Khalila. Jej urażona ambicja była równie groźna, co warczenie szczenięcia. – Niepotrzebnie byłam uczciwa i przywoływałam cię do porządku.

– Faktycznie, jeśli chciałaś wygrać – przyznał.

– Lubię wygrywać. – Uśmiechnęła się i poirytowanie natychmiast zniknęło z jej twarzy, a Jess zrozumiał, czemu Dario się w niego wpatruje. Nie lubił, kiedy Khalila uśmiechała się do kogoś innego. Jest zazdrosny, stwierdził. To się może przydać. Dario miał kilka słabych punktów, nie tylko wiarę, że jest od wszystkich lepszy. Khalila mogła się okazać kolejną słabością.

Natychmiast zawstydził się swoich myśli i skupił się na planszy. W sześciu ruchach zapędził Khalilę w kozi róg, a ona z godnością ogłosiła swoją przegraną.

– Następnym razem gramy w szachy – orzekła.

– Nie wykorzystuj swoich mocnych stron – upomniał ją Jess – tylko pracuj nad słabymi.

Ale gdy wskazał na planszę, milcząco zapraszając do kolejnej partii, pokręciła głową.

– Nie, mam jeszcze pracę zadaną przez uczonego Zhao. – Jak tylko to powiedziała, zobaczył w jej oczach skruchę. Nie chciała aż tak ostentacyjnie podkreślać, że miała dodatkowe zajęcia. – Przepraszam.

– Może on wcale nie jest taki głupi, tylko zapłacił Wolfe'owi, żeby się nie męczyć – wyartykułował Portero, grzechocząc kośćmi. Zajął miejsce Hallema naprzeciwko Daria. – Chociaż wątpię, żeby wycieruch miał chociaż dwa rzymniaki. – Oficjalną walutą było tu *ganeih*, ale wszyscy nazywali je rzymniakami, od wizerunku Juliusza Cezara na awersie.

– Może świadczy mu inne usługi – podsunął Dario. – Skończyłeś

już wylizywać tyłek naszemu drogiemu uczonemu, czy tylko robisz przerwę na wzięcie tchu? – Miał w głosie coś dziwnego i Jess rozumiał, dlaczego. Widział Daria rozklejonego, gdy ukradziono mu Kodeks. Od tamtej pory prawie nie rozmawiali, chyba że w ten właśnie sposób.

Khalila spojrzała na niego ostro i zmarszczyła czoło, a Thomas głośno upuścił klucz.

Jess nalał sobie wina z karafki stojącej na stoliku.

– Czyżbym zajął twoją kolejkę do polerowania mu klejnotów?

W zwierzęcym uśmiechu Daria niebezpiecznie błysnęły zęby.

– Naprawdę, Brightwell, nie wiem, o co ci chodzi.

– Dario – odezwała się Khalila – zamknij się.

Wzruszył ramionami, rozparł się w fotelu i szeroko rozłożył ramiona. Jeden z przechodzących uczniów go potrącił. Jak można się było domyślać, zwrócił na siebie uwagę Daria. To był jeden z cichych chłopaków, blade, z jasnymi włosami i oczami bardziej srebrnymi niż niebieskimi. Jess pamiętał, że pochodzi z Ameryki, ale ma francuskie imię.

– *Pardon* – przeprosił chłopak i ruszył dalej.

– Danton, tak? Jesteś spokrewniony z tym słynnym francuskim Podpalaczem.

– Jestem Amerykaninem.

– Nie, jesteś żalonym francuskim ekspatriantem. Jeździsz do Paryża na święta? Na uroczyste ściecia Podpalaczy?

Z wyrazu twarzy Dantona nie dało się nic wyczytać, ale widać było, że się spał.

– Nigdy nie byłem.

– Bardzo kształćące. Żywa historia! Chyba, że nie masz odwagi patrzeć, jak toczą się głowy twoich przodków?

– Dario – odezwała się Glain i zamknęła książkę, którą właśnie czytała. – Daj mu spokój. Pewnego dnia ktoś ci da prawdziwą lekcję żywej historii. I to będzie bolało.

– Nie szkodzi – odezwał się Danton. Mówił beznamiętnie, jak zawsze, a twarz miał niepokojąco nieporuszoną. – To wiedza powszechna. Nie musiał bardzo głęboko kopać, żeby dogrzebać się do mojego słabego punktu. A przecież master Santiago nigdy się nie

przemęcza.

– Tylko zwróciłem uwagę. Sympatia do Podpalaczy jest u was rodzinna – wyjaśnił Dario. – Na pewno mają tu na ciebie oko, Guillaume. Denerwujesz się już?

– A ty się denerwujesz? – wtrącił się Jess. – Na którym jesteś miejscu w rankingu klasowym? Na dziesiątym?

– A ty? W moim cieniu. Jak zwykle.

– Rankingi się zmieniają. Ja jestem przygotowany na długi bieg, nie na sprint.

– Jasne, biegać to ty umiesz – odszczeknął się Dario, a Jess aż zamarł. Dario miał swoje źródła i umiał zrobić użytek ze śmieci, których się dogrzebał. Uspokoił się jednak, gdy usłyszał dalszy ciąg. – Na pewno biegiem uciekniesz, bo nie masz odwagi, żeby walczyć jak džentelmen.

– Twoja wersja bycia džentelmenem polega na wbiciu komuś noża w plecy, więc nie, nie walczę jak džentelmen. Walczę, żeby wygrać. Może zagramy? – Wskazał na planszę i uniósł brwi. Dario wstał od stolika do gry w kości, przyjrzał się Jessowi przeciągle i badawczo, a następnie wzruszył ramionami. – Czemu nie! Portero i tak jest już prawie bankrutem.

Słabych protestów chłopaka i tak nikt nie słyszał. Puszczony wolno Danton poszedł pod tylną ścianę i usiadł przy Glain. Dario natomiast przeciągnął się i zasiadł naprzeciwko Jessa, ale przy tym wciąż mierzył go spojrzeniem.

– Gram czerwonymi – orzekł Dario. Co za niespodzianka.

Niespodzianką natomiast było to, że Dario Santiago bardzo dobrze grał. Jess był dobry, wiedział o tym, ale czuł, jakby Dario zaglądał mu prosto do głowy. Po każdym udanym ruchu okazywało się, że przeciwnik przewidział to dwa ruchy wcześniej. Jess niemal widział trybiki kręcące się w jego głowie. Dario zostawił ego poza planszą i okazał się nad wyraz interesującym przeciwnikiem.

Grali w milczeniu. Bez docinków. Jess wiedział, że inni się gromadzili, żeby ich obserwować. Nawet Thomas w końcu odłożył swoje skrawki metalu i stanął bez ruchu.

Stopniowo Jess dostrzegł bezradność w grze Daria. Trudno ją było wypatrzyć, bo grał szybko i drapieźnie, żeby go zmylić, ale w

końcu Jess go złapał. Gdy zastawił pułapkę, usłyszał, jak wszyscy wkoło wciągają powietrze: jeden kamień położony we właściwym miejscu i cała strategia Daria runęła. Teraz to Jess atakował, a Dario się bronił, ale po przeanalizowaniu w głowie wszystkich możliwości, Jess wiedział, że rywal nie ma szans.

Dario doszedł do tego samego wniosku. Jess widział moment olśnienia na jego twarzy. Towarzyszyła mu nagła, przelotna wściekłość i Dario rozegrał partię do gorzkiego końca, gdy nie miał już żadnych ruchów.

Wstał, lekko się uklonił Jessowi i przyznał:

– Dobra taktyka.

Jess też wstał i się skłonił.

– Dobra gra.

Przez chwilę się w siebie wpatrywali i Jess po raz pierwszy miał poczucie, że Dario go zobaczył nie jako ofiarę czy przeszkodę, ale kogoś wartego uwagi. I wcale nie był pewien, czy mu się to podoba.

Dario chyba też nie wiedział, bo uśmiechnął się zbyt olśniewająco.

– Ale to jeszcze nie znaczy, że jesteśmy przyjaciółmi. – Następnie odwrócił się na pięcie i wyszedł. Jego zwyczajowi towarzysze poszli w ślad za nim, ale kilku odwróciło się, jakby zauważyli, że równowaga sił została lekko zachwiana.

Thomas położył wielką dłoń na ramieniu Jessa. Wcale nie delikatnie.

– To było coś – oznajmił z podziwem i opadł na krzesło, które Dario opuścił. – Jak się nauczyłeś w to grać?

– Brat mnie nauczył. Żeby mógł ze mną wygrywać.

– Dziwię się, że dawał radę.

– Nie powiedziałem, że jego plan się powiódł. – Jess zgarnął kamienie z planszy. – Zagrajmy.

Gdy kładł się spać, postulantów było dwadzieścioro, ale gdy się obudził następnego ranka, w Domu Ptolemeusza znajdowało się dwadzieścia jeden osób. Przystosował się do mieszkania z Dariem i wieczorny prysznic pozwalał mu iść na śniadanie od razu po obudzeniu i zacząć jako pierwszy.

Ale nie dzisiaj.

Dzisiaj w świetlicy siedziała dziewczyna, której nigdy nie widział, i notowała coś w dzienniku. Kiedy go zobaczyła, odłożyła pióro.

Miała bladą skórę, lśniące brązowe włosy upięte w sposób, jakiego nie widział, odkąd wyjechał z Anglii i angielską sukienkę, zbyt ciężką na aleksandryjską pogodę. Poruszyła go jej figura, smukła, ale bardzo kształtna, i intrygujące oczy w kolorze jasnego brązu. Wyglądała na inteligentną, ostrożną i śmiertelnie zmęczoną.

Jess stanął jak wryty. Wiedział, że się gapi, ale nie wiedział, które pytanie ma zadać jako pierwsze. Wybawiła go z kłopotu, podając rękę.

– Morgan Hault – przedstawiła się. Dłonie miała ciepłe i miękkie, ale palce zimne. Pomyślał, że to pewnie z nerwów. – Podobno można tu coś zjeść.

– Przyjechałaś do kogoś z wizytą?

– Nie, dopiero dotarłam. Jestem postulantką.

Jess przekrzywił głowę, a gdy sięgnął po świeże, gorące jeszcze bułeczki, pogratulował sobie przychodzenia tu o tej porze, kiedy jedzenie było znacznie lepsze.

– Jak to możliwe? Jesteśmy tu od kilku tygodni.

– Miałam zacząć z wami – wyjaśniła Morgan. Wzięła gruszkę i odgryzła kawałek. – Ale miałam opóźnienie. Z powodu walk wokół Oksfordu.

Wtedy rozpoznał jej akcent. Oksford, no tak. Musiała przejść przez piekło, żeby się stamtąd wydostać. Wydawała się za szczupłą, ale to pewnie efekt wojny. Słyszał, że na froncie trudno zdobyć jedzenie. Zresztą, czy tam przypadkiem nie było oblężenia?

Szybko skończyła gruszkę. Bez słowa podał jej bułkę, w którą wgrzyzła się z nieoczekiwaną dzikością, a gdy żuła, z głębi jej gardła dobiegał pomruk rozkoszy.

– Chleb musi być u was na wagę złota – zauważył. – Owoce pewnie też.

Przełknęła i pokiwała głową.

– Wszystko jest na wagę złota. Jest jakieś mięso?

Wskazał jej koniec stolika, na którym znajdowały się ryby i drób. Wieprzowiny nie było i tęsknił za bekonem, ale w tej części świata rzadko się ją jadło. Naładowała na talerz górę jedzenia i znalazła stolik.

Przyniósł jej filiżankę egipskiej kawy, której uprzejmie spróbowała. Ewidentnie nie miała na nią ochoty.

– Jestem Jess Brightwell – przedstawił się. – Z Londynu.

– Jest tu jeszcze ktoś od nas?

– Byli, ale już wrócili do domu. Pierwsza zasada Domu

Ptolemeusza: nie przywiązuj się. Straciliśmy już dwanaścioro uczniów. – Jej wytrzeszczone oczy mówiły same za siebie, a on wzruszył ramionami, czując się nagle jak doświadczony weteran. – Wolfe jest wymagającym opiekunem.

– Słyszałam. Naprawdę jest taki straszny, jak mówią?

– Zobaczysz. Jak stoisz z historią?

– Nieźle. Ale wciąż nie pamiętam zbioru głównego Kodeksu.

– Uczysz się na pamięć Kodeksu? – Tym go zaskoczyła i musiał szybko ugryźć kęs chleba, żeby zamaskować szok. Żucie i przelknięcie dało mu czas na zastanowienie. – Dlaczego to robisz?

Uśmiechnęła się.

– W moich okolicach toczy się wojna. Kodeks nie zawsze działa tak, jak powinien. Początkujący bibliotekarz powinien być przygotowany na te chwile, kiedy zawodzi.

Nigdy nie brał czegoś takiego pod uwagę, nawet przez chwilę. Kodeks po prostu zawsze był pod ręką, żywy dokument odzwierciedlający oryginały przechowywane w Bibliotece. Dlaczego miałby nie działać?

Jednak okazało się to możliwe. Tego nie przewidziała nawet Khalila, a w każdym razie nigdy o tym nie wspomniała. Zresztą Jess wiedział, że tego się nie uczy. A przecież przepytывanie z zawartości Kodeksu, który wszyscy traktowali jako pewnik, było absurdem w stylu Wolfe'a.

– Ciekawe – przyznał, ale usiłował nie pokazać, że dzięki niej właśnie zrewidował podejście do Kodeksu. – Pewnie rzeczywiście może się przydać. Kiedy wyjechałaś z Oksfordu?

– Prawie miesiąc temu. Droga do bezpiecznej strefy była długa i trudna. – Morgan zjadła trochę pieczywa i zakąsiła pikantnym kurczakiem. – Muszę się przespać. I potrzebuję nowych ubrań. Tu zawsze jest tak gorąco?

– Niestety tak – potwierdził i podał jej kolejną porcję.

Kończyła już jeść, gdy zaczęli się schodzić inni, jeszcze ziewając. Glain dotarła aż do kawiarki, gdy obróciła się i spojrzała na nowo przybyłą.

– Pozwól – przerwał jej Jess, gdy Morgan zaczęła mówić. Podniósł się. – Słuchajcie! To jest Morgan Hault, dopiero przyjechała, więc bądźcie dla niej mili.

– Nowa? – Portero zbliżył się, żeby jej się przyjrzeć. – Dzisiaj nowa, jutro wróci do domu. Nie wygląda mi na kogoś, kto by tu wytrzymał.

– A kto powiedział, że ty wytrzymasz? – odpała Glain. – Odczep się od niej.

– Ma za duże zaległości – stwierdził cicho Guillaume Danton, ładując sobie na talerz górę pieczywa i wędzonej ryby. – Nie dogoni nas, jeśli Wolfe nie da jej forów. A wiecie, że nie da.

– Dogonię was. Jeśli myślisz, że tak łatwo się mnie pozbędziesz, gorzko się rozczarujesz.

– Jeśli z nami jedziesz, musisz się przebrać – zasugerowała Khalila. – Dzisiaj jesteśmy na zewnątrz.

– Jak to?

– Na terenie Najwyższej Straży. – Khalila postawiła talerz na skraju stolika, który zajmowali Jess i Morgan. On zrozumiał aluzję i wstał, a Khalila z gracją zajęła jego miejsce. – Wolfe jest gorącym zwolennikiem teorii, że musimy być zawsze i wszędzie gotowi do samoobrony i walki o własność Biblioteki. Myślę, że trochę zbyt poważnie traktuje Podpalaczy, ale tak czy inaczej wszyscy mamy ukończyć podstawowy trening Najwyższej Straży. Jeśli z nami idziesz, włóż coś lżejszego i luźniejszego. – Sama Khalila ubrała się właśnie w ten sposób: cienkie spodnie do kostek, na to tunika rozcięta na bokach. Na głowie chusta, tym razem z nieprzejrzystego jedwabiu. – Zostań ze mną, to...

Nagle w świetlicy rozległo się zbiorowe westchnienie i brzęk odkładanych sztućców, a gdy Jess podniósł wzrok, ujrzał w drzwiach mroczną i złowrogą sylwetkę uczonego Wolfe'a. Mało tego, za nim, jak cień, stał kapitan Santi. Koledzy Jessa zamarli, a on dobrze wiedział,

dłaczego: w Domu Ptolemeusza czuli się wolni od wszelkiej ingerencji władz. Aż do teraz. Okazało się, że Wolfe – i pewnie każdy inny dostojnik biblioteczny – mogli tu wejść bez ostrzeżenia czy zapowiedzi.

Ich dom przestał być sanktuarium.

Wolfe rozejrzał się i jego wzrok spoczął na Jessie. Nie, nie na Jessie. Na dziewczynie siedzącej naprzeciwko niego. Wskazał na Morgan.

– Proszę podejść.

– Proszę pana? – Zrobiła się biała jak ściana, a Jess zauważył ze współczuciem, że ciemne sińce pod oczami zrobiły się jeszcze wyraźniejsze. Wyglądała na wyczerpaną i nie bez powodu przestraszona.

Ale Wolfe nie czuł się w obowiązku tłumaczyć. Spojrzał znacząco na Santiago, który podszedł do dziewczyny i położył jej rękę na ramieniu. Kiedy mimo to się nie podniosła, pociągnął lekko, żeby zasugerować jej pozycję stojącą.

– Dokąd ją zabieracie? – Jess nie mógł uwierzyć, że naprawdę o to spytał, zwykle cechował go większy instynkt samozachowawczy, a jednak stało się i jego pytanie zawisło w próżni.

– Czy to pana sprawa, postulancie?

W milczeniu pokręcił głową. Morgan zerknęła na niego i uśmiechnęła się blado, co uznał za przejaw zaskakującej odwagi w obliczu zaistniałych okoliczności.

– Nie szkodzi – zapewniła. – Powinnam była się wcześniej do pana zgłosić. Oto moje dokumenty.

Sięgnęła do kieszeni sukienki po Kodeks, a gdy go otworzyła, zobaczyli znajomy dokument: taki sam list z wezwaniem na szkolenie, jaki Jess nosił między stronicami swojego Kodeksu.

Wolfe przestudiował papier, a następnie zatrzasnął Kodeks i oddał dziewczynie.

– Spóźniła się pani.

– Wiem. To z powodu wojny...

– Spóźniła się pani i nie interesuje mnie, z jakiego powodu. Proszę spytać kolegów, jak oceniają moją wyrozumiałość i pani szansę, że pani tu zostanie. Ponieważ jednak tak naprawdę mam gołębie serce, pozwolę pani przez jeden dzień dojść do siebie. Spodziewam się pani jutro wraz z

innymi i oczekuję, że będzie pani pod każdym względem przygotowana. Nie daję żadnej innej taryfy ulgowej. Czy to jest jasne?

Morgan nie odpowiedziała. Skinęła tylko głową, raz i zdecydowanie. Jeśli się bała, ukrywała to świetnie, a Jess nawet nie podejrzewał, że tak można. Gdy żołnierz puścił jej ramię, spokojnie usiadła, żeby dokończyć śniadanie.

Wolfe przyglądał jej się przez kilka sekund, a potem podszedł do kawiarki i nalał sobie filiżankę. Boże, pomyślał Jess z przerażeniem, będzie tu z nami siedział. Nie jemu jednemu musiało to przyjść do głowy, bo ci siedzący bliżej drzwi zaczęli się gwałtownie zbierać do wyjścia.

– Nie kłopotcie się uciekaniem – rzucił Wolfe z wystudiowaną obojętnością. – Dzisiaj odwołuję szkolenie z walki bronią. Wkrótce podzielimy was na grupy.

– I co dalej? – Tym razem zapytała Khalila, pewnie dlatego, że mogła sobie na takie pytanie pozwolić. Daria – który też by się nie zawahał – jeszcze nie było.

– Konfiskaty – wyjaśnił Wolfe. – A skoro pani spytała, będzie pani w mojej grupie, razem z Brightwellem, Porterem i Dantonem. Co do reszty, przydziały przekaze kapitan Santi. Będziecie dziś pracować z innymi uczonymi.

Khalila spojrzała na Jessa wytrzeszczonymi oczami i bezgłośnie powtórzyła słowo „konfiskaty”, jakby go wcześniej nie знаła.

Jess znał je za to aż za dobrze. Jego ojciec nigdy tego nie przeżył, ale innych w Londynie spotykały.

Nie przyszło mu nigdy do głowy, że stanie się jednym z pionków Biblioteki, którzy będą tego dokonywać.

Przynajmniej będę mógł wziąć do ręki oryginalne książki, pomyślał. Starał się opanować, ale na samą myśl przyśpieszył mu puls. Może tata miał rację. Może mam atrament we krwi, pomyślał.

Po drugiej stronie świetlicy Guillaume Danton wymieniał spojrzenia z Joachimem Porterem. Nie dało się ukryć, że dla żadnego z nich przypisanie do grupy Wolfe’a nie jest wyróżnieniem. To była szansa, owszem, ale tylko na to, żeby oberwać jeszcze dotkliwiej.

Morgan Hault patrzyła na Jessa, a gdy podchwycił jej wzrok, lekko

skinęła głową.

– Powodzenia – powiedziała.

– Przyda się – przyznał Wolfe. – Macie pięć minut. Czekam na zewnątrz. Każdy, kto się spóźni, losuje żeton.

To powiedziawszy, wyszedł, a kapitan Santi za nim. W świetlicy zawrzało. O śniadaniu nikt już nie myślał. Niestety Dario jakimś cudem zdążył w samą porę.

Jess dołączył do grupki zgromadzonej wokół Wolfe'a.

Liczył, że spędzi ten dzień z Khalilą, ale ona pograżyła się w rozmowie z Guillaume'em Dantonem; gdy wsiadali do powozu parowego i gdy pojazd ruszał, szeptali już coś do siebie, więc nie miał wyjścia, musiał usiąść obok kolegi Daria. Portugalczyk był niższy niż Dario, bardziej śniady i nosił cienki wąsik, nieproporcjonalny w stosunku do jego masywnej brody.

Nic nie mówili. Częściowo ze względu na złowieszczą, milczącą obecność uczonego Wolfe'a i kapitana Santiago.

Jess przypomniał sobie, co mówiła Morgan o Kodeksie i zaczął odtwarzać w myślach zawartość Zbioru Głównego. Nikt, nawet Khalila, nie mógł się łudzić, że zapamięta wszystkie książki z listy, ale skupił się na najstarszych i najrzadszych. Te szmuglerzy i kolekcjonerzy uwielbiali najbardziej, a dzięki swoim korzeniom świetnie wiedział, co się najlepiej sprzedaje na czarnym rynku.

Portero bezmyślnie patrzył na przewijające się za oknem szerokie, czyste aleksandryjskie ulice. Przyzwyczaili się już do turkusowego portu i wpływających do niego wielkich statków o białych żaglach, ale Portero wpatrywał się raczej w posągi dawnych egipskich bogów, ustawione wzdłuż ulicy, nadal lśniące w słońcu mimo tysięcy lat istnienia. Między palcami przesuwiał koraliki i Jess w końcu zauważył, że to różaniec.

– Przeszkadzają ci? – spytał, wskazując brodą posągi za oknem. Portero spojrział na niego dziwnie.

– Chyba nic dziwnego? To fałszywi bogowie.

Jess wzruszył ramionami.

– Dla Egipcjan byli prawdziwi. I na swój sposób są piękni.

Portero był mokry od upału, który nawet w chłodniejszym wnętrzu powozu nie dawał spokoju, zwłaszcza, jeśli się siedziało przy oknie.

– Powinni je byli zniszczyć wiele lat temu. Nawet Chrześcijanie i Muzułmanie się co do tego zgadzają.

Jess przypomniał sobie śmierć *O tworzeniu kuli* i odczuł lekkie mdłości.

– Mówisz jak Podpalacz. Zniszczyć wszystko, co im przeszkadza, nieważne, jakim jest dziedzictwem dla świata.

Portero odwrócił się do niego z wściekłością.

– Nic takiego nie powiedziałem! Nigdy bym nie skrzywdził książki. Nigdy!

– Nie cała wiedza kryje się w książkach. Te pomniki są historią wykutą w kamieniu. Wyrzeźbił je człowiek. Człowiek pocił się w tym słońcu, żeby je ustawić, żeby uczynić swoje miasto piękniejszym. Kimże jestem, żeby oceniać, co ma wartość dla współczesnych albo tych, co przyjdą po nas?

– Jesteś cuchnącym poganinem – rzucił Portero. – Wiedziałem.

– Jestem tak samo dobrym katolikiem, jak ty. Po prostu nie mam ambicji urzędzenia świata po swoim.

Khalila i Guillaume przestali rozmawiać i oboje się w niego wpatrywali. Guillaume uniósł brwi i odezwał się:

– Lepiej siedź cicho, Portero, bo cię wyrzucą za takie gadanie. Co nie znaczy, że bym się tym zmartwił.

Miał rację. Portero spojrział na niego z wściekłością, a potem wrócił do wyglądanego przez okno. Jess znów zagłębił się w książce. Guillaume i Khalila podjęli przerwana rozmowę, zbyt cichą, żeby można było usłyszeć słowa. Między palcami Portera postukiwały koraliki.

Jazda była długa. Zanim pojazd zaczął zwalniać, a potem wreszcie się zatrzymał, Jess był skłonny ich wszystkich udusić.

Pojazd wreszcie stanął i Jess wyskoczył, po czym natychmiast zateśknił za chłodem wnętrza. Upał bił od rozgrzanych kamieni, a gdy Wolfe zeskakiwał z przedniej części powozu, jego czarna toga załopotała w roziskrzonym powietrzu. Za nim wysiadł kapitan Santi, a wtedy Jess zauważył, że ubrany był w pełen mundur najwyższej Straży, łącznie z symbolem Biblioteki rzeźbionym w złocie. Był też uzbrojony po zęby.

Wolfe się rozejrzał i Jess poszedł za jego przykładem. Znajdowali się na przyjaznej w taką pogodę ulicy, miejscami ocienionej gałęziami

drzew. Kwadratowe domki o płaskich dachach były zadbane i starannie otynkowane, a ten, którym Wolfe najbardziej się zainteresował, wyróżniał się czystym, bladym odcieniem żółci. Górował nad okolicznymi budynkami i stał nieco w głębi, za murem w trochę jaśniejszym odcieniu. W wejściu znajdowały się liczne hieroglify symbolizujące ochronę i błogosławieństwo.

– Zawsze najpierw zbadajcie teren – upomniał Wolfe. – Zwróćcie uwagę na każdego, kto może zakłócić wasze działania albo stać na czatach. Patrzcie, słuchajcie, wachajcie. Może wam to uratować życie. – To samo zrobiłby szmugler, pomyślał Jess. Może ta myśl obudziła w nim dziwne poczucie swojskości. Coś jak *déjà vu*.

Khalila, Guillaume i Joachim milczeli, więc Jess wystąpił naprzód, ale zatrzymał się w wyrażającej szacunek odległości od żołnierza Najwyższej Straży.

– Przepraszam, proszę pana, ale czy mógłby pan wyjaśnić, jak to będzie wyglądać?

Santi odwrócił się do Jessa z zadziwiającą gracją. Nie był bardzo wysoki, ale zbudowany jak żołnierz i równie pewny siebie. Musiał umieć walczyć, bo na jego twarzy, zakończonej ostrym podbródkiem, nie było blizn czy zniekształceń. Miał długi, prosty nos, ciężkie ciemne brwi i krótko ostrzyżone włosy. Kolor jego skóry kojarzył się z karnacją Włocha, który dużo czasu spędzał na słońcu, a głębokie zmarszczki przy nosie i ustach zdradzały wiek, który maskowały wciąż ciemne włosy.

– Proszę się do mnie zwracać jak należy. Nie jestem pańskim ojcem ani pan nie jest pod moim dowództwem. – Mówił dość uprzejmie, ale w jego oczach widać było dystans.

– Przepraszam, kapitanie. Co mamy zrobić?

– Towarzyszyć nam – odparł. – Dostarczyć nam każdy nielegalny dokument, jaki znajdziecie. Nauczycie się zauważać szmuglerskie kryjówki. A poza tym nie wchodźcie Wolfe'owi w drogę.

Wydawało się, że to nic trudnego, więc Jess odetchnął. W końcu szmugiel to jego specjalność.

Khalila jednak się nie uspokoiła.

– A czy rodzina będzie w domu?

– Oczywiście. Jeśli nie mają nic do ukrycia, włos im z głowy nie

spadnie. Jeśli coś znajdziemy, wyrok będzie zależał od znaleziska. Może się skończyć na konfiskacie, może dojść do aresztowania. Róbcie, co każe Wolfe, a ja się zajmę resztą.

Niechętnie pokiwała głową i zerknęła na Jessa. Chciał dodać jej pewności uśmiechem, ale czuł, że to nie będzie dla niej przyjemny spektakl. Zmierzy się z ciemniejszą stroną Biblioteki. Tą, którą Jess znał od dziecka. Nie składała się tylko z czyściutkich czytelni i eleganckich uczonych dyskutujących o podejściu Platona do komedii. Biblioteka zaopatrywała ciemny lud w mądrość wieków i powstrzymywała ludzkość przed pogrążeniem się w mrokach ignorancji, strachu i przesądów. Ale to jeszcze nie znaczyło, że ma czyste ręce.

Z doświadczenia Jessa wynikało, że wręcz przeciwnie.

Wolfe się nie odezwał. Po prostu nagle ruszył zacisznym, wąskim przejściem w stronę żółtego domu, a gorące powietrze zaplątane w jego czarne szaty sprawiało, że łopotały za nim jak pirackie flagi.

Gdy się zbliżyli, na Jessa jak piorun z jasnego nieba spadła świadomość, dlaczego to miejsce wydawało mu się znajome. Byłem tu!, olśniło go.

Był w tym domu.

Jak nakazywał aleksandryjski zwyczaj, Wolfe najpierw dotknął palcami małej figurki bożka ogniska domowego, Besa, wyrzeźbionej po jednej stronie drzwi, a następnie bogini Beset po drugiej. Potem zapukał i w mgnieniu oka otworzyła mu młoda, schludnie ubrana służąca. Pokazał jej odpowiednią stronicę w swym Kodeksie, a ona z przerażenia aż otworzyła usta. W jej oczach czaiła się panika.

– Proszę wezwać pana lub panią domu – polecił Wolfe. Odeszła bezgłośnie, boso, jak to było w egipskim zwyczaju. Ludzie chodzili bez butów po gładkich płytkach, które pomagały utrzymać we wnętrzach przyjemny chłód. Wolfe sunął za nią, a za nim pozostali.

Aleksandryjskie domy były w swojej prostocie niemal orientalne, z nielicznymi przejawami przepychu, jak na przykład klejnoty wmurowane w gładkie ściany. Smukła lampa z abażurem rzucała żółte światło na ciemniejszy kąt pokoju, gdzie stała utrzymana w rzymskim stylu leżanka, a obok regał, rzucający się w oczy i zastawiony, ma się rozumieć, blankietami z bibliotecznym stemplem, które można było

znaleźć w każdym domu, nieważne, czy biednym, czy bogatym.

Niepokojące. Jess znał ten dom, chociaż widział go tylko po ciemku. Był tu w środku nocy, kiedy lampy były albo zgaszone, albo bardzo przyciemnione.

To był dom Abdula Nejema, stąd ukradł zwój Arystofane'esa dla ojca. To nie mógł być przypadek.

Służąca nie wróciła, rozległy się za to zdecydowane kroki znacznie większej osoby i po chwili zza rogu czegoś, co musiało być wewnętrznym ogrodem, wyłonił się mężczyzna. Prawdopodobnie zażywał kąpieli, bo owinął się w szatę w japońskim stylu, uszytą z podwójnej ilości materiału, żeby objąć jego ogromną postać. Był na modłę aleksandryjską ogolony od stóp do głów, a jeśli nawet widok Wolfe'a zbił go nieco z tropu, nie dał nic po sobie poznać.

– Jestem zaszczycony – zaczął i skłonił się tak nisko, jak pozwalał brzuch – mogąc podejmować tak znamienitego gościa. Proszę się czuć jak u siebie. Podać coś do jedzenia? Picia?

Wolfe zignorował te uprzejmości.

– Abdul Nejem?

– Tak, ma się rozumieć. W czym mogę pomóc?

Wolfe wyciągnął Kodeks i znalazł nakaz przeszukania. Podał książkę mężczyźnie, który rzucił nań okiem, a następnie przeczytał jeszcze raz, podniósł wzrok i zawołał:

– Ależ to jakaś straszliwa pomyłka! Tu nie ma żadnej kontrabandy!

– Możliwe – zgodził się Wolfe. – Jednak takie dostałem polecenie. Zaczeka pan z kapitanem Santim, a moi ludzie przeszukają dom.

– Muszę zaprotestować! – zakrzyknął olbrzym i wetknął Kodeks Wolfe'owi takim ruchem, jakby to było pchnięcie mieczem. Ten zręcznie przejął go i odłożył. – To skandal! Nie jestem przestępcą! Nigdy bym...

Wtedy naprzód wystąpił Santi, a animusz mężczyzny nagle się ulotnił.

– Proszę spocząć na tej czarującej kanapce – zasugerował Santi i poprowadził do niej mężczyznę. – Kto jeszcze znajduje się w domu?

– Moja... moja żona Nabeeha. Ale źle się czuje. Leży w łóżku.

– Postulantko – zwrócił się Wolfe do Khalili. – Proszę odnaleźć

panią i przyprowadzić tutaj, jeśli da radę iść. Jeśli nie, za chwilę my pójdziemy do niej.

Khalila zawahała się, ale skinęła głową i szybko ruszyła korytarzem. Dom zbudowano na planie kwadratu z wewnętrznym dziedzińcem pośrodku. Zalany słońcem ogród wyposażony był w basen i fontanny, obsadzony kwiatami i rzucającymi cień drzewami. Dzięki grubym murom w środku panował chłód, a czające się w korytarzach podmuchy wiatru roznosiły po pokojach rozkoszny zapach kwiatów.

Jess zastanawiał się, czy powinien pójść za Khalilą, żeby w razie czego być w pobliżu, ale zanim zdołał podjąć decyzję, odezwał się Guillaume Danton:

– Sprawdzić pozostałe pokoje?

– Tak – przyzwolił Wolfe. Danton zniknął w ślad za Khalilą. Gdy jednak i Jess wystartował, żeby pójść za nimi, Wolfe wyciągnął ku niemu szczupły palec. – Pan przeszuka ten pokój. Portero? Niech pan sprawdzi tamten.

Jess w ogóle nie musiał przeszukiwać tego pomieszczenia, bo dobrze wiedział, gdzie jest skrytka: miał już za sobą przeszukanie, tyle, że przeprowadzone w środku nocy. Żałował, że Wolfe nie wysłał go gdzieś dalej, bo teraz musiał odstawić przekonujące przedstawienie, w którym nie znajduje skrytki. W każdym razie nie tak od razu.

Zaczął od niewłaściwej ściany, opukiwał ją i starannie nasłuchiwał. Czuł się jak aktor w teatrze. Obszedł pół pokoju, gdy wreszcie natrafił na fragment mocno naciągniętej tkaniny, starannie otynkowanej i pomalowanej, skrywającej wajchę.

– Coś znalazłem – oznajmił i nacisnął mocniej. Rozległo się ciche pyknięcie i kwadratowy fragment ściany, o mniej więcej studwudziestocentymetrowym boku, lekko się cofnął, a następnie uniósł. W środku skrytka zabezpieczona była otynkowaną tkaniną sprytnie umocowaną na rogach.

Jess ją zerwał i w środku natknął się na skarby. Teraz, widoczne w pełnym słońcu, zaparłyby dech każdemu: stosy oryginalnych woluminów i zwoje poukładane jak plastry miodu. Zapach starego atramentu, welinu i pergaminu przypominał mu dom i przez krótką chwilę Jess chciał po prostu dotykać tych gładkich skórzanych okładek i

pozaginanych krawędzi stronic.

Odsunął się i spojrzął na Wolfe'a. Ten skinął głową i przyjrzał mu się z niepokojącym namysłem.

– Dobrze, postulancie. Ma pan do tego smykałkę.

– To... To nie moje! – krzyknął mężczyzna i spróbował się poderwać z kanapy, ale Niccolo Santi pchnął go z powrotem. – Jestem niewinny, przysięgam! W tym domu czcimy Bibliotekę, pod każdym względem!

Jess zauważył, że wrócił Guillaume Danton; udzielał wsparcia zgiętej w pół kobiecie mniej więcej w wieku właściciela domu. Wyglądała, jakby się przedwcześnie postarzała, poruszała się tak, jakby każdy krok sprawiał jej ból. Na widok Jessa przy otwartej skrytce otworzyła szeroko oczy, kolana się pod nią ugięły i upadłaby, gdyby Danton szybko jej nie podtrzymał.

W każdym razie tak to początkowo wyglądało, bo ta pozornie bezradna kobieta w mgnieniu oka wyciągnęła ukryty za paskiem nóż i wyprostowała się tak gwałtownie, że Danton stracił równowagę. Nie miał szansy zareagować, gdy błyskawicznie zarzuciła mu ramię na szyję i pociągnęła go tak wysoko, że stał niemal na palcach. Ostrze noża wylądowało na jego obnażonej, szybko pulsującej żyłce szyjnej.

– Puśćcie mego męża albo chłopiec zginie – oznajmiła Nabeeha Nejem. Santi wymienił spojrzenia z Wolfe'em, który ledwo dostrzegalnie poruszył brwią, a następnie cofnął się, pozwalając grubasowi wstać. Ten się zachwiał i wyglądał na całkiem zagubionego.

– Bierz książki, Abdul. Szybko!

– Nie macie dokąd uciec – przypomniał jej Wolfe. – Na pewno pani o tym wie.

Jess odsunął się, gdy mężczyzna do niego podszedł i dopilnował, żeby przy okazji zbliżyć się do kobiety i do Dantona. Twarz chłopca była bledsza niż zwykle, ale nie szarpał się. Ramię przyciskała mu do gardła jak stalowy pręt, a on był bliski utraty przytomności. Londyńska Straż uwielbiała ten chwyt i zwykle stosowała go z powodzeniem. Danton mógł być od niej silniejszy, ale ona lepiej się ustawiła.

No i miała nóż.

Nie była też głupia i gdy Jess przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę,

szybko wbiła w niego ciemne oczy. Ostrze, dotykające dotychczas szyi Dantona, przycisnęła nagle tak mocno, że na skórze pojawiła się krwawa linia. Ale nic nie powiedziała, zwróciła się tylko do męża:

– Ruszaj się, Abdul! Mamy mało czasu!

Abdul Nejem już się miotał, ale niezdarnie i w nerwach, a książek było tyle... W skrytce musiało być około dwudziestu woluminów, a jeszcze i zwoje! Musiał wybrać te, które zabiorą, a najwyraźniej był zbyt zdenerwowany, żeby to zrobić porządnie.

Sięgnął po kolejne tomiszcze, a pięć tych, które trzymał na lewej ręce, spadło z hukiem na podłogę. Abdul krzyknął nerwowo i zaczął je z powrotem składać, ale to wywołało jeszcze większy chaos. W całym tym zamieszaniu do jego żony podkradła się cicho jak duch Khalila Seif i chwyciła ją za długi warkocz. Kobieta wrzasnęła, nieprzygotowana na nagły atak, a potem zamarła. Jess widział, że Khalila przycisnęła jej do pleców własny nóż.

– Niech pani puści mojego przyjaciela albo wbiję to pani w wątrobę – oznajmiła. – Może pani nie zabiję, ale będzie pani marzyła o śmierci. – Najskuteczniejszy i, jak musiał przyznać Jess, najbardziej przerażający był spokój, z jakim Khalila to mówiła. Nie podniosła głosu. Nie było w nim napięcia ani emocji. Równie dobrze mogła mówić o ślicznym ogrodzie widocznym za drzwiami.

Nabeeha musiała wiedzieć, że nie ma szans. Zwlekała jednak na tyle długo, że Jess zaczął szacować szanse obezwładnienia jej, ale potem opuściła nóż i pozwoliła Dantonowi opaść na podłogę. Półprzytomny chłopak podniósł się na kolana, oparł się na rękach i desperacko łapał powietrze. Krew powoli spływała mu po szyi, ale wyglądało to na powierzchowne zadrażnienie. Na szczęście.

Khalila nie drgnęła, jedną ręką trzymała kobietę za warkocz, a drugą przyciskała jej nóż do pleców i robiła to tak długo, aż Nicolo Santi ruszył, żeby przejąć napastniczkę. Wtedy puściła i odetchnęła głęboko, jakby obudziła się właśnie z głębokiego snu. Potem przeszył ją dreszcz. Jess obserwował, jak próbuje wsunąć nóż do pochwy, ale ręka tak jej drżała, że nie mogła wcelować w wąski otwór. W końcu zrezygnowała i odłożyła nóż na stoliczek przy ścianie, a sama uklękła przy Dantonie, żeby sprawdzić, jak się czuje. Jess ją rozumiał. Zawsze łatwiej jest zająć

się kimś innym niż stawić czoło własnym strachom.

Abdul Nejem tymczasem stał niezdecydowanie z naręczem nielegalnych książek. Z przerażeniem wpatrywał się w pojmaną żonę, tak jakby nie mógł uwierzyć, że jednak mu się nie udało, a gdy Wolfe wziął od niego książki, mężczyzna sflaczał jak przekłuty balon. Opadł na jedyny poza leżanką mebel w tym niewielkim pokoju, a gdy chował twarz w dłoniach, krzesło zatrzeszczało pod jego ciężarem.

– Zabiłaś nas! – załkał. – Zabiłaś nas wszystkich, ty chciwa kobieto!

– Zamknij się, na litość bogów – odrzekła Nebeeha. – Mamy naukowy immunitet!

– Czyżby? – spytał Wolfe tym swoim złowieszczo aksamitnym głosem, który Jess tyle razy słyszał na zajęciach. Odwrócił się do Nejema i przechylił głowę. – Proszę mi przybliżyć państwa osiągnięcia. Z radością posłucham. – Ponieważ jednak mężczyzna tylko coś wybełkotał, wyraźnie nie będąc w stanie zbudować sensownego zdania, Wolfe odpuścił. – Myślę, że już skończyliśmy, Niccolo. Zabierz ich.

– Czekaście! Powiem wam, skąd je wzięła! Przysięgam, że to ona, nie ja! Ja jestem niewinny!

– Abdul! – W jej głosie zabrzmiało ostrzeżenie, a jej mąż aż się zatrzęsł.

– Zabierz panią na zewnątrz – polecił Wolfe, a Niccolo wyprowadził wyrywającą się kobietę przez jej własne drzwi. Gdy przyszło co do czego, po jej słabości nie pozostał ślad i emanowała wściekłością kobry. – Proszę kontynuować. Jestem szczerze zafrapowany.

– To był pomysł mojej żony. Ja tego nigdy nie czytałem, słowo daję. Nigdy ich dotknąłem! Aż do dzisiaj. Ona... i jej rodzina. – Nejem znów zaczerpnął tchu. – Jej rodzina jest pełna handlarzy z czarnego rynku. Mogę wam podać nazwiska, przysięgam, że mogę, jeśli tylko okażecie litość...

Jess miał nadzieję, że blefował, bo jeśli nie, konsekwencje będą poważne. Społeczność tutejszych szmuglerów, działających w cieniu Wielkiej Biblioteki, była niewielka i blisko ze sobą związana. Niewiele trzeba, żeby się rozpadła. A to pokrzyżuje plany i jemu.

Ba, może nawet zostać w to wplątany.

– Ile osób tu mieszka? – spytał Wolfe. Przesuwał palcem po grzbietach książek odebranych Nejemowi i mówił z lekkim rozkojarzeniem. – Poza pana żoną.

– Obaj synowie są dorośli i mają rodziny. Jestem tylko ja i dwie służące.

– Służące mogą odejść. A pan wiedział o działaniach żony. To czyni pana współ... – Zamilkł i skupił się na tomie, który właśnie otworzył. Przez chwilę czytał, a następnie podniósł wzrok i skinął na Jessa. – Niech pan to weźmie. Wszystko. Zwoje też. Skatalogować i oznaczyć do translokacji.

Nejem zbladł jeszcze bardziej.

– Proszę, błagam pana...

– Nie ja będę decydował o pana losie, tylko juryści. Ale jeśli chce pan posłuchać mojej rady, proszę wynająć adwokata. I niech pan nie opuszcza terytorium Biblioteki, chyba że ma pan ochotę na spotkanie ze sfinksem.

Jess zajął się książkami. Mężczyzna łkał teraz na całego, a służąca, którą już spotkali, weszła przez drzwi ogrodowe i podała mu miękką chusteczkę, żeby otarł twarz. Spojrzała na Jessa, a potem szybko spuściła wzrok. Zdał sobie sprawę, że ona się go boi.

Został wrogiem, przerażającym widmem władzy.

Nie myśl o tym. Po prostu rób, co kazano.

– Będę potrzebował znaczników – odezwał się.

Wolfe bez słowa podał mu woreczek. Jess zamarł i spojrzał na niego.

– Egzaminuje mnie pan?

– Oczywiście. Rozczarował mnie pan tym pytaniem.

Niczym się to nie różniło od szkolenia, tyle tylko, że – biorąc pod uwagę pośpiech – postanowił usprawnić proces, oznaczając wszystkie książki naraz i odsyłając je jednocześnie. W końcu to sprawa Obskurystów, on tylko inicjował potencjał skrywany w pieczęci. Odesłanie wszystkich książek jednocześnie będzie efektywniejsze. Wolfe w żaden sposób mu nie zasugerował, że popełnia błąd, chociaż widział, jak umieszcza znaczniki, szybko je aktywuje, a następnie cofa

się, gdy klamerki rozpały się na czerwono.

Nawet z tej odległości czuł, jak przepływa przez niego energia, gdy znaczniki ożyły w tej samej chwili. Wszystko wydawało się intensywniejsze niż w czasie szkolenia, czuł, jakby poraził go piorun i przez moment poczuł ostry smród spalenizny, który zniknął równie nieoczekiwanie, jak się pojawił.

Odwrócił się i zobaczył, że za nim stoją Khalila i Danton, Obserwowali go. Wyglądali, jakby nie mogli oderwać od niego wzroku.

– Ile odesłałeś? – spytała Khalila. – Jak się czujesz?

– Dobrze... – odparł automatycznie, ale w tej samej chwili poczuł, że nic podobnego. Zakręciło mu się w głowie, był wyczerpany i nagle potwornie go zemdliło. Zapanował nad mdłościami jedynie na tyle długo, żeby na uginających się nogach zdążyć wyjść do zacisznego ogrodu, gdzie padł na kolana i opróżnił żołądek. Przypomniawszy sobie zaniepokojony wzrok Wolfe'a, gdy w czasie szkolenia odsyłał kilka książek, jedna za drugą. Wtedy nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Nie przyszło mu do głowy, że aktywowanie dwudziestu tomów tak go wyczerpie.

Danton i Khalila wyszli za nim, a gdy on klęczał i dochodził do siebie, Danton podał mu szklankę wody i pomarańczę.

– Masz. Powinno pomóc.

Rzeczywiście pomogło i po kilku chwilach Jess odzyskał siły. Khalila podała mu chusteczkę, żeby otarł pot z twarzy, a potem pomogli mu się podnieść.

– To było coś – przyznał Danton. – Słyszałem, że czasem bibliotekarze mdleją od wysłania pięciu książek jedna za drugą, nie mówiąc o dwudziestu. Ja się na szkoleniu pochorowałem po wysłaniu jednej.

Jess nigdy się nad tym nie zastanawiał. Trening nie zrobił na nim żadnego wrażenia, może jakiś przelotny zawrót głowy, który minął po kilku sekundach. Ponieważ szkolenia były indywidualne i pracowali jedynie w obecności Wolfe'a, który im mówił, co robić, nie miał pojęcia, że inni źle się czuli.

– Następnym razem pogrupuj książki po pięć i odpoczywaj pomiędzy – doradziła Khalila. – Oszczędzisz sobie nieprzyjemności.

– Słuszna uwaga – przyznał Jess. – Dzięki.

Odmówił pomocy i wstał sam. Roztrzęsiony, ale żywy. Gdy oceniał swoje możliwości, pojawił się Portero. Wszedł innymi drzwiami, rozejrzał się i oznajmił:

– W pozostałych pokojach nic nie ma. Ładny dom, nie?

Przegapiłem coś?

– Nic. – Khalia poklepała go po ramieniu. – Zupełnie nic.

KORESPONDENCJA

Tekst zabezpieczonej korespondencji bibliotecznej między Jej Ekscelencją Magnus Obskurystów a uczonym Tylerem, służącym w Serapejonie w Oksfordzie.

Serdecznie pozdrawiam mojego towarzysza w służbie. Ufam, że mój list zastanie Cię w dobrym zdrowiu.

Przykro mi, że kłopotuję Cię teraz, gdy losy Anglii są tak niepewne, ale to sprawa najwyższej wagi.

Zaobserwowaliśmy niedawno ślady niepokojących działań w formułach Kodeksu, które stanowią o tym, że w Oksfordzie rozkwita nowy Obskurysta. Robimy co w naszej mocy, żeby dotrzeć do tej młodej osoby – mniemam, że świadom jesteś, iż talent Obskurysty zaczyna się manifestować przed dwudziestym rokiem życia – żeby móc ją bezpiecznie przewieźć do nas, do Żelaznej Wieży. Sądzymy, że ten incydent, który równie dobrze mógł zostać dostrzeżony przez innych świadków, miał miejsce w Serapejonie w Oksfordzie w ciągu ostatnich trzech dni. Chciałabym poprosić Cię o szczegółową listę wszystkich osób poniżej dwudziestego roku życia, które w tym czasie odwiedziły Serapejon, żebyśmy mogli bliżej im się przyjrzeć, a także o dyskretne wypytanie pracowników, czy któreś z nich nie zauważyło niczego niecodziennego.

Z pewnością rozumiesz, jak pilna to sprawa.

Nie zachowano odpowiedzi na ten list.

Pisana ręcznie wiadomość od uczonego Tylera z Oksfordu do Morgan Hault.

Tak jak się obawiałem, Twoje wysiłki i próby zatarcia za sobą śladów pozostawionych w Kodeksie na nic się zdały. Nie jesteś tu już bezpieczna. Obskuryści przyślą Najwyższą Straż, żeby Cię znaleźli, musisz więc wyjechać bezzwłocznie. Zdołam zapewnić Ci bezpieczną ucieczkę, ale musisz zniknąć dzisiejszej nocy. Jedź do Londynu. Możliwe, że w tamtejszym Serapejonie będziesz miała więcej czasu i okazji do zatarcia śladów i ukrycia się, ale nie trać czujności.

Jeśli Londyn także Cię rozczaruje, obawiam się, że będziesz musiała jechać do samego serca Biblioteki, do Aleksandrii.

Dowiedziałem się, że im bliżej Żelaznej Wieży, tym łatwiejszy dostęp do formuł Kodeksu i archiwów. To może być jedyne miejsce na świecie, gdzie będziesz w stanie usunąć wszelkie ślady swojego talentu i zapewnić sobie wolność.

Modlę się jednak, dla Twojego dobra, żebyś nie musiała uciekać się do aż tak drastycznych kroków. Jedź do Londynu i uważaj na siebie.

Rozdział 4

Jess zakładał, że po opuszczeniu domu Abdula Nejema dzień dobiegnie końca, bo sądził, że wszyscy zaliczyli test. Gdy jednak powóz zatrzymał się przed Domem Ptolemeusza i pozostała trójka weszła do środka, Wolfe kazał mu wsiąść z powrotem, a sam wskoczył za nim.

Co ja zrobiłem? Zaczął się zastanawiać Jess i czuł, jak kropla gęstego potu spływa mu po szyi. Dałem jakoś po sobie poznać, że byłem w tym domu? Wolfe zauważył, że brakowało jednego zwoju?

I może najważniejsze pytanie: jak się dowiedzieli o Abdulu Nejemie? Bo to na pewno nie był przypadek, że ojciec kazał mu tak pilnie ukraść książkę tuż przed nalotem Biblioteki. Musiał wiedzieć, że coś się kroi.

– Dobrze panu poszło – zaczął Wolfe. – Ale popełnił pan wielki błąd.

Jess zamarł. I już, to koniec. Zostanie zabrany do bibliotecznej celi więziennej. Zdradził nie tylko siebie, ale i całą rodzinę. Wyobraził sobie ojca zakutego w kajdany, i matkę, i Brendana. Nie, wezmę wszystko na siebie. Nie wciągnę ich w to. Jeśli jego starszy brat Liam miał odwagę zginąć bez narażania rodziny, on zrobi to samo.

Ale jeśli Wolfe czekał na wyznanie, to się go nie doczekał.

Mówił więc dalej:

– To moja wina. Nie wyjaśniłem, jakie mogą być konsekwencje. Większość uczniów bardzo słabo znosi pobór energii i wysyłają jedną, co najwyżej dwie książki za jednym razem. Pan oznaczył i wysłał dwadzieścia. Naraz. To... imponujące. Ale i głupie. Mógł pan doznać poważnego uszczerbku na zdrowiu... Widzę jednak, że szybko doszedł pan do siebie.

Jess gwałtownie zaczerpnął powietrza, bo miazdzący go ciężar nagle zniknął. Nie chodziło o szmugiel, pomyślał. Mówi o tym, co zrobiłem ze znacznikami!

Nie pójdzie do więzienia. W każdym razie nie teraz.

– Nie pomyślałem, że tym razem będzie inaczej – przyznał. – W czasie szkolenia w ogóle nic nie zauważyłem.

– To prawda. Ciekawy byłem, jak sobie pan poradzi z dzisiejszym

zadaniem. Ale nie podejrzewałem, że zechce pan odesłać wszystkie książki jednocześnie i byłem naprawdę zaskoczony, że konsekwencje okazały się tak błahe.

– Ale... Nie jestem Obskurystą, prawda?

– W żadnym razie. Po prostu lepiej niż większość znosi pan pobór energii w czasie procesu translokacji.

– No tak. – Z jednej strony był trochę rozczarowany. Z drugiej... dożywotnie zamknięcie w Żelaznej Wieży nie wydawało się rozkoszną perspektywą.

– Jest pan obdarzony interesującym talentem, postulancie. Może się okazać bardzo cenny. – Wolfe zdawał się na czymś zastanawiać, wpatrzony w przestrzeń, a potem, co Jess wyraźnie zauważył, decyzja została podjęta. – Biorąc pod uwagę, czego pan dzisiaj dokonał, zakładam, że z większą niż przeciętnie łatwością będzie pan korzystał z innych bibliotecznych akcesoriów. Dlatego poprosiłem, żeby poszedł pan ze mną. Chciałbym sprawdzić tę teorię.

– Czyli... to kolejny sprawdzian?

– W pewnym sensie. – Wolfe wygiął usta w łuk, który trudno było nazwać uśmiechem. – Ostrzegam jednak, że najprawdopodobniej będzie bolało.

Gdy powóz zasyczał i stanął, Jess zorientował się, że są w miejscu, które znał... niski, niewielki budynek, niedaleko portu, który pamiętał bardzo dobrze. Gdy wysiedli z powozu, Santi do nich dołączył.

– Co tu robimy? – spytał Jess.

Wolfe ruszył przodem, wąskim korytarzem o zaplamionych ścianach. Światła zamigotały pod wpływem ruchu. Jess przełknął ślinę i zaczął rozważać ucieczkę, ale wiedział równie dobrze jak Abdul Nejem, że nie miał dokąd uciekać. Wolfe trzymał niepewną przyszłość Jessa na dłoni i niewielkiego wysiłku wymagałoby od niego zaciśnięcie pięści.

Gdy ostatnio znaleźli się w tym miejscu, Wolfe zagroził zrzuć im na głowy butelki z ogniem greckim.

Santi poklepał go lekko po plecach.

– Idź, chłopcze – zachęcił. – On nie gryzie. W przeciwieństwie do mnie. Taka praca.

Wnętrze zwieńczonego kopułą pomieszczenia wyglądało tak samo

jak poprzednio i nadal cuchnęło tym samym specyficznym, chemicznym smrodkiem. Jess nie miał pewności, czy smugi na ścianach pochodziły od nowych, czy dawnych płomieni, ale ulżyło mu, gdy się upewnił, że z sufitu nic nie zwisa.

Santi blokował jedyne wyjście, znajdujące się za jego plecami. Wolfe zatrzymał się pośrodku i uniósł złotą podwójną pętlę z cienkiej liny, z symbolem Biblioteki pośrodku.

– Czy wie pan, co to?

Jess bardzo dobrze wiedział. Na ten widok ścisnęło go w żołądku i musiał przełknąć ślinę, zanim się odezwał:

– Pęta dla przestępców. Ale dzisiaj ich pan nie użył.

– Nie widziałem potrzeby – wyjaśnił Wolfe. – Nie uciekliby.

Używamy ich wobec poważniejszych przypadków. Tak czy inaczej, skorzystanie z nich wymaga umiejętności. Santi?

Powietrze w płucach Jessa stężało na kamień, gdy Santi wystąpił do przodu, wziął pęta i zwrócił się do niego. Teraz już naprawdę po wszystkim, pomyślał Jess. Jestem skończony. Ale Santi wsunął pęta na nadgarstki i wyciągnął ręce do Jessa, który był zbyt wstrząśnięty, żeby się ruszyć. Zerknął na Wolfe'a.

– Proszę wykorzystać opaskę identyfikacyjną – polecił Wolfe. – Niech pan nią dotknie pętli.

– I co potem?

– Zobaczymy, co się stanie.

A stało się tak, że gdy tylko Jess dotknął pęt, zacisnęły się, krępując ręce Santiiego z taką siłą, że żołnierz aż się skrzywił. Pieczęć rozżarzyła się dziwnym, ognistym blaskiem.

– Przepraszam – odezwał się szybko Jess. – Bolało?

– A pana? – spytał Wolfe.

– Nie.

– Poczul pan coś?

– Odrobinę. – To było tylko mgnienie słabości, jakby jego dłonie zasnęły. Ale uczucie przeszło w ciągu kilku sekund.

– Interesujące – stwierdził Wolfe i postukał palcem w okładkę swojego Kodeksu.

– Nie użyłbym tego słowa – wycedził Santi. – Nie tak planowałem

spędzić resztę dnia, Christopherze.

Christopherze? Wolfe na pewno miał jakieś imię, ale Jess nie przypominał sobie, żeby ktokolwiek go użył. A już na pewno tak... swobodnie.

– Jestem bardzo wdzięczny za pomoc, kapitanie – zapewnił chłodno Wolfe. – A teraz czas uciekać.

– Pewnego dnia zamienimy się miejscami. Ty będziesz uciekał.

– Na pewno nie wydarzy się to dzisiaj. – Wolfe uniósł rękę i dyskretnie go odprawił, a Santi odwrócił się i pobiegł korytarzem.

– Gdzie on poszedł? – spytał Jess.

– Nie mam pojęcia. Będzie pan go musiał znaleźć. Ale niech trochę odbiegnie, tak będzie uczciwie. – Zajrzał do książki. – Proszę wyjąć swój Kodeks.

Jess wyjął go z kieszeni i trzymał w dłoniach, aż poirytowane spojrzenie uczonego skłoniło go do otwarcia książki na pustej stronie.

– Proszę dotknąć stronicy opaską – polecił Wolfe. – Zwyczajowo musiałby pan to zrobić niezwłocznie po założeniu więzów.

Jess przycisnął nadgarstek do kartki, na której natychmiast pojawiła się mapa. Szczegółowy plan ulic z jednym czerwonym kleksem atramentu. Nie wiedział, jak to działa, ale podejrzewał, że to podobny mechanizm jak przy odzwierciedleniu, tyle że zamiast prostej listy dostępnych książek, Kodeks przedstawiał konkretną rzecz. I drogę do jej odnalezienia.

– Pęta pokazują jego lokalizację – zaryzykował. – Prawda? – Aktywowanie mapy i pęt odebrało mu siły. Spojrzał na plan, a kiedy skupił wzrok na przesuwającej się kropce, która musiała przedstawiać Santię, poczuł nagle ukłucie za oczami. Zamknął je na chwilę i ból od razu minął. Otworzył i spojrzał na przemieszczającą się w dalszym ciągu czerwoną kropkę. Ból powrócił.

– Dokładnie tak. – Wolfe przyglądał mu się badawczo. – Jest źle? Chodzi mi o ból.

– Nie jest źle – skłamał Jess. Gdy nie patrzył na mapę, ból mijał niemal od razu. – Boli tylko kiedy patrzę. To wszystko?

– Nie. Chcę, żeby go pan odnalazł – oznajmił Wolfe. – Lepiej niech pan rusza. Santi jest bardzo szybki.

Jess zaczerpnął pełne płuca niezdrowego powietrza i ruszył korytarzem, a potem wypadł prosto na zalaną słońcem aleksandryjską ulicę. Zaryzykował rzut oka na mapę. Kropka znajdowała się trzy ulice od niego i zbliżała się do krawędzi kartki. Nie wiedział, co się stanie, kiedy już tam dotrze. Wszystko zniknie? Czy mapa dostosuje się do nowego położenia? Stwierdził, że lepiej nie sprawdzać i ruszył biegiem. Gdy podniósł wzrok znad mapy, ból głowy nie minął tak szybko jak wcześniej; pulsował w równym rytmie, jak tętno, i umiejscowił się za oczami jak rozgrzany kamień. Do bólu dołączyły mdłości, ale poza tym Jess po raz pierwszy od dawna poczuł się pewnie.

W końcu biegać akurat umiał. Był w tym dobry, a gdy mknął po ulicach gorącego, obcego miasta, lawirując między powozami i zaskoczonymi, klnącymi mieszkańcami, poczuł się jak w domu. Jego ciało znalazło się w swoim żywiole, a pulsowanie krwi i wiatr targający włosy przypominały, jak to było w domu, gdy rywalizował z Londyńską Strażą i przechodniami.

Nawet ból nie zepsuł mu przyjemności, choć z każdym niezbędnym rzutem oka na mapę w Kodeksie coraz głębiej zatapiał w nim pazury. Mapa się zmieniała, jak zauważył, poruszała się razem z uciekającym. Jego więzień nie miał już nad nim wyjściowej przewagi, a gdy Jess wypadł z za jednego z typowych dla Aleksandrii ostrych rogów ulicy, zauważył po lewej stronie górującą nad nim gigantyczną, złowrogą Żelazną Wieżę, otoczoną wysokim ogrodzeniem, z bramami i strażą. Ale jego zbieg nie zmierzał w tym kierunku. Odbił w prawo, w stronę uniwersytetu. Dalej wznosiła się gigantyczna piramida, onieśmielająca kątami ostrymi, w której mieścił się Aleksandryjski Serapejon. Jeszcze majaczyła w oddali, więc Jess zwolnił, żeby zerknąć na mapę.

Santi biegł najwyraźniej w tamtą stronę.

Jess znał już tereny uniwersyteckie, chodził tam codziennie na zajęcia z Wolfe'em i wiedział, jaką trasą pobiegnie Santi. Mogę biec na skrót, pomyślał. Jeśli mam rację, biegnie do piramidy.

Raz jeszcze sprawdził jego postępy, dla pewności. Ból głowy znacząco się nasilił i oślepił go czarnymi rozbłyskami. Oderwał wzrok od mapy, ale ból ani trochę nie zelżał. Nie tym razem.

Zatrzasnął Kodeks i wsunął do kieszeni. Ból nie ból, musi biec dalej, biec bez względu na wszystko, tak jak w Londynie, do piramidy. Albo popełnia wielki błąd, albo odniesie spektakularny sukces. Przyjemnie było się rozluźnić, dać się rozgrzać mięśniom nóg, wydłużyć krok, mknąć obok sklepów i rozmazanych twarzy, przez ulicę targową pełną egzotycznych jedwabi i przypraw, wśród kłębow pary wydychanych przez rury na budynkach. Wreszcie zauważył przed sobą coś czarnego, co poruszało się szybciej niż wszystko wkoło.

Widział Santiago i wiedział też, że Santi zauważył jego. Praworęczni ludzie zwykle nie oglądają się przez lewe ramię, gdy starają się uniknąć pogoni. Patrzą do przodu i obracają się przez ramię po dominującej stronie. Chyba, że coś przykuje ich wzrok.

Jess wiedział, że go złapie.

I złapał, zachodząc go dużym łukiem z lewej strony. Ściął silnego mężczyznę z nóg, zepchnął kilka metrów od linii budynków i powalił na kamieniste podłoże. Santi wrzasnął z wściekłością, ale Jess usłyszał to jakby z oddali, bo coś złego działo się z jego uszami. I oczami też, bo czarne rozbłyski, które do tej pory tylko utrudniały widzenie, jeszcze bardziej się rozszalały, a mdłości całkiem nim zawładnęły. Nie czuł stóp, a przytłaczający, pulsujący ból głowy przejął nad nim kontrolę i odebrał ostatnie siły.

Nie czuł, że upada, ale gdy czerń przed oczami zmieniała się w mglistą, nierzeczywistą szarość, ujrzał świat przechylony na bok, a jego więzień był wolny, zerkał niego i skrobał coś w Kodeksie. Jess zamknął oczy. Słyszał szum i poczuł na ramieniu coś, co mogło być dotykiem dłoni, ale tak naprawdę czuł tylko ból.

Docierały do niego słowa. I światła. Ktoś powtarzał mu, żeby nie otwierał oczu i faktycznie, miał rację, bo w ciemności ból był odrobinę mniejszy.

Z głowy promieniował do szyi, ramion, klatki piersiowej, rąk i nóg. Jess cały był bólem.

W końcu poczuł chłodne szarpnięcie w okolicy nadgarstka i ciemność porwała go ze sobą.

Obudził się w swoim łóżku w Domu Ptolemeusza i wszystko wydawałoby się tylko złym snem, gdyby nie rozedrgane mięśnie i

pulsujące resztki bólu głowy. Przełknął ślinę i poczuł smak krwi.

Ktoś siedział przy nim w ciemności, ale od razu wiedział, że to nie Dario Santiago. Kiedy próbował się podnieść, jakaś ręka delikatnie go przytrzymała, a dziewczęcy głos polecił:

– Nie ruszaj się.

– Khalila? – To nie brzmiało jak Khalila, ale nie wyobrażał sobie, żeby Glain mogłaby być dla niego taka miła.

– Morgan – sprostował głos. – Zamknij oczy, zapalę światło. Mów, jeśli będzie za jasno.

Na początku było, ale zacisnął zęby. Po kilku sekundach najgorsze minęło i dał radę wychwycić rysy nowej koleżanki. Wydawało mu się, że poznał ją sto lat temu, chociaż wydarzyło się to przecież przy śniadaniu.

– Co mi się stało?

– Przyniósł cię uczony Wolfe. Zabronił ci wstawać. Przydzielił mnie do pilnowania cię, bo zaczynam zajęcia dopiero jutro. Reszta jest na dole. – Musiała zauważyć jego rozczarowanie, bo dodała: – Nie miej żalu do przyjaciół, chcieli tu być, ale Wolfe ich wezwał, żeby przekazać im jakieś wieści. Codziennie ktoś tu traci przytomność?

– Poczekaj, aż usłyszysz o ogniu greckim. – Strasznie się zmęczył tą wypowiedzią. – Jest woda?

Bez słowa wzięła z małego stolika dzban i nalała do szklanki. Wypił szybko, wielkimi łykami i wyciągnął szklankę po jeszcze. Nalała, ale tylko do połowy.

– Pij wolniej, bo cię zemdli – upomniała.

– Dobrze, mamó.

Roześmiała się, ale cicho i ze zmęczeniem. Przypomniał sobie, jak wyglądała przy śniadaniu. Jeden dzień nie wystarczy, żeby doszła do siebie, a teraz niańczyła jego.

– Z całą pewnością nie jestem twoją matką, ale słyszałam gorsze...
Czekaj, co ty robisz?

– Siadam.

– Wolfe powiedział, że...

– Podobno nie jesteś moją matką. – Już go nie powstrzymywała, gdy podciągnął się do pozycji pólśiedzącej. – Idź odpocząć. Ze mną

wszystko w porządku.

– Drzemałam tu.

– W łóżku Daria. Już samo to jest wystarczającą karą. On chyba ani razu nie zmienił pościeli, odkąd tu przyjechaliśmy. Jest przyzwyczajony, że ktoś to robi za niego.

– Brudna pościel to i tak luksus w porównaniu z tym, przez co przeszłam.

Przypomniał sobie, że tam, skąd przyjechała, szaleje wojna. Już się przyzwyczał do światła i wypił resztę wody, przyglądając jej się badawczo. Zmęczenie nie minęło, wciąż miała sińce pod oczami.

– Nic mi nie jest – zapewnił. – Idź spać. Obiecuję, że nie wstanę aż do rana.

Morgan na moment zmarszczyła czoło, ale zmęczenie okazało się ostatecznym argumentem.

– Na pewno?

– Daję słowo.

Wstała, przeciągnęła się i wyszła, ale zanim drzwi się za nią zamknęły, on już stawiał stopy na podłodze. Był boso, a ręką usiłował namacać buty. Jednocześnie oraz bardziej rozpalał lampę. Kiedy robił to powoli, łatwiej mu się było uporać z wciąż dzwoniącym w głowie echem bólu. Więcej wody. Zanim podjął próbę podniesienia się, opróżnił dzbanek do połowy.

Uznał, że to za mało, więc przez chwilę stał nieruchomo, a potem powoli ruszył. Korytarz był pusty. Doszedł do schodów i tam musiał odpocząć; potem zszedł.

Ze świetlicy dochodziły głosy, niezrozumiała mieszanka, ale wszyscy zamilkli, gdy pojawił się w drzwiach. Usiłował stwarzać pozory, że wszystko jest w porządku i opiera się o framugę wcale nie dlatego, że inaczej upadnie.

– Miałeś leżeć płasko na plecach. – O dziwo, to Santiago odezwał się pierwszy. Gdy jednak zdał sobie sprawę, że mogło to wyglądać jak objaw troski, ze sztuczną obojętnością dodał: – Ale pewnie chcesz, żeby wszyscy wokół ciebie skakali?

– Siadaj – polecił Thomas i przyciągnął fotel. – Powinieneś być w łóżku. Wolfe mówił...

– Nic mi nie jest – skłamał Jess. – Co straciłem?

– Jutro jest losowanie – odparła Khalila. – Wszyscy ciągniemy żetony.

Przez chwilę obawiał się, że ból głowy nieodwracalnie uszkodził mu mózg, bo to, co słyszał, nie miało sensu.

– Wszyscy? – powtórzył. – Wszyscy nawaliliśmy?

– Wygląda na to, że tak – zapewnił Dario. – Łącznie z Khalilą. Musieliście być tak żałośni, że nawet nasz najśłodszy kwiat pustyni oberwał rykoszetem, nie widzę innego rozwiązania.

– Nie wyjaśnił, co zrobiliśmy?

– Ani słowem – zapewniła Khalila. Nastrój w świetlicy był minorowy; ktoś otworzył butelkę szkockiej, której Jess nagle zapragnął. – A przecież tam byłam. Znaleźliśmy książki. No dobrze, ty znalazłeś. Aresztowaliśmy winnych. Co zrobiliśmy nie tak?

– Zaczekaj – przerwał jej Jess. – Kiedy to losowanie?

– Jutro rano – odpowiedział Thomas. Siedział w pozycji wyrażającej całkowitą rezygnację: plecy miał zgarbione, a głowę spuszczoną. – To całkowicie niesprawiedliwe.

– A kto mówił, że życie jest sprawiedliwe? – rzucił Danton z Francji. Jess uznał, że kto jak kto, ale on może coś na ten temat powiedzieć. – Musi ograniczyć liczebność uczniów, przecież od początku mówił, że może zostać najwyżej sześcioro. Podejrzewam, że zamierza to zrobić w ten sposób. Niesprawiedliwie.

– Nie ma prawa! – Glain była wzburzona.

– Ma wszelkie prawo – zaoponował Dario. – Jest naszym opiekunem naukowym. Zanim przyjęli naszą trzydziestkę, odrzucili dziesiątki tysięcy. Biblioteka nie cierpi na niedostatek obiecujących kandydatów. Nie jesteśmy wiele warci.

– Dlaczego oblewa nas wszystkich? Musi mieć jakiś powód. Dario wzruszył ramionami.

– Myślę, że dlatego, że może. I że nas nie znosi. Wielki Uczony bujający się z nami? Niby czemu? Podejrzewam, że zajmowanie się gromadą amatorów takich jak my, to dla niego kara.

Interesująca koncepcja, i całkiem prawdopodobna. Uczeni tacy jak Wolfe nieustannie jeździli po świecie, prowadzili badania i

eksperymenty, pracowali dla dobra Biblioteki. Zrobienie z niego niańki wydawało się stratą potencjału, a to do Biblioteki niepodobne.

– Ja wiem, co zrobiliśmy źle – odezwał się cichy głos. Rozmowy powoli ucichły i wszyscy zaczęli się rozglądać w poszukiwaniu autora wypowiedzi. Przy kominku siedziała Izumi. Prawie zawsze mówiła cicho, niemal z obawą, ale rzadko się myliła. – Nie zapytaliśmy.

– O co? – nie zrozumiał Jess.

– Co się stanie z książkami, które skonfiskowaliśmy.

– Przecież wiemy. Odesłaliśmy je do Archiwum. Użyliśmy znaczników, tak jak nas nauczył Wolfe – przypomniał Dario. – To by było głupie pytanie.

Izumi w końcu podniosła spuszczoną głowę i spojrzała prosto na niego. W jej stanowczym spojrzeniu pojawił się nieoczekiwany ogień.

– Znaleźliście jakieś rzadkie książki?

Dario wzruszył imionami.

– W miarę.

– Ale już będące w Kodeksie. – Izumi szybko się rozejrzała. – Czy ktoś z was znalazł unikat?

Nikt się nie odezwał. Jess przeleciał w głowie listę książek; znalazły się na niej rzadkie pozycje, ale nic wyjątkowego.

– Co Biblioteka robi z rzadkimi książkami, które nie są unikatami? – dopytywała się Izumi. – Odsyłamy je do Archiwum za pomocą znaczników, ale co się z nimi dzieje, gdy już nadejdą?

– Przechowują je. To ich robota – odpowiedział Portero.

– Tak myślisz? A niby czemu mieliby to robić? Przecież mają oryginały. Odwzorowują je w blankietach. – Na chwilę zamilkła, ale zaraz podjęła temat: – Słyszałam, że je niszczą. Palą na stosach.

– Kłamstwo!

– Skąd wiesz? Dlaczego nie mieliby ich po prostu zniszczyć? Jedna okazja dla szmuglerów mniej!

– Niemożliwe – zaproponował Thomas. – Biblioteka niszcząca książki? To wbrew wszystkiemu, czego nas uczą!

– Tak – przyznała. – Prawda. Ale przecież to nie byłby pierwszy raz. – Zastukała o blankiet, który właśnie czytała, żeby go wyczyścić, a potem odstawiła na półkę i wyszła.

– Niemożliwe – orzekła Glain. – Biblioteka nie może w tajemnicy niszczyć książek.

– Ale nie spytaliśmy. Ona ma rację – stwierdził Jess. – Nie wiemy, co się dzieje z książką, która trafia do Archiwum.

Pograżyli się w żywiołowej dyskusji, która zmieniła się w gorzkie rozważania, kto ich opuści rano. Niektórzy stwierdzili, że tym razem nie wezmą udziału w zabawie Wolfe’a. Uformowały się dwa obozy: jedni twierdzili, że to podstęp, który ma sprawdzić, kto będzie się bronił, drudzy woleli nie ryzykować wściekłości uczonego.

Jess czuł się zbyt zrezygnowany, żeby się tym przejmować. Nic nawet nie napisał w dzienniku.

Nie widział sensu.

Nazajutrz rano Wolfe’a nie było. Śniadania też nie, choć zwykle czekało w świetlicy, zanim jeszcze zadzwoniły dzwonki. Jess zszedł, żeby coś zjeść, ale stół był pusty.

Nie licząc otwartego blankietu, więc podszedł, żeby przeczytać. „Wylosuj żeton”. Tylko tyle.

Pojemnik stał obok. Jess akurat się w niego wpatrywał, gdy usłyszał za plecami kroki. Ciężkie. Wiedział, do kogo należą, zanim jeszcze Thomas się odezwał.

– *Mein Gott*, czyli nie żartował.

– Na to wygląda – przyznał Jess. A w myślach zżymał się na niesprawiedliwość. Robił wszystko, co Wolfe mu kazał, ścigał Santiago z tą przeklętą mapą. Mało przy tym nie wyzionął ducha. I tyle miał dostać w zamian – całkiem sporą szansę, że zostanie wyrzucony... za nic.

Thomas stanął obok i też wpatrywał się w wypisane w blankiecie słowa, a potem na pojemnik z rysunkiem Horusa i Maat. Jess po raz pierwszy przyglądał się tym przedmiotom z tak bliska i zauważył, że zarówno pojemnik, jak i żetony są stare. Bardzo stare. Gładkie żetony z kości słoniowej były wytarte i pośliznięte od dotyku tysięcy spoconych, zdenerwowanych palców.

Thomas westchnął i wyciągnął rękę, żeby wylosować.

Jess złapał go za ramię.

– Nie.

– Jeśli nie wylosuję, i tak będzie po mnie – wyjaśnił Thomas. – Powinniśmy zrobić to, co kazał. – Zamieszał i wyciągnął jedną płytkę, a potem zamknął ją w dłoni. Nie spojrzał na numer. Jess bez słowa wskazał na jego zamkniętą pięść, ale Thomas pokręcił głową. – Co mi z tego, że spojrzę. Albo zostanę, albo wyjadę, nie mam na to żadnego wpływu. Losuj, Jess, i siądźmy przy ogniu. Wilgotny dzisiaj poranek.

Thomas tu był, jako milczący i spokojny świadek, więc Jess uznał, że nie ma wyjścia. Poza tym nie chciał dać po sobie poznać, jak bardzo się boi, chociaż przerażenie sięgało do szpiku kości. Cała jego przyszłość sprowadzała się do tego pojedynczego, głupiego, ślepego przypadku.

Też nie sprawdził numeru. Włożył rękę do pojemnika, zamieszał i wyciągnął żeton. Potem włożył do kieszeni, obok Kodeksu, bo gdyby tego nie zrobił, nie mógłby się oprzeć pokusie gapienia się na numerek jak jakiś szemrany wróżbita z targowiska.

Do świetlicy weszły Morgan i Izumi. Zawiązała się między nimi szybka, choć raczej milcząca przyjaźń. Jess pomyślał, że Morgan wyglądała na bardziej wypoczętą, poza tym przebrała się z przytłaczających angielskich ubrań w lnianą sukienkę w odcieniu śródziemnomorskiego błękitu. Kolor do niej pasował. Policzki miała zaróżowione. Obserwował ją, gdy wraz z Izumi zatrzymały się w progu i zajrzały do świetlicy. Spojrzała mu w oczy i lekko skinęła głową, nie uśmiechając się jednak. Odwzajemnił skinienie.

– Zawsze dostajecie kościane płytki na śniadanie?

– Co czwartek – odpowiedział Thomas, stanowczo zbyt radośnie. – Są chrupiące. I dobrze robią na trawienie.

Izumi wywróciła oczami, podeszła do stołu i wyciągnęła żeton.

– Mogliby przynajmniej przynieść kawę – oznajmiła. – Nie wiem, jak to przeżyję bez kawy.

Morgan niepewnie wpatrywała się w pojemnik i Jess wiedział, że się zastanawia, czy powinna losować, skoro był to jej pierwszy dzień. Gdyby nie dopisało jej szczęście, nie spędziłaby na szkoleniu nawet jednego pełnego dnia.

– Nie powinni ci kazać – stwierdził, a Morgan się odwróciła, żeby na niego spojrzeć. Przelotnie się uśmiechnęła, trochę dziwnie, a następnie sięgnęła po żeton.

– Jestem częścią grupy – oznajmiła. – Uczony Wolfe polecił, żeby każdy wylosował. Więc wylosowałam. Jestem jedną z was.

Jess miał niemal stuprocentową pewność, że sam by takiej decyzji nie podjął i upierałby się, że nie powinien ponosić konsekwencji wydarzeń, przy których nie był obecny. Nie potrafił stwierdzić, czy jej odwaga mu zaimponowała, czy go zdziwiła.

W każdym razie na pewno się nie nudził.

Powoli schodzili się pozostali, jedno po drugim, a każdy reagował inaczej. Większość się wściekała, bo myśleli, że Wolfe żartował, co według Jessa było równie prawdopodobne jak to, że w Egipcie spadnie śnieg. Glain wylosowała, ale wcześniej narzekała z goryczą, a Dario aż kipiał i odgrażał się, że jeśli będzie musiał odejść, jego rodzina użyje swoich znajomości, żeby zniszczyć Wolfe'owi karierę. Niektórzy demonstrowali, jak bardzo ich to nie obchodzi, chociaż Jess wiedział, że to nieprawda. Wszyscy walczyli, żeby się tu dostać. I przetrwać.

Każde miało głębokie przekonanie, że spotkała ich straszliwa niesprawiedliwość.

Mniej więcej połowa odmówiła losowania. Hallem jako pierwszy. Niektórzy odkładali wylosowane już płytki do pojemnika.

– Lepiej tego nie róbcie – upomniała Khalila, losując. Przyszła jako ostatnia. Jess przeliczył zebranych. Byli już wszyscy. – Jak on tu przyjdzie...

Nagle okazało się, że już jest. Pojawił się w drzwiach, w czarnej todze i z chmurną miną. Już na sam widok jego nieprzejednanej twarzy Jess zrobił się wściekły.

– Na pewno wszyscy przeklinacie mnie i tę rażącą niesprawiedliwość. A w każdym razie brak śniadania. Zapewniam, że jedzenie się pojawi, gdy tylko ta mniej przyjemna część dobiegnie końca.

– Odmawiamy losowania, nie zasłużyliśmy na karę. – W imieniu połowy grupy, która nie sięgnęła po żeton, wystąpił Hallem. Był wysokim, kościstym chłopcem o złej aurze, którego wszyscy nauczyli się unikać, ale taka publiczna konfrontacja z Wolfe'em wydawała się nawet nie w jego stylu. Później Jess zauważył pot na jego twarzy, mokry kołnierzyk i dziwnie rozszerzone źrenice.

Musiał rano zażyć coś, co miało mu dodać odwagi, ale jednocześnie odebrało zdrowy rozsądek.

– Proszę wrócić do grupy, postulancie.

Ale Hallem się nie wycofał.

– Niech nam pan powie, co zrobiliśmy źle. Jest nam pan to winien.

– Nic wam nie jestem winien. Proszę się cofnąć – polecił ponownie Wolfe. Mówił spokojnie, ale w jego słowach czaiła się groźba. Hallem jednak zrobił jeszcze krok naprzód. Jess wymienił szybkie spojrzeniem z Dariem, który wydawał się równie zaskoczony, jak cała reszta. O dziwo, sam nie stanął w szeregach buntowników. Jego przyboczny, Portero, też nie.

– Biblioteka nie potrzebuje mięczaków. Potrzeba jej ludzi, którzy myślą samodzielnie. Umieją stawić czoło wyzwaniu. – Hallem zacisnął roztrzęsioną dłoń i przez moment Jess obawiał się, że całkiem stracił nad sobą panowanie i uderzy uczonego, który wpatrywał się w niego z niezmaconym spokojem. – Uważa się pan za pogańskiego bożka. Myśli pan, że ma nad nami władzę i może nas zniszczyć, bo ma pan taki kaprys. Dość tego!

– Hallem? – odezwał się Jess. – Spokojnie.

– Spokojnie? – Hallem odwrócił się do niego, a całe jego ciało zdawało się być napiętym mięśniem, drżącym z wściekłości. – Spokojnie?! Wiesz, do jakiego domu musiałbym wrócić, wycierusie? Wiesz, co mi robi ojciec?

– Na dobry początek powinien cię zamknąć w pokoju, żebyś wypociał to, czegoś się nałykał – stwierdził Thomas. Wystąpił naprzód i spojrzał na Hallema z góry. Choć zwykle uległy i łagodny, Thomas potrafił być onieśmielający, jeśli się postarał. – Sprawiedliwie czy nie, uczonego Wolfe jest naszym opiekunem. Co chcesz w ten sposób osiągnąć?

– Nie może wyrzucić nas wszystkich!

– Myślę, że może – stwierdził Thomas. – Co gorsza, myślę, że Archiwista nie będzie miał nic przeciwko temu. Opanuj się i pomyśl, co ryzykujesz. Wszyscy pomyślcie!

Wolfe nagle przestał się interesować Hallemem, tak jakby ten nie istniał.

– Żetony – zażądał. – Każde z was miało wylosować jeden. Pokażcie je.

Hallem skrzyżował ramiona.

– Ja nie losowałem. Nikt ze stojących po tej stronie pokoju nie losował. Sprzeciwiamy się pana rozkazowi.

– W takim razie ja wylosuję za was. – Wolfe sięgnął do pojemnika i wyciągnął płytkę. – Trójka. Mam nadzieję, że to szczęśliwy numer. Macie ostatnią szansę. Proszę tu podejść.

Buntownicy stojący za Hallemem – jak zdał sobie sprawę Jess, większość grupy – ani drgnęli. Znał i lubił w zasadzie wszystkich. Jestem po złej stronie barykady, uznał. Trzymał swoją gładką kościaną płytkę i obracał ją w dłoniach, czując pod opuszkami palców wycięty numer. Przyjemnie byłoby się postawić. Choćby dla odmiany zrobić coś odważnego.

Miał ochotę wrzucić swój żeton z powrotem do pojemnika.

Do Wolfe'a dołączył kapitan Santi i opierając się leniwie o framugę drzwi, obierał jabłko ostrym nożem. Jess zastanawiał się, co zrobić, ale nagle zdał sobie sprawę, że Santi patrzy wprost na niego i chociaż nic nie powiedział ani nie wykonał żadnych znaczących ruchów, Jess zamarł.

– Czy ktoś jeszcze chciałby dołączyć do protestu pana Hallema? Może mieć rację. Możliwe, że zależy mi na tych, którzy myślą samodzielnie – zasugerował Wolfe. – Ale oczywiście jest równie prawdopodobne, że mam zupełnie inne plany.

Nikt nie drgnął. Wolfe wyjął z kieszeni dwie kości i rzucił na stół. Jess obserwował, jak się toczą, przeskakują, odbijają się od glinianego pojemnika i wreszcie zamierają w bezruchu, zbyt daleko, żeby zdołał odczytać wynik. Santi wziął kęs jabłka i zbliżył się, żeby zerknąć.

– Dwa i cztery – oznajmił, przeżuwając. – Wyjmijcie żetony.

Stojący obok Jessa Thomas powoli wypuścił powietrze z płuc i otworzył dłoń.

Leżała na niej płytkę z cyfrą cztery.

– Nie – zareagował Jess. – Nie! – Thomas? Thomas nie może odjechać. To nie byłoby ani trochę sprawiedliwe.

Khalila wydała zduszony okrzyk i Jess odwrócił się, żeby spojrzeć

teraz na nią. Na drżącej dłoni trzymała taką samą płytkę. Wolfe nie może odesłać Khalili, zbyt dobrze jej szło. Ona musiała zostać.

Jess zamknął oczy i sięgnął do kieszeni po swój żeton. Przesunął palcami po naciętej powierzchni, tak jakby mógł opuszką palca odczytać numer, a następnie spojrział.

Cztery.

Już po nim. Przetoczyła się przez niego fala powolnych, przytłaczających mdłości, a on odczuł porażające zmęczenie. Gniew minął. Zostało tylko obezwładniające poczucie straty. Chciałem tego, zdał sobie nagle sprawę. Podobało mi się tutaj. Lubiłem tych ludzi.

Ale już po wszystkim. Wróci do domu zhańbiony. Jeśli ojciec w ogóle go wpuści. Już nigdy nie zobaczy tego miejsca, nie przejdzie tymi ulicami, nie zazna przyjaźni.

Morgan wpatrywała się w leżącą na jej dłoni płytkę. Krew odpłynęła z jej twarzy. Tak jak Khalila, Thomas i on sam wylosowała pechowy numer. Ale ona nie zdążyła się do tego wszystkiego przyzwyczaić, pomyślał, chociaż niesprawiedliwość jej losu dotknęła go głęboko. Przynajmniej nie pracowała tak ciężko i nie straciła aż tyle.

Niektórzy szlochali. Inni nie byli w stanie wykrztusić ani słowa. Buntownicy mruclili coś pod nosem, ewidentnie nie wiedząc, co powinni zrobić.

Jedynie Hallem wyglądał jak zwycięzca.

– Już po tobie, Wolfe. Jeśli wyrzucisz tych z nas, którzy nie losowali, zostanie ci troje uczniów. To na pewno nie jest zgodne z zasadami. – Miał rację. Matematyka była po jego stronie. Hallem wygrał. Wolfe nie mógł zostawić tylko trojga. Archiwista na pewno na to nie pozwoli.

– Twarde argumenty. Mimo to oczekuję, że wszyscy, którzy odmówili losowania, w ciągu godziny stawią się na dworcu Misr. Zostawcie bagaże w pokojach, odeślemy je do waszych domów. Chcę, żebyście zeszli mi z oczu.

– Nie może pan! – zaczął. Hallem. – Powiedział pan...

– Założenie, że zamierzam kogoś odesłać – odparł Wolfe – to pana błąd. Nie miało znaczenia, jaki wylosujecie numer, jeśli tylko wyciągnęliście żeton. Wiedziałem, że znajdą się tacy, którym wściekłość

przysłoni zdolność racjonalnego myślenia, bo wczoraj po raz pierwszy każdy z was zrobił wszystko jak należy. – Pokręcił głową. – Szkoda, że mi nie zaufaliście. Choć z drugiej strony nie dałem wam zbyt wielu powodów, prawda?

W świetlicy zapadła grobowa cisza. Wszyscy byli w szoku. Ci, którzy losowali i myśleli, że zostają, ci, którzy po losowaniu szykowali się do odjazdu i ci, którzy odmówili.

Żadne z nich nie spodziewało się takiego obrotu sprawy.

Zostało dziewięcioro, obliczył Jess. Dziewiątka, która nie dołączyła do buntu.

Jakimś cudem przeszedł do kolejnego etapu.

PRACA NAUKOWA

Fragment pracy zatytułowanej *O drukowaniu przy pomocy prasy drukarskiej: nowy początek* autorstwa starszego uczonego Christophera Wolfe'a, przyjętej do recenzji wewnętrznej przez Jego Ekszelencję Magnusa Artifexu i przekazanej przez niego Kuratorom Biblioteki. Praca oznaczona jako SZKODLIWA została na polecenie Magistra Archiwisty odesłana do Czarnego Archiwum i udostępniana jedynie jemu.

...fundamentalne założenia poczynione na samym początku, gdy Biblioteka była bezbronna jak nigdy później, mają jeden słaby punkt: Obskuryści rodzą się zbyt rzadko. Ich umiejętności można nauczyć innych jedynie do pewnego stopnia, później potrzebny jest już dar i iskra ożywiająca martwe alchemiczne teorie.

Ludzi obdarzonych tym rzadkim, niepowtarzalnym talentem rodzi się dziś mniej niż wcześniej i nawet wśród mieszkańców Żelaznej Wieży budzi się przekonanie, że ta garstka nie uniesie ciężaru całej Biblioteki, w tym odzwierciedlenia ksiąg oraz translokacji woluminów, przedmiotów, a nawet ludzi, nie wspominając już o realizacji innych zadań.

Bez Obskurystów Biblioteka upadnie. Chyba że zastąpi ich inna, całkowicie zmechanizowana metoda duplikacji wiedzy.

Proponuję natychmiastowe i powszechne włączenie do użytku maszyny zwanej przeze mnie prasą drukarską, opierającej się na systemie ruchomych czcionek, które można układać w dowolne słowa, zdania i stronicę tekstu. Czcionki naznaczone atramentem przyciska się do arkusza papieru przy pomocy zmechanizowanej dźwigni. Z tak przygotowanych stronic można złożyć całą książkę.

W ten sposób wiedzę zgromadzoną w Bibliotece można reprodukcować w nieskończoność, zdejmując ciężar tego zadania z wątych barków Obskurystów.

Załączam projekt urządzenia oraz próbną stronicę wydrukowaną przy pomocy zbudowanego przeze mnie prototypu prasy. Z przyjemnością przekażę plany do dyspozycji Biblioteki.

Adnotacja do dokumentu poczyniona przez Jego Ekszelencję Magnusa Artifexu:

Po raz kolejny objawiła się pośród nas zabójcza herezja, zapoczątkowana przez Gutenberga, tak jakby jakaś potężna i złowroga siła uparła się na zniszczenie najdoskonalszej instytucji naukowej, jaką poznała ludzkość. Tym bardziej jest to niepokojące, że myśl owa zrodziła się w umyśle jednego z naszych najważniejszych i najbardziej cenionych uczonych, tak blisko związanego z Żelazną Wieżą.

Tak jak w przypadku Gutenberga i innych, którzy przyszli po nim, musimy bezwzględnie i jak najszybciej zniszczyć owo zarzewie buntu. Nie mamy innego wyjścia.

Adnotacja Jej Ekscelencji Magnus Obskurystów do powyższego dokumentu:

Nie ma wątpliwości, iż praca uczonego Wolfe'a musi zostać zniszczona, jednak nie mogę wyrazić zgody i nie zgodzę się na eliminację samego uczonego. Wszelkie jego dzieła, nawet te niezwiązane z rewoltą, o której mowa, można usunąć z Kodeksu i przenieść do Czarnego Archiwum. Możemy pozbyć się go, nie odbierając mu życia.

Należy zabrać go na przesłuchanie i poinstruować w zakresie jego błędnych przekonań. To uczyniwszy, można na nowo uczynić go przydatnym Bibliotece, pod nieustannym i baczным nadzorem Jego Ekscelencji Magnusa Artifexu.

Musi też, co zrozumiałe, przyjąć do wiadomości, że akt tak nadzwyczajnej łaski już się nie powtórzy i że został przy życiu dzięki wyrozumiałości Archiwisty i Kuratorów.

Wykonanie powyższego pozostawiam w rękach Artifexu.

Rozdział 5

Dom Ptolemeusza zmienił się z przybytku klaustrofobicznie ciasnego w nieznośnie pusty, odkąd wśród jego ścian krążyło jedynie dziewięcioro postulantów. W tym kilkoro, których Jess chętnie by się pozbył już jakiś czas temu, czyli Santiago, Portero i Glain. Pojawienie się w ich szeregach Morgan wynagradzało mu jednak konieczność obcowania z nimi. Lubił jej towarzystwo. Bardziej niż powinien, o czym wiedział. Zostało ich dziewięcioro, zatem troje będzie musiało odpaść, bo walczyli o sześć wakatów.

Rankiem trzeciego dnia po fałszywym losowaniu Jess wstał przed

pobudką i w świetlicy zastał Khalilę, która przyszła przed nim i już sączyła kawę, zaczytana w blankiecie, z którym się nie rozstawała. Pewnie dzięki temu przetrwała wszelkie zawirowania w świecie Biblioteki.

– Coś się stało? – spytał Jess i nalał sobie kawy. Wzruszyła ramionami. – Nigdy nie schodzisz tak wcześnie. Śpisz do oporu i zjawiasz się w ostatniej chwili. Zauważyłem to.

Zamknęła książkę.

– Chciałam z tobą porozmawiać na osobności, a ty wcześnie wstajesz.

– O czym porozmawiać? – Popatrzyła na niego znacząco. – Jeśli czekasz, aż zgadnę, to nie czekaj, bo nie mam pojęcia – oznajmił Jess i podał jej kawałek ciasta, które wyjątkowo lubiła. Zawierało rodzynki. On ich nie znosił, ale ona zaczęła z entuzjazmem pałaszować.

– Powinieneś być ostrożniejszy. – Zamarł. Ona wie. O jego rodzinie. Ale okazało się, że się mylił. – Pewnie już zauważyłeś, ale wszyscy widzą, że poświęcasz tej dziewczynie zbyt wiele uwagi.

– Glain? No cóż, jest bardzo wysoka, trudno na nią nie patrzeć. – Khalila tylko westchnęła, więc przestał żartować. – Chodzi ci o tę nową dziewczynę? Morgan? Niech będzie, lubię ją. W niczym nie przypomina Glain.

– Glain jest w porządku. Po prostu bywa trochę bezpośrednia.

– W takim razie co myślisz o Morgan?

Khalila znieruchomiała nad kubkiem.

– Jest tajemnicza, a to niebezpieczne, zwłaszcza tutaj. Pamiętaj o tym. Nie powinieneś się rozpraszać akurat teraz.

– Lubię tajemnice.

– Lubisz wyzwania. I zapewniam cię, że ona świetnie o tym wie. Jest bardzo mądra. Zbyt mądra. Może tego nie dostrzegasz, ale ja tak.

– Więc jej nie lubisz?

– Bardzo ją lubię. Po prostu jej nie ufam. I ty też nie powinieneś. Myśmy spędzili już sporo czasu ze sobą. Pociliśmy się razem. Ponosiliśmy porażki. A ona... – Khalila postukała paznokciem w ciężki gliniany kubek. – Ona jest jak blankiet. Dopóki nie zobaczymy, czym są zapisane jej stronice, ja bym uważała.

– Zostało nas tylko dziewięcioro. Troje i tak będzie musiało odjechać. Może powinienem się niepokoić tymi, których znam?

Khalila skwitowała to kolejnym wzruszeniem ramion i smutnym półuśmiechem. Jess pomyślał, że się zmieniała. Dojrzała. Czuje się pewniej w swojej skórze i ze swoim geniuszem. Tutaj, wśród ludzi, którzy ją szanują, rozblęśla jak brylant.

Do niej też mogłoby go ciągnąć, gdyby nie dała wszystkim jasno do zrozumienia, że jest nie do zdobycia. Tylko Dario się do niej umizgiwał, a ją to trochę drażniło, ale i trochę jej schlebiało. Sama stosowała się do rady, którą dawała jemu. Troje z nas będzie musiało odejść.

Nie chciała być jedną z nich. Ani zrezygnować z kogoś, kogo kochała. I nie zamierzała się rozpraszać.

Później zaczęli jeść i nie wracali już do tego tematu. Podobało mu się, że Khalila potrafi wyłożyć, o co jej chodzi, a potem odpuścić. To skuteczne.

Następny przyszedł Portero, ziewający i burkliwy. Wymruczał coś na powitanie, naładował pełny talerz i usiadł daleko od nich. Dario nalał sobie kawy i przysiadł się do niego. Glain unikała wszystkich w dalszym ciągu, i siadła sama, w każdym razie do momentu przybycia Morgan z Izumi, które wtargnęły w jej przestrzeń osobistą. Zniosła to, ale na szczęśliwą nie wyglądała.

Thomas wpadł prawie spóźniony. Gdy sięgał po ciasto, Izumi, która przyszła po dokładkę – co było niesamowite, biorąc pod uwagę, jaka była szczupła – odtrąciła jego rękę.

– Umyj łapy, zanim dotkniesz jedzenia. Jesteś brudny!

Miała rację. Palce miał ciemne od smaru. Zarumienił się i wyszedł. Gdy wrócił, skórę miał wyszorowaną i nałożył sobie lekkie śniadanie, a potem dosiadł się do stolika Jessa i Khalili.

– *Guten morgen* – przywitał się. – Jak myślicie, dotrwamy do końca dnia?

– Zależy – odparł Jess. – Nie wiemy, co Wolfe dla nas zaplanował. Nad czym pracujesz? – Thomas wydzielił sobie na dole warsztat w kącie starego składziku i ratował starocie znalezione w śmietnikach albo kupione na targu. Biorąc pod uwagę ilość pracy, jaką fundował im

Wolfe, pozostawało tajemnicą, jakim cudem znajduje na to czas, ale upierał się, że go to bardzo odpręża.

– To będzie coś niesamowitego – odparł, a minę miał jednocześnie zachwyconą i przebiegłą. – Myślę, że tobie się wyjątkowo spodoba, Jess. Widzicie, zastanawiałem się nad tym, jak działa Kodeks.

– Kodeks działa dzięki Obskurystom, a Wolfe podkreślił, że szczegóły pozostają ich tajemnicą – przypomniała Khalila. – Myślałam, że już o tym wiesz.

– Wiem! Ale pomyśl, co by było, gdybyśmy mogli się od tego uniezależnić.

– Od czego?

– Od Kodeksu. Obskurystów. Od wszystkiego.

– Chyba żartujesz! To są fundamenty Biblioteki! – Khalila zniżyła głos, a Jess zobaczył na jej twarzy niepokój. Gdy Thomas znów chciał się odezwać, nakazała mu gestem, żeby mówił ciszej.

Jednak „ciszej” w wykonaniu Thomasa oznaczało ochryply szept, więc Jess wątpił, czy to cokolwiek zmieni.

– To jest nieefektywne, prawda? Obskuryści rodzą się rzadko. Sama powiedziałaś na zajęciach, że to niepewne źródło wiedzy. Bezpieczniej byłoby znaleźć inną metodę. A gdyby udało nam się wyeliminować konieczność używania Kodeksu?

– Chyba oszalałeś – stwierdził Jess. – Kodeks jest konieczny. I zawsze będzie.

– A jeśli wam pokażę, że tak być nie musi? Jeśli pokażę wam coś lepszego?

– To w ciągu jednego dnia zostaniesz Magistrem Archiwistą. Oczywiście jeśli to zadziała.

– Zadziała – odparł Thomas z niewzruszoną pewnością.

– No to pokaż.

– Nie teraz. Jeszcze nie jest gotowe. Ale kiedy będzie, okaże się, że Kodeks nie jest konieczny.

Khalila wciąż marszczyła czoło.

– No, nie wiem. To brzmi jak herezja. Bądź ostrożny, dobrze? Obiecuj.

– Nie jestem Podpalaczem!

– Nie powiedziałam, że jesteś, tylko że to brzmi, jak...

Kodeks Jessa rozbłysnął i zabuczał. Wyciągnął go z kieszeni, a wtedy ożyły także Kodeksy innych.

Wiadomość od Wolfe'a.

Zawierała jedynie adres, nic więcej. Żadnych instrukcji, ale nie mieli wątpliwości, co mają zrobić. Jess dopił kawę i wszyscy wkoło zrobili to samo.

– Chodźcie – zarządziła Glain i jako pierwsza ruszyła do drzwi. – To kawałek stąd. Musimy się śpieszyć.

Upał spływał prosto z rozpalonego, topniejącego wręcz słońca, na niebie nie było śladu obłoków, a bryza znad oceanu niewiele pomagała, bo każdy powiew przesycony był wilgocią. Wprawdzie Jess już się przyzwyczajał do klimatu, ale półgodzinny marsz za sadzącą długie kroki Glain sprawił, że zaczął naprawdę tęsknić za przeszywającym do szpiku kości chłodem londyńskich zim. Lekka bawełniana koszula, którą miał na sobie, kleiła mu się nieprzyjemnie do skóry, a czubek głowy miał tak rozgrzany, jakby ktoś przycisnął do niego rozgrzany metal. Przypomniawszy sobie, że ma wodę i powinien się napić, dopiero gdy Thomas, z twarzą czerwoną jak burak, to zrobił.

– To tutaj – oznajmiła Glain i wskazała na niczym niewyróżniający się sklep przy ulicy. Zatrzymała się, a gdy Dario przepchnął się obok niej, złapała go za ramię. W przeciwieństwie do całej reszty nie wyglądała na zmęczoną ani nawet na zgrzaną. Jess nie miał pewności, czy się w ogóle pociła.

– Czekał, coś tu jest nie tak.

– Co znaczy nie tak? Wolfe po nas przysłał. Podał nam ten adres. Czego się boisz? – Odepchnął jej rękę i poszedł naprzód.

Reszta ruszyła za nim. Jess obserwował Glain, która została na końcu. Używa nas jako tarczy, pomyślał.

Naprawdę coś przeczuwała. Nie miał pojęcia co, ale włoski na karku ostrzegawczo stanęły mu dęba.

Dario dotarł już do wejścia do sklepu, gdy Guillaume Danton zawołał:

– Stój! – Dario zamarł i odwrócił się ze zmarszczonymi brwiami.

Guillaume z przerażeniem wciągnął powietrze i powiedział:

– Wycofaj się, Dario. Ostrożnie. Natychmiast.

– Nie wygłupiaj się, tu nic... – Dario spojrział w dół i zamilkł.

Dotykał nogą cienkiego, niemal niewidocznego srebrnego drucika rozciągniętego w poprzek drzwi. Guillaume podszedł i kucnął, zbliżając twarz do drutu. Potem się wyprostował.

– Nie widzę, dokąd prowadzi. To może być alarm albo coś gorszego. Podpalacze czasem używają takich mechanizmów do spuszczenia z góry ognia greckiego. – Wszyscy na niego spojrzeli. – Nigdy nie mówiłem, że moja rodzina nie wie, jak to się robi.

Dario bardzo ostrożnie się wycofał.

– Chodźmy stąd – zaproponowała Khalila.

– Wolfe kazał nam tu przyjść – przypomniał Thomas. – Myślę, że chodzi mu o to, żebyśmy weszli do środka.

Izumi westchnęła.

– Dlaczego on się upiera, żebyśmy robili takie rzeczy? Dlaczego nie możemy się po prostu uczyć? Na przykład jak zarządzać Serapejonem? Przyjechałam tutaj, żeby zostać uczoną!

– Nie dotarło do ciebie? – odszczeknęła Glain. – To nie dlatego zostaliśmy wybrani. Gdybyśmy chcieli być bibliotekarzami, nie byłoby nas tutaj. Uczylibyśmy się w naszych ojczystych miastach i podpisywali roczne umowy, żeby dostać miedzianą opaskę. Jeśli chcesz być uczoną, musisz być lepsza. Musisz umieć się poruszać po świecie.

Glain miała rację. Świętą rację. Jess wiedział też, że rację ma Thomas: ucieczka oznaczałaby wielki minus. Wolfe chciał, żeby znaleźli się w środku.

– Musimy wejść – powiedział na głos. – Dobrze o tym wiecie.

– No to idźcie – zachęcił Danton i się wycofał. – Poczekam tutaj. Lepsza porażka niż pogrzeb.

– Tchórz – rzucił Portero. Danton uniósł brwi i skrzyżował ramiona na znak, że nic go to nie obeszło. – Dobrze, zostań. Ja pójdę pierwszy.

– Czekał – powstrzymał go Jess. – Nie od frontu. Jest inna droga. Wszyscy na niego spojrzeli.

– Skąd wiesz? – spytał Dario.

– Bo zawsze jest. – Nie po to przez całe dzieciństwo ganiał z miejsca na miejsce, żeby się niczego nie nauczyć. – Poczekajcie tu.

Sprawdzę.

Zauważył zaułek w ostatniej chwili, gdy już go prawie mijali. Otwierał się zaledwie na szerokość ramion, a ściany zlewały się i powodowały takie złudzenie optyczne, że jeśli się nie szukało, można by go nie zauważyć. Po drodze miał oczy szeroko otwarte, ale nie natrafił na rozpięte druty ani zwisające z góry pułapki. Zaułek prowadził na tyły. Odwrócił się i skinął na resztę. Przyszli w ślad za nim na podwóreczko za budynkiem.

Drzwi były zamknięte.

– Co teraz? – spytała Khalila. Sytuacja wytrąciła ją z równowagi. Doświadczenia zdobyte w jej świecie nie podsuwały rozwiązań tego problemu.

Glain odwróciła się do Jessa.

– Zamknięte. Umiesz otworzyć?

– Chyba tak.

Rozejrzała się i pomogła mu znaleźć kawałek drutu, z którego zdarł otoczkę, a następnie wygiął pod odpowiednim kątem. Zamek okazał się nieskomplikowany. Jego ojciec byłby zawiedziony, że otwarcie go zajęło mu aż tak dużo czasu, ale pozostali byli pod wrażeniem. Gdy zaczął otwierać drzwi, Glain złapała za klamkę i pokręciła głową.

– Cofnij się – poleciła. – Wy też. Cofnijcie się i rozejdźcie na boki.

I słusznie. Nagłym, mocnym kopniakiem wyważyła drzwi, a następnie uskoczyła na prawo. Wisząca od wewnątrz butelka spadła na kamienną posadzkę. Chemiczny zapach uderzył Jessa, zanim ujrzał pojedynczy, wściekle zielony płomyk. ogień grecki, ale na szczęście butelka była prawie pusta. Nikogo by nie zabiło, ale mogłyby zostać blizny.

Glain odgarnęła nogą szkło, wkroczyła do środka i zamarła.

– Co tam jest? – spytał Jess.

Parsknęła i weszła dalej, żeby z wściekłością spojrzeć na uczonego Wolfe'a, siedzącego na krześle i spokojnie pijącego herbatę.

– Wolno, ale w normie – orzekł. – Dobra robota, Glain.

– Ogień grecki? – Glain stanęła przed nim i patrzyła z wściekłością. Jess musiał przyznać, że jej rozeźlone spojrzenie naprawdę miało moc. – A co to miał być za sprawdzian?

– Godzinę temu to w ogóle nie był sprawdzian – odparł Wolfe. – Santi i jego ludzie aresztowali w tym sklepie bandę Podpalaczy i rozbroili szereg pułapek. Kilka zostawili dla was, choć zadbali, żeby były względnie bezpieczne. Zręcznie ominęliście drut przy wejściu frontowym i ogień grecki na tyłach. Teraz pomóżcie postulantowi Dantonowi w przeszukaniu pomieszczenia.

– Dantonowi? – Jess się odwrócił i ujrzał Guillaume’a przeglądającego pudła.

– Zaczekałem, żeby sprawdzić, czy szlag was tam nie trafi – wyjaśnił. – Ale ponieważ nic się nie stało, uznałem, że mogę wejść. – Wziął pudełko ze sterty stojącej obok niego i wyniósł na środek pomieszczenia. – Oto, co znalazłem: miedziane zapalniki. Podpalacze używali ich do dużych zbiorników z ogniem greckim. Chyba musieli planować grubszą akcję.

– W istocie – przyznał Wolfe. – Ale resztę musicie rozgryźć sami.

Zebraли wszystko, co nie pasowało do tego miejsca, będącego dotąd fabryczką ceramiki, od miesiący niedziałającą. Nie pozostał ślad po glinie czy kołach garncarskich. Jess znalazł pudło z czymś, co wyglądało na luźne kartki, ale ze ściśniętym żołądkiem zdał sobie sprawę, że to wnętrza książek, wyrwane z opraw i rzucone na stos. Nie były to cenne dzieła, większość tytułów znał, a pozostałe sprawdził w Kodeksie. Popularne na czarnym rynku kopie.

Po co ktoś je niszczył? Podpalacze palili książki w ramach protestu, publicznie. Niszczenie ich w zaciszu sklepu wydawało się dziwne.

To Thomas poskładał tajemnicę w całość, znajdując sens w skrawkach metalu, papieru i skóry oraz w słoiczkach kleju. Przyjrzał się wszystkiemu, co zgromadzili na środku podłogi i orzekł:

– Wmontowywali zbiorniczki z ogniem greckim w okładki wypatroszonych książek. Ale po co?

Wolfe podniósł się z krzesła, zerknął na zniesione przez nich przedmioty i skinął głową.

– Ofiarę łapie się w sidła przy pomocy tego, co lubi najbardziej. Uczeni uwielbiają oryginały. Książki z bombami w środku wkładali między prawdziwe tomy. Później wystarczyło już tylko doprowadzić do

konfiskaty i wysłania książek do magazynu.

Khalila zakryła ręką usta.

– Zniszczeniu mogło ulec Archiwum – dokończył za nią Wolfe. – To najwyższy cel Podpalaczy. Rzadko działają w samej Aleksandrii. Zwykle czają się na peryferiach, ale to gniazdo żmij było wyjątkowo jadowite. Chciałem, żebyście to zobaczyli. Zastanówcie się nad tym.

Nagle Jess z nieoczekiwaną wyrazistością przypomniał sobie ciemne od sadzy blizny i wgłębienia na schodach Londyńskiego Serapejonu, ujrzone tamtego dnia, gdy uciekał przed lwami. Podpalacze od lat mieli chrapkę na Bibliotekę św. Pawła, na długo przed jego urodzeniem, a gdy miał dziewięć lat, zabili setki osób w tym właśnie zamachu. Znajdował się daleko od tego miejsca, a mimo to widział strzelające w powietrze słupy dymu i słyszał z oddali krzyki. To był najgorszy atak w historii, nie licząc tych, do których nieustannie dochodziło w Ameryce, gdzie Podpalacze doprowadzili do zamknięcia czterech z największych bibliotek siostrzanych w kraju. Serapejon wciąż działał. Tam nikt się nie ośmielił wejść.

– Są coraz odważniejsi – stwierdziła Glain. – Z roku na rok ataków jest coraz więcej. Czemu Biblioteka nie może ich powstrzymać?

– Staramy się – zapewnił Wolfe. – Planując ataki, nauczyli się pomijać Kodeks, porozumiewają się listownie albo przez posłańców. Nie robią nic, co Obskuryści mogliby przechwycić.

– Proszę pana? – Thomas otrząsnął się z zamyślenia nad stertą papierów. Minę miał bardzo poważną. – Jak blisko już są?

– Tym razem nie bardzo. – Wolfe rozejrzał się i Jess po raz pierwszy odczuł, że traktuje ich jak istoty mające potencjał. – Ale w ogóle są i to jest problem. Być może niektórzy z was dorastali w miejscach, gdzie Podpalaczy się akceptuje albo wręcz zachęca do działania, ale wiedźcie jedno: gdy włożycie opaskę Biblioteki, staną się waszymi wrogami. Dlatego tyle czasu poświęcamy uczeniu was czujności.

– Przepraszam – Izumi niepewnie podniosła rękę. Zaczekała, aż skinie głową, dopiero potem mówiła dalej: – Czy powstrzymywanie Podpalaczy nie jest zadaniem Najwyższej Straży? A nie uczonych?

– Tak było – przyznał Wolfe. – Ale teraz to także nasza sprawa.

Mnie też się to nie podoba, ale taki jest świat, w którym żyjemy. I przygotowuję was do życia w nim. – Podszedł do drzwi i odwrócił się tylko na chwilę, żeby ich ostrzec: – Pamiętajcie o drucie. Nie został rozmontowany.

Drogę powrotną do Domu Ptolemeusza przebywali w ponurym milczeniu. Jess wciąż czuł smród składników ognia greckiego, przywołujący wspomnienie mężczyzny płonącego na stacji św. Pankracego. „Przygotowuję was do wejścia w ten świat”. Jess dorastał jako szmugler, mając świadomość, że książki są cennym towarem, a jego rodzina zaspokaja jedno z podstawowych ludzkich pragnień.

Nie rozumiał Podpalaczy. Nawet nie chciał ich zrozumieć. Chciał wrócić do bezpiecznego miejsca, gdzie nie musiałby więcej o tych sprawach myśleć. Wiedział jednak, że nie ma już bezpiecznych miejsc. Zresztą może nigdy nie było.

I pewnie właśnie dlatego ojciec go tu przysłał. Żeby się tego dowiedział.

W nocy śniły mu się idące za nim automatyczne lwy, ale gdy się odwrócił, lekko, jakby nic nie ważył, nie lwy go ścigały, tylko młody mężczyzna z butelką ognia greckiego, który z krzykiem otworzył ją sobie nad głową.

Był to on sam.

W środku nocy pijany w sztok Dario wtoczył się do pokoju i zaczął chrapać. Brzmiał jak zardzewiały łańcuch, którym ktoś tarł o metal, i nie zamierzał przestać. Jessowi przemknęła przez głowę kusząca myśl, żeby go po prostu udusić, ale uznał, że to jednak nie na miejscu, więc ubrał się w ciemności i po cichu zszedł po schodach.

Uznał, że kanapa w świetlicy wystarczy. A jutro weźmie niewielką walizkę i przeniesie się do jednego z pustych pokojów. Dawno już powinien był to zrobić. Dario się ucieszy, że znów będzie miał pokój dla siebie.

Gdy jednak dotarł do świetlicy, drzwi okazały się zamknięte. Szarpnął za klamkę, ale nic to nie dało.

Przyłożył ucho do drzwi, ale po drugiej stronie panowała cisza jak makiem zasiał. Ktoś mógł je zamknąć przez pomyłkę, zdarzyło się to już nieraz, ale jeśli Portero przyprowadził jedną ze swoich dziewczyn, będą

mieli przykrą niespodziankę. Jess pod żadnym pozorem nie zamierzał stracić żadnej z cennych godzin snu, które mu jeszcze zostały.

Sięgnął po klucz leżący na gzymsie nad drzwiami. Po kilku przypadkowych zamknięciach drzwi Thomas zorganizował klucz, który już nieraz się przydawał.

Otworzyły się bezgłośnie. Spodziewał się, że świetlica będzie pusta,

Ale w środku zastał Morgan Hault.

Ubrana była w gruby egipski szlafrok, a włosy splotła w warkocz przewieszony przez lewe ramię. Zawahał się. Siedziała tyłem do niego i coś go powstrzymało przed wypowiedzeniem jej imienia.

Doznał dziwnego, wibrującego uczucia w głowie. Rozpoznał je. Jak wtedy, gdy zostawał aktywowany jeden ze znaczników Archiwum i wysysał z niego energię. Tak samo odwodniony się czuł, gdy używał mapy, żeby chwycić Santiego, tylko że wtedy było o wiele gorzej.

– Morgan?

Odwróciła się szybko, a on zobaczył coś, czego nie potrafił zrozumieć. To nie miało sensu. Trzymała blankiet, ale litery nie znajdowały się na stronicy. Atrament nie widniał na papierze, jak zwykle, gdy Kodeks odzwierciedlał oryginalną książkę z Archiwum. Atrament był, owszem, ale jakiś upiorny. Połyskujący.

Litery unosiły się w powietrzu, złote, pomarańczowe, błyszczące, obracały się, wirowały powoli i płynnie układały się we wzory. W rzędach i kolumnach, w kostkach, zmieniały kształty, szeptały i poruszały się jakieś trzydzieści centymetrów ponad blankietem. Burza w jego głowie rozszalała się do jakiegoś potwornego stanu, kiedy Morgan nagle upuściła książkę.

Blankiet wyslizgnął jej się z palców, a za nim popłynęło coś jeszcze; pomyślał o tym jak o sznurku, tyle że był to strumień dziwnego, pulsującego światła. Prawie jak wyładowanie elektryczne, tylko że zbyt delikatne, ulotne.

Sznurek pomarańczowego blasku zerwał się, gdy tylko blankiet upadł na przykrytą dywanem podłogę.

Nie powiedziała ani słowa. Szeroko otworzyła oczy, ale zaraz je zmrużyła i zaczęła analizować sytuację, by po chwili powoli się

wycofać.

On się zachwiał i oparł o framugę. Przez chwilę tylko oddychał, a potem wyciągnął rękę i zamknął drzwi. Przekręcił klucz w zamku i schował do kieszeni.

– Co to było? – spytał, a gdy nie odpowiedziała, odepchnął się od ściany i zrobił krok do przodu. Ona się cofnęła.

– Nie wyjdiesz stąd, dopóki mi nie powiesz.

– Nie wiem, co się stało. – Widział, że się trzęsie. – Ten blankiet musiał być...

– Nie zmyślaj. Blankiet nie był uszkodzony. Nie jestem głupi.

– Jess...

– Przychodzi mi do głowy tylko jedno wytłumaczenie tego, co widziałem: że jesteś obskurystką.

– Nie jestem!

– Nie kłam.

Widział, jak jej ciało napina się i nieruchomieje. Zastanawiała się, czy go zaatakować i odebrać klucz, czy ma szansę, jeśli podejmie walkę. Trwało to kilka długich sekund, ale potem odetchnęła głęboko i po prostu powiedziała:

– Tak.

Kiedy wreszcie to przyznała, przeżył szok. Obskurystka. Ale przecież im nie wolno opuszczać Żelaznej Wieży. Co ktoś taki robi tutaj, podając się za uczennicę?

Może w tym rzecz. Kolejny sprawdzian, a my mieliśmy za zadanie ją przyłapać, przyszło mu do głowy.

– Wolfe o tym wie?

– Nie wie. – Odpowiedziała za szybko.

– Doradzę ci coś: jeśli zamierzasz kłamać, naucz się, jak to się robi.

– Puls mu szalał, w równym stopniu z emocji, co ze strachu. Widział Obskurystkę przy pracy. To prawie tak, jakby pogłaskać jednorożca. – Nie bój się. Nic ci nie zrobię.

Zmarszczyła czoło i odezwała się bardziej stanowczo:

– Zdajesz sobie sprawę, jaki jesteś arogancki? Jeśli jestem Obskurystką, myślisz, że naprawdę mógłbyś mnie skrzywdzić?

– Tak myślę. Chyba nie trzymają was w Żelaznej Wieży, bo

umiecie się bronić, prawda? Nie jesteś czarodziejką z bajki. To, co robisz, to alchemia, a nie magia. Nie rzucisz na mnie zaklęcia. Alchemia wymaga przygotowania.

– Nie chodziło mi o magię – sprecyzowała Morgan. – Potrafię o siebie zadbać. I jeśli mnie popchniesz, zrobię to. – Miała w ręce nóż, a on nawet nie zauważył, kiedy i skąd go wyjęła. Sądząc po tym, jak go trzymała, nie była to dla niej nowość. Zresztą, nic dziwnego, jeśli faktycznie przedzierała się przez tereny wojenne, żeby tu dotrzeć.

Ale tak naprawdę żadne z nich nie miałyby przewagi w walce. Podniósł rękę.

– Słusznie. Może w takim razie powinienem wezwać Najwyższą Straż, żeby cię odprowadzili do Żelaznej Wieży.

Trafił w czuły punkt. Bardzo czuły. Mocniej zacisnęła palce na nożu i zobaczył w jej oczach panikę. Nie chciała tam trafić. Ani trochę.

– No dobrze – odezwała się; wyraźnie chciała, żeby to zabrzmiało jak najzwyczajniej. – Wolfe wie wszystko. Jesteś zadowolony? – Nie uwierzyłby jej, gdyby wcześniej nie widział, jak kłamie, ale to, o dziwo, była prawda. Ale dlaczego Wolfe zamierzał jej pomagać, to zupełnie inna sprawa.

– Co teraz zrobisz? – spytała.

– Nie wiem. – Trącił butem leżący na podłodze blankiet, ale był to zwykły egzemplarz, taki sam jak wszystkie. – Czy to jest niebezpieczne?

– To blankiet. Jak może być niebezpieczny?

– Bo na moich oczach robił coś, czego jeszcze nigdy widziałem.

– Nie blankiet to zrobił – odparła Morgan. – To zwykła manipulacja formułami kryjącymi się za odzwierciedleniem. Mogłabym to zrobić z każdym. Wszystkie są z natury rzeczy połączone z Kodeksem, wynika to z zasady identyczności. Co na górze, to na dole. Na tym opiera się Doktryna Odzwierciedlenia. Usiłowałam właśnie w to wniknąć.

Powiedziała to w ramach wytłumaczenia i może dla niej wszystko stało się jasne. Thomas z tym samym przekonaniem opowiadał o inżynierii, a Khalila o jakichś przyprawiających o zawrót głowy poziomach matematyki, tak jakby myśleli, że każdy jest w stanie to zrozumieć.

Poczuł się głupio i wkurzyło go to.

– Czyli jesteś Obskurystką, która udaje jedną z nas? Dlaczego? To kolejny idiotyczny sprawdzian Wolfe’a? Mieliliśmy odkryć twój sekret? Jeśli tak, to chyba wygrałem. Chociaż to było głupie z twojej strony, siedzieć tu i to robić.

– To nie jest żaden sprawdzian! Chciałabym, żeby był. To by było takie... proste. – Rumieniec zniknął z jej twarzy i podeszła do kominka, żeby rozgrzać dłonie. – Nie przyjechałam tutaj, bo chciałam. Po prostu blankiety funkcjonują najlepiej, gdy są blisko siebie. Zasada identyczności, nasilają się energie sprzężone. Przecież zamknęłam za sobą drzwi. Pytanie brzmi raczej: co ty tu robisz?

– Chciałem się przespać. Ale widzę, że nic z tego. Skoro nie jesteś sprawdzianem, co tu robisz? Nie powinnaś siedzieć w Wieży?

– Nie pójdę do Wieży – powiedziała cicho. – O to chodzi. Gdy przekraczałam granicę, szukali mnie już w całej Anglii. Nie zostanę tu długo. Jak tylko zdołam zrealizować plan, znów wyruszę w drogę.

– Khalila miała rację. Ostrzegła mnie, że bym ci nie ufał. – Jess usiadł na kanapie, bo uznał, że nie ma już siły stać. Za dużo niespodzianek, za mało odpoczynku. – Czego tu szukasz?

– A jak myślisz? Chodzi o moje życie. Chcę wymazać ślad tego... kim jestem. – Objęła się rękami, jakby przemarzła do kości, mimo że stała przy ogniu. – Miałam tu przyjechać, to nie było kłamstwo. Zostałam przyjęta na szkolenie, zanim po raz pierwszy przypadkowo ożywiłam formułę. Uczony Tyler zobaczył mnie w Oksfordzie, kiedy robiłam to przy czytaniu blankietu w Serapejonie. Powiedział mi, że uruchomienie formuły zostawia ślad, po którym Obskuryści mogą do mnie trafić. Żeby nie skończyć w Wieży, musiałam usunąć zapis w Kodeksie. – Zamilkła, ale Jess nic nie powiedział. Czuł, że mówi prawdę. Co więcej, w jej głosie brzmiała desperacja. – Potrafiłam uruchomić formułę, ale z Oksfordu nie byłam w stanie jej zmienić. Próbowałam też z Serapejonu w Londynie. Uczony Tyler powiedział, że im bliżej będę Wieży, tym większa szansa. Miałam już miejsce na tym szkoleniu. To była moja jedyna nadzieja. Gdy wyjeżdżałam z Londynu, szukali tam już błędzącego Obskurysty. – Te słowa sprawiły, że o czymś pomyślała i spojrzała na niego z nagłym niedowierzaniem. – Ktoś cię tu

przysłał, żebyś mnie znalazł? Podejrzewałeś mnie?

– Ja na pewno nie. Szukałem tylko spokojnego miejsca do spania. Trzeba było wywiesić na drzwiach tabliczkę z napisem „Wstęp wzbroniony, proces alchemicznego sabotażu”.

– To ma być żart?

– Nieśmieszny, faktycznie. – Jess wciąż nie mógł tego wszystkiego ogarnąć. Obskurystka. Momentami wydawało mu się, że oni nawet nie są prawdziwi, a jeśli tak, to na pewno są bardzo starzy i mają sięgające do podłogi brody. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że może istnieć Obskurysta w jego wieku. A już na pewno nie dziewczyna. – Powiedziałaś, że Wolfe wie. Jak się dowiedział?

– Przyłapał mnie. Tego dnia, kiedy brał nas indywidualnie do siebie, żebyśmy oznaczali książki. Robiłam co w mojej mocy, ale jeśli nie jestem bardzo skupiona, czasem uruchamiam formuły niechcący. Zobaczył to. Myślałam, że odeśle mnie prosto do Wieży. Ale nie. Powiedział, żebym zrobiła, co mam do zrobienia i uciekała stąd najszybciej, jak to możliwe. Ostrzegł, że mój czas się kończy i nie będzie mnie mógł chronić.

Myśl o Wolfe’ie chroniącym któreś z nich bardzo Jessem wstrząsnęła. Wolfe był ich wrogiem. A na pewno sędzią, katem. Co mogło go skłonić do zachowania dla siebie tajemnicy Morgan?

Sądził, że ona nie wie. A nawet jeśli wiedziała, to nie powie.

– Skoro przyjechałaś tylko po to, żeby zatrzeć po sobie ślady w Kodeksie, nie zostaniesz tu, kiedy już to zrobisz, tak?

Obserwowała go z taką samą obawą, jaką czuł w sobie.

– Potrzebuję jeszcze kilku dni. Zdradzisz mnie?

Wiedział, że powinien. Jeśli cokolwiek mogło mu zapewnić angaż i całkiem wyeliminować ryzyko, że zostanie odesłany, to było to. Obskurystka zerwana z uwięzi, najrzadszy okaz sam pchał mu się w ręce.

Wiedział, że w ten sposób powinien na nią patrzeć, ale widział tylko dziewczynę. Sam całe dzieciństwo uciekał. Przed ojcem. Przed Strażą. Przed przyszłością.

– Nie, nie zdradzę cię – powiedział.

– I już?

– I już. Wiem, jak to jest, gdy człowiek musi uciekać. A poza tym, skoro Wolfe już wie, komu miałbym powiedzieć?

Morgan mocno zamknęła oczy, wyraźnie jej ulżyło. Teraz, kiedy na niego nie patrzyła, mógł się jej spokojnie przyjrzeć. Niby miała tę samą twarz, ale coś się w niej zmieniło. Coś bardzo subtelnego, ale i potężnego, co bardzo się starała ukrywać, ale już tego nie robiła. Nie przed nim.

– Morgan... Ile ty masz lat? Tak naprawdę.

– Nie skłamałam. Szesnaście – odparła i znów otworzyła oczy. On odwrócił wzrok. – Uciekam od miesięcy. Uczę się w tajemnicy.

– Od kogo się uczysz?

– Nie powiem. Wiem, że masz własne tajemnice, więc pozwól mi zachować moje.

– W porządku. A naprawdę jesteś z Oksfordu?

Znów na moment spojrział jej w oczy, ale to nie pomogło. Jeśli kłamała, szło jej lepiej.

– Tam się urodziłam. Mój ojciec wciąż tam mieszka. I wrócę do Oksfordu, jak tylko zrobię to, co mam do zrobienia. Jeszcze dzień lub dwa, obiecuję. Nie będziesz musiał długo zachowywać sekretu.

– Jak zamierzasz się wydostać z Aleksandrii?

Lekko ściągnęła usta, tak że w kącikach pojawiły się cienie.

– Obleję jakiś sprawdzian i przegram losowanie, wtedy sami mnie wyrzucą. Nikt nie będzie niczego podejrzewał, a moje akta pokażą jedynie, że jestem Morgan Hault, pechową uczennicą. Nikt się nie dowie, że byłam kimkolwiek innym.

– Jak już będziesz zmieniać akta, przenieś mnie na pierwsze miejsce w grupie. To byłaby miła odmiana.

Podeszła do kanapy, żeby usiąść obok niego i podciągnęła nogi pod siebie. Pełen wdzięku, niewymuszony ruch, zwodniczo znajomy, bo widział, jak robiła to wiele razy. Weszła w rolę. Ona tylko odgrywa jedną z nas, pomyślał. Ale nie wyglądało na to. Wydawało się, że w jego obecności jest naprawdę rozluźniona, czuje się bezpiecznie.

– Wiesz, z czego rezygnujesz? – spytał. – Rozumiem, że o to nie prosiłaś, ale bycie Obskurystką to ważna sprawa. Do końca życia pracowałabyś w Bibliotece, od razu dostałabyś złotą opaskę.

Traktowaliby cię jak królową.

– Nie masz o tym pojęcia, prawda? – Oparła łokieć na zniszczonym aksamitnym podłokietniku, brodę wsparła na dłoni. W kominku po drugiej stronie pokoju trzaskał ogień, sypały się iskry i wewnątrz wydawało się przytulne i spokojne. Dziwne, biorąc pod uwagę, o czym rozmawiali. – Obskurystów się nie pyta o zdanie. Wyrzywa się ich z życia rodzinnego, jak tylko zostaną zidentyfikowani. Siłą zabiera do Żelaznej Wieży. A te złote opaski? Dla Obskurysty to łańcuch zaciśnięty na szyi, którego nie da się zdjąć. Nie ma wolności. Nie ma szans, żeby stamtąd odejść. – Przez kilka chwil przyglądała mu się w milczeniu. – Wolałabym umrzeć. I ty też. Tyle o tobie wiem.

– Domyślam się. Skoro korzystasz z blankietów, żeby dostać się do Kodeksu i zmienić zapisy na swój temat, czemu nie miałabyś ich czytać. A to oznacza, że wiesz wszystko, co oni wiedzą o nas. Jesteś zbyt bystra, żeby tego nie sprawdzić.

Spojrzała na niego ostro, jakby ją zdenerwował.

– I?

– Muszę wiedzieć, co na mnie mają.

– Niewiele. Ale twój ojciec powinien być ostrożniejszy, kiedy do ciebie pisze. Nawet ja widzę, że to rodzaj szyfru. Nie wiem, o co w tym chodzi, ale jeśli ja jestem w stanie się domyślić, że wysyła ci jakieś polecenia, każdy inny też to zgadnie. Niewykluczone, że mają cię na oku. – Złapała nitkę wystającą z podłokietnika kanapy. – Głębiej nie dałam rady wejść. Na to potrzeba czasu, mówiłam ci. A ważniejsze dla mnie było dotarcie do moich zapisów niż do twoich.

– Nie zapytasz, czego dotyczyły te zaszyfrowane instrukcje?

Pokręciła głową.

– To nie moja sprawa.

– Skąd wiesz, że nie jestem Podpalaczem, który zamierza wysadzić to miejsce w powietrze?

– A jesteś?

– Lepsze pytanie brzmi chyba, czy ty jesteś.

Nagle spojrzeli na siebie szeroko otwartymi oczami i do Jessa dotarło, jakie to kuriozalne. Szpieg rodziny szmuglerów i ukrywająca się Obskurystka wypytyują się, czy nie są Podpalaczami.

Tak smutne, że prawie zabawne.

Wstał i pogrzebał za blankietami stojącymi na półce pod przeciwległą ścianą. Wiedział, że Portero trzyma tam do połowy opróżnioną butelkę wina. Nalał dwie szklanki i jedną podał Morgan.

– Za dobrze ukrywane sekrety.

Lekko uniosła szklankę.

– A więc ty też nie jesteś tu w czystych intencjach.

– Wątpię, żeby dotyczyło to tylko naszej dwójki. Danton podejrzanie dużo wie o taktykach Podpalaczy. Od czasu do czasu niepokoi mnie nawet Khalila. – Łyknął zdrowo. Tanie wino, ale nieważne.

– Chciałeś tu przyjechać? Do Biblioteki?

– Zostałem przysłany. To był pomysł mojego ojca. On jest... – Jess pokręcił głową. – Nie mogę o tym mówić.

Wzruszyła ramionami.

– Ja i tak niedługo stąd odejdę. To nie będzie miało znaczenia. – Zaśmiała się dziwnie, cicho, ale jakoś tak ostrożnie i uroczo. – Powinnam być przerażona, że wiesz o mnie. Od tak dawna nikomu nie zaufałam. Ale czuję się... lepiej mi, że wiesz. – Napiła się wina, nie patrząc na Jessa. – Czuję się bezpieczniejsza.

Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo sam łaknął tego uczucia, jak bardzo chciał przestać się pilnować i pokazać komuś, jaki jest naprawdę. Nie tego Jessa Brightwella, którego przez lata konstruował na użytek wszystkich poza rodziną. No dalej, podszeptał mu jakiś szalony cichy głosik. Komu może powiedzieć? Ty jednym nieostrożnym słowem możesz ją wysłać do Wieży. Trochę mógł wyznać. Tylko to, co najgorsze.

– Znasz Atramentożerców? – Jego pytanie ją zaskoczyło.

Odwróciła się i szeroko otworzyła oczy.

– Chyba nie. Wiem tylko, że są...

– Zboczeni? Tak. To prawda. – Zaczerpnął powietrza i powoli wypuszczał je z płuc. – Widziałem, jak jeden z nich zjadał książkę. Najrzadszą książkę świata. *O tworzeniu kuli* Archimedesesa. Sam mu ją dałem. To nie miało się tak skończyć. Myślałem, że jest kolekcjonerem. Ale on ją zjadł, jakby to był najrzadszy przysmak. W życiu nie

widziałem czegoś tak obrzydliwego.

Zszokowało ją tak, aż zasłoniła dłonią usta, a on ją jeszcze bardziej polubił. Za to przerażenie w oczach.

– Wstrętne. Tak mi przykro. Ale jak... Gdzie?

– Miałem wtedy dziesięć lat. Tylko dziesięć. Ten facet już nie żyje.

– Skąd miałeś oryginał? – Zamilkła i przez dłuższą chwilę przyglądała mu się bez słowa. Potem pokręciła głową. – Chyba wiem. Nie mów.

Czekał na wstrząs i obrzydzenie, bez których nie mogło się obejść w takiej chwili. Ale na jej twarzy nie pojawiło się ani jedno, ani drugie.

– Teraz ty też mnie możesz wsypać. Jedziemy na tym samym wózku.

Morgan nic nie powiedziała, ale jej mina wyrażała więcej niż słowa. Rozumiała, jak to jest, znaleźć się nie na swoim miejscu. Co to jest permanentna samotność. Jak bardzo ciążyą tajemnice i strach przed niewłaściwym słowem.

Mieli mnóstwo wspólnego. Jakie to dziwne...

Dokończył wino w cieplej, ale bardzo przyjemnej ciszy. Po raz pierwszy od dawna się odprężył. Prawdopodobnie popełniłem wielki błąd, myślał. Ale możliwe, że warto było, dla tego uczucia. Żeby poczuć się... wolnym.

W końcu przerwał ciszę.

– Nie boisz się? Przebywasz w obozie wroga.

Patrzyła na niego długo i myślał, że już nie odpowie, ale powoli się uśmiechnęła i upiła wina.

– Boję się. Od chwili, gdy opuściłam Oksford, aż do teraz nie przestałam się bać ani na chwilę.

Nie rozwodziła się dalej. On też nie.

„Aż do teraz”.

Nie ośmieliłby się zawieść jej zaufania.

Więcej już nie rozmawiali. Dopili wino, a potem Jess zamknął oczy i osunął się do pozycji pólężącej. Głupi jestem, przyszło mu do głowy. Głupi jestem, że zaufałem osobie, która od samego początku nie robiła nic poza okłamywaniem mnie. Może iść prosto do Najwyższej Straży. Zdradzić mnie. Ale ona pewnie myślała o nim dokładnie to samo.

Niechcący odplłynął w sen. Ostatkiem świadomości poczuł na twarzy jakby delikatny dotyk palców, a potem porwały go sny.

Spokojne, przyjemne sny.

Gdy zadzwoniły dzwonki, leżał na kanapie, sam.

Ale to nie były takie dzwonki jak zwykle. Rozległ się zupełnie inny dźwięk. Poderwał się jak wystrzelony z procy, bo był przekonany, że biją na alarm. Do tego nie przestawały dzwonić. Pożar? Nie widział dymu, ale nie wykluczał takiej możliwości.

Kiedy dotarł do drzwi świetlicy, inni zaczęli wynurzać się ze swoich pokojów, bez tchu i z równym przerażeniem. Tylko niektórzy zdążyli się już przygotować do nadchodzącego dnia. Wśród nich znajdowała się Morgan, starannie ubrana w jasnoblękitną lnianą sukienkę. Włosy miała upięte.

Patrzył na nią za długo, a ona odwzajemniła spojrzenie. Nie powinniśmy tego robić. Ktoś może na to zwrócić uwagę. Ale jakie to miało znaczenie? Co jest złego w zwróceniu uwagi na dziewczynę?

Thomas wyłonił się z piwnicy, wycierał w spodnie umazane smarem dłonie. Wyglądał, jakby przespał się w ubraniu. Jeśli w ogóle spał.

– To pożar? – Khalila przekrzykiwała alarm. Podbiegła do nich. Zdążyła narzucić na siebie ubranie, ale chusty na włosach nie zdołała upiąć tak starannie jak zwykle. Wymykały się spod niej ciemne, gładkie kosmyki. Glain, która nadbiegła za nią, była nie tylko ubrana, ale wyglądała, jakby nie spała już od wielu godzin.

– Błagam, powiedzcie, że to nie pożar!

Alarm nagle ucichł i pograżyli się w ogłuszającej ciszy.

– Nie. – Odpowiedź nadeszła od strony drzwi wejściowych. Do Domu Ptolemeusza wchodził właśnie kapitan Santi. – To wezwanie. Macie się stawić w Czytelni Uczonych w Serapajonie. Nie traćcie czasu. To nie jest sprawdzian.

Jess uwierzył. Patrzył na ich niewielką grupkę ze śmiertelną powagą. Poważnie i z żalem.

– Piramida? – odezwał się Dario. – Idziemy do piramidy?

– Na sam szczyt – potwierdził Santi. – Śpieszcie się. Powóz już czeka.

Ci, którzy nie byli jeszcze gotowi, zniknęli, żeby to nadrobić. Thomas mruknął pod nosem coś po niemiecku i pośpieszył przebrać się w czyste ubranie. Jess, Glain i Morgan zostali w korytarzu z Santim.

– Co się dzieje? – spytała Gain.

– Nie przyszedłem tu, żeby odpowiadać na wasze pytania, tylko żeby zabrać was na miejsce.

– Czy to będzie ostateczna ocena? Dostaniemy przydziały?

Santi popatrzył na nią znacząco i Glain zrozumiała, że czas pytań się skończył. Ale puls Jessa przyśpieszył. Mogła mieć rację.

Możliwe, że Wolfe podejmie ostateczne decyzje.

Spojrzał na Morgan i uświadomił sobie, że jest jeszcze inne rozwiązanie, znacznie gorsze.

Może wezwanie wcale nie nadeszło od Wolfe'a. Może jedno z nich się o tym przekona.

Syczący powóz przewiózł ich przez znajome granice terytorium Uniwersytetu Aleksandryjskiego, a potem obok Żelaznej Wieży, która górowała niemal nad wszystkim w okolicy, z wyjątkiem piramidy. Jess przypomniał sobie słowa Thomasa, że Wieża nie rdzewieje. Z tak bliskiej odległości miał szansę się przekonać, że przyjaciel miał rację. Żelazo było czarne, podziurawione, ale mimo swojego wieku, niemal nienaznaczone czerwonymi smugami rdzy. Była ogromna. Budziła lęk. Czemu akurat żelazo, zaczął się zastanawiać. Czy to im jakoś pomaga w pracy? Jak tylko mógł, unikał alchemii, nie chciał dostać przydziału w laboratoriach i całe dnie wachać chemikalia, ale pamiętał, że żelazo jest ważnym alchemicznym symbolem, związanym z krwią i ziemią. Morgan na pewno by wiedziała.

Siedziała obok niego, a grzbiety ich dłoni się o siebie ocierały. Bardzo lekko i tylko wierzchami, ale ciepło i miękkość jej ciała mieszały mu w głowie. Jej tajemnice też.

Żelazna Wieża została za nimi, a na horyzoncie wyrosła ogromna bryła piramidy.

– Wiedziałem, że jest ogromna – stwierdził siedzący obok niego i przyklejony do okna Danton – ale nie miałem pojęcia, że aż tak. – W jego głosie słyhać było zachwyt i Jess pomyślał, że może źle go ocenił, biorąc za Podpalacza. To był zachwyt, a nie obrzydzenie.

Powóz podjechał pod Serapejon. Santi kazał im wysiąść, a Glain zaczęła się rozglądać z tą samą uwagą, jak dzień wcześniej na ulicy, kiedy zmierzali do domu Podpalaczy.

– W którą stronę? – spytała Santiago.

Wskazał na schody.

Jessowi zabrakło tchu na sam ich widok. Zdawały się nie mieć końca i biegły prosto na górę, choć na tych wyjątkowo strudzonych czekał co jakiś czas podest z ławkami. Promienie wschodzącego słońca odbijały się od złotej kopuły. Wydawała się być niewiarygodnie wysoko.

– Cudownie – mruknął Dario i ruszył naprzód.

Jego pierwszeństwo skończyło się na najbliższym podeście i na czoło wysforowała się Glain ze swoimi długimi, chyba nigdy niemęczącymi się nogami. Jess nie miał nic przeciwko. Stopnie wprawdzie były niskie, ale porażająco nieskończone. Spojrzał w górę i aż go zatkało, bo właśnie zauważył, że po obu stronach podestu leżą na marmurowych postumentach automaty.

Sfinksy.

Figura po jego prawej odwróciła głowę i spojrzała na niego rozbłyskującymi na czerwono oczami. Jess musiał się bardzo starać, żeby zwalczyć odruch cofnięcia się, bo te istoty były jeszcze bardziej przerażające niż londyńskie lwy: sfinksy miały przedziwnie ludzkie twarze i głowy przystrojone na wzór pradawnych egipskich faraonów. Ludzka twarz automatu niepokoiła jeszcze bardziej niż zwierzęca, bo wydawała się zupełnie obca.

Oczy figury stawały się coraz bardziej czerwone.

– Pokaż mu nadgarstek – wysapał Dario. Brzmiał tak, jak Jess się czuł. – Rękaw go zakrywa, a one muszą zobaczyć opaskę. Szybko.

Jess powoli podciągnął rękaw i pokazał sfinksowi swoją postulancką opaskę. Oczy sfinksa zrobiły się znów białe, a on przyjął tę, co na początku, pozycję. Morgan szybko podciągała rękaw po drugiej stronie podestu, bo tamtejszy automat też okazał się niespokojny.

– Może Wolfe ma nadzieję, że te stworzenia rozwiążą jego problem i pozbędą się kilkorga z nas – wysunął przypuszczenie Thomas. To miał być żart, ale wyszedł ponuro. Miasto w niczym nie przypominało szarego Londynu: lśniaca piramida, wschodzące

aleksandryjskie słońce, czyste, porządne ulice, domy z płaskimi dachami i posągi dawnych bogów, ale Jess poczuł się, jakby znów znalazł się w domu i uciekał przed lwami.

Dopiero teraz dołączył Danton. Był niższy od większości z nich i dla niego schody musiały być jeszcze większym wyzwaniem, więc został daleko z tyłu.

– Czego się boicie? To tylko automaty. W Ameryce są na każdej ulicy. – Przypomniał Jessowi antyczny grecki tekst, który kiedyś przeczytał: „Ożywione figury są miasta ozdobą. Zdaje się, że kamień oddycha, że czują, że chodzą”.

Zawsze wydawało mu się to raczej przerażające niż zabawne.

– Gdybyście nie mieli tylu Podpalaczy, nie byłoby tylu posągów – podsunął Thomas. – W Niemczech mamy ich bardzo niewiele.

– Jest ich tyle, bo Biblioteka wciąż przysyła nowe.

– Jajko, kura i omlet – podsumował Jess. – Przestańcie się kłócić, obydwaj.

– I nie mówcie o śniadaniu – jęknął Dario. – Umieram z głodu.

– Wspinaj się – poradził Thomas. – To zapomnisz.

Miał rację. Gdy Jess dotarł na drugi z trzech podestów, jedzenie było ostatnim, na co miał ochotę. Mięśnie nóg go paliły, płuca też, a przed sobą miał wciąż setki stopni. Głain dotarła tymczasem do połowy następnego odcinka i ani trochę nie zwolniła. Szczęściara.

Dołączyła do nich Morgan, a gdy Thomas i Dario ruszyli przed siebie, zatrzymała Jessa i z niepokojem szepnęła:

– Myślisz, że to pułapka?

– Na ciebie? – spytał. – Czy na mnie? Nie wiem. Może.

– I co zrobimy?

Wskazał na sfinksy wpatrujące się w przestrzeń przed sobą.

– Nic. Przecież nie uciekniemy.

Podążyła za jego ręką i z namysłem spojrzała na automat.

Odwrócił głowę i podtrzymał jej wzrok.

– Chodź już.

Nie chciała się ruszać, ale chwycił ją za łokieć i pociągnął kilka schodów w górę.

Gdy się odwrócił, automat miał głowę obróconą prawie o

dziewięćdziesiąt stopni, pod niepokojącym, nieludzkim kątem.

Patrzył na nich.

Jess ruszył szybciej.

Dołączyli do reszty zgromadzonej na szczycie. Kryli się w cieniu portyku zbudowanego ze starodawnego kamienia. Portero, Izumi Himura i Danton deptali im po piętach, niedobitki jeszcze się wspinały. Morgan pochyliła się i oparła ręce na udach. Jej klatka piersiowa się ciężko unosiła i opadała. Jess też był wyczerpany, ale stał prosto i usiłował uspokoić oddech, przyglądając się miastu. Widok zapierał dech: lśniąca, elegancka Aleksandria rozkładała się promieniście wokół znajdującej się w centrum piramidy. W świetle wschodzącego słońca port wydawał się jedwabście turkusowy i doskonały jak klejnot, a zgromadzone w nim statki wyglądały jak zabawki. Silny na tej wysokości wiatr smagał Jessa po spoconej twarzy.

Na złotym zwieńczeniu piramidy widniał symbol Biblioteki i jej motto: *Omnis cogito est*. Wiedza jest wszystkim. W tym wszechogarniającym mroku mogły kryć się tysiące cieni.

Gdy dołączyła do nich ostatnia trójka, wszyscy dziewięcioro popatrzyli po sobie.

– No? – dopytywała Glain. – Ktoś, coś? – Nikt się nawet nie poruszył, więc pokręciła głową i podeszła do zamkniętych marmurowych drzwi pod zwieńczeniem. Otworzyły się pod jej dotykiem.

– Idź pierwsza – mruknął Dario, ale od razu ruszył za nią.

Korytarz, którym szli, obwieszony był portretami dawnych Bibliotekarzy. Wszyscy wyglądali, jakby nigdy nie nauczono ich się uśmiechać. Minęła prawie minuta tego ponurego pochodu, zanim Glain dotarła do wielkich drewnianych drzwi z żelaznymi klamkami i misternie wyżłobionymi pieczęciami Biblioteki.

Otworzyły się, gdy tylko ich dotknęła i oblało ich matowe światło, wylewające się z rozciągającego się przed nimi pokoju. Rzędy bursztynowych lamp rzucały na lśniące drewniane stoły oraz na książki kałuże światła z wysokiego, stożkowatego sufitu w kształcie ostrosłupa.

Czytelnia Uczonych.

Pokój otaczały regały, wysokie od podłogi aż po sufit, zastawione

blankietami z pozycjami ze zbioru stałego, takimi samymi, jakie miał w gabinecie ojciec Jessa. Pod odległą, zachodnią ścianą stała półka z oryginałami. Nic wyjątkowego, ocenił Jess, ale wystarczyło, żeby Uczeni mogli poczuć dotyk papieru, zapach prawdziwego atramentu i zważyć w dłoniach autentyczną historię. Obcowanie z oryginałami było ważną częścią życia Uczonych: musieli je odnajdywać, ocalać i przechowywać dla przyszłych pokoleń.

Bronić ich.

Czytelnia była pusta. Ani śladu Wolfe'a, i ani śladu nikogo. Stoły zajmowały całe pomieszczenie, a na niektórych leżały ułożone byle jak sterty blankietów, tak jakby ten, kto tu siedział, wyszedł w pośpiechu.

Wydawało się, że w czytelni panuje nienaturalna cisza.

– Możemy usiąść? – spytał Thomas. Nikt mu nie odpowiedział, więc wzruszył ramionami i odsunął sobie jedno z krzeseł. Pozostali zrobili to samo. Jess chciał usiąść na miejscu, z którego będzie mógł od razu wstać, ale Dario miał ten sam pomysł, a Danton zajął drugie takie krzesło, Jess usiadł więc obok Morgan.

Czekali. Czas mijał, a z każdą upływającą chwilą Jess czuł narastające napięcie. Coś jest nie tak, myślał. Dlaczego teraz? Bo dowiedziałem się prawdy o Morgan? Czy w ogóle przyszliśmy tu do Wolfe'a?

Tak.

Był ubrany, jak zawsze, w szaty Uczzonego, co na swój lodowaty, ale znajomy sposób dawało poczucie bezpieczeństwa. Niepokoił natomiast fakt, że nie przyszedł sam. Wszedł z nim Santi, który zajął miejsce niedaleko drzwi, ale okazał się tylko jednym z całego zastępu mężczyzn i kobiet z Najwyższej Straży, którzy w pełnym rynsztunku wchodzili do Czytelni i zajmowali pozycje.

W trakcie tej demonstracji siły pojawiła się nowa postać w powiewającej todze, ale nie czarnej.

Szaty lśniły purpurą.

Jess nigdy nie widział żadnego z nich, ale wiedział, że zgodnie z prawem tylko siedmioro Kuratorów Wielkiej Biblioteki mogło nosić szaty w tym kolorze.

Siedząca obok niego Morgan głośno wciągnęła powietrze i

szepnęła:

– To Jego Ekscelencja Magnus Artifexu.

Artifex. Matematyka, inżynieria, sztuki praktyczne. Jess przyglądał się sunącemu naprzód mężczyźnie i gdyby miał sprowadzić swoje wrażenia do jednego słowa, wybrałby „onieśmielający”. Białe włosy miał przycięte krótko przy czaszce, twarz kwadratową, szczupłą i silną nad szokująca kępą białej brody.

Wydawał się ponury. Trudno było jednak stwierdzić, czy wygląda tak zawsze, czy winę ponosiła sprawa, w jakiej przyszedł.

– Mam zaszczyt przedstawić państwu Jego Ekscelencję Magnusa Artifexu – oznajmił Wolfe. – Postąpicie zgodnie z jego słowami.

Żołądek Jessa się skurczył, a myśli zamarły. W sztywnej postawie Wolfe’a było coś złowrogiego, w niesprecyzowanym błysku w oku także. Sama obecność Jego Ekscelencji Magnusa zdawała się wstrząsającym wydarzeniem, którego nikt nie był w stanie przewidzieć. Człowiek na stanowisku Kuratora, odpowiedzialny za przetrwanie Wielkiej Biblioteki, nie mógł się pojawić tylko po to, żeby zrobić wrażenie na uczniach.

– Mamy do czynienia z nieoczekiwanym zbiegiem okoliczności – oznajmił głębokim, dźwięcznym głosem, którym musiał wygłosić tysiące mów. – Od jakiegoś czasu Oksford znajduje się w stanie oblężenia. Wszelkie próby negocjacji zawiodły. Angielski król wykluczył możliwość poddania się i obie strony poinformowały nas zgodnie z protokołem, że w ogniu walk może ulec zniszczeniu tamtejszy Serapejon.

Morgan zadygotała, ale jej twarz pozostała nieporuszona. Pochodziła z Oksfordu. Miała tam rodzinę. Dla niej to była sprawa osobista.

– Załodze Biblioteki zagwarantowano bezpieczną ucieczkę z miasta i większość z nich już się ewakuowała. W tym właśnie leży problem. Wyjechali, zanim w podziemiach Serapejonu odkryto kryjówkę z rzadkimi książkami. Ta garstka pracowników, która została, nie da sobie rady z translokacją tyłu woluminów. Co więcej, jeśli siły angielskie dowiedzą się, że jesteśmy w posiadaniu takich skarbów, mogą zechcieć użyć ich jako karty przetargowej.

– Karty przetargowej?! – Thomas zdawał się wstrząśnięty samym pomysłem. – Na pewno będą chcieli ocalić książki, a nie narażać je na ryzyko! To ich obowiązek!

– Teoretycznie tak – zgodził się Magnus. – Jednak w czasie wojny takie założenia stają się bardzo płynne. Musimy wysłać na miejsce dodatkowych ludzi, którzy pomogą w oznaczaniu i archiwizacji książek.

– Chcecie wysłać nas? – zgadł Jess. Magnus na niego spojrział. – Czemu?

Lodowato błękitne oczy przewiercały go na wylot. Miały kolor bezdusznej zimy i Jess czuł, jak przeszywa go chłód.

– Między innymi ze względu na pana. Niewielu jest wśród nas zdolnych do przesłania tylu książek w szybkim tempie. Pana umiejętność jest w tej sytuacji nie do przecenienia. Na naszą korzyść przemawia też znajomość miasta przez postulantkę Hault. Nawet walijskie znajomości postulantki Wathen mogą się przydać.

– Chciałbym tylko zaznaczyć – Wolfe przemówił zwodniczo zwyczajnym tonem – że nie zgadzam się na to. Postulanci nie są bibliotekarzami. Nie można ich prosić o...

– Ja ich nie proszę – rzucił Magnus. – To rozkaz. Ograniczył pan grupę do dziewięciorga uczniów. Mamy sześć wakatów. Na końcu każdego kursu postulanci przechodzą próbę bojową w terenie. Możemy uznać, że to będzie ich sprawdzian.

– Jednak...

– Dość tego, Wolfe. Wysłuchałem pana argumentów. W tym świecie nie ma miejsca dla bibliotekarzy, którym brakuje odruchu chronienia książek przed wojnami, buntownikami i Podpalaczami. Książki nie obronią się same. Postulanci czy nie, walka jest ich obowiązkiem.

Wolfe wystąpił naprzód.

– Muszę z całą stanowczością zaprotestować...

Jego Ekscelencja Magnus pstryknął palcami i jego eskorta oderwała się od ściany, gotowa do działania. Santi też ruszył. Obszedł stoły i zatrzymał się u boku Wolfe'a. Jess zdał sobie sprawę, że w pomieszczeniu są dwa wrogie obozy, a oni tkwią pomiędzy nimi.

Nie było wątpliwości, kto wygrywa.

Jego Ekscelencja Magnus wskazał na Wolfe'a ostro zakończonym palcem.

– Proszę wyjść. Jeszcze jedno słowo i skończy się to cierpieniem. Nie tylko pańskim.

Ciemne oczy Wolfe załśniły, a dłonie zacisnęły się w pięści, ale krótko skinął głową, odwrócił się i wyszedł. Santi ruszył za nim, ale po chwili odwrócił się za siebie.

Jess stwierdził, że było to spojrzenie zabójcy, znacząco utkwione w Jego Ekscelencji Magnusie.

Po chwili nie było po nich śladu, a drzwi się za nimi zamknęły.

Portero odchrząknął.

– Z całym szacunkiem, ale chciałbym zapytać: co się stanie, jeśli nie zgodzimy się jechać?

– Nie zaliczycie szkolenia – wyjaśnił mężczyzna. – I pojedziecie tak czy inaczej. Nie bójcie się. Nie puszczę was samych. Pojedzie z wami cały zastęp Najwyższej Straży. I oczywiście uczony Wolfe. Nie śmiałym pozbawić go szansy na udział w tej akcji. – Zadowolony z siebie łajdak, pomyślał Jess. Nigdy nie lubił Wolfe'a, ale to był zupełnie nowy poziom nienawiści.

– Kiedy wyjeżdżamy? – spytał. – Proszę pana.

– Natychmiast. Zaczekajcie tu na dalsze polecenia. Nie wolno wam porozumiewać się z nikim z zewnątrz. Wasze rodziny dowiedzą się o wszystkim, co powinny wiedzieć. Jesteście wolni. *Omnis cogito est.*

Odpowiedzieli mu odruchowo i patrzyli, jak odchodzi, zabierając oddział Straży.

Wolfe nie wrócił.

– Co powinniśmy zrobić? – spytała Izumi.

– Prawidłowe pytanie to: co możemy zrobić. A odpowiedź brzmi: nic. – Dario wstał, ale zdawało się, że nawet on nie wie, co dalej. – Jeśli odmówimy, wylecimy z kursu, ale pojedziemy i tak. Jeśli pojedziemy, będziemy mogli się modlić, żeby przetrwać.

– Mój ojciec się na to nie zgodzi – oznajmiła Khalila. Wydawała się poruszona i wytrącona z równowagi po raz pierwszy, odkąd Jess ją znał. – Biblioteka nie może nas po prostu wysłać. I to do strefy walk! Nie jesteśmy Najwyższą Strażą.

– Mogą zrobić, co im się podoba – zapewnił ją Jess. – Zawsze mogli. Po prostu po raz pierwszy to zobaczyłaś. – Podał jej rękę, żeby pomóc wstać. Skorzystała. Palce miała zimne, ale uśmiechnęła się przelotnie i niepewnie. – Wszystko będzie dobrze. Zajmiemy się sobą nawzajem.

– Tak – zapewniła Glain, – Musimy. Czas przestać się kąsać. Dario i Jess, do was mówię. Od tej chwili zależymy jedno od drugiego. Koniec sekretów. Zgoda?

Jess zahaczył spojrzeniem o oczy Morgan. Koniec sekretów...

– Zgoda – odparł.

Jedno po drugim powtarzali to jak echo.

Drzwi się otworzyły i spojrział na nich kapitan Santi.

– Proszę zejść do holu. Czeka na was Wolfe. – Minęli go jedno po drugim, ale gdy mijał go Jess, Santi złapał go za ramię. – Brightwell. Proszę na słówko.

Thomas spojrział na niego zaniepokojony, ale gdy Jess skinął głową, wyszedł za pozostałymi. Drzwi zamknęły się za nim z hukiem.

Santi go puścił.

– Poznaje pan to? – Wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę papieru. Widniała na niej odręczna wiadomość bez podpisu, ale Jess rozpoznał charakter pisma. Brendan nigdy nie był mistrzem kaligrafii.

„Oddaj cześć kuzynowi Charlie’emu. Znajdziesz go pod trawą. Złóż od nas kwiaty”.

To był ich rodzinny szyfr. Kuzyn Charlie oznaczał kuzyna Fryderyka z Oksfordu. „Pod trawą” to konkretne miejsce w mieście. A wzmianka o kwiatkach sugerowała, że Jess może się tam zgłosić z prośbą o pomoc. Ale nie za darmo.

Jess spojrział na nieprzenikniętą twarz Santiiego i poczuł ukłucie przerażenia. Napisał to Brendan. Czy to oznaczało, że został schwytany? W jaki inny sposób wiadomość mogła się znaleźć w rękach żołnierza Najwyższej Straży? Siłą stłumił w sobie lęk i oddał kartkę.

– Nie mam pojęcia, co to jest. To chyba nie do mnie.

– Rozumiem – odparł Santi lekko i beztrąsko. – To dobrze. Jeden z moich młodych i gorliwych żołnierzy znalazł to w posiadaniu pewnego nielegalnego handlarza. Niejakiego Barzema. Zna go pan?

– Pierwsze słyszę – zapewnił Jess. To Barzem wysłał go do Abdula Nejema po sztukę Arystofanesa. Był jednak dobrym kłamcą. Uczył się tego całe życie.

– Doskonale. Bo nie żyje. Dostał nożem w plecy, gdy wychodził z kawiarni. Do czego zmierza ten świat... W takim razie rozumiem, że mogę się tego pozbyć. – Podarł liścik na drobne kawałeczki i schował do kieszeni. – Spalę to w domu. Wolałbym, żeby nikt tego nie znalazł.

Jess był speszony. I zdenerwowany.

– To już wszystko?

– Wątpię – zaprzeczył Santi, ale otworzył przed nim drzwi.

Jess odnalazł resztę, czekającą w korytarzu. Thomas spojrział na niego pytająco, ale Jess tylko pokręcił głową. Zbliżył się do Morgan, która nadstawiła ucha i spytała, o co chodziło.

– Nic, czym musiałybyś się martwić.

– Ale ty musisz?

Nie był pewien. Na pewno powinien się martwić; Santi najwyraźniej wiedział, że wiadomość jest przeznaczona dla niego, a jednak mu ją pokazał. I zniszczył.

Brendan wiedział, że Jess ruszy do Oksfordu. Wiedział, zanim dowiedział się o tym on sam i było to niepokojące. Jego ojciec miał rozległą sieć kontaktów na całym świecie, jak każdy szmugler. A jednak nigdy nie znał nikogo w samej Bibliotece, w każdym razie zanim znalazł się tam Jess. Skąd więc wiedział Brendan? Kto mu doniósł?

Poza tym było coś dziwnie znajomego w słowach Santiiego o tym zabitym mężczyźnie, Barzemie. „Dostał nożem w plecy, gdy wychodził z kawiarni”. Usłyszał wyraźne echo słów, które wypowiedział kiedyś do niego brat. W deszczowym Londynie, wydawało się, że bardzo dawno temu. „Ktoś dźgnął go nożem, gdy wychodził z klubu”, wyjaśnił wtedy.

Morderstwo atramentożercy. Brendan wiedział że Jess tego nie zapomni.

Nie przekazał wiadomości przez Barzema. Uczynił wiadomością jego ciała.

Jego brat nigdy nie opuścił Aleksandrii.

KORESPONDENCJA

Odręczna wiadomość napisana przez uczonego Wolfe'a, przekazana bezpośrednio Jego Ekscelencji Magnusowi Artifexu:

Od czasu mojego ułaskawienia zrobiłem wszystko, o co mnie prosiliście. Milczałem, gdy zastraszaliście moich przyjaciół, moją miłość, gdy niszczyliście dzieło mojego życia. Zniosłem każdą karę.

Udam się do Oksfordu i będę chronił książki. Jeśli będzie trzeba, poświęcę dla Biblioteki i wszystkiego, co ona reprezentuje, życie, bo sądzę, że taki jest Pana plan.

Ale ostrzegam, że przekroczyliście niewybaczalną granicę. Dostałem tych uczniów pod opiekę, żeby ich szkolić. Jestem za nich odpowiedzialny. Możliwe, że uczynił mnie Pan opiekunem naukowym dla żartu, jako że zawsze byłem fatalnym nauczycielem, a i to w najlepszym razie, ale nawet Pan nie ma prawa ryzykować życia całego pokolenia uczonych, żeby mnie ukarać.

Udam się w tej sprawie do samego Archiwisty.

Odpowiedź Jego Ekscelencji Magnusa Artifexu do uczonego Wolfe'a:

Śmiało, proszę się odwoływać. Rozmawiałem już z Archiwistą, który rozumie, jak pilna to misja. I jak duże jest ryzyko.

Pańskie życie należy do nas, Wolfe. Proszę po raz kolejny nie testować mojej cierpliwości. A co do Pańskich postulantów, obaj wiemy, że w najgorszym razie na ich miejsce pojawią się kolejni.

Rozdział 6

Jess spodziewał się, że opuszczą Serapejon, wsiądą do powozów i pojedą na stację kolejową. Czekala ich długa droga do Londynu, a stamtąd do Oksfordu.

Ale Wolfe nie poprowadził ich na zewnątrz. Przyłożył opaskę do malowidła przedstawiającego Kallimacha, pierwszego Archiwistę, służącego za panowania Ptolemeusza II Filadelfosa, a obraz rozmył się i zmienił w unoszące się w powietrzu pomarańczowe symbole. Jess je rozpoznał: takie same poruszały się pod palcami Morgan. Nazwała je formułami. Co robiły tutaj, ukryte w obrazie?

Ściana odsunęła się, odsłaniając tajne przejście, a Wolfe wkroczył do ukrytego korytarza. Na płytkach, którymi był wyłożony, widniało wygrawerowane oko Horusa.

– Słyszałem, że mieli tu tajne tunele – odezwał się Thomas. Starał się mówić cicho, ale w jego przypadku nie robiło to różnicy. – Ale myślałem, że są już przestarzałe, nie działają.

Ale ten działał. Nowoczesny, z posągami reprezentującymi ten typowy dla Aleksandrii dziwny styl, łączący wzorce greckie, rzymskie i egipskie. Pierwszy stał uczony w greckiej tunice, trzymał zwój. Obok niego uczony w rzymskiej todze dzierżył otwartą książkę. Jako trzecie znalazło się jedno z egipskich bóstw, Toth, wynalazca pisma i służący bogu pisarzy. Trzymał pióro Maat.

Wszyscy, jak zdał sobie sprawę Jess, byli automatami. Gdyby ktoś niepożądany pojawił się w tym korytarzu, nie wyszedłby żywy.

Jess rozglądał się niemal w biegu, bo Wolfe szybkim krokiem zmierzał ku wylotowi korytarza, kończącemu się ścianą. Znów przyłożył do niej opaskę, wzbudził kolejne symbole i otworzył nowe przejście.

Zbudowali je Obskuryści, pomyślał Jess. Zerknął na Morgan, która schowała dłonie do kieszeni sukienki, jakby było jej zimno. Przypomniał sobie sznur pomarańczowego światła, wypływający z blankietu i przyklejony do jej palców. Pewnie bała się czegokolwiek dotknąć, na wypadek, gdyby miała znów coś wzbudzić i odsłonić się przed innymi.

Wszedł za nią do małego, pustego przedpokoju, oświetlonego bursztynowym światłem. Nie było tu książek. Ani blankietów. Ani nawet

stolików do czytania czy kanap. W jednym kącie leżał stos czarnych płóciennych toreb.

– Weźcie swoje rzeczy – polecił Wolfe. – Na torbach są wasze nazwiska.

Thomas podszedł pierwszy. Ta, którą wybrał, była duża, nawet jak na jego potężną sylwetkę. Jess wypatrzył swoje nazwisko, a gdy podniósł torbę, zdumiała go jej waga. Założył ją na ramiona. Pasowała, a ciężar wygodnie się rozłożył i był łatwiejszy do zniesienia.

Zastanawiał się, jak sobie da radę Khalila, ale niepotrzebnie: uporała się ze swoim bagażem z równą łatwością, co znacznie muskularniejsza Glain. Jedynie Izumi, najdrobniejsza z nich, wydawała się przytłoczona, ale nie narzekała.

– Uważajcie na siebie nawzajem – pouczył Wolfe, gdy wszyscy byli gotowi. – Nie będzie łatwo, gwarantuję. Nie chciałem, żeby was w to zaangażowano, ale skoro nie ma wyjścia, musicie być czujni. Polecenia wykonujcie bezzwłocznie i miejcie oczy dookoła głowy.

Najbardziej stresującym elementem był niepokój Wolfe'a, stwierdził Jess.

– Myślałem, że mamy się dostać do Oksfordu – zauważył Thomas.
– Co tutaj robimy?

– Znajdujecie się w Komorze Translokacyjnej. Podróż odbędziecie za jej pośrednictwem.

Jess o tym słyszał, ale tylko nieoficjalnie. Te same prawa, które umożliwiały odzwierciedlanie dokumentów i przekazywanie książek do Archiwum, pozwalały przenosić z miejsca na miejsce także inne przedmioty. Konieczny był w tym udział Obskurysty. Nigdy się nie spodziewał, że coś takiego zobaczy.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem odezwał się Dario:

– Myślałem, że za pośrednictwem Komór Translokacyjnych przesyła się przedmioty.

– Tak jest – odparł Wolfe. Brzmiał swobodnie, ale Jess nie dał się zwieść. – Jednak w sytuacjach krytycznych można w ten sposób transportować także i ludzi. Ostrzegam, że potrzeba lat praktyki, żeby przywyknąć do Translokacji. A niektórym i tak się nie udaje.

– Ale my nie mamy za sobą lat praktyki – przypomniał Thomas. –

Ani w ogóle żadnej praktyki.

– Jestem tego świadom – odparł Wolfe. – Ale stanęliśmy w obliczu siły wyższej. To dość prosty proces. Nie musicie robić w zasadzie nic, poza oczyszczeniem myśli. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, pojawicie się w Komorze Translokacyjnej w Aylesbury, najbliższym Oksfordowi punkcie.

– A jeśli nie pójdzie dobrze? – spytała Khalila.

Wolfe zlekceważył jej pytanie. Wyciągnął rękę i przycisnął złotą opaskę do analogicznego symbolu Biblioteki, wytłoczonego na odległej ścianie. Otworzyły się ukryte drzwi.

Za nimi znajdowało się kłębowisko drutów i rurek, zwoje metalu i ostre światło. Zupełnie inny widok, niż wszystko, co Jess dotąd widział. Ta... maszyna, tak chyba należałoby ją nazwać, była olbrzymia i onieśmielająca. Pośrodku stał stary człowiek w białej szacie. Trzymał w dłoniach hełm z brązowego metalu. Hełm był połączony z drutem, biegnącym do płataniny rurek.

Rozległ się nieoczekiwany, głośny syk i nad ich głowami pojawiły się kłęby białej pary. Jess schylił głowę. To samo zrobili wszyscy z wyjątkiem Wolfe'a.

Do pomieszczenia wkroczył Niccolo Santi i minął ich, by zatrzymać się obok Wolfe'a. On też miał torbę, ale jego wyglądała na bardzo znośną.

– Pójdę pierwszy. Zobaczą, jak to wygląda.

Wolfe skinął głową i położył dłoń na ramieniu Santiago.

– *In bocca al lupo.*

– *In bocca al lupo* – odparł Santi i wyszedł na środek, gdzie czekał starzec. – Jestem gotowy.

Obskurysta westchnął i nałożył hełm na głowę Santiago. Wydawał się ciasny i na zewnątrz został tylko niewielki fragment twarzy.

Kapitan przestał się uśmiechać, zamknął oczy. Stał nieruchomo.

– Gotowy? – Santi skinął głową. – Połączenie nie jest najlepsze. Będzie bolało.

– Zawsze boli. Miejmy to za sobą.

Starzec położył roztrzęsione, słabe dłonie na hełmie spoczywającym na głowie Santiago.

Wokół nich wyrosła kolumna pomarańczowych symboli i zaczęła się obracać. Początkowo powoli, ale potem coraz szybciej i szybciej, aż widać było tylko rozmytą smugę światła. Starzec oderwał nagle ręce od hełmu i światło skupiło się w ciasnym kręgu wirującym wokół Santiago.

Następnie obręcz skurczyła się do postaci lśniącego, pomarańczowego świetlnego punktu, a Santi... zgiął się wpół. Nastąpił wybuch czegoś potwornego, tak błyskawiczny, że Jess z trudem skoncentrował na nim wzrok: rozbryzg krwi, rozrywane ciało i fragmenty kości. Przez jego ciało przewaliła się potężna fala, a on poczuł, jak w reakcji na tę nieznaną, obcą i przerażającą siłę stają mu dęba włosy na głowie i ramionach.

Metalowy hełm spadł z głośnym hukiem. Był pusty. Zapadła cisza. Martwa cisza.

Obskurysta – musiał nim być, jako że nosił na szyi złotą opaskę – zachwiał się i z trudem złapał powietrze.

Khalila wydała stłumiony okrzyk i przycisnęła do ust obie ręce, jakby ją zemdliło. Jess dokładnie wiedział, jak się czuje. Jakim cudem oni mają to przeżyć?

W panującej wkoło ciszy zabuczał Kodeks w kieszeni Wolfe'a. Sprawdził wiadomość.

– Przeszedł – oznajmił. – Następny.

W jednej chwili wszystko stało się bardzo rzeczywiste, pomyślał Jess: torba ciężąca mu na plecach, Komora Translokacyjna, przyszłość, bliska i rozległa, ale nieznaną i rozciągającą się pod jego stopami jak przepaść. Poczuł, że nie może się ruszyć z miejsca.

Zaskoczyło go, że to cichy Guillaume Danton wystąpił naprzód i oznajmił:

– Ja pójdę. – W jego głosie nie słyhać było strachu, ale roztrzęsione ręce zdradzały, jak się czuje.

Wolfe położył mu rękę na ramieniu i poprowadził naprzód. Podniósł z posadzki hełm i włożył chłopcu na głowę.

– Myśl o niebie – poinstruował go. – Zamknij oczy. Myśl o niebieskim niebie i przesuwających się po nim chmurach. Białych chmurach. – Mówił inaczej niż zwykle, powoli i kojąco, a Jess zauważył, że Danton naprawdę się rozluźnił. Wolfe skinął do Obskurysty, który

położył dłonie na hełmie. – Niebieskie niebo.

– Widzę je – zapewnił Guillaume i uśmiechnął się.

Uformowało się wokół niego pomarańczowe światło. Symbole zawirowały. Wolfe się cofnął

– Białe chmury...

Światło skurczyło się, a Danton krzyknął. Był to straszliwy krzyk, wydobywający się z samego jego wnętrza. Jess rzucił się naprzód, ale Wolfe go powstrzymał.

– Nie pomoże mu pan.

Jess patrzył, jak ciało Dantona zostaje rozerwane na strzępy, jak zgina się w pół i znika. Przerazający wrzask urwał się nagle, a skórę Jessa znów liznęła fala mocy, odczuwalna jak oparzenie.

Pusty hełm kolebał się po podłodze.

Wolfe zerknął do Kodeksu. Coś w jego wyrazie twarzy się zmieniło, na ułamek sekundy pojawił się tam gniew, ból, furia... trudno właściwie powiedzieć, co.

– Następny.

Bycie następnym było ostatnią rzeczą, na jaką Jess miał ochotę. Ostatkiem sił powstrzymywał się przed rzuceniem się do drzwi i ucieczką.

Odezwała się Khalila i ze sztucznym optymizmem stwierdziła:

– Lepiej mieć to za sobą. – Podeszła do Obskurysty, który podnosił z podłogi hełm.

Morgan wyglądała na przerażoną. Podbiegła do Wolfe'a. Zanim jednak zdążyła się odezwać, odwrócił się do niej i rzucił:

– Proszę poczekać na swoją kolej.

– Ale ja widziałam...

– Postulantko! Proszę się opanować albo wyjść. – Wzrok miał tak pałający, że mógłby spalić całą Żelazną Wieżę, więc w końcu skinęła głową i lekko się ukloniła. Potem się wycofała. – Proszę kontynuować, postulantko Seif.

Khalila skrzyżowała ramiona, gdy Obskurysta zakładał hełm na jej hidżab. Wolfe chciał się do niej zbliżyć, ale pokręciła głową.

– Niebieskie niebo i chmury, wiem. Poradzę sobie.

Dario zrobił ruch w jej stronę, jakby chciał ją ściągnąć z powrotem,

ale się pohamował.

– *In bocca al lupo*, kwiecie pustyni.

– Pochodzę z Riyadh – poinformowała go. – Tam nie ma pustyni, to nowoczesne miasto z ulicami i powozami. A pustynne kwiaty mają kolce. – Mimo ciężącego jej hełmu zdołała się uśmiechnąć. – Co to znaczyło?

– W paszczy wilka – przetłumaczył. – Zapomnij o chmurach i patrz na mnie. Jestem znacznie ładniejszy.

– I masz jeszcze większą pustkę w głowie – odparła. – *In bocca al lupo*.

Stary Obskurysta położył roztrzęsione dłonie na jej głowie. Dario jakimś cudem wciąż podtrzymywał jej spojrzenie i uśmiechał się, chociaż Jess nie mógł sobie wyobrazić, ile go to kosztowało. Ona też nie odwróciła wzroku, nawet gdy światło zaczęło wirować.

I gdy rozerwało ją na strzępy.

Nie krzyczała. Jess poczuł powiew mocy, mącącej w głowie i pierwotnej. Zastanawiał się, jak starzec dawał radę to znosić, raz za razem.

Dario musiał się poczuć zobowiązany, by zgłosić się jako następny, bo bez słowa wyszedł na środek i podniósł hełm. W ostatniej chwili wyszczerzył zęby do Jessa.

– Nie każ mi na siebie patrzeć, wycieruchu. Wolę myśleć o tych przeklętych chmurach.

Potem rozległ się rozdzierający duszę wrzask konającego, ociekający krwią, wyrażający przerażenie i szok, a w następnej chwili już go nie było.

Gdy przyszła kolej Izumi, sprawy nie potoczyły się tak jak wcześniej. Owszem, Obskurysta położył dłonie na jej głowie, rozległ się krzyk, zawirowało ciało, kości i krew, ale zamiast wchłonąć się do środka, wir pomarańczowego światła eksplodował. Obmył ich wrzącą falą i tym razem Jess uchylił się, jakby to było rzeczywiste, fizyczne zagrożenie. Zresztą nie on jedyny. Nawet Wolfe się skrzywił.

Gdy Jess się odwrócił, Izumi wciąż tam była. Leżała rozciągnięta na marmurowej posadzce, twarzą do ziemi, przyciśnięta ciężarem torby. Jess dotarł do niej w tej samej chwili, co Wolfe i pomógł rozluźnić paski,

żeby ściągnąć bagaż z pleców drobniutkiej dziewczyny, podczas gdy Wolfe zdejmował jej hełm.

Obrócił ją na plecy.

Miała otwarte oczy; wpatrywała się w coś, ale jednocześnie nie było w nich nic poza niemym przerażeniem. Nad ich głowami zaczęło migać czerwone światło, które skąpało pomieszczenie w falach szkarłatu. Z rurek zaczęła się z ogłuszającym rykiem wydobywać para.

Stary Obskurysta też padł na kolana, ale nie po to, żeby pomóc. Łapczywie nabierał powietrza i drżał jak liść na wietrze. Twarz miał koloru szarego błota. Wyglądał, jakby miał za chwilę skonać. Gdy jednak Jess wyciągnął ręce, żeby mu pomóc, staruszek skulił się, jakby się bał.

– Zostaw mnie. To nie moja wina. Nie moja!

Wolfe przycisnął palce do szyi Izumi, a potem przyłożył ucho do jej klatki piersiowej.

– Pomoc już nadchodzi – zapewnił ją. – Nie jesteś sama. Słyszysz? Daj jakiś znak, że słyszysz. – Wydawała się sparaliżowana, ale spojrzała na niego i mrugnęła. Jego napięta twarz wyraźnie się rozluźniła. Uśmiechnął się ciepło. – Dzielna dziewczyna. Nic ci nie będzie.

Przełknęła ślinę i wyszeptała coś, czego Jess nie usłyszał, ale Wolfe najwyraźniej tak. Pokręcił głową.

– Nie. Niektórzy po prostu tego nie tolerują. Nie wstydź się.

Rozsunęły się drzwi, którymi weszli, i wkroczyło dwóch mężczyzn z Mediki; nieśli nosze. Położyli na nich Izumi i wyszli, zanim ktokolwiek zdołał się zastanowić, co się naprawdę stało.

– Straciła szansę, tak? – spytał Jess, bo nic innego mu nie pozostało.

Wolfe już się nie uśmiechał, twarz miał zimną, jak wykutą z kamienia.

– Nic na to nie poradzę. Zasady były jasne: każdy, kto nie odbędzie tej podróży, odpada – wyjaśnił. – To nie jej wina.

– Czy ktoś od tego umarł? – dociekał Portero głosem wyższym niż normalnie. Śniada na co dzień twarz wydawała się o dwa odcienie jaśniejsza.

– Tak. – Jedno bezlitosne słowo. Odwrócił się do Jessa. – Gotowy?

Jess uświadomił sobie, że stoi na środku, obok porzuconego hełmu. Chciał uciekać. Ale podniósł tylko wzrok na Wolfe'a i potwierdził:

– Jestem gotowy.

Ciężki jak z granitu hełm miażdżył mu czaszkę i dławił. Śmierdział potem i spalonym metalem. Myśl o chmurach. Ale nie mógł. Nie mógł myśleć o niczym innym poza męką, jakiej doświadczyli przed nim jego przyjaciele.

– Jess?

Otworzył oczy. Przed nim stała Morgan i wyciągała do niego rękę. Gdy wyciągnął swoją, uścisnęła jego palce.

– *In bocca al lupo.*

Odpowiedział i już jej nie było.

Obskurysta przydreptał do niego i przycisnął roztrzęsione dłonie do hełmu. Szaty starca cuchnęły zatechłym curry, jego oddech też. Jest na to za stary, pomyślał Jess. Może to jego wina, co spotkało Izumi. Może mnie zabije.

Poczuł, że wokół niego rozpętuje się burza z igieł. Szybko wciągnął powietrze i zatrzymał w płucach. Zamknął oczy, jak dziecko chowające się w ciemnościach przed potworem.

Udało mu się zachować resztki odwagi, gdy igły wdarły się w jego ciało i zaczęły je rozrywać na strzępy. Potworna, przerażająca sekunda ostatecznej zagłady. Usłyszał wydzierający się z jego ust wrzask, nad którym nie potrafił zapanować. Nie widział nic, tylko krwistą czerwień, poczuł, że zaczyna się trząść, a potem...

...upadł na ręce i kolana na kamienną posadzkę, wciąż krzycząc. Jego ciało nie funkcjonowało. Upadł i przetoczył się na plecy, chciał umilknąć i złapać oddech. Ktoś chwycił go za ramiona i odciągnął. Dario? Tak. Dario Santiago ciągnął na tyle mocno, żeby zostawić sińce.

Oparł go plecami o ścianę i odszedł. Jess po raz pierwszy ucieszył się z przytroczonego do pleców bagażu, bo czuł się dzięki niemu jak na puchowym łożu. Poza tym torba była jak niezmienna kotwica w świecie, który wciąż drżał i tańczył na jego oczach.

– Spokojnie – przemówiła do niego Khalila. Podsunęła mu kubek z wodą. – Napij się. Od razu się lepiej poczujesz.

Bezmyślnie wziął naczynie, ale ręce tak mu się trzęsły, że połowę

wylał sobie na twarz i na koszulę. Trochę zdołał jednak przełknąć i faktycznie, tak jak mówiła, od razu zrobiło mu się lepiej. Świat powoli się uspokajał, po chwili już tylko chwiał się dziwnie, aż w końcu całkiem znieruchomiał.

Podczas gdy on jeszcze usiłował się odnaleźć, przybył Thomas. Najwyraźniej zadaniem Daria było odciąganie nowo przybyłych na bok, co musiało być trudne, zwłaszcza w przypadku Thomasa. Jess oddał kubek Khalili, a ona napełniła go z dzbanka i pośpieszyła do Thomasa. Wydawało się, że jest w doskonałej formie, poruszała się spokojnie, z gracją, a ręce, którymi podawała kubek, nawet nie drgnęły.

Jess wciąż miał straszliwe poczucie, że brakuje mu jakiejś części, że zaginęła w tym krwawym wirze, ale gdy przejechał rękami po ciele, nie namacał żadnych ran.

Zresztą już był w lepszym stanie niż kilkoro pozostałych. Najlepiej radzili sobie Dario i Khalila. Za to Guillaume Danton, pierwszy, który tu przybył, wciąż leżał z boku. Zajmowała się nim kobieta w piaskowym płaszczu bibliotekarki. Sądząc po symbolu kropli krwi na klapie, musiała być specjalistką z Mediki. Guillaume był biały jak kreda, a twarz miał zwiotczałą.

Jess spróbował wstać, ale mu się nie udało; dopiero za drugim razem, trzymając się ściany, dotarł do miejsca, gdzie Dario zaciągnął Thomasa. Opadł na podłogę obok przyjaciela. Thomas nie był w stanie utrzymać w dłoni kubka, który wyslizgnął mu się z rąk i zalał sukienkę Khalili. Spokojnie napełniła go ponownie i ponowili próbę. Tym razem udało mu się łyknąć raz, a potem drugi. W oczach miał przerażenie i Jess musiał na jakiś czas odwrócić wzrok. Pewne rzeczy były zbyt intymne, żeby na nie patrzeć.

Jedno za drugim pojawiali się kolejni. Portero wymiotował i szlochał, ale na miejsce przybyło więcej osób z Mediki i zajęli się potrzebującymi. On i Guillaume znieśli podróż najgorzej. Glain nawet nie potrzebowała wody i błyskawicznie doszła do siebie.

Jess jej za to nienawidził. On nie miał pewności, że kiedykolwiek dojdzie do siebie tak naprawdę, w głębi duszy. Po niej spłynęło to jak woda po kaczkę i gotowa była iść dalej.

Tak jak Khalila, która nie wyglądała na ani trochę poruszoną.

– W życiu – szepnął Thomas – nie doświadczyłem czegoś tak potwornego. – Wydawał się dogłębnie wstrząśnięty. Jess poklepał go po ramieniu i pokiwał głową. – Chyba nie jestem stworzony do tej całej Biblioteki. Skoro trzeba tu robić takie rzeczy.

– Tylko w sytuacjach kryzysowych. A Wolfe przecież powiedział, że z każdym razem będzie łatwiej.

– Nigdy nie będzie lepiej i nie będzie żadnych następnych razów. – Thomas się rozejrzył i zauważył nieruchomego Guillaume’a. Zmarszczył brwi. – Jest cały?

– Nie wygląda – odparł Jess. – Masz. Wypij jeszcze.

Khalila nic nie mówiła i spokojnie czekała, aż Thomas skończy. Gdy oddał jej kubek, przeszła do następnego potrzebującego. Jess nagle zaczął się zastanawiać, czy jej niewzruszona postawa naprawdę świadczy o tym, że wszystko w porządku. Może to był objaw szoku, porównywalnego z tym, jakiego sam doświadczył, tylko wyrażanego w inny sposób.

– *Mein Gott* – jęknął Thomas. Głos mu się zmienił, stracił dźwięczność. Jess porzucił obserwowanie Khalili i spojrzał na przyjaciela. Wzrok miał utkwiony pod przeciwległą ścianą.

Dwoje medyków cofnęło się, a kapitan Santi uczynił nad ciałem Dantona znak krzyża. Na oczach Jessa powoli zakrył twarz chłopca.

– Jezu Chryste! – zawołał Jess i się przeżegnał. To był dawno zapomniany odruch, ale uruchomił się pod wpływem wstrząsu. To niemożliwe? Guillaume nie żył?

Dario przeklął wściekle, choć cicho i po hiszpańsku. Morgan, która przybyła, gdy Jess najwyraźniej był zajęty czymś innym, ruszyła do Dantona, ale jeden z Medyków złapał ją i odprowadził. Łkała. Jess chciał do niej podejść, ale obawiał się, że nogi go zawiodą.

W gwałtownym powiewie powietrza przybył Christopher Wolfe. Nie upadł. Nawet się nie zatrzymał. Parł do przodu, jakby wszedł tu z innego pokoju. Minął Jessa i Thomasa i podszedł do miejsca, gdzie Niccolo Santi wciąż klęczał przy okrytym materiałem ciele Guillaume’a.

Santi podniósł wzrok w samą porę. Poderwał się i zahamował prącego naprzód uczonego. Gdy Wolfe usiłował się przepchnąć mimo to, Santi go schwycił i przytrzymał.

– Nie, Christopherze. Nie. On odszedł.

Wolfe głęboko wciągnął powietrze, odwrócił się i wyciągnął Kodeks, żeby wysłać wiadomość. Rysik szybko i wściekle poruszał się w jego dłoni. Chwilę później przyszła odpowiedź. Zlekceważył ją i odszedł w ciemny kąt pokoju.

Jess pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział u Wolfe’a takich emocji. U Santiago zresztą też. Wydawało się, że nieruchoma od wieków równina zdrząła od trzęsienia ziemi.

Santi przejął obowiązki Wolfe’a.

– Wstawajcie – polecił. – Musimy iść.

– A co z Guillaume’em? – spytała Khalila.

– Najszybciej, jak to będzie możliwe, zwrócimy ciało rodzinie. Czy ktoś chciałby coś powiedzieć?

Przez jedną przerażającą chwilę nikt się nie odezwał ani nawet nie drgnął, ale potem przemówił Dario Santiago:

– Nie lubiłem go, ale zrobił to pierwszy, gdy ja stchórzyłem. Był odważny. Myślę, że to wystarczy.

Santi skinął głową. Zerknął na Wolfe’a, ale ten się nie poruszył.

– Na zewnątrz – pokierował ich kapitan. – Szybko.

Większość z nich opuściła już pomieszczenie, gdy Wolfe wreszcie się odwrócił i ruszył do drzwi, ale Morgan została z tyłu. Złapała Wolfe’a za rękaw, kiedy ją mijał i chociaż szeptała bardzo cicho, Jess był dość blisko, żeby usłyszeć.

– Ja to widziałam. Próbowałam panu powiedzieć. Widziałam...

Wolfe odwrócił się i spojrzał na nią wściekle, niemal dziko.

– Nie mogła go pani uratować – oznajmił. – Nawet gdyby była pani Obskurystką, choć, jak przypominam, nie jest nią pani. To nie była pani sprawa. – Wyrwał z jej uścisku rękaw i kontynuował marsz do drzwi.

Morgan skinęła głową. Zarumieniła się, a w oczach lśniły jej łzy.

Wolfe przypominał, że ma zachować tajemnicę.

Ale Jess nie był przekonany, czy powiedział jej wszystko.

LIST

Tekst listu sygnowanego przez uczonego Christophera Wolfe'a, wysłanego do Aristide'a Dantona, ojca Guillaume'a Dantona. Nie napisany jego ręką.

Moim smutnym obowiązkiem jest poinformowanie Pana, że Pański syn Guillaume zmarł w wyniku obrażeń odniesionych podczas procesu translokacji z Aleksandrii na linię frontu w Oksfordzie, podczas podróży ekspedycyjnej. Takie przypadki są bardzo rzadkie i nieprzewidziane, ale chociaż specjaliści niezwłocznie znaleźli się u jego boku, nie mieli możliwości zachowania go przy życiu.

Upamiętni go poświęcony mu kamień w Wielkim Bibliotecznym Korytarzu Wiedzy, a jego nazwisko i dokonania przetrwają w naszej pamięci.

Jego dziennik, uzupełniony po raz ostatni w dniu śmierci, włączyliśmy do zbiorów Biblioteki. Dni, które przeżył, wzbogacą życie tych, którzy przyjdą po nas.

Proszę przyjąć najszczerze kondolencje od Biblioteki. Przedstawiciel Londyńskiego Serapejonu będzie towarzyszył ciału Pańskiego syna w drodze do domu.

Odręczna wiadomość wysłana tego samego dnia przez uczonego Wolfe'a do Jego Ekscelencji Magnusa Artifexu:

Ma pan na rękach jego krew. Czy było to zamierzone, czy przypadkowe, doprowadził pan do jego śmierci. Nie zapomnę tego.

Odpowiedź Jego Ekscelencji Magnusa do uczonego Wolfe'a wysłana niezwłocznie:

Niech pan nie zgrywa naiwnego. Obaj wiemy, że to nie był wypadek. Tak jak obaj mamy świadomość, że to był konieczny krok.

Mam nadzieję, że pan o tym nie zapomni, bo wypadki się zdarzają. Mogą spotkać osoby ważniejsze dla pana niż szpieg Podpalaczy.

Rozdział 7

Śmierć Guillaume'a sprawiła, że Jess poczuł się wyzuty z uczuć. Obserwował, jak personel medyczny owija ciało kolegi w białe prześcieradło i ostrożnie zawiązuje, jak nakazywała tradycja. Potem przeniosą je do sarkofagu, skąd zostanie zabrane do balsamowania, jeśli religia Guillaume'a na to pozwoli. Ale prawdopodobnie tak, pomyślał Jess, bo chłopak chyba był katolikiem.

Myślał o kwestiach technicznych, żeby uniknąć boleśniejszych tematów, o które Thomas nieustannie wypytywał, na przykład: „Myślisz, że cierpiał?” albo: „Jak sądzisz, wiedział, że umiera?”. Jess nie rozumiał, skąd miałby wiedzieć, a zresztą, nawet gdyby zdołał poznać odpowiedzi na te pytania, czy to by komuś pomogło?

Na pewno sytuacji nie poprawił fakt, że Khalila nagle się rozpląkała. Nawet Glain okazała emocje. Tego Jess się nie spodziewał. Ale tak naprawdę interesuje mnie, pomyślał, dlaczego ja nie czuję prawie nic, a oni aż tyle. Może to kwestia wychowania. Parając się fachem szmuglerskim, widział niejedną śmierć.

Albo po prostu starał się trzymać uczucia zamknięte w małej, ciemnej skrzynce, przynajmniej do chwili, gdy będzie gotowy stawić im czoło. Tak samo zachował się, gdy miał dziewięć lat i jego brat Liam zginął na szubienicy. Dopóki się dało, skupiał się na tym, co miał do zrobienia.

Dario też nie płakał. To ich z Jessem łączyło. Gdy ciało Guillaume'a wyniesiono z Komory Translokacyjnej, Dario stanął obok Jessa, oparł się o ścianę i powiedział:

– Jeśli ktoś z nas musiał zginąć, dobrze, że padło na niego. Potomek Podpalaczy ze zbuntowanego kraju. I tak nie pozwoliliby mu zostać.

To było zwięzłe, zimne i brutalnie prawdziwe stwierdzenie, ale ściszył głos na tyle, żeby usłyszał go tylko Jess. Ten pokiwał głową.

– Biorąc to wszystko pod uwagę, dostanie się tutaj musiało być dla niego wyjątkowo trudne. Okaż trochę szacunku.

– Okazuję. Ale nie jestem ślepy. Miał swoje sekrety. Ty też masz. Byli do siebie bardziej podobni, niż chcieliby przyznać. Na

przykład Jess: uważał się za dobrego człowieka, tak w głębi duszy. Ale gdy siedział teraz obok Daria i słyszał znajome myśli i słowa padające z cudzych ust, musiał się raz jeszcze zastanowić, czy się nie myli.

– Owszem, mam sekrety. Na przykład taki, że uważam się za łajdaka – rzucił do Daria, ale bez zbytniego zaangażowania. – Nie przeszkadzaj mi, myślę.

– No tak, to wymaga od ciebie skupienia – zgodził się Dario i zbliżył się do Khalili, a potem ją objął. Jess zobaczył, że się odprężyła. Nawet się nie zdziwił, że ich do siebie ciągnie. Nie po tym, co widział w Komorze Translokacyjnej. Khalila mu ufała. Nie rozumiał co prawda dlaczego, ale niewątpliwie jakaś granica między nimi została przekroczona.

Następnie spojrzął na Morgan. Dochodzili do siebie szybciej albo wolniej, a jemu doskwierał ból w żebrach i podejrzewał, że ma wywichnięte kolano. Może nie kulał, ale bolało. Rozchodzi się, pomyślał. Bywało gorzej.

To jednak powstrzymywało go przed dołączeniem do Morgan.

Gdy wrzucił na plecy bagaż, podszedł do niego Thomas. Torbę miał już starannie przytroczoną do ramion, ale z twarzy nie zniknął mu wyraz zagubienia i rozpacz.

– Zostawimy go tu? – dopytywał. – Tak po prostu? Bez żadnego nabożeństwa?

– Jedziemy na tereny objęte wojną. Nie mamy czasu na ceremonie.

– Ale to znaczy...

– Chodź już.

Jess wiedział, że w jego głosie słyhać zniecierpliwienie, ale nie umiał nad tym zapanować. Smutek Thomasa był dla niego nieprzyjemny i miał ochotę jakoś mu dopiec.

Chłopak spojrzął smutno, ale poszedł za Jessem w stronę drzwi. Morgan szła zaraz za Wolfem. Khalili wciąż towarzyszył Dario, ale kiedy wyszli na szeroki, wyłożony ceglami korytarz, odsunęła się, zadarła brodę i przyspieszyła. Chciała być jak zawsze niezależna.

Wolfe prowadził ich niewielką grupkę – teraz już zaledwie siedmioosobową – do czytelnicy w Aylesbury. Tak jak w aleksandryjskiej, pełno w niej było regałów i stolików, ale tu sporo miejsca zajmowało

duże, huczące palenisko. W Aleksandrii rzadko bywało aż tak zimno. Jess jeszcze się nad tym nie zastanawiał, ale teraz poczuł, że pojawia się wokół niego znajomy, angielski, wilgotny chłód. Miał na sobie lekkie ubranie przystosowane do bezlitosnego upału, do którego zaczynał już przywykać, ale teraz nie pogardziłby odrobiną wełny.

Pomieszczenie miało też inny zapach niż czytelnia w Aleksandrii. Pachniało papierem, atramentem i kurzem, ale z delikatną domieszką stęchlizny. Do tego z kominka, którego ciepło nie docierało do najodleglejszych zakątków, dochodził ostry aromat dębowego drewna. Poza tym pachniało starym popiołem. I zwietrzałym potem.

To miejsce nie zostało zbudowane na potrzeby Biblioteki. Wcześniej musiało być kościołem i wciąż dawało się to odczuć. Regały zostały dziwnie rozmieszczone; pewnie ustawiono je w miejscach, gdzie znajdowały się figury świętych albo ołtarze. Biblioteka niczego nie dobudowała, jedynie dostosowała to wnętrze.

– Wszyscy gotowi do drogi? – spytał Wolfe, gdy się zebrali wokół niego. Jedno za drugim pokiwali głowami. – Otwórzcie torby. Znajdziecie w nich dwie rzeczy, które macie włożyć. Jedna to tymczasowa brązowa opaska na rękę. Na czas tej podróży dostajecie pełne prawa Bibliotekarzy. Druga to biblioteczny płaszcz. Włóżcie jedno i drugie; będzie wam wolno je zdjąć dopiero, gdy wydam zgodę. Nie chcę słyszeć od Anglików ani Walijszyków, że wzięli was za żołnierzy.

Jess ściągnął worek z pleców i otworzył. Rzeczywiście, na samej górze leżała metalowa zapinana bransoletka – z brązu – z wrytym symbolem Biblioteki. W przeciwieństwie do tradycyjnych, tę można będzie zdjąć. Stracą uprawnienia, gdy zakończy się ich misja.

Brąz oznaczał najniższy poziom wtajemniczenia. Gdy umowa takiego Bibliotekarza dobiegała końca, albo awansował, albo zostawał na tym samym stanowisku, albo odchodził. Nie jest prawdziwa, upomniał się Jess. To tylko na chwilę.

Zdjął opaskę postulancką i włożył tę nową, a gdy spojrzał na nadgarstek, przeszył go dreszcz. Jestem jednym z nich. Chciał tego, niezmiennie, ale przez całe życie uciekał przed tym symbolem i śmiertelnie się go bał; nie zapominał o tym. Wiedział, że Biblioteka będzie w dalszym ciągu bezlitośnie ścigać szmuglerów i z radością

powiesiłaby jego, jego ojca i brata, a może nawet i matkę.

Gdy włożył złotawy płaszcz, poczuł się jeszcze bardziej oderwany od przeszłości. Materiał trochę ważył, ale Jess i tak był wdzięczny za jeszcze jedną warstwę izolującą go od zimna.

Wyglądał teraz jak jeden z nich. Do złudzenia.

Gdy wszyscy już się wystroili, Wolfe przyjrzał im się krytycznie, poprawił coś to tu, to tam i skinął głową.

– Jesteście gotowi – orzekł. – Pamiętajcie: róbcie, co mówię i słuchajcie rozkazów żołnierzy, a wszystko będzie dobrze.

Rozbrzmiewała w tych słowach podejrzana troska i to najbardziej zaniepokoiło Jessa.

Na wielkim, ogrodzonym murem dziedzińcu Serapejonu zastali cały zastęp Najwyższej Straży. Około osiemdziesięciu osób. Mężczyźni i kobiety, rozmawiali, śmiali się, siedzieli, stali oraz grali w karty, kości i gry, których nie rozpoznał. Sielanka, gdyby nie to, że wszyscy ubrani byli w czarne mundury i mieli pod ręką gotową do użycia broń. Był tam też Santi, rozmawiał z jednym z żołnierzy i analizował rozłożoną między nimi mapę.

Na widok Wolfe'a z uczniami wstał z kucek i złożył mapę. Gdy kapitan się podniósł, nastąpiła nagła zmiana nastroju wśród kompanii. Wyprostowali się i ustawili w szeregach. Zrobili to błyskawicznie, przeszli od chaosu do pełnego porządku, nim Jess w ogóle się zorientował, co się dzieje. Santi nawet na nich nie spojrział, ale skłonił się lekko Wolfe'owi i oznajmił:

– Jesteśmy do pana dyspozycji.

– Dziękuję, kapitanie – odparł Wolfe. – Jakie mamy warunki?

– Złe. Deszcz pada i są powodzie, ale mamy powozy, które zabiorą nas aż do linii frontu Walijczyków. Odtąd będziemy musieli grać na ich zasadach.

– Które brzmią...?

– Pozwolą nam wjechać do Oksfordu jednym pojazdem. Nawet jeśli wszyscy moi żołnierze pójdą pieszo, i tak miejsca dla pana uczniów będzie mało, choćby nie wzięli wielu książek, ale nie widzę wyjścia. Tak naprawdę nie mają nawet obowiązku pozwalać nam na wjazd żadnym pojazdem, więc proszenie ich o kolejny mija się z celem.

– Nie jest idealnie.

– Oględnie mówiąc. Ale przecież nigdy nie jest, prawda? – Santi uśmiechnął się nieoczekiwanie, odsłaniając równe, białe zęby, a kąciki ust Wolfe’a lekko się uniosły. – Mam nadzieję, że pańskie dzieciaki wiedzą, za który koniec pistoletu się łapie?

– Przeszli podstawowy kurs.

– To nie wystarczy. Costigan! Rozdaj naszym nowym przyjaciołom broń, proszę.

Jeden z ludzi Santiego wystąpił z szeregu i sięgnął po skrzynię, którą przyniósł bliżej i otworzył. Wskazał na Jessa, który stał obok, a gdy ten podszedł, Costigan rzucił mu płócienny pas, kaburę i broń.

– Magazynek jest pełen – ostrzegł. – Macie dziesięć strzałów ślepakami, potem zmieniacie magazynek. Dodatkowe naboje w pasie są naładowane. Postarajcie się nie pozabijać.

I już. Gdy Jess próbował od razu zapiąć pas, Costigan niecierpliwie go odepchnął, żeby zrobił miejsce dla następnej osoby. Jess przesunął się więc w cień portyku i tam kończył mocowanie pasa, jednak zimne palce nie były tak zręczne, jak by chciał. Miał nadzieję, że wygląda pewnie i przekonująco, ale obawiał się, że jednak widać po nim strach.

Dołączył do niego Thomas i zajął się swoim pasem. Potem wyciągnął broń i przyjrzał się jej z żywym zainteresowaniem kogoś, kto najchętniej rozkręciłby ją na części.

– Nigdy nie widziałem takiego małego pistoletu – orzekł. Faktycznie, w niczym nie przypominał opływowej, wyposażonej w śmiertcionośne pociski broni, którą nosiła Najwyższa Straż. Był znacznie bardziej pękaty i kanciasty, a na górze biegła rurka. – Stąd wylatują naładowane pociski. Widziałem, jak to działa: można unieszkodliwić człowieka nawet na godzinę. – Thomas oglądał pistolet ze wszystkich stron. – Myślisz, że jak sobie radzą z przegrzewaniem? Ktoś musiał rozwiązać ten problem, skoro ich używają.

– Tutaj jest zimniej – zgadywał Jess. – Może to broń na zimniejszą pogodę.

Thomas spojrzał na niego przeciągle i z rozpaczą.

– Co za bzdura.

– Wiem.

– To ciekawa kwestia!

– To kwestia techniczna. – Jess położył dłoń na rękojeści swojego pistoletu, ale nie wyjął go z kabury. Wydawał mu się ciepły, ale to pewnie tylko złudzenie. – Nieważne, byle działał. Chociaż wolałbym mieć taki, który może naprawdę zrobić krzywdę.

– Bo jesteś szalony – powiedział Thomas. – Ja się cieszę, że takiego nie mam.

– Bo nie umiesz strzelać. – Jess wiedział, że tymi docinkami maskują chęć ucieczki. Z dwojga złego to lepsze rozwiązanie.

Costigan rozdysponował już całą broń i wrócił do idealnie równego szeregu. Santi skinął głową do Wolfe'a, który z kolei zwrócił się do uczniów:

– Za mną. – Poprowadził ich wzdłuż nieruchomych, beznamiętnych zastępów żołnierzy do oczekującego już powozu parowego z wymalowanym symbolem Biblioteki. Z rury wydechowej wystrzeliła biała smuga pary. W przeciwieństwie do innych prywatnych i publicznych powozów, jakie Jess widział w życiu, ten w ogóle nie został ozdobiony. Tylko nudna, zwykła farba i metaliczny symbol, jeszcze bardziej rzucający się w oczy.

Gdy drzwi się przed nimi otworzyły, okazało się, że w środku jest tylko goła, metalowa podłoga i dwa miejsca z przodu, dla kierowcy i jego uzbrojonego towarzysza.

– Gdzie będziemy siedzieć? – spytał Wolfe'a Portero, który wsiadł pierwszy.

– Na podłodze – odparł Wolfe z niewzruszoną cierpliwością, tak jakby nie było to najgłupsze pytanie świata. – Jest ciasno. Spróbujcie się usadowić wygodnie, bo lepiej nie będzie. W drodze powrotnej zabraknie nawet takich luksusów.

Faktycznie, było ciasno. Jess, który wsiadł jako ostatni, z trudem znalazł dość przestrzeni, żeby nie usiąść na nogach kolegów. Ale biedny Thomas siedział wciśnięty w kąt, co musiało być jeszcze gorsze. Jess przynajmniej mógł się oprzeć o drzwi. Nie było tak źle. W najgorszej sytuacji znaleźli się ci pośrodku.

Morgan i Khalila siedziały z tyłu, pod ścianą. Jess skinął do Morgan głową, ale nie zauważyła.

Jego wzrok podchwyciła za to Khalila i uśmiechnęła się mężnie. Dario, który to zauważył, zmarszczył brwi.

– Witajcie na wojnie – zawołał kierowca z podejrzaną radością. – W zbiornikach po bokach jest woda. Pijcie, bo trochę nam to zajmie. Jak się które porzyga, to na siebie nawzajem, nie na mnie.

– Jak długo będziemy jechać? – spytała z tyłu Glain.

– Cztery godziny, mniej więcej. Wskazana jest cierpliwość. Dowiozę was na miejsce.

– Może nawet w jednym kawałku – dorzucił siedzący obok ochroniarz i coś przestawił w swoim wielkim pistolecie, tak że rozległo się ostre, metaliczne szczęknięcie.

Kierowca skinął do kogoś na zewnątrz powozu.

– Ruszamy.

– Ruszamy – potwierdził kanonier i powóz potoczył się naprzód z nagłym wierzgnięciem. Nabierał szybkości, tocząc się po starym bruku, a Jess aż zgrzytał zębami.

Tak, jak obiecywał Wolfe, nie zapowiadała się łatwa wyprawa.

Po dotarciu na najdalej wysunięte pozycje walijskiej armii, tempo powozu zwolniło niemal do zera, bo toczył się teraz po dziurawych, nierównych drogach, po błocie i nad przepaściami, na które Jess nie chciałby patrzeć przez przednią szybę. Ktoś z tyłu spytał, co to za zapach, a kanonier odpowiedział krótko i zwięźle:

– To wojna. – Smród w potworny sposób oddziaływał na wyobraźnię i Jess był prawie pewien, że to odór rozkładających się ciał.

Gdy się wreszcie zatrzymali, Jess był tak obolały, jakby odbył jeden z bezlitosnych treningów Wolfe'a i podejrzewał, że reszta czuje się dokładnie tak samo.

– Wysiadać – polecił kanonier i otworzył drzwi, o które Jess opierał się plecami. Musiał się szybko chwycić, żeby nie wypaść plecami w błoto. Nogi mu zdrętwiały i musiał przetrwać kłujący jak igiełki ból wywoływany przez krew, która na nowo dopływała do odciętych miejsc. Opierał się o zabłocony bok powozu i pomagał innym wysiadać, ale miał świadomość, że są obserwowani.

Walińczycy stacjonowali w rozległych namiotach. Hardzi, złowrogo wyglądający mężczyźni i kobiety siedzieli na obozowych

zydłach i czyścili broń. Niektórzy rozmawiali, ale nikt nie spuszczał czujnego, badawczego wzroku z nowo przybyłych.

Ubrani byli w zielone, nakrapiane na brązowo mundury, a dalszy kamuflaż zapewniało wszechobecne błoto. Jediną plamą koloru były walijskie smoki wyhaftowane na rękawach mundurów. Jess przez sekundę odwzajemnił ich spojrzenie, ale zaraz wrócił do pomagania kolegom w wysiadaniu. Gdy zbili się w zaniepokojoną grupkę, przybył Wolfe wraz z kapitanem Santim. Santi, jak jego ludzie, nosił czarny mundur ze złotym symbolem Biblioteki, dumnie wyeksponowanym z przodu i na plecach. Był też uzbrojony po zęby i poruszał się z taką pewnością, jakiej Jess nigdy jeszcze u niego nie widział. Na polu bitwy czuł się jak w domu, a jego ciemne oczy nie przeoczyły niczego, ani napięcia w walijskich szeregach, ani pomruków, ani dłoni odrobinę zbyt mocno zaciskających się na rękojeściach.

– Za mną – rzucił Wolfe do swoich podopiecznych i wszyscy ruszyli niepewnie po błotnistym placu w kierunku środka obozu. Gdy Jess się odwrócił, zauważył, że pozostałe zastępy Biblioteki ustawiły się w formacje wokół powozów. Za nimi ruszyła część Najwyższej Straży.

– Naprawdę potrzebujemy aż takiej ochrony? Przecież jesteśmy uzbrojeni – zauważył Thomas. Z jego głosu przebijał niepokój, choć starał się go stłumić. Jess rzucił na niego okiem. Twarz Thomasa była napięta, ale nie skrzywiona.

– Walijszczyki też – odparł. – Co więcej, oni już strzelali do żywych celów.

Nie tylko Thomas czuł się niepewnie, każdy wyglądał na wystraszonego, nawet Dario, chociaż maskował strach groźnymi łypnięciami w stronę żołnierzy, którzy w ten sam sposób patrzyli na niego. Khalila szła ze spuszczoną głową, ale możliwe, że to z powodu nierównego podłoża.

Morgan zbliżyła się do Jessa na tyle, że ocierali się o siebie ramionami. Spojrzał na nią szybko.

– W porządku?

– Nie. Jak mogłoby być w porządku?

Rzeczywiście, nie pomyślał, jak to jest, wrócić do domu ogarniętego wojną, przesyconego rozkładem, do ruin wszystkiego, co

znała. Sam fakt, że miała suche oczy i spokojne dłonie, uważał za niezwykły wyczyn.

Glain sunęła przez zimne, wilgotne powietrze pobladła, jedynie z czerwonymi, gorączkowymi plamami wysoko na policzkach. Jess uświadomił sobie, że szła pośród swoich rodaków, ale uważana była za intruza. Może nawet jakiś jej krewny tu stał i ją obserwował. Dla niej musiał to być taki sam szok, jak dla Morgan.

Po drodze do namiotu nikt ich nie niepokoił. Zaczął padać drobny deszcz, bardzo nieprzyjemny we wszechobecnym zimnie, ale przynajmniej biblioteczne płaszcze okazały się wodoodporne, a gdy rozpadało się jeszcze bardziej, Jess włożył kaptur, żeby ochronić twarz. Wtedy bez żadnego ostrzeżenia srebrzyste potoki wody lunęły jak z cebra. Wędrówka przez błoto stała się jeszcze trudniejsza, ale Wolfe i Santi nie zwolnili kroku, więc reszta gramoliła się za nimi, starając się dotrzymać im tempa.

Przy wejściu do namiotu czekał na nich wymuskany i nietknięty deszczem walijski żołnierz, który przed wejściem do środka kazał im wytrzeć buty. Spełnili jego polecenie, ale Jess wątpił, żeby to coś dało, bo błoto wykazywało zadziwiającą determinację, żeby dostać się wszędzie.

Wewnątrz funkcję podłogi pełnił gruby, sztywny materiał, a pośród płóciennych ścian panowało zadziwiające ciepło. Jess zdał sobie sprawę, jak bardzo przemarzł, dopiero kiedy się rozgrzał. Wolfe wskazał uczniom, żeby ustawili się pod ścianą, gdzie nie będą się nikomu plątać pod nogami. Jess zdjął kaptur i czekał w milczeniu, aż Wolfe i Santi przywitają się z komandorem, czekającym na kwadratowym dywanie pośrodku namiotu, zaraz obok dużego obozowego stołu założonego planami i mapami, zwiniętymi, żeby uchronić je przed ciekawskim wzrokiem.

Walijszyk był niższy, niż Jess sobie wyobrażał, i w ogóle nie rzucał się w oczy: gdyby mijał go na ulicy, w dowolnym miejscu świata, nie zwróciłby na niego uwagi. Z włosów została mu tylko przerzedzona falbanka z tyłu głowy, a chociaż życie żołnierza na pewno nie było łatwe, wydatne brzuszysko sugerowało, że na wikt nie narzeka. Powitał Wolfe'a i Santię uprzejmymi uściskami dłoni i zaproponował im

gorącą kawę, której Jess dotkliwie pozazdrościł.

– Pana sława wyprzedziła pana przybycie. Z moich informacji wynika, że jest to dziesiąta strefa wojenna, którą pan odwiedza? – zwrócił się do Wolfe’a. Jego słowa zaskoczyły Jessa i prawdopodobnie całą resztę też. – Mając takie doświadczenie, naprawdę uznał pan za właściwe sprowadzanie swoich kurczaczków prosto do lisiej nory?

Ma na myśli nas, pomyślał Jess. Komandor był rozbawiony swoim żartem, o czym świadczył uśmiezek.

– Nasze kurczaczki mają ostre dzioby – odparł Wolfe. – Poinformowano mnie, że obwarował pan nasz bezpieczny przejazd dodatkowymi ograniczeniami. Liczę, że rozumie pan, na jakie kłopoty się naraża, generale. To sprawa najwyższej wagi.

– Pozostaniemy przy metaforach czy mogę mówić wprost?

– Proszę.

– Moi ludzie wam nie pomogą – oznajmił generał Warlow. Jess zrozumiał, dlaczego sprawuje takie, a nie inne stanowisko: w jego głosie nawet z tej odległości słychać było niebezpieczną nutę. – Nie będą utrudniać, ale nie pomogą. Nie wycofuję się z obietnicy zapewnienia bezpiecznego przejazdu, informuję tylko, że kiedy opuścicie ten namiot, będziecie zdani na siebie, a ja nie zamierzam odpowiadać za wasze bezpieczeństwo.

Z tego, co Jess wiedział, był to precedens w strefach wojennych: wrogie armie zawsze szanowały neutralność Biblioteki i oferowały jej ochronę. Przynajmniej tak im zawsze mówiono. Jednak Wolfe ani Santi nie byli zaskoczeni.

– Jak pan dobrze wie, jeśli coś nam się stanie, Walia i Anglia poniosą odpowiedzialność – poinformował go Wolfe. – Jest pan na to gotowy?

– Tkwę po szyję w tej przeklętej wojnie. Wezmę na siebie wszystkie odpowiedzialności, jakie trzeba. – Warlow ostro i wymownie spojrzał na uczniów. – To pan więcej ryzykuje. Szkoda, że ściągnął pan do tego piekła dzieci.

– Sam pan to piekło tworzy – odparł Santi. Odezwał się po raz pierwszy i Warlow spojrzał na niego badawczo, jakby mierzył do celu. – To pan odmówił wydzielenia w mieście bezpiecznej strefy. Teraz grozi

pan uczoneму?

– Grożę? – Warlow i Santi toczyli zaciętą walkę na spojrzenia. Warlow uśmiechnął się lodowato. – Jeden mój rozkaz i pan, pana uczonego oraz jego trzódka, oddziały i powozy mogłyby po prostu... zniknąć. Ot, tak. Żadnych ciał. Żadnych wraków. Bez śladu. Na wojnie zdarzają się dziwne rzeczy. To nie jest groźba. A fakt.

Wolfe i Santi nie zareagowali. Żaden z nich. Jess zerknął na Thomasa, a potem na Daria. Pod osłoną peleryny Dario przesunął dłoń na rękojeść pistoletu, co wydawało się dobrym odruchem. Jess miał spocone ręce i przebywanie w rozgrzanym namiocie zaczęło mu się wydawać nieznośne, duszące.

Przez dłuższy czas generał Warlow nie przerywał ciszy. Deszcz coraz głośniejsze dudnił o płótno namiotu, a Jess zauważył, że także jego prawa ręka znalazła się na rękojeści broni, a lewa – na rękojeści noża. Przed namiotem stała straż, ale chociaż delegacja Biblioteki miała przewagę liczebną, Warlow nie zostawił ani jednego człowieka w środku.

To świadczyło o pewności siebie generała.

W końcu Wolfe się uśmiechnął. Jessowi uśmiech ten wydawał się spokojny i niewymuszony. Uczony rozsiadł się w fotelu i wyglądał na całkiem rozluźnionego.

– To dobrze, że się rozumiemy. Każdy uczonego, który poniósł śmierć na służbie, zostaje upamiętniony na ścianie w Wielkiej Bibliotece. Te nazwiska zna każdy uczeń. Może ich pan przepytają. Bez zająknięcia wyrecytują, kto, kiedy i w jakiej wojnie zginął. – To powiedziawszy, odrobinę podniósł głos: – Postulantko Seif...

Khalila wyprostowała się i wyszła naprzód, a Jess odczuł przepelniającą ją w tej chwili dumę. Podniosła głowę i spokojnie wpatrywała się w Wolfe'a.

– Uczona Padma Dahwan została wysłana w celu zamknięcia Mediolańskiego Serapejonu w czasie wojny z Austrią. Ona i wszyscy jej towarzyszący zostali wzięci do niewoli przez armię austriacką, a następnie zabici. Serapejon zniszczono.

– Jak zareagowała Biblioteka?

– Austria już nie istnieje – odpowiedziała spokojnie Khalila.

– Jaką powierzchnię zajmowała wówczas, w porównaniu z wielkością Walii?

– Około trzydziestu trzech tysięcy kilometrów kwadratowych. Walia zajmuje około jedenastu tysięcy.

Gdy tym razem zapadła cisza, zdawała się bardziej ciężać generałowi Warlowowi.

– Proszę zrozumieć, że to także nie jest groźba – zapewnił Wolfe. – To jedynie lekcja historii. Dziękuję, postulanko, może pani wrócić do szeregu.

Warlow przekrzywił głowę. Nie wystraszył się, stwierdził Jess, ale jest ostrożniejszy.

– Żałuję, że wasze powozy nie mogą wjechać dalej. Moi ludzie doprowadzą was do bram – oznajmił. – Nie mogę odpowiadać za reakcję armii angielskiej, gdy już wejdziecie do miasta. Są wygłodniali i agresywni. A poza tym są dzikusami z natury.

Jess poczuł, że Glain patrzy na niego i na Morgan, być może z sympatią, być może zgadzając się z opinią rodaka. Wiedział też, że Wolfe na niego spojrzy, więc pilnował, żeby nie drgnął mu ani jeden mięsień. Jeśli trochę się zarumienił, nie mógł już nic poradzić.

– Jestem przekonany, że Anglicy mają równie interesujące poglądy na temat Walijszyków – stwierdził Wolfe. Dwoma łykami opróżnił filiżankę z kawą i odstawił na bok, a następnie wstał. Ręka Santiiego ani drgnęła, co – jak stwierdził Jess – było także częścią strategii: Wolfe pokazał, że ufa Warlowowi, a przynajmniej, że nie dba o swoje bezpieczeństwo. Równocześnie Santi zapewnił, że nie ufa mu ani na jotę i trwa, gotowy do pomszczenia Wolfe'a, na wypadek, gdyby w kawie był trucizna.

Jess nagle bardzo się ucieszył, że nie poczęstowano go żadnym napojem. Powinienem być od razu pomyśleć o niebezpieczeństwie, zbeształ się. Drugi raz o tym nie zapomni.

Wiele się działo w tym namiocie, a on nie rozumiał nawet połowy i po raz pierwszy, odkąd zaczął poznawać funkcjonowanie Biblioteki, uświadomił sobie, ile jeszcze musi się nauczyć o różnicach między teorią a rzeczywistym działaniem tego świata.

Wolfe i Santi wyprowadzili ich z namiotu prosto w ulewę. Żaden

nie włożył kaptura, więc po chwili wahania Jess też swojego nie włożył. Deszcz zaczął na szczęście powoli słabnąć, ale złowrogie chmury koloru żelaza nadal wisiały nad głowami.

– Co teraz? – spytał Jess Wolfe’a, gdy ruszyli z powrotem do powozów.

– Idziemy – odpowiedział Santi.

– Myślałem, że zostaniemy w powozach, żeby załadować książki...

– To jest wojna. Plany się zmieniają – wyjaśnił Santi. – Będziecie musieli odsyłać książki od razu. Każde z was dostanie znaczniki. Jest was tyle, że powinno wystarczyć.

– Ale, proszę pana... Niektórzy z nas nie są w stanie wysłać nawet dwóch naraz.

Santi odwrócił się gwałtownie.

– Praktyka czyni mistrza. Dość gadania. Niech pan idzie.

KORESPONDENCJA

Prywatna, tradycyjna korespondencja od Jej Ekscelencji Magnus Obskurystów, Maryanny Sfetsos do Jej Ekscelencji Magnus Linguy, Cao Xuegin, 1750 rok:

*Najdroższa przyjaciółko,
gdy przeczytasz te słowa, na rozkaz Archiwisty drzwi Żelaznej Wieży już się za mną zatrasną. Nie próbuj się ze mną kontaktować. Najwyższa Straż dostała polecenie zatrzymywać każdego, kto spróbuje wejść, nawet Kuratorów, a ja nie chciałabym, żeby z mojego powodu spotkała Cię jakaś krzywda.*

Boję się, co nas czeka; nie tylko Obskurystów, których okrada się z mocy i wolności. Ta zgnilizna sięga głębiej, w każdą gałąź i każdy korzeń, bo Biblioteka chce już nie tylko oświecać, ale i zniewalać. Jesteśmy jedynie najbardziej ewidentnymi dowodami tej milczącej wojny, a gdy zakładają nam na szyje obroże, twierdząc, że to dla naszego bezpieczeństwa, my wiemy, że będzie gorzej.

Ten list jest pożegnaniem, bo prawdopodobnie nigdy cię już nie zobaczę. Może tylko w towarzystwie Archiwisty i jego pacholków. Wiedz jedno: miłuję cię, przyjaciółko. Za wszelką cenę chroń siebie, a gdy będziesz mogła, walcz o duszę tego, co obie kochamy.

Nie dopuść, by na świat padł okrutny cień Biblioteki.

Tekst listu od Jej Ekscelencji Magnus Linguy Cao Xueqin do Magistra Archiwisty, 1750 r.:

Szanowny Panie, Zwracam się do Pana z najwyższą estymą i oddaniem, ale i z ciężkim sercem. Modlę się, aby przebaczył mi Pan marnowanie Pana cennego czasu. Nie jest zadaniem głowy wydziału Literatury kwestionowanie Pana mądrości, zrodzonej na drodze boskiego oświecenia, a jednak czuję, że muszę podzielić się z Panem moimi najgłębszymi obawami.

Jak Pan wie, niemal przez życie całe pozostawałam w bliskiej przyjaźni z Obskurystką Maryanną Sfetsos i Pana ostatni dekret, stanowiący, że Obskurystom nie wolno opuszczać Żelaznej Wieży bez Pana wyraźnego przyzwolenia, boli mnie dotkliwie. Śpieszę zapewnić, że Jej Ekscelencja Magnus Obskurystów żadną miarą tu nie zawiniła, a mój

niepokój nie świadczy bynajmniej, że sprzeciwiła się Pana nakazowi. Powodują mną pobudki czysto samolubne i w bólu oplakuję stratę przyjaciółką, która była mi towarzyszką przez całe życie.

Doszły mnie słuchy, że jest to tylko tymczasowe rozwiązanie, mające chronić naszych Obskurystów i zapewnić im warunki do poświęcenia się pracy dla Biblioteki. Jeśli tak, Archiwisto, chciałabym z uniżeniem zapytać, do kiedy odosobnienie to będzie trwało? W głowie nie mieści mi się, byś był skory do podtrzymywania go dłużej niż przez rok.

Pozostaję z szacunkiem i modłę się o Pana dobre zdrowie,

Magnus Linguy, Cao Xueqin

Treść odpowiedzi do Jej Ekscelencji Magnus Linguy od Magistra Archiwisty, napisana nazajutrz:

Z żalem informuję, że Obskurystka Maryanna Sfetsos zmarła wczorajszego wieczora w Żelaznej Wieży i mimo starań Obskurystów Mediki nie udało się jej ocalić. Wszyscy oplakujemy jej stratę. Ceremonie pogrzebowe odbędą się za trzy dni.

Jego Ekscelencja Magnus Obskurystów w ostatniej rozmowie nalegała, żeby podtrzymać izolację Żelaznej Wieży ze względu na bezpieczeństwo służących w jej wnętrzu, gdyż na nich skupia się niechęć Podpalaczy i innych heretyków. Czuję się w obowiązku uszanować Jej prośbę i wierzę, że zrobi Pani to samo.

Rozdział 8

Otwarta przestrzeń pomiędzy walijskimi liniami frontu a murami Oksfordu składała się jedynie z błota, błota i jeszcze raz błota, chlupoczącego niestrudzenie w następstwie ruchów Walijczyków i burzonego oraz mieszanego przez wciąż padający deszcz, chociaż na tym etapie była to już tylko drobna nieprzyjemność, nic więcej. Jess ugiął się pod swoim bagażem, który ciążył mu jak żywy człowiek dźwigany na plecach. Brnięcie przez gęste, mlaskające i ciągnące w dół błoto spowalniało ich wszystkich, nawet Wolfe'a i Santiago, choć im i tak szło się lepiej niż uczniom. Już po nowiutkich bibliotecznych pelerynach, pomyślał Jess. Były przesiąknięte do nitki, sflaczałe i nieprzyzwoicie uwalane błotem.

Mdlący smród rozkładu otaczający pole bitwy zawładnął nim do tego stopnia, że przestał go zauważać; miał teraz większe problemy. Na szczycie murów miejskich Oksfordu – nowych, grubych, zbudowanych z granitu i wzmocnionych żelaznymi opaskami – stali angielscy żołnierze i celowali w zbliżającą się nieustraszenie grupkę wysłanników Biblioteki.

Wolfe wyciągnął z plecaka teleskopowe drzewce z bibliotecznym sztandarem, czarnym, z symbolem wymalowanym złotą farbą, która zdawała się lśnić w rażącym, zimnym świetle. Flaga miała nawet specjalnie wzmocnienie, które sprawiało, że była rozwinięta i widoczna mimo braku wiatru.

Biblioteka nie ryzykowała.

Nikt do nich nie strzelił, ale wielka metalowa brama nie drgnęła. Droga służąca kiedyś handlarzom i przybywającym do miasta podróżnym została zniszczona i jej fragmenty utonęły w błocie, stanowiąc niewidzialną przeszkodę dla maszerujących: niejedno z nich upadło, przedzierając się przez rumowisko, ale nikomu nic się nie stało i wkrótce uczniowie stanęli pod bramą za Wolfe'em i Santim. Najwyższa Straż Santiago otoczyła ich czarnym uzbrojonym kordonem.

Morgan była najwyraźniej przemarznięta i skurczyła się, gdy patrzyła na miasto będące niegdyś jej domem. Przeżywała na pewno straszne chwile i wydawała się bardzo samotna, mimo że stała w grupie. Jess przesunął się i stanął obok niej, ale jej nie dotknął. Uznał, że nie

ucieszyłyby się ani z tego, ani z jego litości.

Santi zaczerpnął tchu i krzyknął mocnym głosem używanym zapewne na defiladach:

– W imię Biblioteki, otwórzcie!

Krzyk rozbrzmiał echem, odbijał się od kamienia i metalu, a wrażenia dopełnił grzmot, który w tym momencie przetoczył się nad ich głowami.

Nic się jednak nie wydarzyło. Jess czuł, że błoto powoli go wsysa, więc spróbował wyciągnąć nogę, ale było mu tylko jeszcze bardziej niewygodnie. Mijały minuty, jedna za drugą. Czarne muchy bzyczały, a potworniejszy niż wcześniej smród bezlitośnie wdzierał się do jego pustego żołądka: śmierć, krew, gnijące ciała. Na pewno gdzieś w głębi spoczywali polegli. Możemy do nich dołączyć, pomyślał. Znikniemy w błocie. Zapomniani. Tak, jak powiedział Warlow.

Dotarło do niego teraz, czego próbował ich nauczyć Wolfe: Biblioteka to nie tylko sterylna praca polegająca na zapewnianiu ogółowi wiedzy. Trzeba też chronić wiedzę. Przed śmiercią. Wojną. Zniszczeniem. W zaciszu klas wszystko wydawało się znacznie prostsze, istniały tylko spokojne dyskusje o czasach, gdy Biblioteka była bezradna wobec takiego chaosu, a wiedza ginęła w płomieniach i wśród wrzasków fanatyków.

Aż nie do pomyślenia, że dziś takie rzeczy są nadal możliwe.

Ich delegacja wydawała się bardzo mała, ale stanowiła przekaz wysyłany przez Bibliotekę: nie musi się w to angażować wojsko. Ale skrzywdźcie choć jedno z nich, a armia się pojawi i zadziała, jak w przypadku Austrii, który przypomniała Khalila. Dowódcy za tymi murami na pewno brali to pod uwagę.

Wolfe i Santi czekali cierpliwie i Jess starał się ich w tym naśladować. Opłaciło się, bo wkrótce rozległ się krzyk:

– Cofnąć się od bram!

Wolfe odwrócił się do nich i skinął głową, a oni odsunęli się, żeby umożliwić otwarcie wielkich, wzmacnianych metalem wrót, które właśnie drgnęły. Obsługiwał je napędzany parą mechanizm, a za nimi znajdowała się jeszcze spuszczana stalowa krata, która powoli podjeżdżała, gdy wysłannicy Biblioteki szli naprzód. Gdy Jess zrównał

się ze słupami przy bramie, zauważył, że otaczają ich żołnierze, ustawieni tak, żeby wziąć na siebie ewentualny ostrzał. To była strefa śmierci.

Brama za ich plecami zaczęła się zamykać i zatrzęsnęła się z hukiem, który Jess odczuł w kościach i pod stopami. Ale zaraz o nim zapomniał. Żołnierze, broń, błoto, deszcz, niepokój, wszystko straciło znaczenie, bo przed nimi, za drugą bramą, zebrali się mieszkańcy Oksfordu.

Było ich tylu... A wszyscy straszliwie wychudzeni.

Khalila przywarła do jego boku i szepnęła:

– Od jak dawna trwa to obłędzenie? – Poczul, że jest wstrząśnięta, jak on. Ludzie mieli wypisaną na twarzach rozpacz, na ich wychudzonych ciałach wisiały brudne łachmany. Najgorzej wyglądały dzieci i aż odwrócił od nich wzrok, bo zwłaszcza dzieci nie powinny być tak chude i schorowane. Nawet w najbiedniejszych zakątkach Londynu nie było aż tak źle.

– Za długo – odparł Thomas. Stał z drugiej strony Khalili, a jego mina wyrażała szok, jaki musiał przeżywać. – *Mein Gott*, spójrzcie na nich. Oni umierają.

– Nie mają azylu. Wszystkich skazano na śmierć.

– Łatwo się żyje ich królowi, który siedzi bezpiecznie w Londynie – odezwała się Glain. – Błagałby o litość, gdyby coś takiego działo się w Pałacu Buckingham.

– Cisza! – rzucił Santi. – Mamy tu zadanie do wykonania.

Trzymajcie się blisko siebie i nie rozmawiajcie. – Był spięty. Niepokój niewzruszonego kapitana robił takie wrażenie, jak cios zaciśniętą pięścią.

Krata podjechała całkiem do góry i Santi wprowadził ich do Oksfordu.

Nikt nie pisnął ani słówka. W milczeniu szli przez tłum. Cisnęły się wokół nich setki ludzi o wyzutych z wyrazu twarzach, wpatrujących się w tych sytych, uzbrojonych nieznanym. To nie tylko głód, pomyślał Jess. To także brak nadziei.

Wolfe zatrzymał się, gdy drogę zagroził im uzbrojony oddział. Prawdopodobnie byli to angielscy żołnierze, choć w przeciwieństwie do nienagannie umundurowanych Walińczyków, na nich zostały tylko

resztki niegdyś czarno-czerwonych mundurów; tu jakieś brudne spodnie, tam poszarpany szkarłatny płaszcz. Wydawali się równie brudni, wyczerpani i niemal zagłodzeni jak cywile. Na czele stał mężczyzna średniego wzrostu, z krótko przyciętymi brązowymi włosami i kośćmi policzkowymi, które wprawdzie wystawałyby nawet gdyby nie był wychudzony, ale teraz wydawały się tak ostre, jakby za chwilę miały przedrzeć się przez skórę. Miał wąskie usta i oczy koloru ołowianego nieba. Wyglądał na wojownika z krwi i kości, w przeciwieństwie do generała Warlowa, a jednak reprezentował przegranych,

– Przepuście nas – zażądał Wolfe.

– Jak tylko ustalimy zasady – odparł mężczyzna. – Uczony Wolfe.... wiem, kim pan jest. Oraz kapitan Santi. Ja nazywam się William Smith i stoję na czele wojsk broniących Oksfordu.

– Jaki ma pan stopień? – spytał Santi.

Smith się uśmiechnął, choć niewesoło.

– Wszyscy dranie, co mieli stopnie, już nie żyją. Uznajmy, że jestem generałem dywizji żywych trupów.

– Wspomniał pan o zasadach – przypomniał Wolfe. – Pomówmy o nich.

– Są proste. Idziecie do Serapejonu, bierzecie co trzeba i wychodzicie. Macie czas do zmroku. Potem wasza neutralność nie będzie warta złamanego grosza.

– Zgodnie z prawem neutralność Biblioteki jest bezterminowa.

– Dzisiaj nie jest.

Wolfe krótko skinął głową, jakby się tego spodziewał.

– Domyślam się, że Biblioteka nie robi większego wrażenia na generale dywizji żywych trupów.

– W rzeczy samej – przyznał Smith. – Daję wam ten dzień, bo moje lodowate, wkrótce martwe serce niegdyś było dobre. Wykorzystaj dobrze ten czas, Wolfe. Bo inaczej ja wykorzystam na swoją korzyść ciebie, twoich uczniów i cenne książki.

– Może pan narazić cały kraj – przypomniał Santi. – Ale podejrzewam, że dobrze pan o tym wie.

– Myśli pan, że mnie to obchodzi?

Rzucił to ot, tak, ale Jess nie miał wątpliwości, że mówił poważnie.

Wolfe nie negocjował. Kiwnął głową, a gdy Smith skinął na swoich ludzi, żeby ustąpili z drogi, Wolfe poprowadził swoją biblioteczną drużynę naprzód.

– Potrzebujecie przewodnika? – zawołał za nimi Smith.

– Znamy drogę.

Nikt im już nie przeszkadzał, choć pogrążeni w przerażającym milczeniu mieszkańcy Oksfordu dalej na nich patrzyli. Jedni stali w długich kolejkach po skromne racje żywnościowe, leki i czystą wodę. Inni, samotni i opuszczeni, opierali się o ściany pod dachami, żeby schronić się przed deszczem.

Miasto cuchnęło śmieciami, odchodami i niepogrzebanymi ciałami, co potwornie kontrastowało z pięknem imponujących, starych budynków zdobionych przez historię. Serapejon stał przy ulicy Catte, niedaleko uniwersytetów, a gdy podeszli bliżej, Jessa uderzyło, jak bardzo przypominał twierdzę. Stare, żelazne, kute bramy uniemożliwiały wejście na wyłożony szarym kamieniem dziedziniec, nad którym górował gmach biblioteki, skrywając go w zimnym cieniu. Toczyły się tu bitwy. Przelewała się krew.

Budynek wyglądał na stary i taki był. Jednak im bliżej podchodzili, tym bardziej wytrącony z równowagi stawał się Jess, bo obywatele miasta tłoczyli się u bram: mężczyźni, kobiety i dzieci w każdym wieku. Napierali na bramę i blokowali przejście, choć po drugiej stronie czekał zastęp miejscowej Straży Bibliotecznej, uzbrojony i gotowy do działania. Najpierw dobiegały ich tylko pomruki, ale gdy pochód z Wolfe'em na czele zbliżał się, gwar narastał.

– Przygotujcie się – ostrzegł ich Santi. – Może być ciężko.

Miał rację. Tłum nie zamierzał ustąpić i pomruki szybko zmieniły się w błagania. Jess z trudem przełknął ślinę, gdy zobaczył kobietę czepiającą się rękawa jednego z żołnierzy. Drugi, idący za nim, odsunął ją stanowczo, ale delikatnie. Parli naprzód, a błagania wokół wzmagaly się:

– Proszę, uczony, daj nam jedzenie. Wiemy, że w środku są zapasy!

– Prosimy, weźcie chociaż dzieci!

– Dranie! Widzieliśmy, że macie wodę!

– Czemu wy możecie przejść? A co z nami?

Żołnierze uformowali klin, który rozcinał tłum, sięgając do bram. Następnie rozsunęli się na boki, tworząc korytarz, którym Wolfe i jego uczniowie dotarli do zamkniętego wejścia. Bibliotekarka w oficjalnym stroju przekręciła klucz.

Furta się otworzyła i rozległy się krzyki, a gdy Jess się obejrzał, okazało się, że żołnierze, którzy dotąd pilnowali ich bezpieczeństwa, teraz sami się bronią. Stali ramię w ramię, tworząc ciasny, nieprzerwany łańcuch uniemożliwiający tłumowi zbliżenie się do bram.

– Do środka! – zarządził Santi i popchnął Thomasa tuż za Wolfe'em, który wszedł na dziedziniec jako pierwszy. – Już, raz, raz!

Jess chwycił Morgan, Glain złapała się jego, a cała reszta pośpieszyła za nimi. Dario zamykał pochód, z pistoletem przygotowanym do strzału, ale na szczęście nie musiał go użyć. Żołnierze wytrzymali napór. Santi zarządził odwrót i łuk zacieśniał się coraz bardziej aż wreszcie ostatni z nich znalazł się na dziedzińcu, a brama została bezpiecznie zamknięta.

Jess stanął jak wryty, bo niemal wpadł na posąg strzegący biblioteki. Był to lew. Ogromny. Stał na czterech łapach, łeb miał spuszczone, a czerwone oczy lśniły jak lawa. Z głębi jego trzewi dobiegł dudniący warkot i Jess szybko podciągnął rękaw, żeby pokazać mu biblioteczną opaskę. Lew odepchnął go na bok i pozwolił przejść dalej.

Tłum zaatakował bramę. Ludzie rzucali się na niewzruszone żelazne pręty i widać było tylko masę wykrzywionych od krzyku twarzy i słabych kończyn. Z takim tłumem nie było rozmowy. Mogli mieć tylko nadzieję, że brama wytrzyma, a w razie czego spacerujący tam i z powrotem i ryczący ostrzegawczo lew pomoże ludziom Santiiego utrzymać porządek.

– Wejdźcie do środka, szybko – pogoniła ich bibliotekarka, która powitała ich przy wejściu. Była wysoką, smukłą kobietą, pochodzącą najpewniej z Afryki. Siwiejące włosy miała krótko przyszczyżone, a jej nieruchome oczy świadczyły o tym, że widziała już za dużo. – Bardzo przepraszam. Jestem...

– Starsza Bibliotekarka Naomi Ebele – dokończył za nią Wolfe. – Doskonale sobie pani poradziła, zwłaszcza w tak trudnych warunkach.

To potrwa już niedługo.

Odetchnęła głęboko, a nagły błysk w jej oczach dowiódł, jak wielkiej doznała ulgi, ale mówiła nadal spokojnie:

– Pomoc będzie bardzo mile widziana. Gdy wejdziemy do środka, zobaczy pan, co się dzieje.

– A brama? Wytrzyma? – spytał Jess. Motłoch, bo teraz nie można było ich nazwać inaczej, bezmyślny i brutalny, próbował wspinać się na bramę. Powstrzymywali ich ludzie Santiago.

– Jak dotąd wytrzymała – odparła Ebele. – To ich nie pierwsza próba wdarcia się tutaj. Są przekonani, że mamy zapasy.

– A macie?

– Nie. Ledwie wystarczy dla nas, by przetrwać jeszcze dzień lub dwa. Słyszał pan o skarbie, jaki znaleźliśmy?

– Tak. Czarny rynek?

– Jeśli tak, to sprzed lat. Ale wygląda mi to raczej na przekazaną przez kogoś wyjątkowo cenną kolekcję, zabezpieczoną przez naszego bibliotekarza do wysłania, ale najwyraźniej coś się stało i została zapomniana. Aż do teraz, kiedy szukaliśmy jakichś zapasów. Proszę uwierzyć, że sami byliśmy w szoku. Ale gdy negocjacje nie odniosły skutku, odesłaliśmy cały personel.

– Ile osób jeszcze zostało?

– Łącznie ze mną trzy. W ubiegłym tygodniu wysłałam naszą Uczoną wizytującą do Londynu, choć bardzo się broniła. To starsza osoba, zbyt delikatna, żeby tu zostać. – Ebele poprowadziła ich po schodach do dębowych drzwi, wyglądających na dość potężne, żeby powstrzymać szturm. Otworzyła je innym kluczem i wprowadziła ich do cienistego korytarza, który wychodził na wielką salę wyłożoną ciemnym drewnem, z wysokimi łukami i regałami. Jak wszystkie serapejony świata, i ten pełen był blankietów, gotowych do udostępniania pozycji wprost z Kodeksu, ale na długich, wypolerowanych stołach pośrodku auli leżały stosy książek. Oryginałów.

Było ich mnóstwo! W pokoju unosił się znajomy Jessowi zapach, cierpki aromat kurzu, budzący wspomnienia magazynów jego ojca. Stare książki dźwigane w ramionach albo przytroczone do jego piersi.

Zapach historii.

Nawet Wolfe'a zatkało na widok leżących przed nimi woluminów, bo było ich naprawdę mnóstwo, być może więcej niż zobaczą przez całe życie. Nawet Jess, przez którego ręce przewinęło się tyle książek, że inni mogliby tylko pomarzyć, umilkł i poczuł dreszcz nie tylko zachwytu, ale i przerażenia.

– Jak widzicie – podsumowała Ebele – mamy problem.

– Zgadza się – przyznał Wolfe. – Wiadomość od pani urwała się, zanim podała pani dokładną liczbę, ale od razu założyliśmy, że jest ich dużo. Jednak to nie jest dużo. To jest masa!

– Rzadkie znalezisko – przytaknęła. – Dlatego, mimo rozkazów, nie mogłam opuścić stanowiska.

Żaden bibliotekarz by nie mógł, nie w obliczu Walińczyków czekających, żeby spustoszyć miasto, siejąc śmierć i pożogę. A wszystko rzekomo w imię sprawiedliwości. Te tysiące woluminów spoczywających na stołach w Serapejonie Bodlejańskim, w Oksfordzie, to nie łup wojenny.

To najświętszy skarb.

– Nie damy rady. – Głos Khalili zadrzał z emocji i musiała głęboko odetchnąć, żeby się uspokoić. – Nie damy rady przesłać ich wszystkich, nawet gdybyśmy mieli dość znaczników.

– Pogrupujemy je i ocalimy, ile się da – odparł Wolfe. – Podzielcie się na dwuosobowe zespoły i posortujcie książki na trzy grupy: unikat, rzadkie, zwyczajne. Szybko. Mamy niewiele czasu.

Khalila i Dario od razu zabrali się do pracy. Thomas wybrał – o dziwo! – Portera. Jess rozejrzał się za Morgan, ale jej nie znalazł. Przywołał więc gestem Glain i zapytał, czy jej nie widziała, ale tylko wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Chodź, zaczynamy.

– Znam większość unikatów – powiedział. – Ty je układasz i czytasz mi tytuły. – Co Wolfe polecił Morgan? I gdzie sam zniknął? Nie było go w okolicy, ale pozostali zgromadzili się wokół stołu i pracowali jak im polecono.

Glain spojrzała na niego z wdzięcznością i otworzyła pierwszą książkę:

– *Przewodnik gentelmana po uprawie pszenicy, w tem po*

chorobach, do których jest skłonna. Autorstwa Hywel Pryor.

– Zwyczajne. I nudne.

– Chyba, że się lubi jeść – zauważyła Glain. Zresztą słusznie. – *O obwodach planet.* Autorstwa Ping Le. Przekład z chińskiego.

– Rzadkie. Ostrożnie.

– *O tworzeniu kuli.* – Stał jak wryty i wpatrzył się w nią szeroko otwartymi oczami, czując, jak krew odpływa mu z mózgu w kierunku stóp. Glain podniosła głowę i uśmiechnęła się złośliwie. – Nie mamy aż takiego szczęścia. *Proces żelaza,* autorstwa Gwen Neame. Powieść.

– Rzadkie. I nie rób tego więcej.

– Mam nie żartować? A co powinnam robić? Płakać? Komuś by to pomogło?

– Może. – Przypomniawszy sobie tych zdesperowanych, półżywych ludzi za bramą. – Za długo to trwa. Czytaj tytuły.

Glain zaczęła więc podawać jeden za drugim, a gdy Jess jakiegoś nie znał, sprawdzał w Kodeksie. W końcu też wypatrzył Morgan, stała z Wolfe'em w kącie i zawzięcie się z nim kłóciła. Nie słyszał słów, ale czuł, o co chodzi.

Podejrzewał, że chciała odnaleźć ojca. A Wolfe nie zamierzał zgodzić się na ryzyko wypuszczenia jej do miasta. I dobrze, pomyślał Jess. Sądząc po tym, co widzieli, jeśli w ogóle odnalazłaby ojca, możliwe, że byłby już martwy.

– Skup się! – Glain strzeliła mu palcami przed nosem. – Spowalniasz. Później będziesz się gapił na swoją dziewczynę.

– To nie jest moja dziewczyna – mruknął.

I wrócił do pracy.

Kilka godzin zajęło im przedarcie się przez gigantyczny księgozbiór, ale wreszcie każda z grup wyłuskała swoją porcję unikatów i przeniosła na jeden skraj stołu. Mimo selekcji stos wciąż przedstawiał się imponująco. Wolfe zaczął sam przeglądać wybrane tomy i rozkładać je jeszcze na dwie kupki, ale w trakcie podniósł chmurne spojrzenie i jego wzrok spoczął na Jessie.

– Proszę sprawdzić, co się dzieje na zewnątrz – polecił. – Santi się nie zameldował, to do niego niepodobne.

Jess skinął głową i pośpieszył do wyjścia. Glain go wyprzedziła,

otworzyła zamknięte drzwi i wypuściła go. Przekraczając próg, obejrzał się za siebie.

– Zamkniesz za mną, tak?

– Na wszelki wypadek – uśmiechnęła się. – Powodzenia.

Wypchnęła go na schody i zatrzasnęła drewniane wrota. Usłyszał szcęk zamykających się zamków i wciągnął do płuc haust lodowatego, wilgotnego powietrza. Rozejrzył się po dziedzińcu.

Podczas gdy tkwił pogrążony w ponadczasowej ciszy budynku bibliotecznego, pogoda się zmieniła: płaskie chmury wisiały teraz nisko, a ulewa przeszła w deszcz ze śniegiem. Stare schody były nim zasypane i śliskie.

Na bruku po wewnętrznej stronie dziedzińca zauważył krew; szeroką, rozcieńczoną wodą smugę. Skrzydła bramy spięte były nowym łańcuchem, poprzednie zabezpieczenia musiały zostać zerwane. Na zewnątrz leżały ciała, co najmniej dziesięć: mężczyźni, kobiety i drobna, nieruchoma postać dziecka. Jess zagapił się na nich, na krew, a kiedy podniósł wzrok, ujrzał Niccola Santiago.

Kapitan był ponury. Na policzku miał cienki ślad krwi, nie swojej, a rękawy czarnego munduru zostały poszarpane.

– Co pan tu robi? – spytał ostro. Jess szybko omiótł wzrokiem resztę dziedzińca: kilku żołnierzy stało przy bramie, pozostali opierali się o mur, opatuleni w płaszcze. Jeden leżał bez ruchu pod kocem; spał, był ciężko ranny albo nie żył.

– Wolfe mnie przysłał, żebym sprawdził, co się dzieje.

– Niech mu pan przekaże, że mieliśmy szczęście. Ale ta stara brama nie wytrzyma następnego natarcia. Nasze pistolety też nie, jeśli przyjdą w większej masie. Tym razem wedrą się na dziedziniec.

– Ilu z pana ludzi...

– Niech pan przekaże, że piasek przesypuje się bardzo szybko. I zostawcie kogoś przy drzwiach, żeby je szybko otworzył, jeśli zarządzą odwrót.

– Myśli pan, że wrócą?

– Są przekonani, że w bibliotece leżą stosy worków z jedzeniem, płynnie bieżąca woda, a wszystko posypane jest czarodziejskim pyłem. Oczywiście, że wrócą. – Santi spojrzał w kierunku bramy,

zabezpieczonej nowymi łańcuchami. – Myślę, że już niedługo.

Jess ruszył w górę schodów i zabębnił do drzwi, a potem słuchał, jak zamek ożywa i podnoszą się skoble. Wyobrażał sobie, że stoi tu w obliczu ataku rozwścieczonego tłumu i zabija chorych, słabych, dzieci...

Wiedza jest wszystkim. Tak się przedstawiało motto Biblioteki w prawdziwym świecie. Oznaczało, że nic, nic na świecie nie ma od niej większej wartości. Nawet życie.

Widział przed oczami zdesperowane twarze i myślał, że to jakaś kpina.

Jak tylko drzwi się uchyliły, wpadł do środka, odpychając Glain. Zignorował jej protesty.

– Nie zamykaj ich – polecił. – I stój tu. Santi może w każdej chwili zarządzić odwrót.

– Ale...

– Zostań!

Sam ruszył wzdłuż holu. Ciężar ubłoconego bibliotecznego płaszcza sprawił, że poczuł się starszy. Twardszy. I bardziej śmiertelny niż jeszcze kilka dni temu.

Złożył raport Wolfe'owi. Ten patrzył tylko na książki, które przeczesywał, ale skinął głową.

– Dobrze. Musimy zacząć wysyłać. Potrzebuję pana.

– Zostawiłem Glain przy drzwiach.

– Słusznie. To zadanie dla niej. – W końcu podniósł na niego wzrok. Jego koledzy stali na drugim końcu stołu z dwiema osobami z Biblioteki Oksfordzkiej, szeptali coś i pozornie nikt nie słuchał jego ani Wolfe'a, ale wiedział, że uwaga zwrócona jest na nich. – Ile książek pan wytrzyma?

W pierwszym odruchu chciał odpowiedzieć, że nie wie, ale z jego ust wydobyły się zupełnie inne słowa:

– Ile będzie trzeba.

– Proszę zrobić dziesięć, odpocząć, zjeść coś i zrobić kolejne dziesięć. I tak dalej, aż pan nie będzie mógł dalej. Jasne?

– Tak, proszę pana. – Wolfe wręczył mu zapas znaczników. – Mam je wpisywać do Kodeksu?

– To proszę pominąć. Seif! Santiago! Do mnie. Trzy książki,

przerwa na jedzenie i pięć minut odpoczynku, następnie jeszcze trzy. Jeśli was zemdli, proszę przestać.

Jess zaczął od stosu leżącego tuż przed nim. Dziesięć i odpoczynek. Adrenalina przeprowadziła go przez pierwszy stosik, przesłał go i wziął się za kolejne pięć. Książki pojawiają się w Archiwum, w rękach Obskurysty, którego zadaniem będzie przekazanie ich personelowi Biblioteki. Jess wysyłał jedną za drugą.

Stracił rachubę, aż poczuł, że robi mu się słabo. Zachwiał się i zatoczył na krawędź stołu. Musiał się jej chwycić obiema rękami i stać tak, aż przestało mu się kręcić w głowie. Thomas wręczył mu batonik ze sprasowanych orzechów, miodu i owoców. Jess go zjadł, choć nie miał ochoty, a potem popił łykiem wody.

– Spokojnie – powiedział Thomas. – Bo przy tobie wyglądamy jak cieniasy. Siadaj.

Pokiwał głową i nagle do niego dotarło, że nie może już ustać na nogach, więc opadł na krzesło. Patrzył, jak do stołu podchodzi Khalila. Aktywowała pięć znaczników z rzędu, zachwiała się i zatoczyła. Dario wyciągnął rękę i złapał ją w pól. Uśmiechnęła się słabo, ale z wdzięcznością. Dario odesłał swoje książki i wyglądało na to, że nie robi to na nim wrażenia, ale Jess widział, że zrobił się blady jak śmierć. Wstał, żeby go zmienić.

– Masz. – Podał mu wodę. – Nie chcę, żebyś był lepszy ode mnie.

– Jakość, a nie ilość! – odparł Dario i padł na krzesło, z którego właśnie wstał Jess.

Obaj wiedzieli, że to nieprawda. Nie dzisiaj.

Dalej wszystko wyglądało tak samo, tylko zmieniali się bohaterowie. Jess wysłał jeszcze pięćdziesiąt woluminów, zanim musiał usiąść i przez dłuższą chwilę odpocząć, bo kręciło mu się w głowie i nie miał siły stać. Było trudniej, niż myśleli. Bibliotekarka Ebele i Wolfe wysłali w sumie sto książek, ale potem ona całkiem opadła z sił i trzeba ją było położyć na stole nieopodal. Jej skóra zrobiła się popielata, jakby miała nie dożyć następnego wdechu. Wolfe nie przerywał, chociaż wycofał się na chwilę, żeby coś zjeść, napić się i posiedzieć chwilę, a przy tym przyjrzeć się kolejnym zmiennikom, partnerom Ebele, którzy wraz z Morgan i Thomasem nieustępliwie oznaczali kolejne książki,

żeby bezpiecznie odesłać je do Aleksandrii.

Udało im się uporać niemal ze wszystkimi, gdy usłyszeli na korytarzu echo kroków. Po chwili zmaterializowały się w postaci Santiago, Glain i zakrwawionych, ciężko oddychających żołnierzy. Niektórych trzeba było nieść, innych ciągnąć. Niemal żaden nie wyszedł z tego bez szwanku.

– Straciliśmy dziedziniec – oznajmił Santi Wolfe’owi. Ponad jego słowami przebijał się wściekły ryk tłumu na zewnątrz grubych, kamiennych ścian biblioteki i łomot pięści – albo broni – w drzwi, przez które przed momentem przeszedł ze swoimi ludźmi. – Pokonali lwa. Zostaw resztę.

– Nie – zaprotestował Wolfe. – Będziemy musieli je wynieść.

– Zostało ci pięć znaczników. Wykorzystaj je na uczniów. Wyślij ich do domu.

– Obaj wiemy, że to ich może zabić. Znaczniki nie są przystosowane do przesyłania żywych ciał.

– To już nie ma znaczenia. Wyślij ich. – Santi odwrócił się do uczniów, którzy znów zbili się w ciasną grupkę. Jess zorientował się, że wraz z Dariem i Glain znajduje się w pierwszej linii, reszta stała za nimi. Wojownicy na czele, pomyślał i niemal się uśmiechnął. Zrobili to nieświadomie.

– Ja zostaję – oznajmił Jess i usłyszał, że w tej samej chwili Dario i Glain powiedzieli to samo. Popatrzyli na siebie, ale zaraz rozległ się chór dochodzący z za ich pleców. Morgan. Portero. Khalila. Wszyscy.

– Ujmę to inaczej. Kto się zgłasza na ochotnika, żeby wrócić do Aleksandrii?

– To jest gorsze niż Kabina Translokacyjna?

– Nieskończenie gorsze – odparł Santi. – Używamy znaczników jedynie wówczas, gdy nie ma innego wyjścia. Ale ja przeżyłem. Wy pewnie też byście przeżyli.

Portero westchnął z żalem.

– Książki przede wszystkim, proszę pana. Czy nie tak powinno być? Najpierw książki, potem ludzie.

Wolfe niemal się uśmiechnął.

– Widzisz? To nie dzieci. To bibliotekarze.

Santi nie wydawał się zaskoczony, ale o ile to w ogóle możliwe, spochmurniał jeszcze bardziej.

– Co z tego, skoro ci twoi bibliotekarze wyglądają, jakby śmierć ich przeżyła, połknęła, a potem wyrzygała? Mamy większe problemy. Nasz drogi generał dywizji żywych trupów zmienił zdanie. Już nas nie wypuści przez główną bramę. Obiecał nawet dodatkowe racje żywnościowe każdemu, kto mu nas przyprowadzi, żywych. Chce nas wziąć jako jeńców.

Wolfe skinął głową. Przez chwilę milczał, a potem nagle spojrzął na Jessa.

– Wiedzieliśmy, że tak się może skończyć.

– Walijczycy też się nie zawahają – kontynuował Santi. – Zabiją nas z równą radością jak Anglicy, obaj to wiemy. Musimy uciekać, Christopherze, ale nie wiem którądy, skoro zużyłeś wszystkie znaczniki.

– Myślę, że może nam pomóc młody pan Brightwell.

Jess odruchowo cofnął się o krok, ale wpadł na Thomasa, który stał tuż za nim. Zaraz się zresztą opanował. Oczywiście, że Wolfe wie. Santi powiedział mu o wiadomości, nawet jeśli jej nie rozumiał.

Później będzie się martwił konsekwencjami. Teraz nic nie miało znaczenia, tylko uwolnić się z tej pułapki, w której utkwili.

– Możliwe, że będę mógł pomóc. Ale to będzie kosztować.

Wolfe'a to nie zaskoczyło.

– Gdzie idziemy?

„Pod trawą”, napisał Brendan w zaszyfrowanej wiadomości.

– W tawernie Pod Darniną powinien być mój kuzyn Frederick. To przy wylocie z Piekielnego Przejścia. On będzie wiedział, którądy uciekać.

– Niccolo?

– Mapa – zażądał Santi i zaraz jeden z żołnierzy rozwinął zwój, kryjący koniecznie wskazówki. Santi rozłożył mapę; nie blankiet, tylko prawdziwą mapę, drobniawo wyrysowaną na arkuszu papieru. Rogi przycisnął leżącymi na blacie znacznikami. – Jesteśmy tutaj. – Przyłożył palec do małego rysunku, przedstawiającego budynek biblioteki, kryjący się w labiryncie innych. – Tawerna pod Darniną znajduje się tutaj. Niedaleko, ale ryzykownie, zwłaszcza drogą przez to przejście.

Śmiertelne ryzyko, jeśli nas dopadną.

– Nie, jeśli ich czymś zajmiemy. – Naomi Ebele powoli podniosła się ze stołu, na którym odpoczywała. Wstała. Jeden z kolegów wziął ją pod ramię, a ona uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Proszę, niech pan odeśle, co może, a resztę zabierzemy. To, czego się nie da, odniesiemy do skrytki i oddamy im Serapejon. Niech szukają tych naszych zapasów jedzenia. To da nam dość czasu.

– Zniszczą Bibliotekę – szepnęła Khalila, a Jess odczuwał ten sam narastający, dławiący strach. Ten stary gmach, wyłożony kilkusetletnim drewnem, czule zdobionym złotą folią, z pięknymi, wysokimi oknami... – Rozedrą ją na strzępy, jeśli nie znajdą tego, na co liczyli.

– Wiem – odparła Ebele. Rozejrzała się, a w oczach miała łzy. Położyła dłoń na gładkiej, pociemniałej od starości półce. – Ale odbudujemy ją.

– Kim jest ten pana kuzyn? – spytał Jessa Santi.

– To nie ma znaczenia – zaproponował Wolfe. – Jeśli może nas stąd wyprowadzić, reszta to szczegół. Postulanci, proszę pomóc bibliotekarce Ebele odnieść książki do piwnicy. Nie mamy czasu do stracenia. Brightwell, pan nie. Pan zostanie ze mną. Mamy jeszcze pięć znaczników, potem podzielimy resztę. Każde z was weźmie kilka do plecaków. Strzeżcie ich swoim życiem.

Reszta uczniów ruszyła za z personelem Biblioteki Oksfordzkiej, a oddziały Santiago rozeszły się w poszukiwaniu dróg wyjścia. Nagle Jess został całkiem sam z Christopherem Wolfe'em pośrodku skazanego na śmierć Serapejonu Bodeliańskiego. Wolfe spokojnie zapiął znaczniki na pięciu woluminach i podał je Jessowi do aktywacji, jeden za drugim.

– Od jak dawna pan wie? – spytał Jess. Głos mu drżał i się łamał, bo pytał między głębokimi wdechami, których potrzebował, żeby skupić energię konieczną do odesłania do bezpiecznej przystani dwóch ostatnich książek. – O mojej rodzinie?

– Od dnia, kiedy znalazł pan skrytkę w domu Abdula Nejema – odparł Wolfe. – Skutecznie pan się maskował, ale ktoś bez doświadczenia w szmuglu nigdy by na nią nie trafił. Przyznaję, że dowiedzenie się więcej o pana rodzinie było już znacznie trudniejsze. Początkowo myślałem, że pański ojciec jest jedynie kolekcjonerem. –

Przez chwilę jego twarz była jak zwykle nieruchomą, surową maską, ale złagodniała, gdy Jess się zachwiał i niemal upadł. Wolfe go schwycił i posadził na fotelu, a następnie ukucnął obok. Czarna toga rozlała się wokół niego jak kałuża atramentu. – Proszę mnie posłuchać. Jestem skłonny przymknąć okno na pana rodzinę i pana przeszłość oraz dochować sekretu. Jestem na to gotowy zawsze, gdy widzę talent, mogący posłużyć Bibliotece. Ale teraz proszę wykorzystać pana przeszłość i pana rodzinę, żeby nas ocalić. Proszę to zrobić. Niech pan ich wykorzysta.

– Tak, jak pan wykorzystuje mnie? – Jess odrzucił głowę, żeby powstrzymać zawroty. – Tak, jak zawsze wykorzystywał mnie ojciec? Morgan też pan wykorzysta?

Wolfe milczał, ale na chwilę położył ciepłą dłoń na głowie Jessa. Następnie wstał i wyszedł.

Może prawda nie wymagała komentarza.

NAKAZ

Zalecenie Jego Ekscelencji Magnusa Obskurystów dla dowodzącego Najwyższą Strażą w Aylesbury. Odbiór potwierdzony, bez dalszych komentarzy.

W ciągu dwudziestu czterech godzin spodziewamy się zakończonej powodzeniem podróży uczonego Wolfe'a do Oksfordu. Gdy dotrą na miejsce, do Aylesbury, przejmijcie postulantkę Morgan Hault, jeśli będzie trzeba – siłą. Pod żadnym pozorem nie może jej się stać krzywda, natomiast w stosunku do Wolfe'a, Santiago czy kogokolwiek, kto będzie utrudniał wykonanie rozkazu, róbcie co będzie trzeba.

Macie dostarczyć rzeczoną postulantkę do najbliższej Kabinę Translokacyjnej, skąd w towarzystwie uzbrojonej eskorty zostanie przekazana prosto do Żelaznej Wieży.

Proszę o potwierdzenie otrzymania tej wiadomości.

Rozdział 9

Bagaż Jessa ciążył mu bardziej niż wcześniej, wyładował go bowiem tyloma książkami, ile mógł bezpiecznie przenieść. Wszyscy byli objuczeni stosownie do możliwości. Żołnierze dźwigali lżejszy ładunek, aby w razie czego móc skutecznie walczyć.

Dotychczas szczęście im sprzyjało. Nie musieli się bronić

Bibliotekarka Ebele miała rację: gdy opuścili Serapejon, tłum zgromadzony u bram przedarł się przez stare żelazne pręty i zajął się demolowaniem uświęconego miejsca w poszukiwaniu ukrytych skrzyń z jedzeniem i wodą. Biblioteczna grupa czuła się, jakby słuchała odgłosów morderstwa, więc oddalali się najszybciej i najciszej, jak to było możliwe. Pracownicy Serapejonu łkali. Wolfe obejmował Naomi Ebele, co nie zdziwiło Jessa: była bardzo poruszona i prawie nie miała siły iść. Doszła do kresu możliwości.

Jak wszyscy.

Śnieg z deszczem padał bez przerwy, jak nieustanny szary szept i Jess włożył kaptur, żeby się ochronić. Wodoodporny jedwab zeszywniał, pokryty cienką, przejrzystą warstewką lodu, a on był przemarznięty do szpiku kości. Znajdowali się w wąskim zaułku, w którym mieściły się tylko dwie osoby idące ramię w ramię. Bruk poryty był śliskim błotem, a wokół śmierdziało jak w kanałach ściekowych. Jess próbował oddychać płytko, ale nic nie pomagało, smród wdzierał się przez najmniejszy otwór.

Wąski zaułek wyprowadził ich na kolejną ulicę, prawie pustą. Na odległym rogu stało kilka osób, ale nie mieli już serca do interesowania się ich grupką. Za plecami wciąż rozlegały się odgłosy masakry. Gdy Jess się odwrócił, zauważył pośród szarych chmur coś, co przypominało smugę czarnego dymu.

Bez przeszkód dotarli na miejsce, co wydawało się niemal cudem. Tawerna Pod Darnią była w Oksfordzie szacowną instytucją, niemal tak starą, jak Serapejon Bodeliański. Służyła jako przyjazne miejsce spotkań dla mieszkańców wszelkich proveniencji.

Ale nie teraz. Teraz otaczał ją zastęp groźnie wyglądających, pokrytych bliznami mężczyzn uzbrojonych w pistolety i noże. Kilku

wyciągnęło na tę okazję nawet miecze, maczugi i topory.

Jess przepchnął się na czoło pochodu i ściągnął kaptur.

– Jestem Jess. Szukam Fredericka.

Zbóje, a każdy wyższy od niego o co najmniej trzydzieści centymetrów i znacznie szerszy w barach, łypnęli z jednakową pogardą, ale jeden zniknął w drzwiach kryjących się w cieniu niskiego dachu.

Po chwili pojawił się inny mężczyzna. Miał ostre rysy Brightwellów, ale oczy jaśniejsze i włosy w innym odcieniu niż rodzina Jessa. Frederick zauważył wszystko: żołnierzy Najwyższej Straży, broń i ich gotowość do ataku, ale uśmiechnął się promiennie, wystąpił naprzód i wyciągnął do Jessa rękę.

– Kuzynie! – zawołał. – Serdecznie witam w Oksfordzie. Jak podróż? Domyślam się, że pełna wrażeń. Mieliście szczęście, dotarliście w samą porę, bo mieliśmy się już wynosić z tego miasta skazańców.

– Znacie drogę ucieczki?

– Oczywiście. Ale nie za darmo. – Frederick uśmiechnął się szeroko, a jego twarz pokryła się zmarszczkami. Był jakieś trzy lata starszy od Jessa, ale wydawało się, że przeszedł w życiu znacznie więcej. Może to trudy szmuglerskiego fachu, a może konieczność patrzenia, jak rodzinne miasto kona z minuty na minutę. – Rodzinę zabieram za darmo, taki jestem hojny, ale ponieważ prowadzasz się w towarzystwie wroga, musisz zapłacić za swoich... przyjaciół.

– Ile to będzie kosztować?

– Przyszliście z Serapejonu. Macie ze sobą bagaż wart mojego czasu. Przedstaw interesującą propozycję, a zobaczymy, w jak przyjacielski nastrój mnie wprawi. W końcu wydałeś mnie nie tylko Najwyższej Straży, ale i przekłętemu uczoneму. Lepiej, żebym mógł sobie za tę książkę zafundować nowe życie.

Jess był na to przygotowany. Odbył już targi z Wolfe'em i wywalczył tom na tyle cenny, żeby ocalić życie całej ich gromadzie. Zdjął z ramion torbę i zaproponował:

– Wejźmy do środka. Nie będę narażał mojego ładunku na zmoknięcie.

– Słusznie. Poczęstowałbym kuflem piwa, ale niestety, już wieki temu wypiliśmy całe *ale* – wytłumaczył się Frederick. Poprowadził do

opustoszałej, ciemnej tawerny, składającej się z labiryntu pokoików o niskich sufitach, z których nisko zwisały zgaszone lampy. Jedna ze ścian, powycierana od dłoni i ramion, stanowiła ostatnią pozostałość po oryginalnej miejskiej fortyfikacji, istniejącej, zanim miasto rozrosło się do dzisiejszych rozmiarów.

Pachniało rozlanym dawno alkoholem i starym potem. Nowy był odór krwi.

– A teraz, kuzynie, zachwyć mnie – zaprosił Frederick. Zasiadł przy stole opartym na kozłach, położył na blacie łokcie i patrzył, jak Jess rozpina worek.

Frederick mówił jak typ spod ciemnej gwiazdy, ale miał piękne dłonie pianisty, a książkę, którą Jess mu podał, obracał w nich jak najcenniejszy skarb.

– Niech to szlag – sarknął. – Masz blask?

Jess miał. Postukał w niego i postawił na środku stołu, gdzie zapłonął jak nieruchomy płomień i rozproszył wokół nich mroczne cienie. Frederick wziął świetlną kulę do ręki i ostrożnie przysunął do okładki książki, którą otwierał.

Gwałtownie wciągnął powietrze i powoli je wypuścił, a potem spojrzał na Jessa. W jego oczach niepokojąco odbijał się blask.

– Wiesz, co to jest?

– Wiem – odparł Jess. – Coś, co wystarczy, żebyś nas stąd wyprowadził.

– Twój brat by cię zabił, gdyby wiedział, że dałeś to mnie, a nie jemu.

– Tak – zgodził się Jess z uśmiechem. – Ale w końcu i tak do niego trafi, prawda? Od niego się dowiedziałem, gdzie cię znaleźć. To oznacza, że on też wie. Na twoim miejscu bym się nie wahał.

Frederick uniósł brwi i ostrożnie zamknął tomiszczce. Postukał w zniszczoną skórę opuszką palca.

– Kusi mnie, żeby to sobie zostawić, na wszelki wypadek. Nie wiem, w co gra Brendan. Uważaj na niego. To cwaniak.

– To rodzina.

– Wiem. Ale nie liczyłbym tak bardzo na bezpieczne objęcia najbliższych.

– Liczę na ciebie – oznajmił Jess i sięgnął po kulę światła, żeby je zgasić. – Choć sądząc po tym, co mówisz, dobrze, że moim nowym domem będzie Biblioteka. Umowa stoi?

– Może być – zgodził się Frederick i uścisnęli sobie dłonie. Kuzyn otworzył opartą o ścianę torbę i wyciągnął znajomą wodoodporną uprząż, specjalność Brightwellów, przeznaczoną na najcenniejsze woluminy. Starannie zapakował książkę, włożył do worka, a następnie założył na plecy.

– W takim razie ruszamy na paradę.

– Mam nadzieję, że to nie będzie ostentacyjny marsz.

– Zaufaj mi, synku, nieufność to mój fach, w końcu...

W czasie rozmowy zbliżali się do drzwi tawerny i wypowiedź Fredericka przerwał krzyk, dobywający się z zachrypniętego gardła jednego z jego ludzi.

– Uwaga, człowiek w przejściu!

Wywołało to poruszenie wśród strzegących tawerny, którzy rzucili się do wąskiego zaułka po prawej.

– Wolfe! Zabierz swoje stadko do środka. Nie chcę, żeby mnie ktoś widział w waszym towarzystwie. Psujecie mi reputację – zarządził Frederick nieoczekiwanie stanowczo.

Wolfe i Santi zaczęli ich natychmiast zaganiać do ciemnego, ciasnego wnętrza wyszynku, aż nikt z symbolem Biblioteki nie został na widoku. Jess zdjął kaptur i ustawił się przy jednym z okien. Wolfe i Santi zajęli miejsca przy pozostałych.

– Wydał nas? – spytał Wolfe.

– Nie – zapewnił Jess, ale pomyślał: „Może”. Nie znał Fredericka aż tak dobrze, żeby mieć pewność. Wiedział tylko, że wszystko zależy od tego, po której stronie Frederick dostrzeże więcej korzyści, a tego nie mógł przewidzieć.

W końcu książkę kuzyn już miał.

– Tyłne wyjście jest czyste – poinformował Wolfe’a Santi. – Sprawdziłem, gdy dotarliśmy. Ale to i tak daleko nas nie zawiedzie. A na pewno nie do bramy wyjściowej, skoro Smith obiecał jedzenie za nasze głowy.

– Nie skreślajmy jeszcze kuzyna Fredericka.

Santi wzruszył ramionami, tak jakby już stracił nadzieję. Jess nie miał do niego żalu, przecież sam by za kuzyna nie zaręczył. Jeśli z przejścia wyłoni się oszalały tłum, Frederick raczej nie będzie się pogrążał, żeby ich ocalić.

Ale to nie był tłum.

Tylko jeden człowiek. Stary, siwiejący, wychudzony jak szczapa, zapewne wskutek obłączenia. Szedł wzdłuż muru, opierając się o niego lewym ramieniem, jakby wspierał się o kuli, ale zatrzymał się, gdy zobaczył przed sobą zbójów.

Może wyglądał na bezsilnego, ale jego twarz pałała mroczną siłą.

– Witamy, przyjacielu – odezwał się Frederick od ściany, pod którą stał, i uśmiechnął się do mężczyzny, choć wyraz sympatii nie obejmował jego oczu. – Przykro mi, ale pub nie działa. Smutne dni nadeszły, co?

– Oddaj mi córkę – powiedział mężczyzna.

– Nie ma dziewczyn, przykro mi, stary druhu.

– Ona tu jest. Szedłem za nimi. – Głos mężczyzny drżał, a kiedy Jess wychylił się trochę bardziej, zauważył, że jest cały we krwi, jakby brał udział w walce. – Ma ją przekłeta Biblioteka. Oddajcie mi ją. Nie chcę nikomu zrobić krzywdy.

Jego groźba wywołała w zastępach Fredericka szczery śmiech.

– Wracaj, skądżeś przyszedł, staruszku – zasugerował Frederick. – Jak już mówiłem, tutaj nie ma twojej córki. Ned, pokaż panu drogę.

Największy z jego ludzi wystąpił naprzód i położył wielką łapę na ramieniu starca, a następnie zamarł i cofnął się o krok. A potem o dwa. Odwrócił się, żeby spojrzeć na Fredericka i pokręcił głową.

Mężczyzna uniósł nad głowę prawą rękę, w której trzymał szklaną fiolkę z jakąś ciecżą. Gdy padło na nią słabe światło, okazało się, że płyn jest szmaragdowy.

– Nie dotykajcie mnie – zawołał. – Przyślijcie mi córkę. Jeśli tym rzucę, zginiecie.

– Spokojnie – odezwał się Frederick, łagodnie i niskim głosem. – Spokojnie, nikt nie musi skończyć jak skwarka. Prawda? Niech pan to odłoży, a ja pójde zerknąć, o co chodzi z pana córką. Chce pan spalić tawernę? To jeszcze gorsze niż podpalenie Wielkiej Biblioteki! Świat bardziej by na tym ucierpiał!

– Przyślij mi ją – zawołał tylko człowiek. Głos coraz bardziej mu drżał. Odepchnął się od ściany, nie wypuszczając fiolki z dłoni. Ludzie Fredericka, których niewiele mogło przerazić, cofnęli się i zostawili mu miejsce. – Nie mam nic do stracenia. Przyślij mi córkę – powtórzył mężczyzna. – Nazywa się Morgan Hault. Albo to rzucę.

Wtedy Jess zauważył podobieństwo. Te same oczy w kolorze ciemnego miodu, choć u mężczyzny już nieco przybladłe. Taka sama ostra broda.

– Ojciec? – usłyszał za plecami, a potem po lewej stronie i zdążył tylko odwrócić się w stronę Morgan, która biegła do drzwi. – Ojciec! Jesteś cały? – Podbiegła do niego i przytuliła go szybko, a potem odsunęła się gdy się skrzywił. W pierwszej chwili nawet nie zauważyła ognia greckiego, który trzymał wysoko. Ale gdy w końcu zobaczyła, co się dzieje, zeszywniała, co nie umknęło uwagi Jessa. Cofnęła się. – Co to jest? Co ty robisz? Odłóż to, to niebezpieczne!

– I to jak! – zawołał. – Przyszedłem cię uratować.

Roześmiała się.

– Nie musisz mnie ratować. To ja uratuję ciebie. Uciekamy stąd. Za chwilę. Chodź z nami.

– Z nami? – powtórzył gorzko. – Uważasz, że jesteś jedną z nich? Tak o nich mówisz. To niemożliwe, Nie możesz być częścią Biblioteki. Biblioteka mi cię nie zabierze. – Jess stwierdził, że miał fanatycznie płonące oczy, a spojrzenie, które posłał Wolfe’owi i całej reszcie, gdy wyszli przed Tawernę, aż ociekało nienawiścią. – Zdejmij z siebie ten przeklęty symbol! Nie jesteś ich niewolnicą... – Urwał na widok brązowej opaski na nadgarstku Morgan. – Nie. Nie! Nie jesteś jedną z nich. Nie możesz być jedną z nich. Zabraniam!

– Ojciec...

– Zdejmij to natychmiast, Morgan!

– Zdejmę. Ale jeszcze nie teraz. To moi przyjaciele. Widzisz? Poznaj moich przyjaciół. Odchodzimy stąd. Możesz iść z nami. Proszę, chodź z nami.

Ojciec popatrzył na nią z obrzydzeniem i pogardą.

– Zawrócili ci w głowie. Wmówili ci, że jesteś po ich stronie. Kto to zrobił? On? Ten uczonec? Coś ty zrobił mojej córce?

– Pomogłem jej – odparł Wolfe. – Zrobiłem więcej, niż pan robi w tej chwili. Niedługo Walińczycy zaczną niszczyć miasto. Jeśli nie chce pan jej śmierci, proszę nie marnować naszego czasu.

– Ona pójdzie ze mną – oznajmił Hault i mocniej zacisnął rękę na ramieniu Morgan. – Nigdy jej nie dostaniecie. Tyler mi powiedział, co się stało. Co by się stało, gdyby poszła do Biblioteki. Mojej córki to nie spotka. Nigdy.

– Ojcie, przestań! Co ty robisz?

– Wracam – odparł. – Wracam, żeby spalić to gniazdo żmij, zwane Serapejonem. A ty idziesz ze mną.

Morgan mu się wyrwała.

– Co się z tobą stało? Co ty mówisz?

– Musimy go spalić – powtarzał ojciec. – Tylko dzięki temu posłuchają! – Jess widział już, że to szaleniec. Ogarnięty obsesją.

Morgan się cofnęła.

– Kiedy odjeżdżałam, nie byłeś Podpalaczem. Co oni ci zrobili?

– Pokazali mi prawdę – wyjaśnił. – Nie mogę cię oddać Bibliotece. Wykorzystają cię. Zrobią z ciebie jedną z nich. Lepiej, żebyś w ogóle nie żyła. Śmierć jest lepsza niż życie wśród nich. – Odetchnął głęboko. – *Sed liber vitae est dignius!*

I rzucił butelkę.

– Nie! – wrzasnęła Morgan i zanurkowała. Jakimś cudem udało jej się wślizgnąć pod lecącą w dół fiolkę i złapać ją w wyciągnięte ręce zaledwie kilka centymetrów nad zimnym brukiem. Zielony płyn zachlupotał, ale cienkie szkło nie pękło.

W przeciwnym razie wszyscy by zginęli.

Santi od razu do niej podszedł, pomógł jej wstać i przejął fiolkę. Następnie schował do wyłożonej czymś miękkim kieszeni i skinął głową do Wolfe'a.

– Stań za mną – zwrócił się do Morgan.

Nie protestowała. Była w zbyt dużym szoku, jak stwierdził Jess, żeby w ogóle próbować. Gdy nie udało jej się ruszyć z miejsca, podszedł, wziął ją za ramiona i pociągnął ze sobą, a potem przytrzymał ją, na wypadek, gdyby chciała wrócić do ojca.

Ale nie chciała.

– Idź! – polecił Santi. Wydobył pistolet i wymierzył w ojca Morgan. – Idź. I ciesz się, że nie zrobię tego, co zrobią z tobą Walijczycy.

– Odzyskam moją córkę – odparł on. – Przysięgam na Boga, że zwrócę jej wolność.

Patrzył prosto na Morgan pustym, straszliwym wzrokiem, a potem odwrócił się i odbiegł, utykając.

Frederick wzruszył ramionami i zwrócił się do swoich ludzi.

– Mielicie rację – przyznał. – To było groźne. Jeśli jego przyjaciele Podpalacze mają więcej ognia greckiego, lepiej, żeby nas tu nie było, kiedy wrócą. Przykro mi, dziewczyno. Rodziny się nie wybiera. Wiem coś o tym, uwierz.

Morgan nagle odwróciła się do Jessa i schowała twarz na jego piersi. Nie płakała, ale straszliwy ból słyszalny w jej urywanym oddechu był jeszcze gorszy. Czuł stratę, jaką odczuwała, potworną pustkę, która przyciągała jak magnes.

– Chciał mnie zabić – szepnęła. – Jest moim ojcem, ale próbował mnie zabić.

Jess nie miał na to żadnej odpowiedzi, bo też nie było słów, które sprawiłyby, że łatwiej by się z tym pogodziła. Przypomniawszy sobie tę chwilę ze swojego dzieciństwa, kiedy z potworną wyrazistością zrozumiał, że jeśli będzie taka konieczność, ojciec pozwoli mu umrzeć.

W jej przypadku chodziło przynajmniej o jakąś wyższą ideę. A nie o pieniądze.

– Będziesz płakać później – rzucił Frederick. – Na razie weź się w garść.

– Wy, Anglicy – odezwał się Dario. – Prawdziwi z was wrażliwcy.

– Jesteśmy pragmatyczni – potwierdził Frederick. – A jeśli chcesz, żeby moi równie pragmatyczni chłopcy wyprowadzili cię stąd żywcem, trzymaj gębę na kłódkę. Jasne? – Spojrzał na Wolfe'a, który beznamytnie kiwnął głową.

– Tak jest – potwierdził. – Na dobre czy na złe, jesteśmy w ich rękach. – Posłał Frederickowi jeden z tych swoich groźnych, lodowatych uśmiechów. – Ale proszę się więcej nie odzywać do moich uczniów.

Wkrótce wrócili zwiadowcy i potwierdzili, że droga wolna.

– W takim razie ruszamy. Zdejmijcie te przeklęte barwy Biblioteki. Już!

– Słyszeliście? – potwierdził Wolfe. – Zdjąć płaszcze. – Sam ściągał już togę Uczonego. Pod spodem ubrany był na czarno, jak żołnierze, który odrywali właśnie od mundurów patki i symbole. – Nicc? Daj im pistolety.

– Prawdziwe? Na pewno?

– Czas półśrodków minął.

Santi skinął do jednego ze swoich ludzi, który wziął torbę i podszedł do każdego z uczniów, wymieniając ich paralizatory na prawdziwe, ciężkie, smukłe pistolety strzelające ołowianymi nabojami.

– Nie używajcie ich, dopóki nie będzie trzeba – ostrzegł. – Może się zrobić zamieszanie. Łatwo wtedy zastrzelić kogoś z przyjaciół.

Wilgotne włosy Morgan wymknęły się spod przytrzymujących je spinek i w rozczochranej burzy opadały na twarz i szyję. Wyglądała na zagubioną.

– Może iść, czy mam uziemić jednego z moich ludzi i kazać ją nieść?? – zapytał Frederick Jessa.

– Mogę iść – odpowiedziała Morgan i zwróciła się do Fredericka. – I walczyć.

– Dobrze – odparł. – Więc walcz. A jeśli miałbym ci coś doradzić, to wpakuj swojemu tatuškowi kulkę w głowę, zanim go znów do nas dopuścisz.

– Nikt cię nie pytał o radę – warknął Jess. – Odczep się od niej. Jesteśmy gotowi.

– Nie jesteście, kuzynku – stwierdził Frederick. – Trzymajcie się portek. To nie będzie wesola wycieczka.

Ludzie Fredericka i żołnierze Santiiego nie dogadywali się. Po drugiej awanturze Santi wysłał swój oddział na tyły, a zbóje z tawerny prowadzili do starego, niczym się niewyróżniającego domu z rozpadającymi się drzwiami. W środku było jeszcze gorzej. Budynek splądrowano – uznał Jess – w poszukiwaniu wszystkiego, co mogło się palić. Jednak Fredericka nie interesowało wnętrze. Jego ludzie podeszli prosto do dużego, kwadratowego kamienia pośrodku pokoju, pod którym ukazały się schody.

– Trzymajcie się razem – polecił Frederick. – To jest labirynt. jak się zgubicie, już tam zostanieie, bo nie wracamy po nikogo. I na litość boską, schowajcie te pistolety, bo w razie czego oberwiecie rykoszetem. Jeśli będziemy musieli walczyć, użyjcie noży. I bądźcie cicho. Głos się bardzo niesie.

Już na schodach było klaustrofobicznie, a gdy zeszli do tunelu, zrobiło się jeszcze gorzej. Z jakiegoś powodu Jess uznał, że tunele zostały dopiero co wykopane: podejrzewał Fredericka o stworzenie nowego systemu ułatwiającego szmugiel. Ale nie, okazały się stare. Bardzo. W niektórych miejscach na kamiennych ścianach wyryto znaki. Jess przyglądał im się, zaskoczony, przez kilka szalonych sekund, dopóki starczyło światła. Szedł teraz za Khalilą, która szepnęła:

– To żydowskie oznaczenia. I ich tunele ewakuacyjne, na wypadek nagonki. Czytałam o tym.

– Mądra dziewczyna – pochwalił Frederick. – Ale teraz bądź cicho, bo nie tylko my wiemy o tych tunelach.

– Walińczycy wiedzą? – spytał Wolfe. Spokojnie i od niechcienia, ale pytanie miało swoją wagę. Frederick wyszczerzył zęby jak wilk.

– Godzinę temu nie wiedzieli, ale wszystko się zmienia.

Poruszali się szybko i cicho, jak ich pouczono. W każdym razie przez jakiś czas. Potem coraz trudniej było przedzierać się przez sterty gruzów, a ciemne, wąskie tunele z harcującymi szczurami i nisze zdawały się nie mieć końca. Morgan trzymała się blisko Jessa, a on często się oglądał, żeby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Wydawało się, że tak. W każdym razie na ile to było możliwe w tych warunkach.

Nagle pochód zatrzymał się, a Frederick wysłał dwóch ludzi wąskimi schodami na górę. Jak dotąd skręcali kilkanaście razy, a on nie miał żadnej mapy; musiał nauczyć się rozkładu labiryntu na pamięć. I to skutecznie, skoro tak szybko doprowadził ich do miejsca przeznaczenia.

Ale czy byli bezpieczni? Nie zanosilo się na to.

Zwiadowcy wrócili i szeptali coś do Fredericka, który kiwnął głową i zwrócił się do Wolfe'a:

– W porządku – stwierdził. – Idźcie.

– Wy pierwsi – zaproponował Santi. – Nalegamy.

– Starszyzna przodem, piękni i młodzi za nimi. Na górę, już!
Ludzie Fredericka dobyli broni. Puls Jessa przyspieszył i namacał dłońią rękojeść noża. Ciasnota, fatalne warunki. Zrobi się rzeźnia. A jedyna droga ucieczki prowadziła pod górę. Tylko kto mógł wiedzieć, co ich tam czeka?

Wolfe przerwał pełną napięcia ciszę i polecił Santiemu:

– Na górę.

Ryzyko było znaczne, ale pozostanie w tunelu nie wróżyło lepiej. Santi rzucił uczonemu ponure, pełne zwątpienia spojrzenie, ale odwrócił się i wysłał swoich żołnierzy na schody.

Poszli bez słowa.

Za nimi uczniowie z Wolfe'em. Jess spojrzał na kuzyna, który obserwował ich pochód.

– Jeśli nas wydałeś... – zaczął, ale Frederick pokręcił głową.

– Jesteśmy rodziną. Dotrzymałem słowa. Na górze czeka przewodnik. – Nagle uśmiechnął się szeroko. – Ale kiedyś za to zapłacisz, daję ci słowo.

Dał znak swoim ludziom, żeby szli dalej. Dokąd zmierzali? Jess nie wiedział.

Szedł za Thomasem i trafił do korytarza pełnego echa. Zgasili blaski, bo przed nimi, w mroku gasnącego dnia zamajaczyła zamknięta furтка.

Zamek wyłamano, a nawiasy naoliwiono, żeby nie skrzypiały. Przekroczyli ją w ciszy i znaleźli się... na cmentarzu.

– Jeszcze przyjemniej – mruknął pod nosem Dario. Schował nóż i wyciągnął pistolet, który trzymał lufą do ziemi, tak, jak im polecono. „Gdy się poruszacie, lufa w dół, unoście je tylko do strzału”, poinstruował ich Santi. „Lepiej oberwać w stopę niż strzelić sobie w głowę, jeśli się potkniecie”. Tyle nowości musieli zapamiętać!

Cmentarz był z jednej strony zarośnięty srebrzystą trawą i kołyszącymi się na wietrze drzewami, a każdy ruch tłumiony był szelestem opadających drobinek lodu. Lodowaty wiatr smagał skórę Jessa. Okazało się, że furтка, przez którą przeszli, znajdowała się w progu grobowca, zbudowanego na wzór miniaturowej świątyni greckiej, a gdy wyszli na zewnątrz, zewsząd otoczyły ich poprzecyłane nagrobki,

z granitu i marmuru, sterczące z ziemi jak połamane zęby.

– Mamy problem – oznajmił Thomas. Słysząc było, że się boi. – Patrzcie.

Wolność zdawała się być w zasięgu ręki, ale okazało się, że nowe mury miasta zbudowano na skraju cmentarza. Wznosiły się wysoko. Nie mieli szans ich pokonać.

Frederick, ty kanalio, pomyślał Jess. Musiał wiedzieć, co robi, ale skłamał Jessowi w twarz.

– Mamy przewodnika – zauważył Santi i wskazał głową w lewo. Ktoś stał na skraju cmentarza i przywoływał ich do siebie gestem ręki. Kobieta wyglądała jak strach na wróble, wychudzony żywy trup. Owinęła się w wiele warstw odzieży, ale mimo to wydawała się co najmniej o połowę za chuda. Gdy podeszli, siąknęła i brudnymi rękami otarła nos.

Boże, była taka młoda. Może niewiele starsza niż Jess. Poznał to po gładkiej skórze i złotych włosach, ale wojna spustoszyła jej ciało.

– Chodźcie ze mną – poleciała. – Prędko.

– Gdzie nas prowadzisz, dziewczyno? – zażądał odpowiedzi Wolfe, ale ona wyrwała ramię z uścisku jego palców i odchyliła głowę, jakby spodziewała się ciosu, który nie nadszedł.

– Do bramy – odparła. – Frederick otworzy, ale musicie tam dojść szybko.

– Niepotrzebnie z nim szliśmy – sarknął Dario. – Wiedziałem, że tak będzie.

– Gdy ludzie was zobaczą, oszaleją – wyjaśniła i znów otarła nos. – Czerwone płaszcze powiedziały, że ten, kto was schwyta, dostanie dodatkowe racje żywnościowe. Dlatego Frederick poszedł pierwszy. Jego nikt nie chce łapać, więc otworzy dla was bramę. Ale musicie się tam znaleźć jak najprędzej, tak mówił.

– Prowadź – polecił Wolfe, a ona ruszyła, zaskakując Jessa, jak zwawo można się poruszać mimo wychudzenia i głodu. Jess ślizgał się po oblodzonych źdźbłach trawy, a lód chrupał mu pod stopami, ale dotrzymał kroku ludziom Santiago, którzy najpierw truchtali, a później, żeby dogonić dziewczynę, przeszli do biegu. Potem biegli już wszyscy. Trzymał Morgan za rękę, bo chciał się upewnić, że się nigdzie nie zgubi.

Portero został odrobinę w tyle i on poległ jako pierwszy. Nie ze swojej winy, Jess też nie zauważył mężczyzn kryjących się za ceglanym budynkiem po lewej, dostrzegł ich dopiero, gdy wybiegli z krzykiem. Portero odwrócił się, żeby stanąć z nimi twarzą w twarz, i nawet wyciągnął broń, ale zanim zdołał wystrzelić choćby raz, trzech na niego napadło. Dwóch wystarczyło, żeby go powalić na ziemię.

Ludzie Santiago odwrócili się i w eleganckim, niemal wdzięcznym szyku ruszyli na napastników. Było ich tylko sześciu, może siedmiu, ale wszyscy twardzi, gotowi do zabijania i mimo że Jess chwycił Portera za rękę, żeby go odciągnąć, było za późno.

Któryś zdążył dźgnąć go nożem.

Widział, jak łapie oddech, a jego twarz nabiera przerażającego, kremowego koloru. Jess nigdy nie widział tak jaskrawego odcienia szkarłatu, jak spieniona krew, która wylała mu się z ust.

Potem przestał oddychać. Oczy Portera znieruchomiały, źrenice rozlały się nieco i poruszała się już tylko strużka krwi, która spływała mu z policzka na trawę.

Ktoś szarpnął Jessa za ramię. Thomas. Wrzeszczał mu do ucha słowa, które Jess nie do końca rozumiał. Wstawaj!, rozkazywał Porterowi w myślach. Wstawaj, leniwy draniu! Portero nie był jego przyjacielem, ale i tak nie mógł go zostawić. Nie w ten sposób.

Thomas odwrócił Portera na brzuch, złapał za torbę i ściągnął mu ją z pleców. Ręce Portera opadły bezwładnie, gdy padał z powrotem na ziemię, a Jess chciał je jakoś ułożyć, ale stracił równowagę, bo ktoś teraz jego ciągnął za ramię, zmiażdżone w uścisku tak mocnym, że mógł połamać kości. Wszystko rozpląnęło się w dziwnej ciszy...

...a potem nagle wróciło, gwałtownie, głośno, chaotycznie, i znów biegł, a ramię gruchotał mu Dario Santiago. Thomas mknął obok, Khalila też, i cała reszta. Jess się obejrzał i zobaczył, że ludziom Santiago udało się uciec; biegli teraz tuż za nimi, ciągnąc w ślad za sobą coraz większy tłum ludzi przypominających rozszalałe wilki.

Na skraju cmentarza wyrósł niewysoki kamienny murek. Ich przewodniczka znalazła się już po drugiej stronie, poganiając ich krzykiem. Wolfe dotarł tam pierwszy i wskoczył z rozpędu, za nim znalazła się tam Glain. Przykucnęła na górze. Khalila zachwiała się, ale

Wolfe i Glain ją wciągnęli i przerzucili na drugą stronę. Pomogli w ten sposób każdemu. Jess dotarł jako jeden z ostatnich i dopiero gdy Glain wzdrygnęła się na jego widok, zorientował się, że jest cały w lepkiej krwi Portera. Po chwili było po wszystkim; toczył się ze wzgórza, żeby zaraz poderwać się na nogi i znów stracić równowagę pod ciężarem nieforemnego plecaka, bo kocie łby, na których stanął, okazały się oblodzone.

Brama, o której mówiła dziewczyna, okazała się jedną z tych zamkniętych i zabezpieczonych zasilanym parą przedmurzem. Gdy ją budowano, Oksfordczycy mieli pewnie nadzieję, że kiedy zajdzie potrzeba, wspomocze ich obronę. Teraz broniły jej zastępy strażników w czerwonych płaszczach. Ludzie Fredericka zaatakowali strażnicę, posiekali na strzępy wszystkie zamki i rozchylili skrzydła bramy. Nie bez oporu jednak i nie bez strat w ludziach, których zwłoki leżały wokół. Oksfordzkie czerwone płaszcze desperacko walczyły o odzyskanie kontroli. Rozszalała się bitwa i ścierali się już nie tylko ludzie Fredericka z żołnierzami: mieszkańcy miasta zwęszyli rzadką szansę ucieczki i walczyli, żeby przedostać się na zewnątrz, zanim brama znów się zatrzaśnie. Rozpętało się pandemonium, ciała kłębiły się, wrzaski ogłuszały. Ludzie Santiago parli naprzód, żeby utworzyć dla Wolfe'a i jego uczniów wąski korytarz, ale była to iluzoryczna ochrona i nie potrwała długo.

– Idźcie! – wrzasnął Frederick ze stosu zwalonych kamieni i strzelił prosto w twarz szarżującego na niego mężczyzny. Żołnierze Santiago natarli na biegnący tłum, usiłując się przez nich przedrzeć. – Powstrzymamy ich!

Jeden z jego ludzi, po lewej stronie Jessa, dostał właśnie maczugą, a po jego ciele gramoliła się kobieta o dzikich oczach. Miała czerwoną twarz, a w ramionach płaczące dziecko. Wepchnęła dziewczynkę Jessowi.

– Weź ją! – wrzasnęła rozdzierająco.

Jess nie pamiętał, jak to się stało, po prostu nagle w jego ramionach znalazło się wijące się dziecko, a jego matkę odepchnął, a następnie powalił i zdeptał kolejny napływ prących naprzód mieszkańców. Jess sunął naprzód. Nie powinienem mieć tego dziecka. Nie mogę jej

zostawić, myślał. Nie mogę jej z sobą wziąć. Nie mogę...

Odwrócił się, gdy ktoś zacisnął mu palce na ramieniu i zobaczył chłopaka, może w jego wieku, z nożem. Uderzył go pięścią w brodę, tak że chłopak runął do tyłu. Dziecko wyrywało mu się z taką siłą, że z trudem mógł je utrzymać, ale potrzebował przynajmniej jednej ręki, żeby odpierać ataki. Zastępy Fredericka padały jak muchy, a obywatele Oksfordu szturmowali otwartą bramę. Jej wielkie skrzydła zaczęły się znów zamykać. Obrońcy miasta uruchomili mechanizm parowy.

Muszą się wydostać, zanim brama zamknie się na dobre. Widział, że koledzy są przed nim. Glain zsuwała się ze stosów martwych ciał, po których szła, ciągnąc z sobą Morgan.

– Niech cię szlag, biegnij!

Odwrócił się, usłyszawszy krzyk tuż na duchem, i tuż obok zobaczył Wolfe'a uzbrojonego w pistolet, z którego oddawał metodyczne, nieprzerwane strzały. Umazany był krwią. Tłum wokół nich wrzeszczał, targany furią i desperacją, ale popychany ze wszystkich stron Jess zdołał jakimś cudem utrzymać się na nogach. Skrzydła bramy zbliżały się do siebie coraz bardziej. Krzyki otaczających ich ludzi nie wyrażały już wściekłości, tylko panikę. Wolfe złapał Jessa za ramię i pchnął go na zwarty, jak się mogło wydawać, szpaler ciał. Niektórzy padli na ziemię i Jess się zorientował, że strzały padają teraz także z zewnątrz. To byli Walijczycy.

Chciał się odwrócić, ale Wolfe, wciąż trzymając go jedną ręką, bezlitośnie pchał go naprzód, po ciałach poległych. Tuż przed nim padła twarzą w błoto jakaś kobieta. Jess po niej przeszedł.

Wrzaski za jego plecami stały się jeszcze straszliwsze, gdy przepychający się na wolność więźli w zamykającej się bramie; nie mogli uciec, a było zbyt ciasno, żeby rzucić się naprzód.

Jess wylądował po kostki w błocie, powitany smagnięciem lodowatego wiatru. Wolfe stał tuż obok niego.

Udało im się.

Ludzie Santiago, garstka, która została przy życiu, uformowali wokół nich szpaler i popychali ich naprzód. Straszliwy zgrzyt metalu dobywający się z dociskanych na siłę skrzydeł bramy, był przenikliwszy niż krzyk miażdżonych między nimi ludzi.

Jess się nie odwrócił. Nie mógł.

Santi prowadził ich w szyku defensywnym. Wydobył flagę Biblioteki i uniósł ją wysoko. Jego żołnierze z powrotem przypinali do piersi biblioteczne odznaki, a jeden drugiemu umieszczał je na plecach. Tutaj, w tym zalewie błota, nie poruszało się nic poza nimi.

Krzyki i zawodzenie spoza murów stopniowo cichły.

– Co to ma być?

Wolfe stanął przed nim. Jess patrzył na niego bezrozumnie, ale potem zdał sobie sprawę, że uczonego wpatruje się w dziecko w jego ramionach.

Dziecko.

Dziewczynka przeżyła i wciąż się wierciła. Nie wiedział, jak, ale przetrwała. To był cud. Zresztą jego przetrwanie także. Życie ich wszystkich.

– Nie możemy jej zabrać – oznajmił Wolfe. Mówił beznamiętnie i stanowczo, a jego spojrzenie nic nie wyrażało. – Niech pan ją zostawi.

– Tutaj? – Błoto sięgało im niemal do kolan. Dziecko utonie bez śladu. – Gdzie?

Przez otwartą, zalaną błotem przestrzeń biegli ku nim walijscy żołnierze. Uzbrojeni.

– Stać! – krzyknął jeden, a wszyscy, mężczyźni i kobiety, zatrzymali się w miejscu, pośród błota, z bronią wymierzoną w reprezentację Biblioteki. – Oddajcie każdego, kto nie jest członkiem waszej misji. Macie trzydzieści sekund.

– Niech pan ją odłoży – polecił Wolfe.

– Nie mogę.

– Musisz. – Jego głos nagle złagodniał. Mówił delikatnie. – Zabijają nas, jeśli tego nie zrobisz. Naruszymy warunki porozumienia.

Jess rozejrzał się za miejscem, w którym mógłby zostawić dziecko. Nic nie znalazł. Nic poza chlupoczącym błotem.

– Nie mogę – szepnął. Ogarnęło go lodowate zimno, w środku i na zewnątrz, nie mógł powstrzymać dygotu. – Nie mogę jej po prostu...

– Piętnaście sekund.

Wolfe wyjął dziecko z ramion Jessa i odwrócił się w stronę walijskich żołnierzy.

- Chcę rozmawiać z generałem Warlowem.
- Pięć sekund! Proszę zostawić dziecko. Trzy!

Wolfe uniósł rękę, żeby przestali odliczać, i w mlaszczącym błocie wrócił pod bramę. Posadził dziecko na ciele martwej kobiety, która tam upadła. Dziewczynka rozplakała się i wyciągnęła do niego pulchne rączki. Wolfe się zawahał, potem się nad nią pochylił. Jess nie widział jego twarzy.

– Proszę dołączyć do grupy! – krzyknął walijski dowódca. – Chcę zobaczyć bransoletki wszystkich, natychmiast, albo zaczniemy strzelać.

Jedno za drugim, uczniowie podnosili ręce i pokazywali nadgarstki. Jess też, bo musiał, ale nie mógł oderwać wzroku od Wolfe'a, który nadal kucał przy dziecku.

– Ej! – Nie krzyczał Walińczyk, tylko ktoś zza bramy.

Wolfe złapał dziecko i pobiegł w tamtą stronę. Brama nie zamknęła się jeszcze do końca, bo blokowały ją ciała. Drżała, a silnik rozpaczliwie zawodził, ale pozostała wąska przerwa.

Wystarczająca.

Frederick, zakrwawiony, ranny, ale jakimś cudem wciąż żywy, stał po drugiej stronie i wyciągał ręce.

Wolfe podał mu dziewczynkę. Z trudem ją przecisnęli.

– Uciekajcie, za wszelką cenę – polecił Wolfe. – Zagadam ich, jak długo będę mógł.

Frederick się wycofał, odwrócił się i odbiegł.

Rozległ się wilgotny odgłos miażdżenia ciała i kości, gdy zwłoki wreszcie się poddały, a brama zatrzasnęła się z sykiem.

Wolfe odwrócił się w stronę walijskich żołnierzy i podniósł rękę. Jego złota opaska rozbłysła, a w oczach Jessa wyglądało to jak ostrzeżenie, nie gest poddania.

– Bezpieczne przejście – warknął Wolfe. – Szybko.

Walińczyk nie był zachwycony, ale machnął na Wolfe'a, żeby szedł za nim i poprowadził swoich ludzi z powrotem do walijskiej linii frontu.

Jess – ranny, zakrwawiony i wykończony – oraz jego koledzy powlekli się za nim, łapiąc się jedno drugiego, gdy tracili siły albo potrzebowali otuchy. Jess zdał sobie sprawę, jak niewielu ludzi Santiago przeżyło. Nie znał nawet ich imion. Santi też oberwał, ale mimo to

prowadził kulejącego żołnierza ku bezpiecznej przystani.

Powodzenia, Fredericku, pomyślał Jess. Nie spodziewał się, że kuzyn ich ocali ani że weźmie tę małą dziewczynkę. Wspaniałomyślność nie była powszechną cechą w rodzinie Brightwellów. Miał nadzieję, że Frederick nie zapłaci za to życiem.

Od strony walijskiej linii frontu rozległ się krzyk, obcy i dziki, a Thomas rzucił się naprzód, do Wolfe'a.

– Co to było? – spytał. Wolfe parł naprzód, głowę miał spuszczoną.

– Sygnał do ataku – wydyszał Dario, gdy Wolfe się nie odezwał. – Zaczyna się jatka. – Nadchodzili, całe zastępy żołnierzy. Pierwsza grupa mknęła prosto na nich w pojeździe opancerzonym, a Jessa nawiedziła potworna wizja, że ich przejadą i utopiają w tym błocie, ale w ostatniej chwili pojazd zmienił kierunek i minął ich, rozbryzgując błoto ponad ich głowy. Po chwili spadła na nich cuchnącą falą. Walijszczyki wiwatowali.

Jess zobaczył lecące po łuku naczynie. W środku była jasna, pałająca i wściekle zielona ciecz.

Pojemnik wpadł za mury Oksfordu.

Miasto zaczęło płonąć.

Stojąca obok Khalila wybuchła płaczem i schowała twarz w dłoniach. Glain ani drgnęła, tylko patrzyła, jak kolejne wystrzeliwane przez żołnierzy butelki z ogniem greckim wlatują w powietrze, a potem lądują za murem i ozywają obrzydliwymi, trującymi płomieniami.

– Zadowolona jesteś? – spytał Jess. Mdlilo go, był wciekły i chciał się wyładować na jedynej ofierze, jaką miał w zasięgu.

Spojrzała mu w oczy. Nic nie powiedziała, tylko odwróciła się tyłem i zaczęła brnąć przez błoto.

Zranił ją i mdlilo go od tego jeszcze bardziej.

Ponuro ruszył naprzód, wciąż słysząc lament dochodzący zza murów, gdzie dokonywała się rzeź.

KORESPONDENCJA

Tekst wiadomości wysłanej za pośrednictwem Kodeksu przez uczonego Christophera Wolfe'a do Jego Ekscelencji Magnusa Artifexu:
Zginęło dwóch uczniów i dwanaścioro żołnierzy Najwyższej Straży. Mieliliśmy szczęście. Większe, niż by pan chciał, bo ja jeszcze żyję. Walińczycy odmówili eskorty do Aylesbury, a biorąc pod uwagę nasze straty, droga byłaby zbyt niebezpieczna. Spróbujemy się dostać do Londynu.

Jeśli chciał Pan dowieść, że Biblioteka pełna jest pozbawionych litości drani, którzy książki cenią wyżej niż ludzkie życie, to zrobiliśmy to za Pana.

Odpowiedź od Jego Ekscelencji Magnusa Artifexu do Christophera Wolfe'a:

Wiem, że ktoś was ostrzegł przed powrotem do Aylesbury. Ale tylko odwleka Pan nieuchronne, bo tej bitwy Pan nie wygra. Sugerowałbym obranie innego celu.

Niech Pan pozwoli dziewczynie przyjąć los, który, zapewniam, jest już przypieczętowany. Mamy bogaty materiał dowodowy od uczonego Tylera oraz inną korespondencję, z której wynika, że postulantka Hault jest Obskurystką. Ale Pan już o tym zdaje się wie. Jeśli tego dowiodę, to będzie kropla, która przeleje czarę.

Rodzinne koneksje nie ocalą Pana po raz drugi.

Rozdział 10

Obóz Walińczyków był niemal pusty, ale zostało jeszcze dość żołnierzy, żeby zająć się docierającymi ostatkiem sił wysłannikami Biblioteki. Tak naprawdę wystarczyło, że wpuścili ich do namiotu, ratując od padającego śniegu z deszczem; już samo to było luksusem. Jess padł na okrytą płótnem ziemię i dopiero wówczas do niego dotarło, jak mu zimno. Palce prawie mu posiniały i nie mógł zapanować nad dreszczami. Ubranie miał przemoknięte na wskroś i ścięte lodem.

Morgan znalazła się obok niego. Jeden z walijskich żołnierzy przyniósł filiżanki z gorącą kawą, a Jess wypił swoją tak szybko, że nawet nie poczuł na języku temperatury. Odrobinę przestał się trząść, a po drugiej filiżance zaczęło do niego docierać, co się dzieje wkoło, na przykład, że Morgan wciąż dygocze.

– Możemy dostać koc? – spytał mężczyznę, który przynosił kawę.
– Prawie zamarła.

– Z tego co widzę, ty też – odparł żołnierz. – Koce są w drodze. – Jego żywa, bezinteresowna życzliwość wzruszyła Jessa do głębi. Zaczął szybko pić kawę, żeby ukryć uczucia.

Morgan tak się trzęsła, że kawa wylewała się z filiżanki, gdy próbowała ją podnieść do ust. Jess wyciągnął rękę, żeby ustabilizować jej ruchy, ale to był błąd. Skrzywiła się od jego dotyku i rozlała gorący płyn na nich oboje.

– Przepraszam – pośpieszył z wyjaśnieniem. – Chciałem tylko pomóc.

– Poradzę sobie – zapewniła i spróbowała ponownie. Tym razem udało jej się wziąć łyk i rozlać tylko odrobinę. – Dziękuję.

– Za co? – Przecież nie miał na koncie żadnego bohaterskiego czynu, nie wykazał się nawet odwagą. Po prostu desperacko chciał się stamtąd wydostać.

Spojrzała na niego, skuliła ramiona i ten ruch przypomniał mu, że wtedy, na dziedzińcu, przytuliła się do niego i uświadomił sobie, jaka była samotna.

– Chyba za to, że nie umarłeś.

Nie wiedział, jak na to odpowiedzieć, więc milczał.

Walijski żołnierz przyniósł naręczce koców, a gdy Jess sięgnął po swój, przeszył go nagle straszliwy ból. Dziwne. Aż do tej chwili nic nie czuł. Widział, że inni są ranni: Dario miał przecięte ramię, Glain wykręcony nadgarstek, a Khalila ranę po kuli w rękę, ale na szczęście pocisk ominął kość i tylko trochę uszkodził mięsień.

On poczuł dziwne rwanie w boku. Odwrócił się, żeby spojrzeć i nagle zrobiło mu się podejrzanie słabo. Miał w ciele dziurę. Nie czuł jej, ale sądząc po wyglądzie rany, ktoś chciał go wypatroszyć nożem. Bolało.

Lała się krew. Strumień płynął zwawo.

– Jess! – Nie zdawał sobie sprawy, że upadł, aż poczuł dłonie Morgan, wymierzające mu cucące policzki. – Jess, obudź się! Pomocy! On krwawi!

– Nic mi nie jest – wymamrotał. Przy czym świetnie wiedział, że to nieprawda. Głowa dziwacznie mu ciążyła i chciał tylko leżeć. Zamknął oczy. Im cieplej mu się robiło, tym szybciej płynęła krew i zabierała ze sobą ból.

Gdy się ocknął, leżał płasko na plecach, choć nie czuł, żeby go przenoszono, a nad nim pochylały się twarze. Wyglądały cudacznie. A twarz Thomasa nawet bardzo i Jess chciał się roześmiać, ale nie miał na to siły. Wolfe też tam był i wywarkiwał rozkazy, które nie miały sensu, bo mówił coś o chirurgu. Widocznie komuś była potrzebna operacja.

Znów zamrugnął i okazało się, że jest noc. Światła były przygaszone, a grzejnik grzał. On leżał na obozowym łóżku, owinięty w górę koców, a kiedy spróbował się niezdarnie poruszyć, ból go sparaliżował. Zdołał lewą ręką unieść koc. Pod okryciem był prawie nagi, a lśniący białą bandaż ciasno owijał go od bioder do żeber.

– Ach – mruknął. – No tak. Już pamiętam.

Opadł na poduszkę, ale usłyszał, że ktoś stanął obok. To Thomas, który usiadł i nachylił się do niego.

– Nie ruszaj się – pouczył. – Ktoś cię dźgnął. Wolfe powiedział, że ocaliło cię tylko zimno.

– No tak – zgodził się Jess, ale nadal czuł się oderwany od rzeczywistości. – Dali mi coś?

– Dario jest zazdrosny. On ma tylko bandaż, a ty dostałeś

narkotyki.

– Nie jest to wielki triumf – jęknął Jess. – Poza tym wszyscy są cali?

– Ty oberwałeś najgorzej. – Thomas spochmurniał. – Najgorzej z tych, którzy przeżyli. Widziałeś Portera...

– Tak, pamiętam. – Jess czuł, że nigdy tego nie zapomni. Ani chwili. Śmierci Portera, biegu do bramy ani niesionego w ramionach dziecka, które musiał oddać. – Są jakieś wieści o moim kuzynie?

– Nie. W mieście wciąż się toczą walki. Niewielu przeżyło. Dario twierdzi, że Walijszczyki wkrótce ogłoszą zwycięstwo i oszczędzą tych, którzy przetrwali, w końcu udowodnili angielskiemu królowi, co chcieli. Mogli wybić wszystkich.

Glain leżała niedaleko; teraz wstała.

– Tak jakby Anglicy nie mieli krwi na rękach. Wszystko zaczęło się od rzezi Walijszczyków w czasie powstania Glyndwera. Mężczyźni, kobiety, dzieci... Dziesiątki tysięcy zabitych.

– A więc zabijanie się nawzajem...

– Przestańcie – mruknął z trudem Jess. – Przecież to nie ma znaczenia, dlaczego, kto, ani jak długo to trwa. My jesteśmy z Biblioteką. Porzuciliśmy nasze kraje, pamiętacie? Jesteśmy neutralni. Gdzie jest Wolfe?

– Z walijskim generałem.

– A Morgan?

– Tutaj. – Odwrócił głowę i zobaczył ją na łóżku kawałek dalej. – Wystraszyłeś nas. Coś ty sobie myślał? Nikomu nie powiedzieć, że zostałeś ranny?

– Nie wiedziałem. W ogóle mnie nie bolało.

Pokręciła głową i zagapiła się na ciemną, falującą nad ich głowami tkaninę namiotu. Nie widział całej jej twarzy, ale ten fragment, który dostrzegął, wyglądał na rozwścieczony.

– Kazałem jej iść odpocząć – wyjaśnił Thomas. – Walnęła mnie, jak jej powiedziałem, żeby ci dała spokój.

– Chciałam zobaczyć, czy wszystko dobrze, a ty mi zasłaniałeś. Jesteś za duży, żeby wyjrzeć zza ciebie – odszczeknęła się.

– Ma rację – przyznał Jess. Chętnie by się roześmiał, ale wiedział,

że będzie bolało. Zresztą impuls szybko minął. – Czyli przeżyliśmy.

Thomas poklepał go po ramieniu, trochę za mocno.

– Śpij dalej, Angolu. Wolfe kazał nam trochę odpocząć, zanim ruszymy dalej. Chce być pewien, że przeżyjesz drogę.

Boże, Jess jakoś o tym nie pomyślał, że czekała ich jeszcze powrotna, niewygodna podróż dziurawymi drogami do Aylesbury, a później koszmar translokacji. Nie miał pojęcia, jak tego dokona w tym stanie, biorąc pod uwagę to, co spotkało Izumi i Guillaume'a.

– A książki? – spytał. – Uratowaliśmy je?

Teraz podniosła się także Khalila. Trochę się skrzywiła, ale pokręciła głową, kiedy Dario wyciągnął rękę, żeby jej pomóc.

– Większość tak. Dario poplamił krwią te, które niósł.

– To nie była moja krew!

– Dobrze, niech ci będzie: książki Daria są poplamione krwią.

– Już lepiej. Nie myślcie, że byłem nieostrożny. Nie tak, jak ten, z posiekaną wątrobą. – Jego głos nie brzmiał tak ostro jak słowa, więc Jess uniósł trochę głowę, żeby na niego spojrzeć. Było zbyt ciemno, żeby odczytać wyraz twarzy chłopaka, ale widział, że skinął mu głową. W jego wykonaniu było to równoznaczne z niskim ukłonem. – Pamiętaj, utrata pinty krwi to wypadek, ale dwóch – nieostrożność.

Jess wyciągnął prawą rękę. Bolało, ale zdołał utrzymać ją w górze i po chwili wahania Dario wstał, podszedł do niego i uścisnął mu dłoń.

– Ale nadal nie jesteśmy przyjaciółmi – podkreślił Jess. – Dzięki Bogu.

– Rozumiem twoją ulgę – zapewnił Dario i wrócił do swojej pryczy. Kulejąc. Nie był w szczytowej formie. Zresztą żadne z nich nie było.

Thomas, obserwujący obolałego Daria, musiał myśleć o tym samym.

– Co powiedzą naszym rodzinom?

– Nieważne – odparła Khalila i nakryła się kocem. – Ojciec i tak mi nie pozwoli kontynuować nauki.

– Wolfe nic mu nie powie. Szczerść nie leży w interesie Biblioteki – stwierdził Jess.

– Dźgnięcie nożem zrobiło z ciebie cynika – zauważyła Khalila. –

A zawsze byłeś takim optymistą.

– Ugryź się w język – rzucił. Walczył z opadającymi powiekami, ale jednocześnie bardzo chciał znów odpłynąć w krainę bez bólu.

Mimo że był zły, a w boku aż paliło go z bólu, narkotyk w jednej chwili poniósł go w ciemność lekko jak piórko.

Minęły jeszcze dwa nudne dni leżenia bez ruchu. Walijski chirurg trzy czy cztery razy dziennie zaglądał, żeby go obmacać i opukać, niezbyt delikatnie na dodatek. Jess poprosił o udostępnienie tymczasowego dziennika, które Medica miała na wyposażeniu. Po raz pierwszy szczerze zatęsknił za swoim starym dziennikiem, jego znajomym dotykiem, zapachem i grubymi stronicami. Ten nowy był wiotki i nie przynosił satysfakcji, ale Jess i tak opisał wszystko, ból i chaos Oksfordu.

Słowa nie mogły tego oddać, ale zrobił, co w jego mocy.

Pozostałym, jednemu po drugim, pozwalano chodzić po obozie, ale jemu nie. Wieści docierały do niego za pośrednictwem przyjaciół: najczęściej Thomasa, ale i Khalili czy Daria, Morgan, a nawet Glain. (Nie był pewien, kiedy zaczął myśleć o niej jako o przyjaciółce, ale może w chwili, gdy stracili Portera i dotarło do niego, jak nieważne są te ich małostkowe waśnie).

Thomas twierdził, że Oksford został zniszczony, a liczba ofiar śmiertelnych była druzgocąca. Walijszczyki ogłosili zawieszenie broni i nazajutrz po ucieczce ekipy bibliotecznej pozwoli tym, którzy ocalili, wyjść z ruin miasta i nadali im status uchodźców. Po upływie tego terminu nie mieli jednak litości.

Nikt nie wiedział, czy ojciec Morgan jest wśród ocalałych.

Thomas oszczędził mu szczegółów, jak obecnie wygląda miasto, a Jess cieszył się, że nie wie. Nie chciał o tym myśleć, o niczym, co tam przeżył. Jednak gdy zamykał oczy, widział kobietę wpychającą mu w ramiona dziecko. Nic nie miało sensu, a kiedy starał się jakoś połączyć fakty, czuł się jeszcze gorzej.

Pytał o Fredericka, ale na temat jego kuzyna też nie było wieści. Śmierć pustosząca miasto oznaczała, że jeśli nie udało mu się uciec, nie ma w zasadzie szansy, żeby jego ciało zostało zidentyfikowane: Walijszczyki zamierzali wrzucić wszystkich poległych do masowych

grobów i zapomnieć o sprawie. Dowie się czegoś o losach kuzyna, tylko jeśli temu szemranemu cwaniaczkowi udało się uciec.

Chociaż Morgan wolno było chodzić po obozie, trzymała się blisko namiotu. Jess podejrzewał, że Wolfe kazał jej mieć go na oku. Nie licząc wypraw po jedzenie oraz do latryny, cały czas siedziała na łóżku i czytała oryginalną książkę, jedną z tych, które dźwigała po uratowaniu z Serapejonu. Jess nie miał co robić i się wściekał, a ona przewracała strony w tempie, o którym mógł tylko pomarzyć, gdy gryzmolił w dzienniku kolejne szczegóły. Wciąż nie mógł się do niego przyzwycząić, był sztywny i nieswój, źle mu się też pisało piórem, które dostał. Zbyt wolno przesuwano się po papierze.

Wszystko razem sprawiało, że był zły jak osa.

– Nie musisz tu siedzieć – oznajmił. – Daję słowo, że nie ucieknę, jak tylko spuścisz mnie z oka.

– Serio? – Przewróciła stronę. – Chyba ci nie wierzę. Nie znasz swoich ograniczeń. Na własne oczy widziałam, jak próbujesz odesłać tyle książek, że prawie straciłeś przytomność.

– Jestem w tym coraz lepszy.

– Właśnie, na tym polega twój problem: myślisz, że jesteś lepszy. I głupiejsz.

– Wolfe ci kazał tu siedzieć?

– Tego nie powiedziałam. – Spokojnie przewróciła kolejną stronę.

– Masz na coś ochotę?

– Chcę wstać i przynajmniej wyjść na zewnątrz. Zobaczyć coś innego.

– Mój dom, jak płonie? Zwłoki moich sąsiadów? To wystarczająca odmiana? – Podciągnęła kolana pod brodę. – Nie? Więc się zamknij.

Boże, jaki ja jestem głupi, pomyślał Jess. Nie wiedział, jak ją przeproszać za swoją bezmyślność, niedelikatność.

– Co czytasz? – zapytał zamiast tego.

Przez chwilę milczała, a potem podała mu książkę. *Inventio Fortunata*, napisana dawno temu przez mnicha z Oksfordu. Kiedyś trzymał w ręce inny egzemplarz tego tytułu. Czytał ją ostatniej nocy spędzonej w rodzinnym domu.

– Nie wracam do Aleksandrii – oznajmiła. – Wolfe mówi, że Jej

Ekscelencja Magnus Obskurystów już wie i że wydała nakaz mojego natychmiastowego powrotu. Muszę uciekać. Może do Londynu. Tam łatwo wmieszam się w tłum.

– Szukaj mojego ojca, Calluma Brightwella – podsunął Jess. – Powiedz mu, że ja cię przysłałem i kazałem ci pomóc.

– On mnie nie...?

– Czy cię nie wyda? Na pewno nie Bibliotece. – Jess oddał jej książkę, a przy okazji musnął ją palcami. Nie był to żaden wielki dotyk, ale nie cofnęła ręki, to już o czymś świadczyło.

Próbowała się uśmiechnąć, choć w oczach lśniły jej łzy.

W tym momencie do namiotu wszedł Wolfe i cokolwiek chciała powiedzieć, zostało stracone na zawsze. Ciemnymi oczami spojrzał na Jessa, potem na Morgan, a potem z powrotem na niego.

– Wyruszamy rano – oznajmił. – Walijczycy przestrzegają warunków porozumienia, ale nie są z tego powodu szczęśliwi i chcą się nas pozbyć. Nie jesteś jeszcze w dobrej formie, ale musimy wyjechać, zanim całkiem stracą cierpliwość. Pojedziemy do Londynu. – Oderwał wzrok od Jessa i spojrzał na Morgan. – Przyślą po nas Ekspres.

Ekspres Aleksandryjski to specjalny pociąg, oparty na technologii znanej jedynie Bibliotece, szybki jak strzała i poruszający się po torach używanych tylko przez niego. Jess uważał, że zarezerwowany jest tylko dla najważniejszych bibliotecznych oficjeli przebywających na misjach dyplomatycznych lub na prywatny użytek Archiwisty. Jess w każdym razie nigdy go nie widział i nie znał nikogo, kto miał ten przywilej.

Pociąg nie zatrzymywał się przez całą drogę z Londynu do Aleksandrii. Morgan nie miałyby szansy z niego uciec.

– Niech mnie pan wypuści po drodze do Londynu – poprosiła.

– Nie. Nie mogę podjąć takiego ryzyka. Przykro mi.

– Więc czemu w ogóle jej pan pomagał? – spytał Jess. – Żeby teraz tak po prostu umyć od tego ręce?

– Mówiłem panu, Brightwell. Dochowuję tajemnic. Ale nie za cenę życia. Już nie.

Jess usiadł i spuścił nogi na podłogę. Od razu zrobiło mu się słabo i oblał się potem, ale i tak czuł się lepiej, odkąd przeszły skutki uboczne uśmierzającej ból morfiny. Rana zbytnio nie doskwierała, ale gdy napiął

mięśnie brzucha, żeby wstać, ból od razu nadrobił straty. Wytrwał, choć nogi bardzo mu się trzęsły.

– A pan gdzie się wybiera? – spytał Wolfe.

– Mam dość korzystania z nocnika. Idę do latryny.

– Panują tu warunki, jakich można by się spodziewać na polu bitwy. Nie wiem, czy można to uznać za poprawę jakości. – Wolfe patrzył na niego, ale nie zaproponował pomocy. Jess oparł się o maszt wspierający dach namiotu, a potem sięgnął po czystą białą koszulę, którą ktoś dla niego zostawił, i włożył. To też bolało i wymagało kolejnej pauzy na złapanie tchu. Długo.

– Nie dojdiesz sam – stwierdziła w końcu Morgan i wstała. – Pójdę z tobą.

– Do latryny i z powrotem – przypomniał Wolfe. – W przeciwnym razie włączy się alarm. Wie pani, jakie będą konsekwencje.

– Znajdzie mnie pan, wiem.

Jess nic z tego nie rozumiał, ale nie zdążył zadać pytania, bo Wolfe wymaszerował. Spojrzał więc na Morgan.

Wzruszyła ramionami.

– Próbowałam uciec. Gdy byłeś nieprzytomny. Wyszłam z obozu, ale złapali mnie Walińczycy i gdyby nie Thomas, nie skończyłoby się to dobrze. Doprowadziło to do pewnego incydentu.

– Jakiego?

– Walijski generał zażądał od Wolfe'a wydania mnie, żeby mogli mnie ukarać, albo rezygnacji z neutralności Biblioteki. Wolfe znalazł rozwiązanie pośrednie. – Podniosła rękę, na której, zamiast tymczasowej bibliotecznej opaski, nosiła coś, co Jess od razu rozpoznał: dwie pętle ze złotego drutu z pieczęcią Biblioteki pośrodku, na łączeniu. Zwykle zakładało się to jako pęta na oba nadgarstki, ale jej Wolfe założył tylko na jedną rękę.

Wyglądało to jak biżuteria, ale nią nie było. Działo jako urządzenie lokalizujące. Takie samo, za pomocą którego Jess śledził Santiago w Aleksandrii.

– Teraz wie, gdzie jestem i czy nie próbuję znów odejść. To dla mojego bezpieczeństwa, rozumiesz... – Morgan podeszła do niego i mocno złapała za lewą rękę. – Oprzyj się o mnie. I patrz pod nogi.

Warunki nadal nie są zachwycające.

Miała rację. Deszcz przestał padać, ale niebo wciąż było ciężkie i szare jak żelazo. Walińczycy rzucili w gęste błoto deski, ale nawet one niepokojąco się ślizgały i ledwie starczało na nich miejsca dla dwóch osób idących obok siebie. Jess skupił się na trudnym zadaniu stawiania stóp jedna przed drugą, a gdy wreszcie dotarli do latryny, cały się trząś z wysiłku.

Wyzwolił się z uścisku Morgan. Jej opaska dzwoniła cicho, ale bez przerwy. To ostrzeżenie. Zbliżała się do granic wyznaczonego terytorium.

– Pójdę sam – zapewnił, ale gdy spróbował, aż się zachwiał.

Westchnęła i złapała go, gdy przechylał się w jedną stronę. Ustabilizowała go i pokręciła głową.

– Wszyscy londyńczycy są tacy uparci?

– Ja jestem wcieleniem rozsądku. Poniekąd.

– Już prawie jesteśmy w domu. – Odsunęła klapę namiotu i musiała stłumić odruch wymiotny, gdy w nozdrza uderzył ją zapach. – Jest równie uroczo, jak poprzednim razem.

– Naprawdę sobie poradzę – przekonywał. – Idź już.

– Jak wpadniesz do wychodka, to będzie moja wina – narzekała. – Przynajmniej doprowadzę się do sedesu.

– Nie. – Wpatrywał się w nią, aż wzruszyła ramionami i wypuściła jego rękę. – Idź już.

Wyszła na zewnątrz, a on natychmiast zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno da radę zrobić to sam. Co prawda czuł się lepiej, to fakt, ale droga pozbawiła go sił. Weź się w garść, nauczył sam siebie. W głowie słyszał echo słów ojca: „Rób wszystko sam, niech nikt ci nie pomaga. To jedyny sposób, żeby zachować siły”.

Więc dał radę. Jakoś. Nie było to najprzyjemniejsze doświadczenie w jego życiu ani przesadnie bezbolesne, ale zapanowanie nad ciałem po okresie porażającej bezsilności zrobiło dobrze jego duszy. Dotarł do wyjścia z namiotu, gdzie spodziewał się zastać Morgan.

Ale jej nie było.

Fakt, w obozie panował ciągły ruch, walijscy żołnierze w mundurach chodzili między namiotami, a pojazdy opancerzone brnęły

przez błoto, ale aż tak dobrze nie mogła się wtopić w tło. Miała na sobie złotą koszulę i złote spodnie Biblioteki, a do tego sztywne czarne buty. Wyróżniałyby się spośród walijskich barw.

Pilnowanie jej to nie moja sprawa, stwierdził. Poza tym, ma przecież lokalizator. Jeśli będzie próbowała uciec, znajdą ją bez mojej pomocy.

Przekonujące argumenty, ale co z tego, skoro westchnąwszy ciężko, pokuśtykał na poszukiwania.

Nie odeszła daleko, wypatrzył ją tuż za rogiem latryny. Stała bez ruchu i patrzyła przed siebie.

– Tylko tutaj mogę dojść – wyjaśniła.

– Co robisz?

Nie odpowiedziała. Gdy poszedł za jej spojrzeniem, od razu uderzyła go ponura, zasnuta dymem luna nad czymś, co kiedyś było Oksfordem. Mury zburzono, z budynków zostały gruzy, a języki ognia wciąż lizwały niebo. Krzyki umilkły. Trwały tylko znieruchomiłe ruiny.

Następnie zobaczył oddziały walijskie zgromadzone na zewnątrz murów. Ładowali coś do powozów. Nic nie powiedział, Morgan też nie. Gdy powóz był pełen, ruszył przez błoto, w pewnym momencie ich mijając.

Pełen był zwłok. Nie Walińczyków. Żadne z ciał nie miało na sobie munduru. To byli zabici cywile, wiezieni do masowej mogiły.

– Nie wiem, gdzie jest mój ojciec – wyszeptała Morgan. – Nawet jeśli nie żyje, nigdy nie będę pewna.

Odwróciła się i skierowała z powrotem do namiotu. Jess poszedł za nią. Nie zwolniła, nie ułatwiała mu marszu i gdy ją dogonił, był zdyszany i spocony. W końcu poślizgnął się i wylądowałby w błocie, ale złapała go za rękę i pomogła utrzymać równowagę. Nie odezwał się wtedy, ona też nie. Przez całą drogę milczeli.

– Nie powiedziałaś, że ci przykro – powiedziała w końcu.

Jess podniósł na nią wzrok i okazało się, że ona też na niego patrzy, a intensywne spojrzenie skupionych oczu zadziało jak uderzenie pioruna. Gdyby chciała, mogłaby pobić w pojedynku na spojrzenia nawet Wolfe'a.

– Co?

– No wiesz. Większość powiedziałaaby, że im przykro z powodu mojego miasta. Mojego ojca. A ty nie. Dlaczego?

Wzruszył lekko ramionami, ale i to zabolalo.

– Po co miałbym to mówić? Czy mój żal sprawi, że poczujesz się lepiej?

– Nie. – Zamrugala, zeby powstrzymac lzy. – Nic nie sprawi, ze poczuję się lepiej. Ale dziękuję, że szczerze powiedziałeś, że cię to nie obchodzi.

– Nigdy tego nie powiedziałem. Tylko tyle, że nie jest mi przykro. Zostawił ją z tą myślą, wszedł do środka i padł na łóżko. Był cały mokry, ale ulga okazała się rozkoszna.

Tego dnia Morgan więcej się do niego nie odezwała. Milczała też, gdy inni pomagali mu przejść do walijskiej stołówki, gdzie zjadł pierwszy od dawna porządny posiłek, co prawda pozbawiony smaku, ale i tak lepszy niż cienki rosółek, którym karmili go dotąd. Dobrze było znów siedzieć z kolegami przy wspólnym stole. Wszyscy milczeli i czuli, że czas beztroskich żartów minął, w każdym razie tymczasowo. Wciąż dochodzili do siebie.

Khalila i Dario trzymali się za ręce.

Wolfe i Santi zasiedli przy innym stole, pogrążeni w rozmowie. Wydawało się, że poważnej.

Jess, chociaż znajdował się w samym centrum wydarzeń, czuł się dziwnie odizolowany. Podejrzewał, że to jakiś opóźniony szok. Powolne dochodzenie do siebie. Częściej niż na innych, patrzył na Morgan, Morgan, której tak naprawdę tu z nimi nie było. Która musiała uciec jeszcze przed dotarciem do Londynu, inaczej tuż po przyjeździe do Aleksandrii zostanie zawleczona do Żelaznej Wieży. Wolfe już jej nie chronił.

Mógłbym zmusić Brendana, żeby ją ukrył, rozmyślał. Niech ją wsadzi na statek i wyśle daleko stąd, może do Ameryki. Zastanawiał się, ile brat policzyłby mu za taką przysługę, a potem uznał, że to nie ma znaczenia.

Nagle Wolfe skinął głową w odpowiedzi na jakieś słowa Santiago, a potem wstał i podszedł do ich stołu. Rozmowy uczniów zamarły w jednej chwili.

– Chciałbym wam powiedzieć, że dobrze się spisaliście. Wszyscy.
– Zawahał się, a zanim zaczął mówić dalej, skupił wzrok na Jessie. –
Muszę także coś wyjaśnić. Zobaczyliście, dlaczego to jest trudna praca.
Nie możemy zabrać z tego miasta nikogo: dziecka ani członka rodziny.
Gdybyśmy zrezygnowali z neutralności, już dawno bylibyśmy martwi.
Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy zostawić dziecko, które wziął
Brightwell. Przykro mi.

– Czyli zrobił to pan dla dobra sprawy? – spytał Jess. – Tak mam to
rozumieć?

– Zrobiłem to, żeby nas ocalić – odparł Wolfe. – I podtrzymać
tradycję neutralności Biblioteki.

– Jakiej neutralności? Przecież w Oksfordzie chcieli nas zabić!

– Załamani ludzie porywają się na desperackie czyny. Nie możesz
być taki jak oni. Musisz być lepszy.

– Kazał mi pan rzucić to dziecko w błoto, żeby utonęło –
przypomniał Jess. – Nie nazwałbym tego byciem lepszym. Fakt, że
zmienił pan zdanie, nie znaczy, że to panu zapomnę.

Wolfe przez dłuższą chwilę wytrzymywał jego spojrzenie, a
następnie odwrócił się i dosiadł się z powrotem do Santiago.

Pozostali patrzyli na Jessa w różnym stopniu zaniepokojeni.
Khalila się do niego nachyliła.

– Jess...

– Zostało nas sześcioro – odparł. – Sześcioro. A Wolfe ma sześć
miejsc. Już mnie nie wyrzuci. A nawet jeśli, mam to gdzieś.

LIST

Tekst prywatnej, papierowej korespondencji między Frederickiem Brightwellem a jego wujem, Callumem Brightwellem, dla bezpieczeństwa kodowanej szyfrem rodzinnym:

Szczerście wydosiałem się z Oksfordu, razem ze wszystkimi dobrami, ale niewiele wiem o sytuacji moich ludzi. Będę musiał zatrudnić nowych, jak tylko się urządzę na północy. Nie osiądę już w pobliżu tych przeklętych Walińczyków, więc nawet nie próbuj mnie przekupywać. Jedno spotkanie wystarczy, zwłaszcza, że rany jeszcze mi się goją, gdybyś potrzebował dowodów.

Co do rodzinnych interesów: widziałem się w Oksfordzie z Jessem. Chłopak wyrósł. Może powinienem raczej napisać: mężczyzna, bo bliżej mu do tego niż do dziecka. Tchórzem na pewno nie jest, zresztą pochodzi z takiej rodziny, że nawet bym go nie podejrzewał. Wydaje się, że dobrze się dogadał z nowymi przyjaciółmi. Mam nadzieję, że się nie zasymiluje do końca i nie sprzeda angielskiej kapoty za egipskie złoto. Swoją drogą można by pęknąć ze śmiechu, gdyby tak się stało, prawda?

A skoro już mowa o śmiechu: nieustraszony belfer, który dowodzi tym ich cyrkiem, wie, co robi. Pozwolił Jessowi wcisnąć mi rzadką kopię O marzeniach sennych Arystotelesa. W normalnych okolicznościach można by za to wykupić z pięciu królów, ale okoliczności normalne nie były, więc nie zawahał się, żeby dać to mnie w zamian za pomoc w ucieczce.

I jeszcze z rodzinnych wieści: zostałem ojcem. Przynosiłem dziewczynkę, którą zabrałem z Oksfordu, całkiem mały smark. Wiem, nie musisz nic mówić o byciu sentymentalnym. Może po prostu myślę o przyszłości? Zawsze dobrze mieć więcej dziedziców interesu, czyż nie?

Odezwę się, jak się już urządzę w Yorkshire. Tymczasem pozostaję z szacunkiem.

Frederick

Rozdział 11

Klekoczące powozy Najwyższej Straży wywoziły ich z dala od ruin Oksfordu. Dla Jessa była to ponura podróż, chociaż dostało mu się jedno z wyściełanych przednich siedzeń. Czuł się jednak odseparowany od przyjaciół, którzy zajmowali tył powozu.

Co gorsza, spędzał podróż z Wolfe'em i Santim. Nie chciał rozmawiać z uczonym. Jego do pewnego stopnia irracjonalny gniew już się niemal wypalił, ale resztki jeszcze buzowały.

– Bardzo pan milczący – zauważył Santi po jakiejś godzinie wytrząsania kości na nierównej drodze. Jess nie odpowiedział. Myślał, że kapitan mówi do Wolfe'a. – Pana mam na myśli, Brightwell. Wolfe, gdy jest na służbie, nigdy nie grzeszy szczebiotliwością.

– Łyknąłem lekarstwo na ból – odparł Jess, zresztą zgodnie z prawdą. Co prawda pół pastylki, a nie całą, ale to wystarczyło, by stępić krawędzie noża, który wciąż chlastał jego wątrobę.

– Działa?

– Nie do końca.

– To by wyjaśniało tę ostentacyjną ciszę – zauważył Wolfe.

– Ostentacyjną?! – Jess tak się wściekł, że niemal wykrzyknął i nie zważając na ból, który przecinał go w pół, obrócił się do niego. – Czyli za mało mam powodów? Wykorzystał mnie pan.

Na Wolfe'ie te słowa nie zrobiły żadnego wrażenia.

– Oczywiście, że tak. Wiedziałem, że pana rodzina to przestępcy. Tak jak wiedziałem, że jeden z pana kolegów był szpiegiem Podpalaczy

Jess otworzył usta, ale nie wiedział, co powiedzieć. Wolfe czekał. Pytanie wreszcie padło:

– Kto?

– To już nie ma znaczenia, ale widzi pan, dlaczego dobrze jest wiedzieć takie rzeczy. Fach, którym para się pana rodzina, jest dla mnie problemem jedynie do pewnego stopnia.

Podpalacz. Jess próbował kogoś dopasować do tego miana, ale nic to nie dawało.

– Portero? – strzelił w końcu.

– Mówi pan to jedynie dlatego, że go pan nie lubił. Nie, nie

Portero, biedaczysko.

– Morgan nie.

– Nie. Jej ociec został Podpalaczem już po jej wyjeździe.

– Ale... – Nagle Jess przypomniał sobie dawną rozmowę z Domu Ptolemeusza, gdy Dario dręczył Guillaume'a wiedzą na temat jego od dawna nieżyjącego przodka-Podpalacza. – Guillaume. – Czyżby Dario wiedział? A może trafił przypadkiem? – W takim razie to było ukartowane? Ten wypadek w Kabinie Translokacyjnej?

Wolfe nie odpowiedział do razu.

– To była albo nieuwaga, albo straszliwa głupota. Ja zamierzałem pozwolić młodemu Dantonowi działać dalej i dotrzeć do jego kontaktów. Ale możliwe, że zostałem przegłosowany.

– To wszystko, co ma pan do powiedzenia? Ktoś z Biblioteki go zamordował, a pan mówi, że może został przegłosowany?

– Jeśli masz dość mądrości, sam powiesz o tym niewiele więcej – wtrącił się Santi. – Wolfe? Jesteś pewien, że on powinien to wiedzieć?

– Tak. Chcę, żeby rozumiał niebezpieczeństwo, na jakie się naraża. Tym razem został wyeliminowany szpieg Podpalaczy. Ale syn szmuglera książek może się okazać równie łakomym kąskiem, kiedy następnym razem ktoś będzie chciał coś udowodnić.

– Chce pan, żebym się wycofał i wrócił do domu?

– Chcę, żeby czuł pan na karku ostrze noża, bo ono tam już pozostanie. A ja nie zawsze będę obok, żeby pana chronić.

Jess opadł na oparcie. Bolało go całe ciało, a chociaż zmierzali do Londynu, nie miał już wrażenia, że tam będzie bezpieczny.

– Pewnie chce pan, żebym przeprosił, że tak się do pana odzywałem.

– Nie ma potrzeby – pośpieszył z wyjaśnieniem Santi. – Gdyby pan słyszał, jak do niego mówią przyjaciele...

– To ja mam przyjaciół? – zdziwił się Wolfe.

– Nie lubią przyznawać się do tego publicznie.

– A przyszło ci kiedyś do głowy, że ja też niechętnie bym się do nich przyznał?

Santi spojrział na niego dziwnie, ale Wolfe uniknął jego wzroku i zapatrzył się przed siebie, na drogę. Dojechali już prawie do stacji, gdzie

złapią pociąg do Londynu.

– Założył pan Morgan pęta.

– Tak – zgodził się Wolfe.

– Jesteśmy już poza obozem Walińczyków. Kiedy je pan zdejmie? Wolfe wyglądał, jakby przygotowywał się na naprawdę silny cios.

– Nie zdejmę.

– W takim razie nie będę pana przepraszał. Zasłużył pan na wszystko.

– Brightwell! – ostrzegawczo mruknął Santi, ale Wolfe podniósł rękę, żeby go uciszyć.

– Ma rację. Zasłużyłem – przyznał. – Nawet pan nie wie, pod iloma względami, postulancie. Ale proszę mi wierzyć, kiedy mówię, że zawsze staję po stronie moich uczniów. Zawsze.

Ale Jess nie wierzył.

Nie było szans, żeby Morgan uciekła przed przybyciem do Londynu.

Ale mimo to spróbowała. I została złapana.

Po roztrzęsionej jeździe transportem bibliotecznym pociąg do Londynu wydawał się niemalże luksusem i Jess pogrążył się w półśnie, ukołysany stukotem kół. Myślał, że tak by pewnie było, gdyby potrafił latać. Na miejsce dotarli szybko i powrót do brutalnej, bolesnej rzeczywistości okazał się bardzo nieprzyjemny, zwłaszcza marsz długim podziemnym tunelem prowadzącym ze stacji King's Cross do św. Pankracego, a następnie na peron. Po jakimś czasie dotarło do niego, że wszędzie jest niepokojąco pusto. Londyńska Straż obstawiała każdy mijany wylot tunelu i każde wejście, a na horyzoncie nie pojawił się ani jeden inny pasażer. Gdy wspinali się po schodach, pomyślał, że nigdy jeszcze nie wiedział tak opustoszałego dworca, ale potem przypomniał sobie, że jednak widział. Tamtego dnia, gdy wyruszał do Biblioteki.

Gdy Podpalacz stanął w płomieniach.

Zrobiło mu się bardzo nieprzyjemnie i spojrzał w kierunku miejsca, gdzie na posadzce została czarna smuga. Teraz nie było po niej śladu. Podłoga została wyszorowana do czysta, a niedaleko – może nie przypadkiem – postawiono nowy posąg, przedstawiający dwoje bibliotekarzy, mężczyznę i kobietę, stojących plecami do siebie i

wspólnie unoszących nad głową książkę, w takim geście, jakby to była pochodnia. Postument opasywała płaskorzeźba zawierająca lokalizacje wszystkich angielskich bibliotek siostrzanych. Z ukłuciem strachu Jess wypatrywał w spisie także Bibliotekę Bodeliańską w Oksfordzie.

Prawdopodobnie już nie istniała.

Obecność tutaj sprawiła, że nie wiedział, co myśleć i ogarnął go przeszywający smutek, tak jakby wrócił do domu, w którym mieszkał jako dziecko, i zastał jedynie gruzy.

– Dlaczego nikogo nie ma? – spytała Wolfe’a Khalila. – Czy to nie jest jedna z najgwarniejszych stacji w całej Anglii?

– Jest – potwierdził. – Ale Straż miała zadbać o bezkolizyjne przejście.

– Dla nas – dodał Santi. – Na wypadek, gdyby wieści się rozeszły. Mamy przy sobie cenne książki.

Słusznie, pomyślał Jess. Jego ojciec chętnie wysłałby na stację King’s Cross złodziei i innych zbirów, żeby przechwycić z rąk Biblioteki chociaż jeden czy dwa oryginały. Wolfe oczywiście wziął to pod uwagę. Stąd też ich luksusowy marsz pustymi tunelami.

Morgan szła obok niego. W pewnym momencie otarła się wierzchem dłoni o jego rękę, jak sądził, przypadkiem, ale gdy na nią spojrział, zauważył, że wciąż obmyśla sposób ucieczki. Tak, oczywiście, że tak. Liczyła, że tutaj jej się uda wmieszać w tłum, ale tłum nie było. Nie miała się gdzie zgubić.

Pośrodku wielkiego, buzującego życiem miasta była uwięziona w takim samym stopniu, jak w niewielkim obozie wojskowym.

Wziął ją za rękę i uścisnął, a ona lekko się uśmiechnęła.

– Nie panikuj. – Przysunął usta do jej włosów. Musnęły jego policzek jak jedwab. – Znajdziesz inne wyjście. Zawsze się znajduje.

Wolfe prowadził ich pustym, niekończącym się tunelem, w którym odbijało się echo. Łukowate sklepienie sprawiło, że zaczął się Jessowi kojarzyć z gardłem, które połyka ich wszystkich. Białe, lśniące płytki po bokach mogły grać rolę zębów. Czuł, że brakuje mu tchu i nagle dotarło do niego, jaki był brudny. Marzył o gorącym prysznicu, który zmyłby z niego plugawy brud i smród Oksfordu, a kiedy spojrział na swoich towarzyszy, nawet na Wolfe’a, który zdołał się jakoś umyć, był

przekonany, że wszyscy czują się tak samo. Potrzebowali odpoczynku.

Tunel ciągnął się jednak bez końca i Jess musiał zaangażować w ten długi, długi pochód ostatki sił i skupienia.

Wreszcie dotarli do rozwidlenia, z którego rozchodziły się inne tunele, wszystkie opustoszałe, bo tutaj także przebywali Strażnicy. Weszli po niskich schodach, skręcili w prawo i przeszli przez kolejne łukowato sklepione przejście.

I znaleźli się w zupełnie innej rzeczywistości. Z lewej strony była zbudowana z ozdobnych cegieł kasa. Za oknami z witraży znajdowały się okienka, w tej chwili puste.

– Proszę tędy – odezwał się Strażnik w wyjątkowo eleganckim mundurze i wskazał drogę ręką wyprostowaną niczym liniał. – Na górę i w prawo. Pociąg już czeka.

Dzięki Bogu, pomyślał Jess, nie dałby rady dłużej iść. Bok palił go, jakby zanurzył się w kwasie.

Wyszli zza rogu i ich oczom ukazał się Ekspres Aleksandryjski.

Był złoty. Oczywiście nie ze szczerego złota, ale w złotym kolorze, a jakaś specjalna farba zostawiała lśniące linie przez całą długość pojazdu, od skąpanej w złocie lokomotywy przez smukłe, opływowe wagony. Pociąg wyglądał na szybki. Bardzo szybki. Nawet lokomotywa miała kształt kojarzący się z czymś drapieżnym i rozpędzonym. Wprawdzie syczała cicho, ale jeśli była napędzana silnikiem parowym, nie unosiły się nad nią białe chmury, które Jess widywał nad bardziej kanciastymi, zwykłymi pociągami, spotykanymi na całym świecie.

Za lokomotywą stały tylko cztery wagony. Wolfe skierował się do pierwszego, ale zatrzymał się i zaczekał, aż się zbiorą. Nie trwało to długo.

– Czujniki odczytają dane z waszych opasek – oznajmił. – Wprowadzę kod umożliwiający wam wejście na pokład. W pociągu znajduje się salon, wagon restauracyjny i sypialnie. Na drzwiach do przedziałów są wasze nazwiska. W każdym jest prywatny prysznic, toaleta i łóżko.

– A obiad? – spytał Dario.

– Zostanie podany za dwie godziny. Podróż potrwa całą noc. Do Aleksandrii dotrzemy jutro w południe.

Niewiarygodnie szybko! Jess zaczął łamać sobie głowę przy próbie obliczenia prędkości, jaką będą musieli rozwinąć, ale jego umysł był równie wyczerpany jak ciało, zresztą nigdy nie był dobry z matematyki. Poza tym nie znał trasy.

Ale Thomasowi się udało i stłumionym głosem poinformował:

– Rozwiniemy prędkość czterystu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę!

– Nawet nie zauważycie, chyba że wyrzycie przez okno. Jeśli macie taki zamiar, sugeruję obserwować horyzont, unikniecie zawrotów głowy. – Wolfe dotknął ledwie widocznego przycisku z boku wagonu, a wtedy prawie bezgłośnie otworzyły się równie niewidoczne drzwi. – Gdy będziecie wsiadać, zatrzymajcie się, aż usłyszycie dzwonek. Jeśli nie usłyszycie, stójcie bez ruchu.

– Bo co się stanie? – spytał Jess.

– To prywatny środek lokomocji Magistra Archiwisty, zapewniam was w związku z tym, że nie chcecie wiedzieć.

Tak się jakoś złożyło, że po tych słowach nikt nie chciał wsiąść pierwszy, więc Jess westchnął, wystąpił naprzód i zatrzymał się w drzwiach. Rozległ się przyjemny dzwoneczek, więc z trudem wszedł dalej, do świata, w którym wszystko było na swoim miejscu, uporządkowane i piękne. I w którym on czuł się całkowicie obco. Uroczą młodą dziewczyną w doskonale skrojonym uniformie Biblioteki stała kawalek dalej i uśmiechnęła się tak, że byłby skłonny uwierzyć, że miło jej było go powitać.

– Proszę tędy – odezwała się. – Domyślam się, że zechce się pan odświeżyć, zanim skorzysta pan z naszych pozostałych udogodnień.

Nie mógł powstrzymać gorzkiego uśmiechu.

– Słusznie się pani domyśla. – Pokuśtykał za nią lśniąca czystością korytarzem wzdłuż stolików i krzeseł w wagonie restauracyjnym, a następnie kolejnym przejściem, wyłożonym z jednej strony wypolerowanym drewnem. Zatrzymała się przy trzecich z kolei drzwiach, na których zamontowany był blankiet z jego nazwiskiem wypisanym elegancką kursywą.

– Dziękuję... Jak masz na imię? – spytał, wchodząc do środka. W jej promiennym uśmiechu pojawiła się nuta rozdrażnienia.

– Gretel, proszę pana. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę zadzwonić. Mydło i przybory toaletowe znajdzie pan pod prysznicem.

Gretel była ładna, ale widział czające się tuż pod powierzchnią obrzydzenie. Zresztą nie miał do niej żalu. Musiała spotykać tu najpotężniejszych ludzi. Obsługa ledwie żywych i niemal niewidocznych spod brudu uczniów pozbawionych jakiejkolwiek reputacji musiała być dla niej bolesna.

Zatrzasnął drzwi i na moment się o nie oparł, a potem otworzył oczy, żeby się rozejrzeć. Łóżko było miękkie i kuszące, ale musiał się przede wszystkim umyć. Brud i błoto zaschnięte we włosach doprowadzały go do szału.

Chociaż walijski lekarz zapewniał Jessa, że bandaż jest wodoodporny, a proces gojenia się rany już dość zaawansowany, pod prysznicem był ostrożny. Rażące fioletowo-czarne sińce opasujące go na wysokości żeber wyglądały tak przerażająco, że gdyby elegancka Gretel go teraz zobaczyła, uciekłaby z krzykiem. Sińce wyglądały znacznie gorzej niż stosunkowo mała rana po nożu.

Elegancki pociąg dysponował własnymi szlafrokami, grubymi i puszystymi, więc po umyciu się przywdział jeden z nich i wyciągnął się na łóżku. Owiewało go chłodne powietrze i po raz pierwszy od dawna poczuł, że może odpocząć.

Nie pomyślał, żeby się zamknąć.

Oczywiście wkrótce zasnął i obudził się dopiero, gdy ktoś zbyt energicznie otworzył drzwi i do środka wkroczyła Morgan.

– Mam cię przyprowadzić do wagonu... Och. Przepraszam.

– Nie szkodzi – zapewnił i spróbował usiąść, ale krótka drzemka usztywniła obolałe mięśnie i szło mu jak po grudzie. Przez ten czas spróbował zamknąć poły rozchełstanego szlafroka, ale na próżno i światło dzienne ujrzały jego przerażające sino-czarne boki. Morgan wciągnęła powietrze i podeszła, żeby mu pomóc. Starannie zawiązała szlafrok.

– Nie przepraszaj – rzuciła. – Widziałam gorsze.

– Mam nadzieję, że masz na myśli siniaki.

– A co innego mogłabym mieć na myśli? – Na chwilę przycupnęła przy nim i siedzieli tak w spokoju i ciszy. Ona też się umyła, brązowe

włosy miała rozpuszczone, a gdy je odgarnęła, rozległ się trzask naelektryzowanego pasma. – Nie pójdę do Żelaznej Wieży, Jess. Nie proszę cię o pomoc, bo wiem, że oni nie ustąpią i nie mogą cię w to wciągnąć, ale chciałam ci powiedzieć, że zrobię to, co będzie trzeba.

– Pociąg ruszył – zauważył. – Zabijesz się, jeśli spróbujesz uciec.

– Wiem.

– A jeśli dotrzesz do Aleksandrii, już nie wyjdiesz z Wieży.

– To też wiem.

– Więc? – Wzruszyła ramionami. Nie patrzyła na niego. Zrobiło mu się niedobrze. – Powiedz, że nie myślisz o samobójstwie. Po prostu to powiedz.

Spojrzała na niego.

– Nie myślę o samobójstwie.

Kiedyś ją pouczył, że powinna się nauczyć kłamać i bał się, że wzięła sobie tę radę do serca, bo nie potrafił stwierdzić, co naprawdę myśli.

– Podaj mi ubrania. Umieram z głodu.

Obiad przebiegał w ciszy. Zwłaszcza, że on i Morgan byli ostatnimi zamawiającymi. Usiedli razem i zamówili steki wołowe. Łaknął ich. Stracił tyle krwi, że czerwone mięso było mu potrzebne jak tlen.

Nie rozmawiali przy jedzeniu, chociaż złotobrzowe oczy Morgan błędziły po nim, czuł to. Niewiele mówili, ale też przy innych stolikach panowała cisza. Uznał, że wszyscy są zbyt zmęczeni, żeby mówić. Zbyt wielką czują ulgę, że w ogóle żyją.

Kiedy już opustoszał wagon restauracyjny i talerz Jessa niemal też, spytał:

– Myślisz, że Wolfe ci pomoże?

– Nie. Nie zdjął mi lokalizatora. – Podniosła rękę. Subtelne pęta z pieczęcią Biblioteki wyglądały niemal jak ozdoba.

– Może zapomniał.

Nawet tego nie skomentowała. Ukroiła kolejny kęs steku.

– Dobrze, może i nie zapomniał. Szach, mat.

– Cieszę się, że traktujesz moje życie jak grę.

– Przecież nią jest. Wygrana, przegrana, nieważne. Nie możesz się

poddać, czy wygrasz, czy przegrasz. Rozstawiasz pionki i grasz od nowa.

Parsknęła z irytacją.

– Przestań. Kiepsko ci to wychodzi.

– Co?

– Pocieszanie mnie.

– Nie pocieszam cię. Zaslugujesz na coś więcej.

– Jestem zmęczona – przyznała. – Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo. – Zobaczył w jej oczach jakiś ognik; iskrę i płomień, które zaraz znikły. Zaczęła wstawać.

– Zaczekaj. Morgan! Nie rób tego. Możesz to przetrwać.

– Wiem, że mogę – odparła. – Nie w tym problem.

– Więc w czym?

Spojrzała na niego z wściekłością.

– W tobie! I w twoich głupich pytaniach! – Przysunęła krzesło do stolika i odeszła w stronę wagonu z przedziałami sypialnymi. On też szybko wstał.

Promieniejąca Gretel zastąpiła mu drogę i poczęstowała sztucznym uśmiechem. Podsunęła mu menu.

– A może deser? Polecam pudding z toffi.

– W takim razie smacznego – rzucił i odsunął ją z drogi.

Ale Morgan już zniknęła mu z oczu.

W przedziale jej nie zastał. Pukał, a kiedy nie odpowiedziała, spróbował otworzyć drzwi. Nie były zamknięte. Ale w środku nie zauważył ani śladu po niej, pomijając rozrzuconą pościel. Przyłożył rękę do prześcieradła. Zimne.

Czyli tu nie wróciła.

Zajrzał do innych przedziałów. Przyjaciele odpowiadali, ale nikt jej nie widział. Muszę powiedzieć Wolfe'owi, przyszło mu do głowy. Nie mógł znieść myśli, że Morgan zrobi coś nieodwracalnego, a on będzie tu stał i nie kiwnie palcem.

Wolfe nie odpowiedział na pukanie, a kiedy Jess nacisnął klamkę, drzwi się otworzyły.

Pusto.

Zatrzasnął drzwi.

– Szuka pan czegoś? – Pólnagi Santi opierał się o drzwi sąsiedniego przedziału.

– Muszę znaleźć uczonego Wolfe’a... – Słowa zamarły mu na ustach, bo Wolfe wyszedł z przedziału Santiiego. Również w półnegliżu. Jess zgłupiał, myśli mu szalały i usiłował ułożyć sensowną całość z wszelkich podejrzeń.

Santi wyglądał na rozbawionego. Wolfe wyglądał... jak Wolfe. Poirytowany i niecierpliwy. Włożył białą koszulę przez głowę.

– No więc? – odezwał się. – Znalazł mnie pan. Proszę mówić.

– Nie wiem, gdzie jest Morgan.

– Nie wiedział pan też, gdzie ja jestem, a byłem tuż obok. Co pana obchodzi, gdzie ona jest? Nie wysiadzie z pociągu.

Jess głęboko wciągnął powietrze.

– Ona panu nie pozwoli oddać się Obskurystom. Powiedziała mi to.

Nie zdradził się ze swoimi obawami, ale Wolfe pomyślał o tym samym. Na moment zamarł, potem się odwrócił i sięgnął po Kodeks. Przerzucił strony.

– Czujnik działa. Nadal jest w pociągu.

– W takim razie gdzie?

– Z tyłu. – Wolfe rzucił Santiemu koszulę. – Chodź.

– Nie może wyjść. To samobójstwo.

– Jest Obskurystką, może wysiąść – zapewnił Wolfe. – Ale jeśli Bóg nam sprzyja, jeszcze nie wysiadła.

Jess ruszył za nimi, gdy sunęli korytarzem. Santi odwrócił się do niego przed przejściem do następnego wagonu.

– Nie. Niech pan wraca. Znajdziemy ją.

– Ale ja chcę...

– Jess. – Santi złapał go za ramiona i podtrzymał jego spojrzenie. – Idź stąd. Dobrze? Obiecuję, że ci powiem.

Zanim Jess zdążył mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła, mężczyzna cofnął się i zatrzasnął dzielące ich drzwi. Jess złapał za klamkę.

Poczuł się, jakby zacisnął w dłoni ostry nóż i został odrzucony do tyłu, jak gdyby jakaś niewidzialna siła pchnęła go w pierś. Nie mógł

złapać tchu. Gdy wzrok przestał mu się rozmazywać, zauważył, że drzwi pulsują czerwienią jak bijące serce.

Został tu zamknięty. Im mocniej się dobijał i głośniejsze krzyczał, tym bardziej były niewzruszone. Ze swojego przedziału wytoczył się Dario, dołączyli też Thomas, Khalila i Glain. Nie odpowiadał na ich pytania.

W końcu zjawiała się i Gretel, jak zwykle nienaganna i całkowicie opanowana. Przepchnęła się do miejsca, w którym stał.

– Proszę pana? – odezwała się. – Ten wagon jest zabezpieczony. Nie może pan tam wejść.

– Proszę otworzyć.

– Powinien pan wrócić do swojego przedzia...

– Niech pani otwiera! – Gdy się nie poruszyła, złapał ją za nadgarstek, pociągnął do przodu i przycisnął jej rękę do drzwi.

Ale czerwone ostrzegawcze światło nadal pulsowało. Gretel mu się wyrwała.

– Nie mogę – wyjaśniła. – Obecnie może je otworzyć jedynie najwyższa rangą osoba na pokładzie, czyli uczonego Wolfe.

Jess miał ochotę ją walnąć, ale wiedział, że to nic nie zmieni, więc znów rąbnął w drzwi. Mocno. Ale materiał wyglądający jak drewno przypominał w dotyku stal.

– Jess! – Thomas złapał go za ramiona i odciągnął. – Przestań! Co cię opętało?

– Morgan – wydyszał. – Tam jest Morgan. Ona...

Światło zgasło i gałka się przekręciła.

Wyszli Wolfe i Santi. Rzut oka na ich miny i Jess już wiedział.

Santi trzymał złotą ósemkę z cienkiego drutu. Jess wpatrywał się w nią, aż rozboleły go oczy.

– Udało jej się otworzyć drzwi – poinformował cicho Wolfe. – Zostawiła to.

– Skoczyła? – spytała z niedowierzaniem Khalila, jakby nie mogła przetworzyć tej myśli. – Jakim cudem przeżyła przy tej prędkości? Jedziemy przecież tak bardzo, bardzo szybko...

Jess usłyszał zmianę tembru jej głosu i nagłe drzenie, gdy prawda do niej dotarła. Do nich wszystkich.

– Przykro mi – powiedział Wolfe.

– Przykro panu? – W słowach Glain brzmiała lodowata pogarda. – Znowu?

Jess się nie odwrócił, ale słyszał, że odchodzi i trzaska za sobą drzwiami do przedziału. Khalila też się odwróciła. Pewnie odnajdzie pocieszenie w ramionach Daria, pomyślał.

Thomas coś do niego mówił, ale Jess przepchnął się obok.

Rozstawiasz pionki i grasz od nowa.

Miał ochotę śmiać się ze swojej głupoty. I wrzeszczeć, aż zedrze gardło do krwi.

Otwierał drzwi do swojego przedziału i słyszał, jak Wolfe mówi do Santiago:

– Sprawdź, czy wszystko z nim w porządku. Lepiej, jak ty pójdziesz.

Ale mylił się. Jess nie zniósłby tego z niczyich ust. Miał dość tych ludzi. Wszystkich.

Zanim Santi zdążył do niego dotrzeć, zatrzasnął drzwi i zamknął od środka.

Wewnątrz było ciemno, ale nie zapalił światła. Miał ochotę na mrok. Na milczenie. Pamiętał, że łóżko stoi po lewej stronie, więc podszedł i padł na nie.

– Jess.

Szept był tak cichy, że przez chwilę myślał, że słyszy go w głowie. Że zwariował na tyle, że wyobraża sobie jej głos.

– Jess.

Znieruchomiał. Nie wyobraził sobie tego. Ale to niemożliwe.

– Morgan?

– Chciałam, żeby myśleli, że wyskoczyłam – szepnęła. Siedziała na łóżku, skulona w kącie. Czuł jej ciepło. I lawendowe mydło, którego użyła pod prysznicem. – Udało się?

Doznał olbrzymiej ulgi, ale zaraz potem zjawiała się ponura konstatacja. Wykorzystała go. Dała mu do zrozumienia, że się zabije i zrobiła z niego posłańca wiadomości dla Wolfe'a.

– O tak. Świetnie się udało. Wszyscy myślą, że została po tobie krwawa miazga na torach. Ja też tak myślałem.

– Jess...

– Jak zdjęłaś pęta?

– Trochę to trwało, ale odkryłam, jak się dostać do formuły. Z tą wiedzą otwarcie drzwi nie stanowiło problemu.

– A potem schowałaś się tutaj, bo wiedziałaś, że tu nie będę cię szukać. Musiałem być na tyle zdesperowany, żeby Wolfe uwierzył. Miałem być przekonany, że nie żyjesz.

– Jess!

– Nie szkodzi – zapewnił. Wiedział, że mu uwierzyła, bo umiał dobrze kłamać. – Możesz tu zostać. Jak wszyscy wysiadziemy, jakoś się wymkniesz. Uciekaj. Musisz być w tym dobra. – Potem przełknął ślinę i zwerbalizował to, co go zabolalo najbardziej: – Wykorzystałaś mnie.

– Jess!

Zamilkł. Siedział w ciszy, w ciemności i słuchał jej oddechu. Przyspieszonego, desperackiego, pełnego krzywdy. Gdy go dotknęła, odskoczył, jakby go oparzyła. Zamknął oczy jak przerażone dziecko w ciemności, chciał się od niej odgradzić, ale wiedział, że nieważne, jak bardzo tego chce, i tak mu się nie uda.

Cierpiał katusze, gdy myślał że umarła, ale świadomość, że zrobiła z niego głupca, bolała o wiele bardziej.

A jednak pragnął jej dotyku tak bardzo, że jego ciało pogrążyło się w agonii. Głupi jest, głupi! Nie powinien tak czuć. Zrobiła to samo, co każdy człowiek, na którym zaczynało mu zależeć: wykorzystała go do swoich celów. Ojciec posyłał go na ulice. Brat traktował jak przykrywkę. Żeby przeżyć, musiał sprzedać kuzynowi książkę. Nawet Wolfe'owi chodziło jedynie o jego koneksje.

Ale po niej się tego nie spodziewał. A trzeba było. Powinien jej nienawidzić. Chcieć odejść. Dlaczego nie mogę od niej odejść?, pytał sam siebie.

Dotknęła jego policzka i rozsiała mu na całej skórze ciepło. Pod powiekami strzelały złote iskry, wybuchały i wirowały, a jego serce pędziło jak uciekające w panice zwierzę.

– Przepraszam, że ci to zrobiłam – szepnęła. Zbliżyła się do niego tak bardzo, że czuł na szyi jej oddech. – Przepraszam.

Gdy go pocałowała, czuł, że spada, lekki jak piórko, i nigdy nie doleci do ziemi. Usta miała ciepłe, miękkie i rozchylone, a on zatopił się

w ich smaku, zmysłowo pikantnym i słodkim. Krew huczała mu w żyłach i chciał tylko... potrzebował tylko jej dotykać.

Panowała ciemność i jasność jednocześnie, a on wiedział, że to jest złe.

Jakimś cudem zdołał się uwolnić od hipnotyzującego doznania jej ust i wyprostował się. Czuł, że znów się zbliża, ale jej palce musnęły tylko jego koszulę.

– Przepraszam – powtórzyła, a on słyszał, że płacze. – Musiałam to zrobić. Nie miej mi za złe. Chcę... chcę zostać, ale nie mogę tam wrócić. Nie mogę dać się zamknąć. Nie oczekuj tego ode mnie.

Nie oczekiwał. Niech Bóg ma nad nim litość.

– Możesz tu zostać. Nie powiem im.

Więcej się nie odezwał. Zdjął buty i w ubraniu położył się na łóżku. Zostawił dla niej miejsce. Po dłuższej chwili położyła się przy jego boku, rozgorączkowana, ale nie dotykała go. Dopiero potem wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Dziękuję – szepnęła.

Nie odpowiedział. Nie spał jeszcze długo po tym, jak usłyszał, że jej oddech się uspokaja, spowalnia, odpręża. Długo po tym, jak zmieniła pozycję i przywarła do niego.

Dopiero po jakimś czasie zamknął oczy i pozwolił sobie odpłynąć w niebyt.

Oblewała ich atramentowa czerń, a gdy otworzył oczy i zaczął się zastanawiać, Morgan leżała obok niego zwinięta w kłębek. To mógł być sen. Jeden z tych, po których przebudzenie jest jeszcze gorsze niż zwykle. Zaraz się okaże, że ona naprawdę nie żyje i tylko umysł płata mi figle, ostrzegał się w myślach.

Ale bok palił go jak zalany ogniem greckim i to przede wszystkim przekonało go, że nie śni. Musiał zmienić pozycję przez sen i leżał teraz na plecach. Ciężkie włosy Morgan rozsypały się na jego piersi, a on wdychał ich zapach. Delikatnie pogłaskał ją po ręce i poczuł, że się obudziła. Było spokojnie. Dziwnie, ale spokojnie.

Wstrętny szept podpowiadał mu z głębi trzewi, że wykorzystała go, żeby przechytrzyć Wolfe'a i że teraz robi to samo. Wmawia mu coś, co nie może być prawdziwe. Przekonuje, że jej na nim zależy. Nieważne,

mruknął do tego podszeptu. Jeśli tylko nie zostanie uwięziona w wieży z obrozą na szyi, nieważne, ile kłamstw mi zaserwuje. Tylko to się liczy. Musi być wolna, za każdą cenę.

Niespodziewanie odczuł w otaczającej ich metalowej puszcze dziwne szarpnięcie. Po chwili następne.

Morgan podniosła głowę.

– Coś jest nie tak – odezwała się. – Czułeś?

Pociąg zasyczał i wszystko zaczęło się walić

Zapaliło się czerwono światło, potem zgasło i tak na przemian. W jednym z rozbłysków zobaczył, jak przedmioty przewalają się po przedziale, unosząc się, jakby przestała działać grawitacja. W każdej kolejnej plamie czerwonego światła znajdowały się w innym położeniu, ale on już nie odczuwał ruchu.

A zaraz potem nie istniało nic oprócz ruchu. On sam nic nie ważył; przeturlał się po łóżku i uderzył w ścianę. Musiał zacisnąć zęby, żeby nie wrzasnąć. Morgan upadła obok niego i jedynie blokada wyciągniętych rąk powstrzymała ją przed runięciem na Jessa. Pociąg nadal szalał.

Nie, to nie pociąg. To hamulce, zdał sobie sprawę. To wrzask płonącego metalu i części, które nigdy nie powinny się z sobą ścierać, nie przy tej prędkości. Pociąg stanął, potem ruszył, następnie znów wierzgnął. Z innych przedziałów dobiegały krzyki.

Po jednym gwałtownym rzucie naprzód maszyna stanęła z piskiem, a Jess się rozkaszał, gdy dotarł do niego smród kwaśnego dymu. Coś się pod nimi paliło.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na Morgan, ale znów zapanowała ciemność i nie widział jej, czuł tylko w sobie jej ciepło. Słyszał, jak łapie oddech i kaszle.

– Jesteś cała?

– Tak – odparła. – Stoimy.

Ekspres Aleksandryjski nigdy nie stawał.

Zamigotała jedna z lampek nad łóżkiem i Jess wreszcie zobaczył Morgan. Była przerażona, rozszalała.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? – Podała mu ciężkie, wciąż pobrudzone krwią buty, które miał na nogach w Oksfordzie.

– Nie mam pojęcia. – Wcisnął stopy w buciory. Jej buty stały w

kącie. Zapinała właśnie sprzączki, gdy pociąg znów wierzgnął. Dobrze, że Jess siedział na krawędzi łóżka, zaparty o podłogę, bo mógł oberwać jeszcze gorzej niż wcześniej. Morgan za to zsunęła się naprzód i w ostatniej chwili złapał ją w pasie. Uśmiechnęła się za szybko, stanowczo zbyt przelotnie.

– Zostań tu. Nikomu się nie pokazuj. Oni myślą, że nie żyjesz, więc bez względu na wszystko, niech cię nie zobaczą.

Nachyliła się do niego i na ułamek sekundy oparła się czołem o jego czoło.

– Bądź ostrożny. Jess. Proszę cię. Proszę.

Wiedział, że to pożegnanie. To była dla niej szansa. Szansa na rozplynięcie się w panujących wokół pociągu ciemnościach, na znalezienie bezpiecznej przystani gdzieś daleko, gdzie Biblioteka nigdy jej nie znajdzie.

Chciał z nią iść. Przyjemne marzenie. Żył nim przez całą długość pocałunku, rozgorączkowanego, słodkiego i obiecującego cudowności, które nigdy się nie ziszczą.

Pocałunki potrafiły kłamać równie skutecznie jak słowa.

Zgasił światło i podszedł do drzwi.

KORESPONDENCJA

Zakodowana wiadomość przesłana za pośrednictwem Kodeksu. Zarówno nadawca, jak i odbiorca zostali wymazani w efekcie manipulacji wyglądających na prowadzone z wnętrza Biblioteki.

Ekspres Aleksandryjski wkrótce wyrusza z Londynu. Wolfe jest na pokładzie. Weźcie go żywcem, to odpowie na wszystkie wasze pytania.

Odręczna wiadomość od Jego Ekscelencji Magnusa Artifexu do Archiwisty, zapieczętowana i odesłana do Czarnego Archiwum. Przekazana do niezwłocznego zniszczenia.

Wszelkie elementy są na swoich miejscach. Wolfe znajduje się w pociągu. Miał Pan rację, w istocie starał się pomóc dziewczynie. Szkoda. Mogliśmy mieć kolejną potężną Obskurystkę, ale ona postanowiła nam się nie przydać. Za resztę obwinimy Podpalaczy.

Wiedzą, gdzie znaleźć trofeum, będą gotowi. Przy odrobinie szczęścia wszyscy ulegną zagładzie.

Liczę, że wie Pan, co robi, sprzeciwiając się Jej Ekscelencji Magnus Obskurystów, wszakże straci nie tylko dziewczynę. Może Panu tego nie przebaczyć. Ani mnie.

Rozdział 12

Gdyby Ekspres Aleksandryjski nie był najlepszym i najbardziej zaawansowanym technicznie dziełem światowej inżynierii, zbudowanym, by wozić nie kogo innego, jak tylko Magistra Archiwistę, prawdopodobnie wszyscy byliby już martwi. Krwawa miazga na torach, powtarzał sobie Jess. Wydawało się, że pociąg znajduje się w dziwnej pozycji, a Jess czuł pod podłogą korytarza nierówno warczące silniki. Zaraz po wyjściu z przedziału wyjrzał przez okno, ale na zewnątrz panowały ciemności i nie widział nic poza zarysami wzgórz i drzew.

Dario pojawił się na korytarzu niemal w tej samej chwili. Tak jak Jess, włożył buty i spodnie, ale nie miał na sobie koszuli. Wizerunek pirata uzupełniał trzymany w dłoni pistolet.

– Podpalacze? – spytał. Jess pokręcił głową, bo chociaż nie wiedział na pewno, wydawało mu się to niemożliwe. – Gdzie masz broń?

– W torbie. Gdzieś na końcu pociągu, razem z resztą bagażu.

– W takim razie masz szczęście, że ja zabrałem pistolet – oznajmił Dario i wyszczerzył zęby. Wydawał się zachwycony okolicznościami, za co Jess miał ochotę mocno mu przyłożyć. – Chodź, sprawdzimy, co z resztą.

Po lewej stronie Jessa otworzyły się drzwi. Na korytarz wyszła Khalila, która albo poświęciła teraz czas na włożenie chustki na głowę, albo w ogóle jej nie zdejmowała. Wyglądała na całą i zdrową i tak jak Dario, dzierżyła broń. Czy tylko ja jestem nieuzbrojony?, zaniepokoił się Jess.

Thomas wpadł przez drzwi oddzielające od siebie wagony. Był rozczochrany, zaspany i nieuzbrojony, co sprawiło, że Jess czuł się trochę mniej idiotycznie.

– Wszyscy są cali? – spytał, a oni przytaknęli. – Glain uderzyła się w głowę. Wolfe sprawdza, co z nią. Kazał mi zawołać was do saloniku. Gretel twierdzi, że tam jest najbezpieczniej.

Wydawało się, że to tylko dwa kroki, ale gdy Dario odwrócił głowę w kierunku, w którym mieli iść, za otwierającymi się właśnie drzwiami ujrzał obcego mężczyznę, uzbrojonego, w cywilnym stroju.

– Stój! – krzyknął Dario. Podpalacz, jak zakładał teraz Jess, zamarł, ale tylko na moment. W następnej chwili rzucił się naprzód, szybko i nisko nad podłogą, więc wystrzał Daria chybił.

Ale Khalili już nie. Ustawiała się, wycelowała i trafiła Podpalacza w sam środek piersi. W zamkniętej przestrzeni odgłosy okazały się zdumiewająco głośne i w ogłuszonych uszach Jessa dudniły jak dzwony.

Khalila spokojnie podeszła do człowieka, którego postrzeliła, przykucnęła i przycisnęła mu palce do szyi.

– Nie żyje – oznajmiła. Podniosła jego pistolet i podała Jessowi. W uszach wciąż mu dzwoniło, ale zrozumiał, co powiedziała: – Możliwe, że jest ich więcej.

– To Podpalacz? – spytał Dario.

– Nie wiem. Ale zamierzał nas pozabijać.

Jess sprawdził drzwi do następnego wagonu. Wydawało się, że w restauracji jest pusto, chociaż panowały tam ciemności. Poprowadził ich naprzód. Stoliki i krzesła leżały połamane i porozrzucane, białe obrusy były skotłowane, a potłuczone kryształy chrupały pod stopami. Pogratulował sobie, że włożył buty. Coś się poruszyło przed nim, więc zamarł, stanął stabilnie i wycelował. Najpierw widział tylko cień, ale gdy mrugnął, okazało się, że to Gretel z obsługi Ekspresu. Zakrwawiona i ranna. Opuścił broń i pomógł jej wstać, a potem w milczeniu przekazał ją Dariowi, który się nią zajął.

Nikogo więcej tu nie było. Sprawdził drzwi prowadzące na zewnątrz. Otwarte.

– Jak je zamknąć? – spytał Gretel.

– Nie da się – odparła. – Ktoś uszkodził wyjścia. To ta dziewczyna. Ta, co skoczyła.

Morgan. Nie mogła o tym wiedzieć, prawda? Nie o ataku. Chciała tylko, żeby Wolfe uwierzył w jej śmierć. Nie zaryzykowałyby ich życia. Nie wierzył w to. I nie uwierzy.

– Zostanę tu – zaproponowała Khalila. – Wy idźcie.

– Co z motorniczym? – spytał Dario. – Trzeba po niego iść.

– Tu nie ma motorniczego – odparła Gretel i otarła krew kapiącą z rozcięcia na czole. – Nie jest potrzebny.

– A Najwyższa Straż?

– Nie zostali wyznaczeni do tego przejazdu. Jeżdżą tylko z Archiwistą.

– Coraz mniej mi się podoba ten pociąg – stwierdził Dario. – Zwłaszcza, że prawdopodobnie wszyscy tu zginiemy.

– Dario? – przerwała mu Khalila. – Zamknij się.

– Oczywiście, kwiecie pustyni. – Zabrzmiał bardzo serio. – Dasz sobie radę?

– Oczywiście – zapewniła. – Pamiętaj, że ty spudłowałeś, a ja trafiłam.

– Na to nie masz riposty – ucieszył się Jess. – Chodź.

Podeszli do następnych drzwi. Salonik był wciąż zamknięty. Jess przez chwilę opierał się o ścianę i nasłuchiwał dudnienia pulsu w uszach, a potem szybko zajrzał przez szparę w połamanych drzwiach.

W saloniku kłębili się uzbrojeni po zęby mężczyźni.

– Nadchodzą – oznajmił. Dario przysunął do drzwi jeden z ciężkich, poobijanych stołów, żeby choć trochę utrudnić im marsz przez pociąg, a następnie wystrzelił w ich kierunku serię.

– Idziemy – zawołała Khalila. – Na tył. Musimy znaleźć Wolfe’a i Santiago.

– Czego oni chcą? – dopytywał Dario. – Przecież nie chodzi im o nas! My nic nie znaczymy.

– To pociąg Archiwisty – przypomniała Khalila. – Podejrzewam, że chodzi o niego. Będą źli, jak się okaże, że go tu nie ma.

Gdy przeszli do restauracyjnego, Jess nie wiedział, jak zamknąć drzwi do wagonu, więc zrobił jedyne, co mu przyszło do głowy: zatrzaskał je, a potem strzelił w obsługujące mechanizm kontrolki. Następnie wpadł do przedziału Daria, wydarł spod sufitu kawał żelastwa i zablokował nim szynę, po której przesuwają się drzwi. To ich trochę spowolni.

Mijając swoje drzwi, musnął je dłonią. Nie wychodź, pomyślał. Powodzenia.

Szybko minęli pozostałe wagony sypialne, przechodząc wzdłuż drzwi oznaczonych swoimi nazwiskami. Pozostali przy życiu żołnierze Santiago zostali zakwaterowani w parach, co Jessa specjalnie nie zdziwiło, w końcu byli przyzwyczajeni do życia w surowszych

warunkach niż przeciętny uczeń, zwłaszcza ranny.

Minął drzwi Wolfe'a, nadal zamknięte. Przedział Santiago stałem otworem.

Wolfe i Santi. Kto by pomyślał?

Przed nim znajdowały się drzwi do kolejnego wagonu, wciąż noszące ślady jego skrwawionych pięści; to je zamknął mu przed nosem Wolfe. Gdy Jess podszedł, otworzyły się.

Za nimi stał Wolfe.

– Wchodźcie – warknął. – Szybko.

Gdy wszyscy troje znaleźli się w środku, dotknął bransoletką symbolu Biblioteki po wewnętrznej stronie. Zamek zatrzaskał się z głośnym sykiem i warkotem.

– Dalej! – polecił Wolfe. – Do bagażowni. Thomas musi znaleźć broń. Reszta ma plus za przezorność.

– Można stąd wyjść? – spytał Jess.

Wolfe nie odrywał wzroku od zamkniętych drzwi, popychając ich jednocześnie w kierunku końca pociągu.

– Tak. Ale czy damy radę, będzie zależeć od sytuacji. Jazda, powiedziałem!

Na końcu pociągu zastali Santiago z żołnierzami oraz z Glain. Siedziała, głowę miała owiniętą zakrwawionym bandażem i wyglądała na tak słabą, jakby zaraz miała zemdleć. Wstrząs mózgu, stwierdził Jess. Gdyby doznała pęknięcia czaszki, leżałaby na podłodze, zamiast siedzieć z bronią w ręku.

– Wszyscy są? – spytał Santi i sam sobie odpowiedział, wpatrując się po kolei w ich twarze i odznaczając na noszonej w głowie liście obecności. – Podpalacze zniszczyli tory przed nami, a sądząc po ostatnim szarpnięciu, podpalili też te, którymi tu przyjechaliśmy. Jesteśmy uwięzieni. Wyruszył już do nas najbliższy oddział biblioteczny z dowódcą, któremu ufam. Z Tuluzy.

– Jesteśmy jeszcze we Francji?

– Tak. Zatrzymaliśmy się niedaleko Cahory. Gdy nadałem wiadomość, odpowiedzieli, że nie potrwa to długo.

– I tak się spóźnią – skwitował Wolfe. – Tutaj ci ludzie nie wejdą, ale jesteśmy w pułapce. Jeśli podłożą pod ten wagon ogień grecki,

upieczemy się jak na ruszcie. Większe szanse mamy na zewnątrz.

Santi pokiwał głową.

– Mamy dość broni, lekkiej i ciężkiej, żeby uciec. Najlepiej teraz, zanim tu dotrą. Moi ludzie pójdą pierwsi i zabezpieczą teren, reszta ruszy za nimi. Według mapy od najbliższego lasu dzieli nas jakieś sto metrów.

– Lepiej byłoby jakoś odwrócić ich uwagę – podsunęła Glain. Pochylała się do przodu i mimo krwi i potu na twarzy, nie wyglądała ani trochę na skołowaną.

– Mamy dym alchemiczny, ale musimy z niego skorzystać w przemyślany sposób – oznajmił Santi. – A skoro już pani o tym wspomniała, to pani zadanie. Szklana rurka jest po pani prawej stronie, na ścianie. Na mój sygnał wyskoczy pani, przełamie rurkę na pół i rzuci. Proszę nie wdychać oparów. Da pani radę? Będę panią osłaniał.

– Tak jest, kapitanie.

Glain wstała, ale w tej samej chwili pociągiem zatrzęsło. To nie silniki, skonstatował Jess. Raczej eksplozja, ale bliżej czoła pociągu.

Gretel zerknęła do Kodeksu, w którym widocznie miała dane dotyczące pojazdu.

– Silnik się pali – orzekła. – I salonik. To pewnie ogień grecki. – Zbladła, zadygotała i złapała Thomasa za rękę. – Ogień przemieszcza się w kierunku wagonu restauracyjnego.

– Musimy iść – orzekł Wolfe.

Jess uświadomił sobie, że zaraz za jadalnią ogień natrafi na pierwszy przedział sypialny. Jego przedział.

Nie zastanawiał się. Wstał i ruszył.

Wolfe zorientował się dopiero po chwili i Jessa dobiegły wywarczone słowa:

– Co pan wyprawia, postulancie?

Jess dotarł już do drzwi i złapał za gałkę. Oparzyła go. Zazgrzytała zębami i znów do niej sięgnął. Nie mógł jej trzymać w dłoni. Rurka otaczająca drzwi syczała jak wściekły wąż, a w środku bulgotał jakiś płyn.

– Brightwell! – Wolfe popchnął go i przycisnął plecami do ściany.
– Jess! Co robisz?

Jess czuł już kwaśny smród, taki sam, jak na stacji św. Pankracego, gdy ginął Podpalacz. Taki sam, jak w starym Serapejonie w Aleksandrii. Pali się wagon restauracyjny, pomyślał.

– Zostawiłem ją – powiedział. – Wciąż tam jest, czeka na okazję do ucieczki. Muszę po nią iść.

Wolfe szerzej otworzył oczy i zbliżył się o krok do Jessa. Zaciśnął pięści na koszuli chłopaka.

– Morgan żyje? Nie skoczyła?

– Muszę po nią iść. Niech pan otwiera!

Wolfe wahał się tylko przez moment, potem odwrócił się i krzyknął:

– Nicc, idź! Zabierz ich stąd! – Następnie przytknął bransoletkę do pieczęci na drzwiach. – Za mną – polecił. – Nie wdychaj dymu.

Wolfe zamknął drzwi od zewnątrz i ruszył szybko korytarzem, zaglądając do każdego pomieszczenia po drodze. Panował złowrogi spokój. Jess dotknął jednej ze ścian i poczuł, jaka jest gorąca. Jakby od kilku godzin pociąg stał na słońcu. Gdy zbliżyli się do następnego wagonu, rozległ się dźwięk przypominający syczenie.

– Ogień się rozprzestrzenia – stwierdził Wolfe. – Sypialnie mogą być odcięte. Gdy otworzę, buchnie dym. – Toksyczny, przypomniał sobie słowa londyńskiego strażnika, przyciskającego go do torów na stacji św. Pankracego. – Wstrzymaj oddech, jak długo będziesz mógł.

Drzwi się odsunęły i zaatakowała ich zielonkawa mgła, snująca się i wirująca. Syczenie było teraz głośniejsze, zmieniło się niemal w ryk, a gdy Jess złapał się ściany, oparzyła go w palce. Dym piekł w oczy, które zaczęły łzawić i Jess nie mógł sobie przypomnieć, ile jeszcze drzwi muszą minąć i w którym przedziale mieszkał.

Wolfe sunął po jego lewej stronie jak cień. Odnalazł właściwe drzwi, otworzył je szybko i wpadł do środka, nie mogąc powstrzymać kaszlu.

– Morgan! – krzyknął. – Morgan... – Nigdzie jej nie widział. Tu też był dym, zawieszony jak gęsta, cuchnąca ciemność. Potknął się o skłębioną pościel i padł na łóżko, obmacał materac aż do ściany. Sprawdził podłogę. Wpadł do niewielkiej łazienki.

Leżała tam. Podniósł jej bezwładne ciało. Jego płuca błagały o tlen,

drżały i musiał zaczerpnąć tchu, ale kiedy to zrobił, poczuł, jakby wdychał płomienie. Rozkaszłał się, zaczął się dławić i desperacko szukał wśród tych wyziewów odrobiny czystego powietrza. Nie mogę jej zostawić, myślał. Ciężyła mu w ramionach, a on potrzebował tlenu, ale nie mógł jej zostawić.

Nagle znalazł się na podłodze, klęczał z Morgan przyciśniętą do piersi. Nawet nie wiedział, czy oddycha. Ogień ryczał, a Jessowi wydawało się, że metalowa ściana jest miękka i zaczyna się topić. Spłynęła po niej srebrzysta kropla i buchnęła jasnym zielonym ogniem.

Ktoś złapał go od tyłu za głowę i zanim Jess zdążył zaprotestować, przycisnął mu coś do twarzy, a potem uderzył go chłodny powiew. Wdychał, kaszłał i znów wdychał słodkie, czyste powietrze. Ktoś mu włożył maskę. Włączyła się, zasyczała i zaświeciła łagodnym, bursztynowym światłem, ale za szkłem zobaczył tylko gęstą, oślepiającą chmurę szarozielonego dymu.

Mógł oddychać. Boże, mógł oddychać!

– Rusz się – krzyknął Wolfe. – Jazda!

Jess pozbierał się i wstał. Kręciło mu się w głowie i mdliło go, a podłoga pod stopami wydawała się miękka jak błoto. Wyniósł Morgan na korytarz. Z jednej strony drogę odcinała im przerażająca kurtyna zielonych płomieni, roztopiająca i paląca wszystko na swojej drodze. Skręcił w drugą stronę, stawiał krok za krokiem, brał wdech za wdechem i w głowie stopniowo zaczęło mu się przejaśniać.

Wolfe! Spojrzał za siebie. Uczony szedł za nim, ale ostatkiem sił i akurat gdy Jess spojrział, osunął się bezwładnie po ścianie i zastygł w bezruchu. Nie miał maski. Zresztą Jess i tak nie rozumiał, jakim cudem zaszedł tak daleko, ale widocznie dotarł do kresu sił.

Położył Morgan i pobiegł. Głęboko wciągnął jak największy haust czystego powietrza, a potem zerwał maskę i przycisnął Wolfe'owi do twarzy. Następnie złapał go pod pachy i pociągnął.

Resztę pamiętał wybiórczo, jak sen. Przerażająco piękne fale zielonego dymu muskające jego twarz. Wstrząs po dotknięciu wrzącej gałki w drzwiach do wagonu bagażowego. Przyciskanie bezwładnego nadgarstka Wolfe'a do pieczęci.

Mogę teraz odpocząć, powtarzał sobie. Tylko na moment. Nic się

nie stanie, jeśli odpocznę. Płuca miał pełnego czegoś gęstego i ciężkiego, ale nie wiedział, jak je oczyścić.

Próbował zamknąć oczy, usłyszał krzyki, a potem zobaczył twarz kapitana Santiago. I Glain, zakrwawioną i oddającą strzał. Ktoś go ciągnął za rękę. Potem już biegł za Santim, który niośł Morgan na rękach.

Biegł, aż świat pobiełał.

Rozległ się ogłuszający huk, uderzyła go fala gorąca, a gdy się odwrócił, zobaczył, jak Ekspres Aleksandryjski rozkwita jak trujący kwiat o płatkach z metalu i ognia. Poleciał do tyłu i oberwał tak mocno, że na chwilę stracił przytomność, a gdy znów otworzył oczy, ujrzał sięgający ku czarnemu niebu zielonkawy słup płomieni i dymu. Powykręcane fragmenty metalu rozrzucone były wkoło, niektóre powbijały się nawet w pnie drzew. Mniejsze drzewka zmieniły się w kupki drzazg, inne kołysały się w przerażającej ciszy. Cały świat zamilkł, nie licząc wysokiego, świdrującego dzwonienia gdzieś w tle.

Jess zdołał unieść się na łokciu i w świetle rzucanym przez ogień na moment ujrzał obok siebie Morgan. Wyciągnął rękę i musnął ją po włosach, a potem odwrócił głowę, bo zdławił go kaszel i zaczęło mu się zbierać na wymioty. Wszystko zrobiło się zielone.

Ktoś się po nim przetoczył. Blondwłosy olbrzym niosący na rękach dziewczynę z rozciętą głową... Thomas. I Glain. Pamięć zaczęła mu wracać. Thomas posadził Glain pod nieuszkodzonym drzewem i wrócił do Santiago i Wolfe'a, żeby ich przewrócić na plecy. Santi ruszał się powoli, starał się podnieść. Byli też Dario i Khalila.

Wolfe leżał tam, gdzie upadł. Ani drgnął.

Jess ukląkł. W uszach mu trzaskało i strzelało; potem pomyślał, że może to ogień, ale nie miał pewności. Wszystko straciło sens, nie był pewien nawet tego, co widział. Płuca wciąż go paliły, a oczy po każdym mrugnięciu zachodziły mgłą. Głowa bolała.

Wspierając się na pniu, wstał i zagapił się na kawałek metalu grubości ręki, wbity głęboko w drzewo. Jeszcze się dymił i był czarny na brzegach. Jess zrobił krok, ale zachwiał się i niemal upadł. Ktoś go podtrzymał, ale nie widział kto i dopiero gdy ta osoba poszła dalej, zauważył, że to jeden z żołnierzy Santiago.

Gdy przy nieruchomym ciele Wolfe'a gromadziła się powoli niewielka grupka, uczoney nagle otworzył oczy, zamrugał i podniósł głowę, żeby spojrzeć na to, co zostało z pociągu. Jego pierś kilkakrotnie uniosła się, a potem opadła, zanim schwycił wyciągniętą rękę Santiago i wstał. Pochylił się i zwymiotował zielonym śluzem.

Przeżył. Jess nie mógł w to uwierzyć. Gwałtownie zakręciło mu się w głowie, potem poczuł coś jeszcze, jakiś kwas kipiący w żołądku. Zataczając się, odszedł w rozświetlaną blaskiem płomieni ciemność, pochylił się i wykaszał z płuc truciznę. W mroku nie mógł sprawdzić, czy w wydzielinie nie ma krwi. Nie wykluczał tego, biorąc pod uwagę plamy na koszuli i dziwne uczucie w ciele, jakby składał się z gumy i w ogóle nie do końca był sobą.

Wciąż klęczał, gdy Podpalacze dopadli go, przyłożyli mu nóż do gardła i odciągnęli.

Nie zabrali go daleko. Gdy doszedł do siebie, wciąż widział między drzewami lunę płonącego pociągu i słyszał jęki, trzaskanie i syki.

Nie miał siły, żeby walczyć, zresztą, był na to zbyt zmęczony. Płuca mu płonęły, a każdy mięsień bolał. Kiedy wreszcie go puścili i padł na ziemię, poczuł się dziwnie wdzięczny.

Nie rozumiał, dlaczego zadali sobie trud, żeby przyciągnąć go aż tutaj, skoro zamierzali go zabić.

– Który ty jesteś?

Jess usiłował się skupić. Trzech mężczyzn, dwóch stało za nim – jeden przysadzisty, w grubym, znoszonym płaszczu, cuchnący starym potem i octem, drugi starszy, niższy, w wełnianej czapce. Jess usiłował zapamiętać ich twarze na tę niezbyt prawdopodobną okoliczność, że przeżyje.

Trzeciego, tego, który mówił, nie widział najlepiej i zobaczył go wyraźnie dopiero, kiedy ten ukucnął i spojrzał mu w twarz. Ale nawet wtedy Jessowi trudno było skupić wzrok, po kontakcie z dymem oczy łzawiły mu i szczypały. Musiał często mrugać, żeby zauważyć jakiś szczegół.

Przez chwilę nie rozumiał, jak to możliwe, bo wydawało mu się, że zna tego człowieka. A zaraz potem, że jednak nie. Miał rzadkie, jasne włosy i znajomą linię nosa.

Potem Jess wypatrzył jeszcze jasnoszare oczy i uświadomił sobie, w czym rzecz.

– Jess Brightwell – przedstawił się. Głos miał gruby i zachrypnięty, potem zaczął kaszleć. – Znałem pana syna. Guillaume’a Dantona.

– Brightwell. Syn mówił, że jesteś szybki – odparł mężczyzna. – Lubił cię. Ciebie i tę Arabkę, jak jej tam? Khalilę. Podobno byliście najlepsi. Chciał was ocalić.

– Ocalić nas? – powtórzył Jess. – Przed czym?

– Przed wami samymi. Przed zaprzędaniem duszy diabłu.

Jess westchnął.

– Jeśli zamierza mnie pan przeciągać na stronę Podpalaczy, proszę mnie od razu zabić i miejmy to za sobą – podsunął. – Obaj będziemy szczęśliwsi.

– Nie zamierzam sobie strzępić języka. Musisz się najpierw nauczyć słuchać, żeby usłyszeć.

– Będą mnie szukać. Tylko tyłu was zostało? Trzech? Nie wszystko poszło zgodnie z planem, co?

Danton wyciągnął rękę i złapał Jessa za włosy. Zabolało, gdy szarpnął i zadarł mu głowę.

– Musisz mi powiedzieć, kto zabił mojego syna.

Jess przełknął ślinę.

– Zginął w wypadku. Nikt go nie zabił. Tak się po prostu stało.

– Po prostu się stało, co? Wszyscy przeszli przez tę maszynę Obskurystów, tylko mój syn nie. To się nie stało po prostu! – Jess nie odpowiedział. Ręka zaciśnięta jego na włosach zrobiła się brutalna, nie tylko gwałtowna. – Powiedz mi, co się stało. Każdy szczegół.

– Guillaume poszedł za kapitanem Santim, jako pierwszy z uczniów. Sam się zgłosił. Widzieliśmy, jakie to straszne i nikt nie chciał iść. Ja nie chciałem. Pana syn był odważniejszy. Nie zawahał się.

– Cierpiał? – Gdy Jess nie odpowiedział, Danton potrząsnął jego głową, jakby był szmacianą lalką. – Mów! Czy mój syn cierpiał?

– Tak. Ale to się skończyło bardzo szybko.

– Krzyczał?

– Nie. – Wciąż słyszał wrzaski Guillaume’a, przesywający do szpiku kości krzyk, ale nie zamierzał tego mówić. Nie jego ojcu. – Był

dzielny. – Ucisk na włosach nagle zelżał i Danton z powrotem ukucnął. Oczy miał szeroko otwarte i błyszczące. – Lubilem go. Znaczy pana syna. Uważam, że był mądry, cierpliwy i bystry.

– Widziałeś jego ciało?

– Wyglądał spokojnie.

– Skąd wiesz, co mu się stało? Skoro wyruszył jako pierwszy.

– Walczyli, żeby go uratować. – Mówiło mu się teraz trudniej, gardło miał bardziej zdarte i mocniej zaciśnięte. Zdał sobie sprawę, że przytłacza go ciężar smutku. Nie miał dotąd czasu, żeby pomyśleć o śmierci Guillaume’a. Jaka była bezsensowna. Dziwny moment na myślenie o tym, wydarzyło się już tyle innych rzeczy. Wydawało mu się, że to się stało wieki temu. – Nikt go nie zabił. On umarł. I bardzo mi z tego powodu przykro.

– Przykro – powtórzył jak echo Danton. – Został zamordowany. Gdyby przeżył, zdradziłby ich tajemnice, nie mogli do tego dopuścić. Lepiej go było po cichu zabić, udając, że to wypadek. Zbyt łatwo łykacie kłamstwa Biblioteki. Że jest taka dobra, wielkoduszna i za rękę prowadzi nas do świetlanej przyszłości. – Pokręcił głową i zagapił się w ogień. – Zagłodzili w Paryżu cztery miliony ludzi. Tych, których nie zabili na miejscu.

– Wy ich zabiliście.

– Myślisz, że ja mam krew na rękach? Korytarze Biblioteki aż nią spływają. Poczytaj sobie jej historię.

– Niech pan poczyta swoją – odszczeknął Jess. – Spalone Biblioteki. Zarżnięci uczeni.

– Myślisz, że tyle wiesz! Ja też wiem różne rzeczy, chłopcze. Wiem o Czarnych Archiwach. Wiem o interdiktach. Może powinieneś zadać więcej pytań, zanim wybierzesz, po której stronie staniesz.

– Już wybrałem. I to nie jest wasza strona. Nigdy nie będzie. Miało pójść inaczej, prawda?

– Ogień grecki to potężna substancja. Czasem żyje własnym życiem. Nie zamierzaliśmy tak szybko spalić pociągu. Chcieliśmy dać wam czas na ucieczkę.

– Żeby nas zastrzelić.

– Wolfe’a i tego drugiego. Was nie. Nie chciałbym mieć na rękach

waszej krwi.

Jess był wściekły i miał tego dość. Krwi, śmierci i usprawiedliwień.

– Wysadziliście pociąg w powietrze! Mogliście nas wszystkich zabić!

Danton patrzył na niego z dziwną miną, a po chwili pokręcił głową.

– To nie my podłożyliśmy bombę – oznajmił. – Dostaliśmy informację, gdzie będziecie. Przyszła z Biblioteki. W eksplozji zginęli nasi ludzie. Ale ta bomba była dla was. Dla uczonego Wolfe’a i jego jakże obiecujących uczniów. Wszystkich miał trafić szlag. – Zrobił ręką ruch, jakby pokazywał rozchylające się płatki kwiatu, a Jess przypomniał sobie rozkwitający w wybuchu pociąg i białe światło. To nie był ogień grecki. Wiedział, jak on wygląda.

Miał paskudne przeczucie, że Danton powiedział prawdę.

– *Monsieur?* – odezwał się jeden z ludzi za plecami Jessa. – Zaczynają go szukać. Musimy iść. Szybko.

– Tak – zgodził się Danton i wstał.

Jess już się zaczął rozluźniać, kiedy poczuł z tyłu głowy zimną lufę pistoletu. Skrzywił się, a potem znieruchomiał i wpatrzył się przed siebie.

– *Non* – zaprotestował Danton. – Za głośno.

– Ach – zgodził się drugi mężczyzna. – Mam nóż. Szybko i cicho.

Danton wpatrywał się w Jessa badawczo.

– Będziesz błagał o litość?

– Pana syn by nie błagał – odparł Jess. – I ja też nie będę.

Sam nie wiedział, czy go zabili, czy nie. Zorientował się dopiero, gdy Danton pokręcił głową w kierunku niewidocznego dla Jessa mężczyzny i cała trójka po prostu... rozplynęła się w ciemności. Zniknęli w lesie, który prawdopodobnie znali jak własną kieszeń.

Jess słyszał nawoływania ekipy poszukiwawczej. Echo niesło pośród drzew jego imię.

Czas wstawać, pomyślał i spróbował się podnieść. Wygląda na to, że ktoś za mną tęskni.

Zresztą wróciłby tak czy inaczej. Musiał spytać Wolfe’a. Dlaczego Biblioteka chciała wysadzić pociąg.

LIST

Tekst odręcznie pisanego listu od przywódcy londyńskich Podpalaczy do Dantona w Tuluzie:

Dostałem wieści o akcji pod Tuluzą. Zniszczenie pociągu możemy w ostateczności uznać za symboliczne zwycięstwo.

Szkoda, że Wolfe się wymknął. Teraz, kiedy znamy już jego koneksje, byłby cennym zakładnikiem.

Wyraży współczucia z powodu śmierci syna. Straciliśmy popiecznika.

Rozdział 13

Jess przeszedł kawałek, a potem upadł na nieoczekiwanie miękkie posłanie z liści i leżał tam przez jakiś czas, do momentu, aż zaczął padać deszcz. Na razie była to delikatna, dyskretna mżawka, ale wiedział, że gdy rozpanoszy się noc ze swoim chłodem, woda zrobi się lodowata, więc niezdarnie się podniósł, a potem szedł, aż wpadł na zastęp żołnierzy Najwyższej Straży, którzy go szukali. Gdy tylko go zobaczyli, podbiegli. Nie spodziewał się, że to się tak skończy.

Przekazali go personelowi Mediki. Wolfe odrzucił klapę do namiotu, gdy akurat leżał na plecach w obozowym łóżku, miał zadartą koszulę, a chirurż opukiwała mu brzuch.

– To teren sterylny – warknęła, więc Wolfe zatrzymał się kilka metrów od łóżka. – Proszę mówić stamtąd.

Posłał jej jedno ze swoich spojrzeń, ale nie klócił się.

– Co się stało?

– Podpalacze – odparł Jess. – Zabrali mnie na rozmowę. Jeden to ojciec Guillaume’a Dantona. Chciał wiedzieć, dlaczego jego syn nie żyje.

Wyraz twarzy Wolfe’a prawie się nie zmienił.

– Co mu pan powiedział?

– Powiedziałem, co widziałem.

– A co on na to?

– Że ktoś mu doniósł, gdzie nas znaleźć.

– Dość – przerwała im lekarka. – Rana na boku ucierpiała w wyniku wybuchu. Szwy popękały.

– Przeżyje?

– Oczywiście. Kilka dni odpoczynku i będzie jak nowy.

– Nic mi nie jest. Proszę powiedzieć... – Prawie dodał, że chce to przekazać Morgan. – ...pozostałym, że nic mi nie jest. – Nie chciał o niej wspominać. Może już się wymknęła w ciemność i jakoś odnalazła drogę do wolności. Po raz kolejny przypomniał sobie, że tego chciał.

– Koledzy zostali poinformowani o pana stanie. Zrobiliśmy co w naszej mocy, żeby powstrzymać Schreibera od powyrywania wszystkich drzew w lesie, kiedy pan zniknął.

– Niech pan wraca do łóżka. Nie pozwoliłam panu wstawać i dobrze pan o tym wie. Widział pan chłopca. Oddycha, płuca ma już niemal czyste. Proszę iść.

Wolfe znów zmroził ją wzrokiem, ale ponieważ nie robiło to na niej najmniejszego wrażenie, wyszedł. Jess widział, że chce stwarzać pozory, jakby zrobił to z własnej nieprzymuszonej woli.

– Jest ranny? – spytał lekarkę, gdy uczony zniknął.

– Oczywiście, że jest! Obaj z Santim mają wstrząs mózgu i obrażenia wewnętrzne. A ja nie jestem w stanie ich utrzymać w pozycji leżącej. Co za głupcy! Pozostali są w dobrej formie. Niegroźne rany i siniaki.

– Była tu taka dziewczyna... Morgan. Nic jej nie jest?

– Nawdychała się dymu, ale dochodzi do siebie. Nie jest w gorszym stanie niż pan.

– A co z Podpalaczami?

– Jak to, co z nimi?

– Któryś z nich przeżył?

– Żaden z tych, których znaleźliśmy. Zostali rozerwani na strzępy.

Wezwała oczekującą nieopodal pielęgniarkę, wkłuły mu igły, podały płyny i niesłabnący ból zaczął znikać, niczym fala wciągana przez morze.

Lekarka wyszła, pewnie do innych pacjentów, a on przez chwilę unosił się w rozkoszonym niebycie, ale potem do namiotu wrócił Wolfe.

– Powinien pan leżeć – stwierdził Jess. – Tak powiedziała.

– Ma mi pan do powiedzenia coś jeszcze.

Jess poruszył się niespokojnie. Spocił się, a efekt otaczającej go puchowej pierzyny zniknął.

– Danton twierdzi, że to nie oni wysadzili pociąg.

– Czyżby? – Wolfe wydawał się nieporuszony. – Nie wierzyłbym Podpalaczowi na słowo.

– Ale jeśli mówi prawdę, zrobił to ktoś inny. – Jess musiał przełknąć falę żółci. – On mówi, że ktoś mu doniósł, gdzie będziemy. Wybuch był biały. Nie zielony. To nie ogień grecki.

Wolfe rozważał to przez chwilę, ale nie podzielił się z Jessem wnioskami, do których doszedł.

– Lekarka mówi, że za kilka dni będzie pan gotów do dalszej podróży. Obóz jest chroniony, jesteśmy strzeżeni z każdej strony. Możemy tu bez obaw czekać. Proszę odpoczywać.

Odwrócił się w stronę wyjścia, ale Jess nie zamierzał pozwolić mu wyjść, zanim rozwieje wątpliwości dręczące go, odkąd tam, w ciemnym lesie, Danton zasiał w nim ziarenko niepewności.

– Przepraszam... Czy ktoś z Biblioteki chciał nas zabić?

– Mam nadzieję, że nie – odparł Wolfe. – Bo jeśli tak, spróbuje znów. Z nimi się nie da walczyć. Próbowałem.

To się aż prosiło o kolejne pytanie, ale Wolfe zniknął, zanim Jess choćby się zastanowił, jak je zadać.

Następny poranek przyniósł nowego gościa, akurat gdy Jess planował ucieczkę przed nadopiekuńczą chirurg. Postanowił właśnie poprosić Thomasa, żeby zasymulował zapaść i odwrócił tym jej uwagę, gdy do namiotu weszła Morgan.

Wpatrywał się w nią bez słowa, bo nie wiedział, co powiedzieć ani jak. Czuł się przy niej niezręcznie, jakby przy każdym spotkaniu poznawali się pierwszy raz. Może między innymi dlatego, że wyglądała inaczej. Włosów nie zaciesała do góry tylko rozpuściła, żeby opadały miękko na ramiona i zaraz przypomniał sobie, jakie były miękkie i aksamitne, kiedy brał je w dłonie. Na nosie miała jasny ślad po oparzeniu, widać było, że spędza czas na dworze, w słońcu.

– Naprawdę musisz przestać to robić – odezwała się.

– Co? – W odpowiedzi wskazała na medyczne sprzęty rozstawione wokół nich. Pokiwał głową. – No tak, przydałoby się. W sumie to śmieszne. Zanim cię poznałem, nigdy nie miałem zakładanych szwów.

– Czyli to moja wina? – Zbliżyła się, ale tylko o krok. Zaczął się z goryczą zastanawiać, czy Wolfe znów założył jej pęta. Tym razem, żeby nie mogła się zbliżyć do niego.

– Przy tobie robię się beztroski – wyjaśnił. – Ale potraktuj to jak komplement. Zawsze byłem zbyt ostrożny.

– Nie powiedziałałabym. Wydawałeś się...

– Porywczy?

– Nie bałeś się ryzyka.

Coś tu było nie tak, bardzo nie tak. Rozmawiali jak dwoje obcych

ludzi, a ona nie chciała podejść bliżej. W jej spojrzeniu czaił się cień. I w uśmiechu też. Dystans.

– Morgan – powiedział i w swoim głosie usłyszał tęsknotę. Nie wiedział, co dalej i nie był nawet pewien, czy da radę powiedzieć coś jeszcze. – Powinnaś była uciekać.

Zbliżyła się, ale tylko o krok.

– Wolfe mi powiedział, co zrobiłeś. Że po mnie poszedłeś. Nic z tego nie pamiętam. Chowałam się, czekałam, aż wszyscy wyjdą, ale trwało to za długo. Dym dostał się do przedziału przez otwory wentylacyjne. Próbowałam wstać i... – Zawiesiła głos i rozłożyła dłonie. – Potem znalazłam się w lesie i słyszałam, że zniknąłeś. Jak mogłam uciec?

– Jak mogłaś nie uciec? Jeśli w ogóle mieli stracić czujność, to właśnie wtedy.

– Wiem. – Pokonała już resztę dzielącej ich odległości i usiadła w nogach łóżka. Intensywnie doświadczał jej obecności, ale także i tego, że wciąż śmierdzał toksycznym dymem, brudem i potem. – Musiałam sprawdzić, czy żyjesz. Bałam się... Bałam się, że Podpalacze cię zabili. – Nie mogła złapać tchu, szeroko otworzyła oczy i odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. – Tak musiałeś się czuć, kiedy myślałeś, że wyskoczyłam. Och, Jess, tak cię przepraszam.

– No cóż. Nie zamierzałem ci dawać nauczki. – Wybuchnęła śmiechem, a potem się do niego nachyliła i pocałowała go. Śmierdząc ogniem greckim, pomyślał, ale nawet jeśli cuchnął, nie odsunęła się. Poczuł, jak jej ciało się rozluźnia, a w słodkim smaku jej ust zatoneły wszystkie gorzkie chemikalia. I gorzkie wspomnienia. Odgarnął jej z twarzy ciemne rozpuszczone włosy i westchnął, gdy się odrobinę odsunęła. – Tęskniłem za tobą – wyznał. – Ale miałem też nadzieję, że już nigdy cię nie zobaczę.

– Tak się nie podbija serca dziewczyny. – Od strony wejścia do namiotu rozległ się głos Thomasa. Morgan poderwała się jak oparzona, a Jess prawie się roześmiał na widok jej miny. Thomas się śmiał. – Myślicie, że nic nie wiem? Wszyscy wiemy. My, uczniowie, nie mamy tajemnic.

To zdanie pełne było czarnego humoru, ale tym razem Jess się nie

roześmiał. My mamy tylko tajemnice, chciał powiedzieć, ale Thomas by nie zrozumiał.

– Co to? – spytała Morgan. Thomas niósł coś w torbie zawieszanej na ramieniu, coś całkiem sporego.

– Żeby się Jessowi nie nudziło – odparł Thomas. – Wreszcie miałem czas, żeby to dokończyć. Jego potrafi pobić w szachach tylko Khalila. Pomyślałem, że zmajstruję mu godnego przeciwnika.

– Zmajstrujesz?

Thomas odłożył torbę, rozejrzał się i znalazł niewielki składany stolik, który dostawił do łóżka. Następnie wyjął dużą, drewnianą szachownicę osadzoną na niemal pięciocentymetrowej metalowej ramie. Jess rozejrzał się w poszukiwaniu szufladki na figury, ale boki szachownicy były jednolite.

– Przyniosłeś mi pustą szachownicę?

– No tak, niestety pionki się już nie zmieściły. – Thomas wyłowił z torby małe, ale pasujące do większego pudełko. W środku znajdowały się figury, metalowe i żelazne. Rozstawił je szybko i sprawnie. – Czarne czy białe?

– Białe – odparł Jess.

– Zaczynaj.

Jess posłusznie przestawił pionek naprzód i czekał na ruch Thomasa. Ale ten ani drgnął. Po prostu stał, a uśmiech na jego twarzy wyrażał najczystszy zachwyt.

Pionek z czarnego żelaza poruszył się sam! Przesunął o dwa miejsca do przodu.

– To automat – wyjaśnił Thomas. – Grający w szachy. Khalila pomogła mi z wszystkimi obliczeniami.

Jess wykonał kolejny ruch. Następnie czarny pionek automatu stanął na zajęтым przez niego polu, przewrócił jego figurkę, a ona sturlała się z szachownicy i przywarła do metalowego brzegu planszy.

Została zbita.

– Magnes – wyjaśnił Thomas. – Gdybym miał więcej czasu, zostawiłbym miejsce pod spodem, żeby zmieścić tam szufladki, ale cóż. Następnym razem.

– Niesamowite – wykrztusił Jess. – To jest...

– Piękne! – dopowiedziała Morgan. Wzięła do ręki pionek, który przyczepił się do krawędzi, musnęła palcami. – Sam to wszystko zrobiłeś? Jak?

– Kapitan Santi był tak miły, że kazał je przysłać do Tuluzy, żeby żołnierze mogli je z sobą zabrać. Skończyłem przed wyruszeniem z Aleksandrii.

– Mogę rozegrać pełną partię? – Jess przesunął kolejny pionek, tym razem z namysłem, i było coś niepokojącego w tym, jak szybko maszyna zareagowała. Na dodatek poprawnie.

– Dlatego budowa trwała tak długo – wyjaśnił Thomas. – Każda partia szachów ma co najmniej dziesięć do czterdziestej trzeciej potęgi możliwości ruchów.

– W takim razie ile ci to zajęło? – Morgan wstała i zajęła się obserwacją rozgrywki między Jessem a automatem.

– Budowa mechanizmu całe miesiące. Pionki kilka dni. *Alles Gute zum Geburtstag*, Jess.

– Nie mam dzisiaj urodzin.

Thomas wzruszył ramionami.

– Znamy się już tak długo. Kiedyś w końcu będziesz miał. Poza tym, przyda ci się jakaś rozrywka. – Na jego twarzy rozlał się uśmiech. – Chociaż z tego, co widzę, już jedną masz, i to bardzo ładną.

– Podlizuch! – parsknęła Morgan. – Dalej, Jess, graj.

Jess przestawiał pionki, aż stało się jasne, że automat Thomasa pokona go w czterech ruchach i podczas gdy on zachwycał się przedziwną inteligencją tej maszyny, automat matował jego króla.

Wszystkie figury, nawet te zbite, przyczepione do brzegu szachownicy, rozstawiły się same, a plansza obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i teraz to automat grał białymi.

– Jesteś genialny – orzekł Jess. Gardło miał ściśnięte z emocji i wiedział, że słyhać je w zachrypniętym głosie. – Mam nadzieję, że o tym wiesz.

– Wiem – przyznał Thomas. – A zaczekaj, aż zobaczysz, co mam w Domu Ptolemeusza.

– Nie nad szachami pracowałeś?

– Nad tym? Nie. To zabawka. Skomplikowana, ale zabawka.

Mówię o czymś zupełnie innym. – Uśmiech spelzł mu z twarzy i w jednej chwili Thomas zrobił się całkiem poważny. – To coś zmieni świat.

Przez następne sześć dni żyli jak wolni ludzie. Rany się goiły, a oni spędzali czas w swoim towarzystwie. Rozegrali turniej szachowy i przyjmowali zakłady od żołnierzy z Tuluzy, którzy, oczywiście, niezmiennie wygrywali. Khalila wiele razy zremisowała z automatem Thomasa i dwa razy nawet wygrała, Jess raz doprowadził automat do sytuacji, w której musiał poddać króla. Żołnierze też próbowali. Raz zdecydował się nawet Wolfe i na tę rozgrywkę stawiano najwięcej, ale nawet on się poddał.

Co ciekawe, Thomas wygrywał za każdym razem.

– Wiem, jak on myśli – tłumaczył, gdy Jess spytał, jak to możliwe, a odpowiedź była równie tajemnicza, co mącała w głowie.

Te spokojne dni upływające w słońcu dawały złudzenie sielanki. Gdy wreszcie lekarka wypuściła Jessa ze szpitala, rozkoszował się godzinami upływającymi w towarzystwie przyjaciół, w mniejszych grupach lub samotnie. Zaczął marzyć, żeby te chwile się nie kończyły.

I wówczas, szóstego dnia, Wolfe wezwał ich do swojego namiotu. Był ładny dzień, z niebieskim niebem i wyczuwalną w powietrzu chłodniejszą, jesienną nutą.

W namiocie panowała zima.

Weszli razem, cała szóstka, i zastali Wolfe'a siedzącego przy obozowym biurku z otwartym dziennikiem i piórem wycelowanym w środek strony. Zamknął notatnik.

– Rano dotrze eskorta z Aleksandrii – poinformował. – Kolejny zaufany dowódca. Nicc to sprawdził. Reszta drogi powrotnej upłynie nam w pancernej wygodzie.

Że pancernej, w to Jess nie wątpił. Ale wygoda wydawała mu się dyskusyjna. Khalila westchnęła i zmieniła pozycję, jakby już czuła w kościach trudy podróży.

Jess pomyślał, że Wolfe wygląda na zmęczonego. Wokół oczu i ust miał zmarszczki, których wcześniej chyba nie było. Od jakiegoś czasu nie nosił togi uczonego i Jess już się niemal przyzwyczaił do tego widoku.

Ale dziś toga powróciła. Starannie wyprasowana i gotowa do włożenia, leżała na skrzyni.

To już prawie koniec, zdał sobie sprawę Jess. Wracamy. Ale do czego?

Wolfe przemówił, jakby czytał w myślach Jessa:

– Gdy dotrzemy na miejsce, zostanę wezwany do Artifexu, aby przekazać sugestie co do waszych przydziałów. Możliwe, że nie dotrę na czas, żeby was poinformować o decyzji, ale nawet jeśli mnie tam zabraknie, ktoś dostarczy wam zwoje.

– Zabraknie pana? – powtórzył Dario. – Czyli ktoś się postara, żeby pana nie było? – Gdy Wolfe podniósł wzrok, Dario wzruszył ramionami: – To oczywiste, że ma pan tam potężnych wrogów. Niepokoją pana nawet tutaj.

– Nie mają podstaw, żeby pana ukarać – odezwała się Glain. – Został pan wysłany z misją odebrania ksiąg z Oksfordu i to pan zrobił. Wszyscy o tym zaświadczymy.

Wolfe potwierdził przyjęcie jej słów lekkim skinieniem głowy.

– Bycie waszym opiekunem naukowym to dla mnie zaszczyt – oznajmił. – Zapewniam, że mnie samego to zaskakuje, gdyż nie ma uczonego gorzej nastawionego do przyjmowania wychowanków na rok i mniej skłonnego do dobroczynności. Kiedy mówię wam, że jestem dumny... – Pokręcił głową i się uśmiechnął. To był powściągliwy, ale szczery uśmiech, może trochę nawet smutny. – Kiedy mówię, że jestem dumny, mówię poważnie.

– Proszę pana... – Khalila zawahała się, ale po chwili kontynuowała. – To, co spotkało Guillaume'a i Joachima, wydarzyło się nie z pana winy. Dobrze o tym wiemy i jeśli ktoś nas zapyta, zapewnimy, że zrobił pan wszystko, co było w pana mocy. Wszyscy wiedzieliśmy, z jakim ryzykiem wiąże się ta wyprawa. Życie wiąże się z ryzykiem. Ale dzięki panu wyszliśmy z tego cało. I to my jesteśmy dumni. Zaszczyceni.

Skłoniła przed nim głowę. Po chwili dołączył stojący obok niej Dario, a następnie Glain i Thomas.

Zostali tylko Jess i Morgan.

On schylił głowę i kątem oka zauważył, że Morgan zrobiła to

samo.

– Jesteśmy zaszczytzeni – powtórzyła.

Wolfe przyglądał im się przez kilka sekund, a następnie otworzył dziennik i wziął pióro.

– Bądźcie gotowi jutro o świcie. *Omnis cogito est*. Możecie odejść.

Nie podniósł wzroku, gdy wychodzili z namiotu, a gdy Jess się odwrócił, zobaczył, jak Wolfe przyciska pióro do papieru.

Nic jednak nie napisał.

Kolację zjedli w dużym, przewiewnym pawilonie wraz z żołnierzami z Tuluzy, którzy zgromadzili się na ławkach, oraz personelem Mediki, który przybył wraz z wojskiem. Ekipa Wolfe'a stłoczyła się przy jednym stole. Jess chciał usiąść koło Morgan, ale z jednej strony zablokował ją Wolfe, a z drugiej Santi, więc jedyne, co mu zostało, to miejsce naprzeciwko.

Miał dzięki temu okazję do przyglądania jej się, gdy jadła. Chyba nie miała nic przeciwko.

Jedzenie było lepsze, niż Jess się spodziewał. A może po prostu wracał do zdrowia, bo zajadał z prawdziwym apetytem i rozkoszował się jagnięciną, świeżymi warzywami i chrupiącym francuskim chlebem. Początkowo wino mogli pić tylko Wolfe i Santi. Kapitan pozwolił sobie tylko na odrobinę, ale Wolfe regularnie napełniał szklankę i najpierw opróżnił jedną butelkę, a potem następną. Zamówił trzecią, a do niej także szklanki dla każdego z uczniów. Dario powitał tę decyzję wiwatami. Khalila odmówiła, ale reszta przyjęła trunek.

Gdy wino już rozlano, Jess podniósł wzrok i zobaczył, że Morgan mu się przygląda. To ostatni dzień, pomyślał. Jutro o świcie wszystko będzie inaczej. Dzisiejszy wieczór to jej ostatnia szansa na ucieczkę. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie dlatego Wolfe i Santi tak jej pilnują.

Wolfe wstał z kieliszkiem w dłoni. Wyglądało na to, że ma problem ze złapaniem równowagi.

– Postulanci! – odezwał się. – Proszę o uwagę. – Nie prosił, nie nakazywał, ale i tak wszyscy na niego spojrzeli. – Za panów Guillaume'a Dantona i Joachima Portera. Cześć ich pamięci.

Wszyscy wstali i w milczeniu wzniesli toast, a następnie opróżnili

szklanki. Wolfe skinął głową, ale gdy usiedli, on został w pozycji stojącej.

Niezdarnie dolał sobie do kieliszka.

– Zdrowie wszystkich państwa, którzy wciąż tu są. Gratuluję. Znajdujecie się pod bezpiecznymi skrzydłami Biblioteki. Powodzenia. – To powiedziawszy, wychylił całą szklankę jednym haustem. Santi usiadł. Wyglądał na zaniepokojonego.

Uczony musiał przytrzymać się jedną ręką stołu, bo pokój zakołysał mu się przed oczami. Nikt się nie odezwał. Jess nigdy nie widział, żeby Wolfe stracił nad sobą panowanie i bardzo mu się to nie podobało.

– Dziękujemy panu – zaryzykowała Khalila. – Tyle nas pan nauczył.

– Nie dziękujcie, naraziłem wasze życie. Zasłużyliście na coś lepszego. Na kogoś lepszego niż ja. – Znów sobie dolał, opróżniając tym samym butelkę, więc dał sygnał, żeby mu przynieść następną. Santi odchylił się i posłał mu za plecami Morgan znaczące spojrzenie, ale Wolfe chyba nie zauważył. – Nie chciałem być waszym opiekunem. Przypisanie mi waszej grupy było czymś w rodzaju kary. Miało mnie nauczyć posłuszeństwa.

– Wolfe! – warknął Santi. – Dość tego. Siadaj.

– Nie. Nie dość. – Wolfe odstawił szklankę z taką siłą, że szkło pękło. Służący, który właśnie zbliżył się z butelką wina, zręcznie zgarnął ze stołu odłamki i podstawił nowe naczynie. – Już nie są moimi uczniami. Nie jestem za nich odpowiedzialny. Teraz Biblioteka połamie im serca, tak jak lata temu połamała nasze. – Wolfe wskazał na Santiiego palcem. – Spróbuj powiedzieć, że nie mam racji.

Santi wstał, stanowczo zakorkował butelkę i nachylił się do Wolfe'a.

– Jesteś pijany, a to nie jest ani miejsce, ani pora. Jeśli cię nie obchodzi twoja przyszłość, pomyśl przynajmniej o ich przyszłości. I o mojej.

Przez moment patrzyli sobie w oczy, a potem Wolfe zamrugnął i skinął głową.

– Przepraszam. Wybacz mi. Jestem... zmęczony.

– Jesteś w rozpaczy – skorygował Santi. – Wszyscy mamy blizny. Ale nie pokazuj swoich tutaj.

Dario odczekał sekundę, a potem się odezwał:

– Jeśli skończył pan pić i przeszedł do uzalania się nad sobą, proszę podać butelkę dalej. To całkiem zacne francuskie wino. Może nie Rioja, ale ujdzie. Nie mogę patrzeć, jak się marnuje.

Glain, akurat ona z nich wszystkich, wstała, sięgnęła po butelkę i hojnie napełniła swój kieliszek. Potem dołała Dariowi i przekazała butelkę dalej. Thomas, Morgan i Jess też sobie nalali.

Santi pomógł Wolfe'owi wstać, a potem zwrócił się do nich:

– Liczę, że będziecie się zachowywać. Morgan, te pęta są wciąż aktywne. Nawet jeśli Wolfe nie będzie cię miał na oku, ja czuвам. Obskurysta zabezpieczył je w dwójnasób. Proszę nawet nie próbować ich zdjąć.

Pokiwała głową i złapała się za obręcz wokół nadgarstka. Jess widział, że pocierała to miejsce, a na skórze, wokół złotego drutu, widoczne były czerwone ślady. Zastanawiał się, czy już próbowała je zdjąć. Pewnie tak.

Żołnierze Santiago – ta piątka, która została – rozważnie uprzątnęli resztkę wina. Kantyna opustoszała, tylko przy ich stoliku było jeszcze pełno, a sprzątający personel kuchenny rzucał w ich stronę coraz bardziej poirytowane spojrzenia. Jess ledwie zanurzył usta w kieliszku, bo jego chirurg zajrzała do stołówki i upomniała, że wątroba jeszcze mu się przyda.

Pierwsza wyszła Morgan.

– Późno już – powiedziała i pokręciła głową, gdy chórem zaczęli ją namawiać, żeby została. – Nie, ale wy bawcie się dobrze. To ostatni wspólny wieczór.

Khalila też się podniosła.

– Pójdę z tobą.

Dario skłonił im się z przesadną uprzejmością. Jess popijał wodę i obserwował, jak Morgan odchodzi. Pojawiła się kolejna butelka, ale tym razem pełna soku owocowego. Bez słowa podał ją Glain. Nalala sobie kieliszek.

– Ja też idę – oznajmił w końcu. – Nie jestem jeszcze w pełni sił.

– Żałuj – zawołał zbyt radośnie Thomas. Twarz miał zaróżowioną.
– Dario ma zdobyć jeszcze jedną flaszkę.

– Chyba, że ja ją znajdę pierwsza – odparła Glain.

– Wygram ją w pojedynku – zapowiedział Thomas i postawił łokieć na stole. Glain bez trudu położyła go na rękę trzy razy z rzędu, wygrywając tym samym butelkę, której jeszcze nawet nie było.

Dario zaproponował jej grę w kości, w której miał znacznie większe szanse, ale Jess ruszył już do siebie.

Ze szpitala przenieśli go do mniejszego namiotu, ale stało tam wygodne łóżko, a jego nic więcej nie interesowało. Był zmęczony, ale gdzieś w głębi dziwnie niespokojny. Pobudzony. Widok Wolfe'a tracącego panowanie nad sobą, nawet jeśli tylko trochę, utwierdził go w przekonaniu, że w tym dziwnym, nowym świecie nie ma nic pewnego.

Gdy wyciągnął się na łóżku w ubraniu, usłyszał pod cienką poduszką szelest papieru. Sięgnął tam ręką.

Namacał złożoną kartkę.

„Przyjdę o północy”.

Nie podpisała się, ale znał jej charakter pisma, zamaszyste i eleganckie pociągnięcia piórem. Nie napisała za pośrednictwem Kodeksu. Wiedziała, że do tych wiadomości ktoś ma dostęp, jeśli nie Wolfe, to na pewno ktoś w Żelaznej Wieży.

Choć nie napisała tego wprost, wiedział, że chce się pożegnać. Było to słodkie i gorzkie jednocześnie. Schował liścik do dziennika, a następnie sięgnął po pióro i pozwolił myślom wypłynąć na papier. Napisał, że się zobaczą. I że ją straci. Wszystko dobiega końca, a jego przyjaciele rozejdą się po Bibliotece. Co takiego powiedział jej wtedy, w pociągu? Rozstawiasz pionki i grasz od nowa.

Nie wiedział jednak, czy sam będzie to potrafił, po tym wszystkim.

Pocieszenia szukał w dzienniku. Od zawsze wypełniał jego stronicę uczuciami, w najwcześniejszym dzieciństwie strachem i poczuciem winy. Potem poczuciem winy, wściekłością i goryczą. Odkąd przybył do Aleksandrii, pisał o dumie i zwycięstwach, rozpacz i przerażeniu, utracie i miłości.

Dwa ostatnie zarezerwowane były dla Morgan. Tylko dla niej.

Pisanie o tym pomagało, ale nie usuwało bólu. Odłożył dziennik na

stolik i sięgnął po blankiet. Załadował *Inventio Fortunata*, wers za wersem ostrożnego pisma z czasów, gdy każda litera była dziełem sztuki. Opowieści o przygodach i odkryciach człowieka, który od dawna nie żyje.

Blankiet to nie to samo, pomyślał. Przypomniawszy sobie, jak trzymał w ręce książkę, czuł historię skóry, którą ktoś wygarbował, naciągnął i przyciął, żeby pasowała do oprawy. Ktoś inny pracowicie zapełnił ręcznie stronicę, a następnie wszył je w okładkę. Ciężar lat odcisnął się na kartach. Morgan też czytała tę książkę. Oryginał. Zdawało mu się, że historia starego mnicha jest jego własną.

Gdy czytał z blankietu, widział tylko słowa, nie porywały go.

Ktoś zapukał w drewnianą framugę na zewnątrz namiotu, dwa szybkie stuknięcia, ale Jess poderwał się tak szybko, że blankiet spadł na podłogę.

– Proszę.

Północ jeszcze nie wybiła, a na progu nie stała Morgan.

Na widok Niccola Santiago Jess się zjeżył. Miał przed sobą zamkniętego, zawodowego żołnierza, nie przyjazną wersję kapitana.

– Słucham?

– Wiem, że Morgan chce uciec. Wiem, że przyjdzie o północy. Dostałem rozkaz zabrania jej do aresztu. – Jess otworzył usta, żeby się odezwać, ale Santi ostro machnął ręką. – Proszę się nie kłopotać i nie kłamać. Ja wiem. Pytanie tylko, skąd oni wiedzą. Nie powiedziałyby nikomu więcej. Tylko panu. Komu pan mówił?

Jess się wściekł.

– Nie powiedziałem nikomu!

– Więc jakim cudem wie już przeklęty Magnus Artifexu?

Jess otworzył swój dziennik na środku, tam, gdzie założył go piórem. Spomiędzy kartek wyslizgnął się złożony liścik. Podał go Santiemu.

– Może ktoś jeszcze to widział. Leżało pod moją poduszką.

– To za mało – orzekł kapitan. – Każdy pomyślałby, że chodzi o romans, nie o ucieczkę. – Zatrzymał na chwilę wzrok na notatniku w ręce Jessa. – Napisał pan o tym w dzienniku?

– Ja... Wspomniałem.

– Kiedy?

– Jakąś godzinę temu, gdy znalazłem liścik. Ale nie wypuściłem dziennika z rąk. Nikt tego nie czytał.

Santi wyrwał mu dziennik.

– Co pan robi?! – Rzucił się naprzód, ale Santi był szybszy i trzymał notes poza jego zasięgiem. – Nie wolno panu! – Nikomu nie wolno było czytać cudzych dzienników bez pozwolenia, w każdym razie do śmierci właściciela. Nawet jego brat nigdy nie naruszył tej zasady.

– Nie czytam. – Santi wyciągnął nóż i Jess się zatrzymał, ale kapitan mu nie groził. Rozciął grzbiet oprawy i zdarł wierzchnie warstwy papieru. Pod nim znajdował się szereg symboli, starannie wypisanych czyjąś ręką, i plama czegoś, co mogło być krwią.

Jess wiedział dość o alchemii, żeby rozpoznać znaki, ale ich nie rozumiał. W każdym razie nie od razu.

– Odzwierciedlenie – orzekł Santi. – Czytali wszystko, co pan napisał. Od kiedy ma pan ten dziennik?

– Poprosiłem o dziennik tymczasowy – odparł ponuro Jess. – W obozie Walijczyków. – W panice przypominał sobie wszystkie osobiste, intymne słowa, jakie zapisał. Taki był sens posiadania dziennika, odnotowywanie kolei życia, razem z wszystkimi ciemnymi stronami i porażkami oraz triumfami i grzechami. Miał być pamiątką dla potomnych. – Kto... – Głos mu się załamał, ale spróbował znów. – Kto to czytał?

– Albo Jego Ekscelencja Magnus, albo ktoś z jego najbliższego otoczenia. Niewiele czasu upłynęło między pana wpisem a rozkazem zatrzymania jej.

Jess czuł, że kark mu sztywnieje i płonie żywym ogniem, a napięcie, które odczuwał w środku, zmieniało się powoli z szoku we wściekłość. Czy pisał coś o Fredericku? O bracie? Nie pamiętał. Wyrwał Santiemu dziennik i zaczął kartkować. Nie napisał wiele, więc z podszytym furia skupieniem przelatywał wzrokiem każdą stronę. Każdy osobisty zapisek bolał go jak pchnięcie nożem. Niektóre rany były głębokie. Pisał o Fredericku i o Oksfordzie, ale Frederick uciekł i jest daleko. Bezpieczny, taką Jess miał nadzieję.

Dzięki Bogu, że nie wspomniał ani słowem o Brendanie ani o ojcu.

Ale o Morgan pisał stanowczo za dużo. Co gorsza, odnotował, że Wolfe o niej wie. I że jej pomógł.

Opadł ciężko na poduszki, z dziennikiem w dłoniach, i walczył o każdy oddech.

– To moja wina.

– Nieprawda – zaprzeczył Santi. – Dzienniki powinny być osobiste. Jest pan katolikiem, dla pana to jak spowiedź, a prawo traktuje je tak samo. Nie mógł pan wiedzieć, że ktoś to czyta.

– A co z Morgan? Skoro mój jest szpiegowany...

– Ona nie pisała dziennika. Myślę, że ojciec wpoił jej nieufność wobec nich. Może i był Podpalaczem, ale co do tego miał rację. – Santi też był wściekły. Aż buzował. – Zamierzałem pozwolić jej się wymknąć, byle tylko nie został żaden dowód, że mieliśmy z tym coś wspólnego, ale na to już za późno. Wiedzą. Jeśli ona ucieknie, Wolfe zapłaci za to życiem. I pan też.

– Co pan robi?

– Nie mam wyboru. Muszę ją zabrać. Wiem, co pan do niej czuje, ale to zbyt niebezpieczne. Nie pozwolę Christopherowi umrzeć dla niej. – Santi wypowiedział te słowa i natychmiast pożałował. On też za dużo wypił. Pewnie w żadnych innych okolicznościach nie byłby tak bezpośredni.

– Nie zabijają Wolfe’a. Jest uczonym.

Santi spojrzał mu w oczy, przytomnie i stanowczo za ostro.

– Mogą zrobić, co zechcą. Każdemu.

Jess poczuł, jak wysycha mu w ustach.

– Czyli jednak próbowali nas zabić, tak? Wysadzili Ekspres? Danton miał rację. Chcieli zrzucić winę na Podpalaczy.

– Proszę posłuchać mojej rady – odezwał się Santi. – Niech pan nigdy więcej nie mówi tego głośno. Ani mnie, ani żadnemu ze swoich przyjaciół, nikomu. – Westchnął głęboko. – Mógłbym ją zabrać, zanim tu przyjdzie, ale nie zrobię tego. Poczekam, aż będzie wychodzić. To podarunek ode mnie. Dla was obojga.

Poszedł, a Jess poświęcił się obserwacji wskazówek zegara, które bardzo powoli pełzły ku północy.

Morgan nie przyszła. Rozczarowało go to, ale czuł też kwaśny

posmak ulgi. Nie wiedział, jak wyznać, że pozbawił ją jedynej szansy na wolność. Skoro nie przyszła, może uciekła bez pożegnania, więc może jednak jakoś jej się przysłużył, odciągając uwagę Santiago.

Gdyby się stawiała, musiałby jej powiedzieć, że stał się przynętą i patrzeć, jak wszystko w niej umiera. Chyba by nie potrafił.

Ona zrozumie, przekonywał się. Oszukała cię w pociągu. I żałowała.

Zupełnie nie był przygotowany na jej widok w drzwiach namiotu. Weszła i opuściła za sobą klapę.

Ubrała się w grube czarne spodnie i czarną oficjalną biblioteczną koszulę od munduru, z za długimi rękawami. Uznał, że ją komuś zwinęła. Buty miała chyba swoje. Przez ramię przewiesiła niewielki bagaż.

– Mam mało czasu – zaczęła. – Już wiem, jak zdjąć pęta. Zostawię je w latrynie.

Wciąż wierzyła, że ma szansę. Musisz jej powiedzieć, powtarzał sobie Jess. Załamie się, ale lepiej niech to usłyszy od kogoś zaufanego.

Albo odbierze to jako ostateczny cios w plecy i już nigdy mu nie zaufa.

– Przynajmniej będzie to przyjemniejsza latryna niż w obozie Walińczyków – odparł, bo było to pierwsze, co mu przyszło do głowy. Stała daleko od niego i wydawało mu się, że stale się od niego odsuwa, nawet jeśli nie ruszała się z miejsca. Dzielili ich zbyt duża odległość. – Przyszłaś się pożegnać.

Pokiwała głową i w jej oczach pojawiły się łzy.

– Tak – potwierdziła i otarła je rękawem. – Nie powiem ci, dokąd idę, żebyś nie musiał kłamać.

Ale on już kłamał. Powiedział jej kiedyś, że przy niej jest beztroski. Zabawne słowo. Beztroska. Do tego nieprawdziwe. Nigdy nie podejrzewał, że będzie mu mogło na czymś aż tak zależeć.

Mieli tylko tę chwilę. Tę jedną, ostatnią chwilę.

Pokonał dzielący ich dystans, tak naprawdę wcale nieduży, i pocałował ją, a ona – zaskoczona – westchnęła prosto w jego usta, ale tylko na ułamek sekundy, zaraz potem odpowiedziała ogniem i desperacją, których od niej oczekiwał. Jestem beztroski, myślał.

Odsunął się na tyle tylko, żeby wyszeptać:

– Zostań. Tylko na trochę. – Pocałował ją, najpierw delikatnie, lekkimi muśnięciami, potem coraz głębiej. – Zostań.

– Nie mogę.

– Morgan...

– Nie mogę.

– Nie uda ci się.

– Jess, wszystko jest dobrze. Dam radę. Zobacz. – Podniosła rękę. Na nadgarstku zakołysał się złoty drucik pęt. Przesunęła nad nim dłonią i natychmiast rozszeptał się strumień symboli. Połyskujące, pomarańczowe i czerwone, wirujące jak iskry. Wpatrywała się w nie badawczo i wir znaków znieruchomiał na moment. – Tutaj. Jeśli zmienię ten jeden symbol ze złotego na kolor żelaza, usunę właściwości pęt, nie wszczynając alarmu. Nie zerwę ich, pieczęć zostanie nienaruszona, staną się po prostu czymś innym. Zsunę je z nadgarstka i odtąd będą ścigali zjawę. A gdy już dotrę do...

Nakrył jej dłoń swoją i symbole odleciały, zderzając się z sobą.

– Nie próbuj. I nie mów nic więcej. Proszę cię.

– Muszę spróbować, przecież wiesz. Rozumiem, że nie chcesz już dotrzymywać mojej tajemnicy, ale wiem, że jej nie zdradzisz. – Mówiła łagodnie. Wierzyła, że on jej nie skrzywdzi. W jakiś straszliwy sposób jej to wmówił. – Uwierz mi, ja też mam dość tajemnic. Dość grania według zasad ustalanych przez innych, dość więzienia i ograbiania z możliwości wyboru. Mam dość tego wszystkiego. Ty nie?

– Tak – przyznał. Miał dość, czuł się przegniły od tajemnic. Ale gdyby się ich pozbył, kim by był? Nie znał otwartego życia, takiego, jakim żył Thomas. Jak by to było, mieć taką niewzruszoną, oczywistą wiarę w świat, nie widzieć szarości?

– Tak nie musi być. Mógłbyś... ze mną. – Ostatnie słowa wypowiedziała w pośpiechu, jakby się bała, a rumieniec oblewający policzki dodał jej jeszcze łotrzykowskiego wyrazu. – Nie musisz tu tkwić. Tak będzie dobrze. Razem jesteśmy dobrzy. Ty jesteś dobry.

– Nie jestem – zaprzeczył. Czysty, cierpki zapach jej włosów kusił do wzięcia ciężkich pukli w dłonie, ale zdołał się powstrzymać. – Nie jestem dobry. Przecież wiesz, kim jestem.

Pokręciła głową. Włosy opadły jej z czoła na oko, a on delikatnie odsunął pasmo. Odwróciła głowę.

– Wiem. I chcę, żebyś poszedł ze mną. Już wcześniej nie chciałam trafić do Żelaznej Wieży, ale teraz... Nie dam sobie założyć opaski niewolnicy, nie rozmnożą mnie jak klacz rozplodową.

Musiał źle usłyszeć.

– Co?

– Obskuryści rodzą się rzadko – wyjaśniła. – Myślisz, że czemu tak im na mnie zależy? Nowy rodowód w ich hodowli. Nigdy nie opuszczę Żelaznej Wieży. Moje dzieci też nie. Gdy trafię do środka, stracę wolność. Na zawsze.

Jess poczuł się, jakby był pusty w środku, a potem obezwładniła go wściekłość.

– Nie – powiedział. – Niemożliwe. To wbrew wszystkiemu, w co wierzy Biblioteka.

– Biblioteka to nie żywa osoba. Nie ma sumienia, serca ani duszy. Robi, co musi, żeby przetrwać.

– Mówisz jak Podpalaczka.

– Bo może to ma sens. Jesteś bystry. Nigdy się nie bałeś ukrytych prawd. Wiesz, że Biblioteka nie jest już tym, czym kiedyś. Co nam o niej mówiono, gdy jeszcze byliśmy poza nią. – Wściekłym ruchem otarła wierzchem dłoni łzy, a on schwycił jej wilgotne palce i przytrzymał. – Chodź ze mną, proszę cię. Wiesz, że nie mogę zostać.

Nie było już nadziei. Tylko ta chwila, pomyślał. Całą tęsknotę włożył w pocałunki, które składał na jej dłoniach, ramionach i szyi, aż pożądanie odebrało im oddech. Skłamał. Zdradził ją, chociaż nie chciał. Myśl, że ją straci, robiła z niego desperata. Zrobiła z niego kłamcę, chociaż kłamliwe były nie jego słowa, a gesty. Pocałunki i obietnice. Po prostu jej powiedz, myślał. Że nie możesz jej ocalić, iść z nią, że nie ma dla niej nadziei.

Ale był tchórzem. Nie potrafił.

Gdy do namiotu wkroczył Niccolo Santi, Jessa zalała fala wściekłości i gorzkiego obrzydzenia. Do Santiego. Do samego siebie. Do marzeń, które legły w gruzach.

Morgan go nie widziała. Patrzyła na twarz Jessa. Był dobrym

kłamcą, uczył się tego całe życie, ale nie potrafił ukryć, co czuje w tej chwili. Jedno spojrzenie i już wiedziała. Cofnęła się o krok i szerzej otworzyła oczy:

– Nie – wyszeptała.

Zza jej pleców odezwał się Santi:

– Nie utrudniaj tego jeszcze bardziej, proszę.

– Nie – powtórzyła, tym razem głośniej. – Jess, ty wiedziałeś. – Jej rozczarowanie, wyraz oczu, poczucie zdrady... Wszystko to siekało go na kawałki jak naostrzone noże. – Kazałeś mi zostać. – Tylko tyle. Trzy proste słowa. A świat pomiędzy nimi się rozpadał.

Rzuciła się na niego. Złapał ją w ramiona i trzymał mocno, żeby nie mogła go uderzyć ani się wyrwać. Odciągnął ją dopiero kapitan Santi.

Wydobył skądś żelazne kajdany i założył Morgan na nadgarstki. Ulubione akcesorium Londyńskiej Straży. Żadnych obskurystycznych sztuczek. Tylko klucz. Zamarła, gdy usłyszała przesuwające się w zamku zapadki, a jej twarz... Boże, Jess wiedział, że do końca życia nie zapomni tego widoku. Spojrzenie miała lodowate jak zamarznięta rzeka. Gdyby mogła, rozszarpałaby go na strzępy i nie mógł nic z tym zrobić. Nie potrafił cofnąć czasu.

Gdyby ją ostrzegł, jak tylko weszła, gdyby kazał jej uciekać, może wszystko potoczyłoby się inaczej.

Ale on ją poprosił, żeby została, a ona mu tego nie zapomni. Twarz Santiego pozostała niewzruszona i beznamiętna, jakby był dla nich kimś obcym.

– Wiem, że to nic nie zmieni – odezwał się – ale bardzo mi przykro. – Poprowadził Morgan do wyjścia z namiotu, łagodnie, ale stanowczo.

Zatrzymała się na dość długą chwilę, żeby po raz ostatni spojrzeć na Jessa.

– Powiedziałeś mi, że zawsze jest inne wyjście. Kiedy przestałeś w to wierzyć?

Kiedy okazało się, że nie mam innego wyjścia, jak tylko cię kochać, chciał powiedzieć. Ale nie miał prawa do takich słów.

To z jego powodu została zakuta w kajdany.

– Cholernie cichy dziś jesteś – zagaił następnego ranka Dario. Usiadł obok Jessa w opancerzonym pojeździe z prawdziwymi, miękkimi siedzeniami, co było miłą odmianą po ich ostatniej jeździe powozem. Biblioteka wyznaczyła do ich eskorty chyba pół swojej armii, ale Jess czuł się przytłaczająco samotny.

– Jestem zmęczony – odparł. Zamknął oczy. Nie było na co patrzeć, a nie chciał włączać się w beztroskie trajkotanie przyjaciół.

Raczej poczuł niż zauważył, że Dario się do niego nachyla.
– Słyszałem, że Morgan jest w innym powozie. Co się stało? Opamiętała się i nie chce mieć z tobą do czynienia?

Jess otworzył oczy i popatrzył na niego z bardzo bliska. Nie wiedział, jak to widzą inni, ale on ostatkiem sił powstrzymywał się od ciosu w gardło Daria.

– Nie dzisiaj – warknął tylko. – Odpuść.

Dario przestał się uśmiechać i popatrzył przed siebie. Nagle szalenie go zainteresowała opowieść Thomasa o pewnym barze w Monachium, dla którego skonstruował tańczący automat w zamian za unieważnienie długu wujka. To była dobra historia.

Jess żałował, że ma ją gdzieś.

Khalila uśmiechała się do Thomasa i jednocześnie z niepokojem zerknęła na Jessa. Nie mógł znieść jej pełnego współczucia, pytającego spojrzenia. Wolfe i Santi nikomu nie powiedzieli o aresztowaniu Morgan, a Jess... Nie miał odwagi.

Wstał i przeniósł się na tył powozu, z dala od innych, do pustego rzędu foteli, gdzie rozłożył się na dwóch siedzeniach i udawał, że śpi. Z trudem znosił śmiech przyjaciół, bo zdawało mu się, że jak wilgotny kamień skrobie do żywego jego duszę. Chciał się znaleźć gdzieś indziej. Zniknąć.

– Posuń się – odezwał się ktoś nagle. Zabrał ramię, którym zakrywał oczy, a na widok Glain zmarszczył czoło. Jej zraniona głowa się zagoiła, ale przez całe czoło biegła na ukos blizna, która pewnie nigdy nie zniknie. Była z niej dumna. W końcu to wojenne rany.

– Nie masz gdzie siedzieć? – burknął i znów zakrył oczy. Wtedy złapała go za nogi i zepchnęła je na podłogę, a on poderwał się z warkotem, który wyrwał mu się z gardła.

Usiadła obok.

– To męczące, nie? Udawanie, że jest normalnie. Wiem o Morgan. Czyli o jedna osoba mniej do oświecenia.

– Powiedz to im, nie mnie.

– Jeśli chcesz. – Zamilkła na sekundę czy dwie, a potem

kontynuowała: – Wolfe się boi, że cię oskarżą o sympatyzowanie z Podpalaczami. W sumie bym się nie zdziwiła. Po wybuchu pociągu zniknąłeś gdzieś z nimi.

Jeśli zamierzała go porządnie rozsierdzić, udało jej się. Powoli się podniósł i spojrzał na nią z wściekłością.

– Nie poszedłem z nimi, tylko mnie porwali.

– Ale puścili cię wolno, bez choćby zadrapania, którego nie dałoby się usprawiedliwić eksplozją. Słuchaj, ja nie mówię, że w to wierzę, powtarzam tylko, że można ci dorobić taką gębę. W Artifeksie widzą szpiega za każdą kolumną. Pilnuj, żeby ciebie też nie zaczęli tak postrzegać. Już i tak masz dość zafajdaną kartotekę.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– O twojej rodzinie, *yn fyty*n. Przed Oksfordem nie miałam pojęcia, ale teraz wiedzą już wszyscy, więc myślisz, że akurat Jego Ekscelencja Magnus Artifexu nie? A nawet jeśli nie wie, Dario na pewno użyłby tego jako argumentu przeciwko tobie, gdyby przyszło do rywalizacji o miejsce.

– Ty też byś mogła – zauważył. Glain łypnęła na niego spode łba. – Nigdy się nie przyjaźniliśmy. Gdybyś musiała, zepchnęłabyś mnie w przepaść.

– Mam inne cele, więc nie ma o czym mówić – podsumowała. – Nie mam predyspozycji do bycia uczoną, ale pewnego dnia chciałabym zostać Magnus Straży. Nie jestem dla ciebie zagrożeniem... ani ty dla mnie.

– Aktualnie jestem zagrożeniem dla wszystkich.

– A głównie dla siebie. – Zamilkła. Gdy się znów odezwała, mówiła już odrobinę innym tonem. – Santi twierdzi, że nic jej nie będzie. Jest wściekła na cały świat, ale cała i zdrowa. Da radę. Jest silna.

Niedobrze mu było, bo nawet Glain, najmniej wrażliwa z nich wszystkich, czytała w nim jak w blankiecie.

– Wiedziałem, że po nią przyjdzie – zdradził. – Mogła uciec. Ale przeze mnie nie uciekła.

Glain nie odpowiedziała od razu, ale gdy się w końcu odezwała, mówiła łagodniej i ostrożniej niż wcześniej.

– Nie udałoby się jej. Piłam z żołnierzami z Tuluzy. Gdyby uciekła, mieli ją za wszelką cenę złapać i odesłać za pomocą Translokacji. Jakbyśmy się w to wmieszali, pozabijaliby nas.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Wydawało się, że mówiła poważnie.

– Co za bzdura. – Chociaż naprawdę wcale tak nie myślał.

– Wcale nie. Powiedzieliby po prostu, że nikt nie przeżył pożaru w pociągu. Napisaliby do naszych rodzin, że bardzo im przykro, wiadomo, i sprawa rozwiązana. A dobrze wiesz, że Wolfe jest dla Magnusa Artifexu problemem. Słyszałeś, co mówił wczoraj przy kolacji.

– Był pijany.

– Był szczery. – Glain wreszcie popatrzyła mu prosto w oczy, ale nie widział w nich złości. Przeciwnie, patrzyła wręcz przyjaźnie. – To nie twoja wina. I ona też to w końcu zrozumie.

Poklepała go po kolanie w dziwny, niezręczny sposób i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to była forma czułości. Potem wstała i dołączyła do reszty.

Znów wyciągnął się na dwóch siedzeniach i zamknął oczy. To jego wina, nieważne, co mówiła Glain. A nawet jeśli Morgan mu przebaczy, ciężar niektórych win dźwiga się wiecznie.

Konwój jechał i jechał, potem rozbili obóz, ale Morgan się nie pokazała. Nikt jej nie widział. Glain dotrzymała słowa, dyskretnie powiedziała wszystkim, co się stało i tego wieczoru nikt już o niej nie wspominał.

Nie wiedzieli, co mówić, nawet Thomas, więc udawali, że wszystko jest w porządku, powrót do Aleksandrii przyniesie ulgę i wszystko wróci do normy, gdy tylko położą się spać we własnych łóżkach, w Domu Ptolemeusza. To brzmiało jak śmiech pod szubienicą, a przy stole Jess siedział milczący jak duch.

Drugiego wieczoru nie zdołał uniknąć towarzystwa Thomasa, bo ten uznał, że Jessowi przyda się kompan w czasie spaceru po obozie.

Wojskowa elita Aleksandrii nie zamierzała ryzykować. Ustawili się w kordon, wyznaczyli wartowników i wytoczyli najcięższe działa.

– Jak dobrze rozciągnąć nogi – zauważył Thomas. – W tych małych powozach nie ma ich jak wyprostować. Dobrze się czujesz?

Pytanie zaskoczyło Jessa, ale zdołało nadkruszyć jego ponury pancerz na tyle, że zerknął na przyjaciela spode łba i przemówił:

– Nie.

– Tak myślałem. W końcu wszyscy tego oczekują. To jest chyba najgorsze, kiedy inni uważają, że powinieneś być w dobrej formie.

Thomas nie lekceważył jego bólu, ale i nie trącał rany patykiem. Po prostu rozumiał. Jess powoli westchnął i spojrział na niego.

– Ona jest w klatce – mruknął. – Ja ją tam wtrąciłem.

– Nieprawda. Znam cię na tyle dobrze, żeby mieć pewność.

Jess pokręcił głową i ruszył przed siebie. Chciałby przejść na piechotę całą drogę do Aleksandrii. Doczołgać się tam. Może ból pomógłby mu oczyścić myśli.

– Czego tu szukasz? – spytał Thomas.

– Niczego.

– Jess. – Thomas był wyraźnie rozczarowany. – Okłamuj innych, ale nie mnie, proszę cię.

– Szukam jej – odparł Jess i tym samym po raz pierwszy przyznał to nawet przed sobą. – Glain mówiła, że jedzie sama w którymś z powozów. Chcę go znaleźć.

– Nie wydostaniesz jej stamtąd.

– Wiem. Ale chcę go zobaczyć.

Thomas pokręcił głową, ale szedł dalej, dopasowując się do tempa Jessa.

– Jak poznasz, że to ten? Nie będzie stała przy oknie.

– Po strażnikach – wyjaśnił Jess. – Przed większością powozów nikogo nie ma w nocy. Jej ktoś będzie pilnował. Ale niewielu, żeby nie zwracać uwagi.

– Na pewno mają na ciebie oko. Nie pozwolą ci się zbliżyć.

Jess pokiwał głową. Nieważne. Szli dalej, a on wpatrywał się w każdy mijany powóz. Żaden mu nie pasował.

– Pomyślałem sobie – przerwał ciszę Thomas – że powinienem ci

pokazać, nad czym pracowałem, zanim wyjechaliśmy z Aleksandrii. Masz ochotę zerknąć? Może po powrocie chciałbyś mi pomóc.

– Nie mam zdolności inżynierskich.

– Musisz coś robić. Używanie rąk pomaga oczyścić głowę.

– Przecież nie musisz wymyślać nic nowego. Ta maszyna od szachów jest genialna. Wystąp do Biblioteki o patent i zacznij ją sprzedawać. Wiem, że oni zgarną większość zysków, ale i tak będziesz bogaty.

– Nie chcę być bogaty – zapewnił Thomas.

– Mógłbyś kupować więcej złomu. – Jess nie mógł się skupić na rozmowie. Gdzie jesteś, Morgan? Gdyby ją znalazł i nawet gdyby jakimś dziwnym zrzędzeniem losu mógł z nią porozmawiać, co by jej powiedział? Wszystko już zostało powiedziane. „Kazałeś mi zostać”.

Nie cofnie tych słów.

– Pokażę ci, o co mi chodzi – oznajmił Thomas. Wyjął dziennik i podał Jessowi. Całe stronicie wypełnione zawiłymi rysunkami, schematami i napisami po niemiecku. Thomas otworzył notatnik na stronie z bardzo precyzyjnie narysowanym i opisanym projektem. Był skomplikowany. Jess nie miał najbłedszego pojęcia, na co patrzy.

Przynajmniej nie musi ostrzegać Thomasa przed zdradzaniem dziennikowi tajemnic. Był za bardzo skoncentrowany na projektach, żeby pisać coś o uczuciach.

Jess oddał mu notes.

– To jakieś nowe tańczące automaty? Mało ci tych z Monachium, którymi pokrywałeś długi wujka? – Usłyszał w swoim głosie wrogość. – Przepraszam. Powiedz, co to?

– Wpadłem na ten pomysł dawno temu, gdy obserwowałem skrybę kopiującego dokumenty dla ojca. Chociaż to był jego fach, trwało to okropnie długo. Pomyślałem, że dobrze byłoby to robić szybciej, za przyciśnięciem guzika.

– Automat piszący listy.

– Nie, nie, to jest odpustowa zabawka. Mówię o czymś, co zmieni wszystko. Zobacz, tu jest matryca, na której układasz przygotowane wcześniej czcionki...

Jess całą uwagę skupił na powozie, od którego dzieliły ich dwa

inne. Minęli właśnie wielki namiot pachnący resztkami z obiadu: brzęk talerzy i garnków sugerował, że personel kantyny jeszcze pracuje. Wszyscy inni szykowali się do snu, ale nie strażnicy zgromadzeni wokół tego jednego powozu. Siedziało ich wokół co najmniej dziesięcioro. Nie wyglądali na wyjątkowo zaangażowanych w pilnowanie, ale widać też było, że są czujni. Zbyt czujni.

– To wygląda jak dziecięca gra w literki.

– Nie, nie, nic podobnego. Zobacz, literujesz zdania i układasz od dołu do góry. Układasz słowa od tyłu, bo potem się odwrócą. W tym zbiorniczku tutaj...

Thomas wskazywał na schemat, ale jego słowa zlewały się w bełkot. Jess nie potrafił się na nich skoncentrować, chociaż doceniał gest. Był złym przyjacielem, ale wobec Morgan jeszcze gorszym i odczuwał bolesne pragnienie... czego? Naprawienia wszystkiego? Przecież nie mógł.

A może chciał się po prostu upewnić, że nie może, przekonać się na własne oczy.

Thomas wciąż usiłował wyjaśnić zależności między atramentem, bloczkami i papierem, ale Jess nie słuchał, bo z nieoczekiwaną i niezachwianą pewnością poczuł nagle, że Morgan jest w tamtym powozie. Jest tam, zastanawia się, jak uciec i przeklina go za każdą sekundę w niewoli.

Czuł to.

– I jak? – Thomas trącił go łokciem. – Będziesz chciał mi pomóc? Jak już wrócimy do domu?

Do domu. Do Aleksandrii. Gdzie Thomas prawie na pewno zostanie uczonym, a Jess będzie nadal... synem szmuglera, do tego z ciągnącą się za nim famą sympatii do Podpalaczy.

– Jasne – odparł. – Jak wrócimy do domu. – Na niego nic już nie czekało w Aleksandrii. Miał się codziennie wpatrywać w Żelazną Wieżę i myśleć o tym, co zrobił?

Thomas uśmiechnął się szeroko i klepnął go w plecy.

Gdy się zbliżyli do powozu, podniosły się dwie strażniczki i niby to mimochodem ruszyły w ich stronę. Jedna z nich, drobna Hinduska z czarnymi włosami splecionymi w misterną koronę, skinęła do Jessa

głową i uśmiechnęła się.

– Dobry wieczór. Spacererek? Ładna pogoda na przechadzkę.

– Chcemy rozprostować kości – odparł i uśmiechnął się czarująco, tak jak to potrafił. – Macie za sobą ciężką drogę? Przyjechaliście po nas aż a Aleksandrii. Męcząca wyprawa.

Hinduska wymieniła smutny uśmiech z towarzyszką, wyższą, potężniejszą i raczej o wschodnioazjatyckich rysach.

– Męcząca to dobre słowo – odparła. – Ale ruszamy tam, gdzie jesteśmy potrzebni Bibliotece. Słyszałam, że po drugiej stronie obozu grają w karty. Pewnie tam idziecie, co?

– Jasna sprawa – odparł Jess. – Właśnie wracaliśmy do namiotu. Jak myślisz, Thomas? Rozruszałeś nogi?

– Już mi lepiej – Thomas spojrzał na niego aż nazbyt wnikliwie. – A ty? Dobrze się czujesz?

– Myślę, że tak.

– Świetnie. – Filigranowa Hinduska ruszyła razem nimi tak szybko, że nawet Thomas ledwie za nią nadążał na swoich długich nogach. Wydawało się, że nakręca ją jakaś szaleńcza energia. – Nazywam się Rijuta Khanna. A wy jesteście z grupy uczonego Wolfe’a.

– Ten duży to Thomas. Ja mam na imię Jess. A twoja przyjaciółka?

Rijuta wskazała na towarzyszkę, która zachowywała się przyjaźnie, ale czujnie patrzyła bladymi oczami osadzonymi w twarzy o ostrych rysach.

– To Yeva Dudik. Nie przejmujcie się nią, nie jest tak rozmowna jak ja.

– Ha! – parsknęła Yeva, ale nie był to śmiech. – Widywałam pijane papugi, które nie były tak rozmowne, jak ty!

– W rozmowie szybciej mija czas.

– Któregoś dnia ktoś cię udusi we śnie. Możliwe, że to będę ja.

Jess nie dał się oszukać. Doskonale wykonywały swoją pracę, a ich zadaniem było namieszanie im w głowach, wprowadzenie w błąd i odciągnięcie jak najdalej od powozu każdego z ekipy Wolfe’a. Za wszelką cenę. Ale Jess się nie martwił. Wiedział już wszystko, co chciał, musiał tylko zapamiętać numer wymalowany z boku pojazdu. Teraz już zawsze będzie mógł ją znaleźć, nawet wśród wielu identycznych

powozów.

Nie mógł jej uwolnić. Nie mógł jej pomóc. Ale wiedział, gdzie jest i było to dla niego doznanie niemal alchemiczne, zrozumiałe dla Obskurysty: świadomość, gdzie ona przebywa, sprawiała, że byli bliżej siebie.

Doktryna Odzwierciedlenia. Co na górze, to na dole.

Z Rijutą i Yevą rozstali się w pobliżu ich pogrążonego we śnie namiotu, a one poszły dalej, grać w wymaginowane karty. Thomas gadał jakieś głupoty o saturacyjnych właściwościach atramentu, ale zamilkł, gdy Jess przestał odpowiadać.

Wyciągnął się na łóżku polowym, zamknął oczy i pogrążył we śnie pełnym atramentowych nabojuw zostawiających po sobie sińce, których nie dało się w żaden sposób usunąć.

KORESPONDENCJA

Pilna wiadomość od Jej Ekscelencji Magnus Obskurystów do Jego Ekscelencji Magnusa Artifexu:

Nasi monitorujący donieśli o nowym zapisie w dzienniku Thomasa Schreibera. Jego projekty mogą posłużyć do zbudowania działającego modelu, znacznie skuteczniejszego niż któryś z wcześniejszych, nawet ten, który doprowadził do aresztowania uczonego Wolfe'a. Należy podjąć działania w celu zabezpieczenia notatek i ewentualnych funkcjonalnych prototypów, które mógł zbudować.

Odpowiedź od Jego Ekscelencji Magnusa Artifexu do Jej Ekscelencji Magnus Obskurystów:

Tym samym znów stoimy na rozdrożu.

Oto następstwa pozostawienia Wolfe'a przy życiu, zamiast od razu go zabić i zniszczyć jego prace. Jeśli niebezpieczne koncepcje potraktować jako zarazę, on rozsiewa wirusa.

Musisz przestać go chronić, Kerio.

Rozdział 14

Podróż do Aleksandrii nie była łatwa. Siły Najwyższej Straży przekroczyły granicę w długim konwoju, rozwijając dużą prędkość na pustych drogach, ale gdy dotarli do rogatek miasta, zwolnili i pokonanie ostatnich stu kilometrów trwało znacznie dłużej, niż Jess się spodziewał. Gdy powóz zasyczał i wreszcie się zatrzymał na wielkim placu równo wybrukowanym kamieniami, za barakami Najwyższej Straży, nad miastem zapadała już ciemność, a dzienny skwar ustąpił miejsca szybko się rozprzestrzeniającemu chładowi nocy.

Jess zeskoczył na ziemię i aż jęknął, tak zeszywniałe miał mięśnie. Potem się odwrócił, żeby podać rękę Khalili. Nie potrzebowała pomocy, ale przyjęła ją i uśmiechnęła się, pokazując dołeczki w policzkach. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Dziewczyna, która go interesowała, nie jechała tym powozem.

Rozejrzał się, ale gdy ruszył naprzód, Glain złapała go za ramię.

– Ostrożnie – pouczyła.

– Wiem.

– Mówię poważnie.

Wyrwał się jej i podszedł do równej linii pojazdów. Wszystkie zaparkowano równiutko jeden przy drugim z wielokrotnie przećwiczoną precyzją. Żołnierze wysypywali się z nich i ustawiali w szeregach. Od niego i jego kolegów nie wymagano takiego ordnungu. W każdym razie nie widział jeszcze Wolfe'a, który mógłby go zarządzić. Zanurkował między dwoma szeregami wojskowych i starał się nie rzucać w oczy, gdy przesuwiał się od powozu do powozu i odczytywał ich numery. I już go miał. Przed nim znajdował się ten, który więził Morgan.

Akurat gdy się zatrzymał, otwarto drzwi i do środka weszło trzech uzbrojonych strażników. Kilka chwil później na progu pojawiła się Morgan.

Nie była do siebie podobna, jeśli nie liczyć jedwabistej fali kasztanowatych włosów. Błada jak ściana, wychudzona i bardzo, bardzo wyczerpana. Jedna ze strażniczek – Yeva, jak zauważył Jess – podała jej rękę, a Morgan ją przyjęła. Gdy jej stopa dotknęła kamiennego chodnika, podniosła wzrok.

Zobaczyła go.

Nie wiedział, czego się spodziewać po niej ani po sobie, nie wybiegał myślą poza tę prostą, instynktowną potrzebę pójścia tam i ujrzenia jej. Nie zastanawiał się, jak się poczuje, jeśli to ona zobaczy jego.

Dziewczyna, którą całował w zacisznym mroku namiotu, zniknęła, a na jej miejscu znalazł się ktoś obcy, kto mu się przyglądał.

Drobna strażniczka, Rijuta, też go dostrzegła i zbliżyła się, jak zwykle nabuzowana energią. Teraz się nie uśmiechała. Podeszła służbowo.

– Proszę stąd iść – poleciła. – Ona nie chce pana widzieć. Tylko pan wszystko utrudni.

Pewnie miała rację. Pokiwał głową. Spojrzał na Morgan jeszcze raz, myśląc, że robi to po raz ostatni w życiu, ale ona już nie szukała jego wzroku.

Odwrócił się, żeby odejść.

Ku nim zbliżał się szybko czarny, lśniący powóz rozsiewający parę. Nie taki jak inne. Na pewno nie należał do Najwyższej Straży. Był bogato zdobiony i Jessowi skojarzył się z powozem, do którego wdrapał się dawno temu, jako dziesięciolatek i gdzie obserwował mężczyznę, który na jego oczach pożerał książkę.

Tym powozem jechał ktoś ważny.

Pojazd zatrzymał się płynnie, wypuścił kłęb białej pary, a po chwili obszedł go nienagannie umundurowany służący, żeby otworzyć drzwi po stronie pasażera.

Wysiadł Jego Ekscelencja Magnus Artifexu, a za nim kobieta w lśniacej, złotej obroży na szyi, misternie i bogato grawerowanej symbolami, które splatały się w zadziwiająco eleganckim wzorze.

Musiała to być Jej Ekscelencja Magnus Obskurystów.

Jess słyszał, jak zgromadzeni wkoło żołnierze Najwyższej Straży wstrzymują oddech i widział, jak prostują plecy. Ale przecież ona nigdy nie opuszcza Żelaznej Wieży. Widocznie to nie była prawda. Oto zjawiała się i szła w ich kierunku, otoczona wianuszkami sześciorga uzbrojonych strażników, idących w odległości kroku od niej. Była to wysoka kobieta o śniadej skórze, z ostrymi rysami i zaczesanymi do tyłu ciemnymi

włosami, opadającymi niemal do pasa i przetykanymi srebrnymi nitkami.

Miała co najmniej pięćdziesiąt lat, ale wciąż robiła wrażenie.

Nie szła do niego. Kierowała się ku Morgan. Jess stał jej na drodze i cofnął się, gdy jednym ruchem nakazał mu to Magnus Artifexu. Nie odszedł jednak daleko. I nie dobrowolnie.

– Nie ruszaj się – usłyszał za plecami. Obejrzał się i zobaczył uczonego Wolfe’a. Na powrót przywdział nieskazitelnie czystą togę uczonego. Ciemne włosy miał rozpuszczone, a twarz beznamietną i wyzutym z uczuć wzrokiem śledził ruchy Obskurystki. – Ani drgnij. Zabiją cię, jeśli się poruszysz bez pozwolenia. Nie patrz jej w oczy.

Miał poczucie, że Wolfe nie ucieszył się, widząc go tutaj, ale nie mógł nic na to poradzić. Jess zrobił, co musiał.

Jej Ekscelencja Magnus Obskurystów zatrzymała się w odległości kilku kroków od Morgan i skłoniła się ledwo dostrzegalnie.

– Cieszę się, że zastałam panią w dobrym zdrowiu – odezwała się.
– Mam nadzieję, że podróż upłynęła bez przeszkód.

Jej poprawność wydawała się absurdalna, wzięwszy pod uwagę krew, śmierć i ból, które doprowadziły do tej chwili. Jess nie rozumiał, jakim cudem Morgan udaje się nie wykrzyzczyć tego Obskurystce w twarz, ale ona zawsze miała lepszy instynkt przetrwania niż on.

– Minęła bardzo miło – odparła. Lekko zadarła brodę. – Proszę nie oczekiwać, że pani podziękuję.

– Za oszczędzenie ci życia uciekinierki, wiecznie ukrywającej się i trawionej nieustannym strachem? Nie, teraz na to nie liczę. Ale pewnego dnia przejrzysz na oczy. – Umundurowany lokaj, który otwierał drzwi powozu, podszedł teraz z bogato zdobioną, złotą szkatułką z inkrustowanym na wieku tradycyjnym wizerunkiem bogini Nut, z rozpostartymi skrzydłami i krzyżami *anch*, symbolami życia wiecznego, w obu dłoniach. Otworzył szkatułkę i podsunął Obskurystce, kłaniając się przy tym.

Na poduszce z czarnego aksamitu leżała grawerowana na srebrno obroża, taka, jaką miała na szyi Magnus. Ujęła ją w dłonie, a w miejscu, gdzie jej dotknęła, pojawił się łagodny, pomarańczowy rozbłysk. Formuły stały się widzialne i namacalne. Dar Obskurystów. Także i Morgan.

Obroża rozpięła się, choć miejsce złączenia nie było wcześniej widoczne.

Nie. Odczytał to słowo w oczach Morgan, w dreszczu, który przeszył jej ciało. Ale już nie próbowała uciekać.

Nie miała dokąd. Nikt nie potrafiłby jej pomóc.

Obskurystka wystąpiła naprzód i założyła obrożę na szyję dziewczyny. Metal załśnił w piękny, niezwykły sposób, a gdy kobieta uczyniła pełen wdzięku gest ręką, unoszące się wokół symbole zawirowały i wniknęły w biżuterię.

Obroża zatrasnęła się z cichutkim, śpiewnym kliknięciem, a Morgan drgnęła, jakby ją to zabolalo. Zagryzła wargę, żeby się nie rozplakać, ale łzy napłynęły jej do oczu. Podniosła ręce, żeby dotknąć przedmiotu i wtedy Jess zdał sobie sprawę, że nikt jej nie zdjął kajdan.

Obskurystka zauważyła to w tej samej chwili i z wściekłością popatrzyła na strażników.

– Zdejmijcie to – rozkazała. – Takie okrucieństwo jest niepotrzebne.

Wystąpiła Yeva i rozpięła okowy. Skóra na nadgarstkach Morgan była zaczerwieniona i starta. Powoli opuściła ręce i z widocznym wysiłkiem powstrzymała łzy przed rozlaniem się po policzkach, a potem powoli, spokojnie odetchnęła.

– Dobrze – oceniła kobieta. – Najgorsze za nami. Zajmiemy się tobą dobrze. Będiesz pracowała dla dobra Biblioteki i całej ludzkości. To wielki zaszczyt.

– Będę niewolnicą – stwierdziła Morgan.

Obskurystka dotknęła opuszką palca swojej obroży. Wydawało się, że to rytualny gest.

– Wszyscy jesteście niewolnikami swoich powinności. Czyż nie tak? – Nieoczekiwanie odwróciła się do Wolfe'a i Jessa, a jej ciemne oczy wydawały się martwe jak u trupa. – Pan akurat powinien lepiej niż inni wiedzieć, jak głęboko sięga obowiązek.

– Aż do kości – odparł łagodnie Wolfe. Ani drgnął, ale napięcie między nimi aż buzowało. Dzieje się tu coś mrocznego, pomyślał Jess. Niebezpiecznego. – Za pozwoleniem, moi uczniowie chcieliby się pożegnać.

Wtedy Jess się zorientował, że wokół nich zgromadziła się reszta. Dario. Khalila. Thomas. Glain. Nigdy jeszcze nie widział ich tak nieruchomych i aż tak ponurych. Zmienili się. Zresztą on też. Nawet Wolfe zdawał się być inny, ale Jess zaczął zdawać sobie sprawę, że to on od początku źle go postrzegał.

– Być może rzeczywiście jesteśmy im to winni. – Obskurystka skrzyżowała ramiona na piersi i cofnęła się o krok. Gigantyczny plac, na którym wojsko ustawiło się przed swoimi powozami w precyzyjnych szeregach, spowiła tak przejmująca cisza, że... Jess słyszał nawet syk świateł ustawionych wokół wybrukowanego placu.

Glain poruszyła się pierwsza i wyciągnęła do Morgan rękę. Wymieniły uścisk dłoni.

– *Pob Iwc*, Morgan. Cieszę się, że cię poznałam.

– A ja ciebie – odparła Morgan. – Dziękuję.

Khalila po prostu ją przytuliła, znieruchomiała na chwilę w uścisku, a potem odeszła ze spuszczoną głową. Dario ucałował dłoń Morgan ze swoim wrodzonym wdziękiem.

Następnie wystąpił Thomas i po chwili niezręcznej ciszy sięgnął do kieszeni i wyciągnął małego, mechanicznego ptaszka. Straż Obskurystki spięła się, gotowa do działania, ale ona uniosła dłoń, żeby ich uspokoić. Thomas nakręcił mechanizm i położył zabawkę na dłoni Morgan. Ptaszyna podskakiwała, furczała, ćwierkała i śpiewała, a Morgan ze łzami w oczach kołysała ją w dłoni, aż sprężynka się rozprostowała i ptaszek znieruchomiał.

Thomas nachylił się i szepnął jej do ucha niemal szeptem:

– Nie zrobiłem mu klatki.

Morgan objęła go mocno, a potem pocałowała w policzek.

I został już tylko Jess

Zbliżył się na odległość dwóch kroków, a potem jeszcze o jeden.

Objął ją. Przez chwilę była sztywna jak kij, ale później się rozluźniła i ku jego uldze też go objęła, najpierw ostrożnie, ale potem tak, jakby nigdy nie chciała puścić.

Zbliżyła usta do jego ucha i przeszył go dreszcz, kiedy jej oddech owionął mu skórę.

– Nigdy ci nie wybaczę – powiedziała.

Wyszło mu w gardle, więc musiał przełknąć ślinę. Poczłł smak pyłu. Jedyne słowa, na jakie było go stać, zabrzmiały:

– Proszę, spróbuj. – Miał na myśli wiele rzeczy. Spróbuj mi wybaczyć. Spróbuj żyć dalej. Spróbuj się uwolnić.

Spróbuj do mnie wrócić.

Obroza wokół jej szyi była ciepła, jak żywe stworzenie. Unikał jej dotyku, gdy przesunął ręce w górę, odgarnął jej z twarzy jedwabiste włosy i odchylił lekko jej głowę.

Ich usta się spotkały. Tylko raz. Słodko, przelotnie i delikatnie, a potem ktoś złapał go za rękę i odciągnął. Kątem oka zauważył za plecami czarny cień i już wiedział, że to Wolfe.

– Przestań – syknął mu uczony do ucha i mocno nim potrząsnął. – Wszystko psujesz.

Miał rację, bo Jess wyrwał Morgan z jej z trudem osiągniętej równowagi i łzy jednak popłynęły jej po policzkach, zanim starła je rękawem tuniki.

Obskurystka przez kilka sekund przyglądała się jemu, Morgan, Wolfe'owi i całej reszcie.

– Rozumiem, że pan się tym zajmie – zwróciła się do Jego Ekscelencji Magnusa Artifexu. Następnie skinęła głową do swoich strażników. – Na nas już pora. Pomóżcie nowej Obskurystce wsiąść do powozu.

Wśród kamieni rozległo się echo kapitanów Najwyższej Straży zwalniających swoich żołnierzy i coraz głośniejszy chór rozkazów. Magnus wsiadła do powozu. Za nią Morgan w obstawie strażników.

Powóz odjechał w niemal całkowitej ciszy i dopiero gdy zaczął się oddalać, Jess wypuścił powietrze, choć nawet nie zauważył, że wstrzymał oddech. Żelazna Wieża majaczyła gdzieś w oddali jak cień, za to Aleksandryjski Serapejon lśnił niczym klejnot, obmywany ze wszystkich stron przez wielobarwne światła.

Zamrugał, gdy Khalila wzięła go za rękę i dotarło do niego, że żołnierze Najwyższej Straży, spragnieni wygod, rozchodzą się do baraków albo domów. Do Wolfe'a dołączył Santi.

Magnus Artifexu stał i przyglądał się im wszystkim.

– Imponujące – orzekł. – Poruszające. Jestem wzruszony waszą

lojalnością wobec dziewczyny, której prawie nie znacie.

– Zabawne, jak szybko się kogoś poznaje, kiedy wszyscy inni chcą cię zabić – odparł Dario. Był bezczelny i rozdrażniony, zupełnie jak nie on, kiedy przychodziło co do czego, ale teraz kierowała nim wściekłość. Wszyscy byli wściekli.

Magnus świetnie o tym wiedział i uśmiechnął się do nich szeroko, acz lodowato.

– Zniszczyłeś Archiwście pociąg, Wolfe. Jest bardzo... niezadowolony.

– Ma drugi – odparł Wolfe. – Poza tym dostał, czego chciał, czyż nie? Oczywiście mam na myśli książki. Wszystkie te rzadkie, cenne tomy, ocalone dla Kodeksu.

– Operacje na polu bitwy to rzeczywiście pana najprawdziwsze powołanie. Choć niebezpieczne. Niezmiernie łatwo postradać życie w misji takiej, jak ta. – Jego uśmiech nie obejmował oczu. – Dziś wieczorem oczekuję meldunków dotyczących uczniów.

To powiedziawszy, odszedł, nie czekając na reakcję Wolfe'a. Zresztą ten też nie kwapił się do odpowiedzi.

– Łajdak – rzucił mimochodem Santi, który stał teraz tuż za Wolfe'em. Zaczekał, aż Magnus znajdzie się poza zasięgiem jego głosu. – A teraz chodźmy. Napijemy się czegoś, a potem wrócicie do Domu Ptolemeusza na zasłużony odpoczynek.

– Myśli pan, że damy radę odpocząć? – westchnął Thomas. – Jak, skoro nie wiemy, co dalej?

– Zdejmę panu z ramion ciężar niepewności – powiedział Wolfe. Brzmiał niemal normalnie, ale Jess słyszał w jego głosie fałszywą nutę. – Jutro o świcie oczekuję was w Czytelni Serapejonu. Wasze przydziały będą gotowe.

– Ale to dopiero jutro – podchwycił Santi. – A dzisiaj jestem żywy i mam wolne, więc zamierzam się upić tak, jak nie przystoi. Chris?

Wolfe popatrzył mu w oczy i podtrzymał spojrzenie.

– Nie chcę, żebyś pił sam.

– Właśnie – zgodził się Santi i uśmiechnął się tak, jak Wolfe, nieśpiesznie i łobuzersko. – Tak myślałem, że nie będziesz chciał.

Wreszcie znaleźli właściwy namiot w bardzo dużych i bardzo

skomplikowanych koszarach Najwyższej Straży, choć stał tylko kawałek od kamiennego dziedzińca, gdzie zostawili powozy. Dla Jessa było to kolejne rewolucyjne doświadczenie.

Nie spodziewał się, że pod jednym dachem można serwować aż tyle używek. Alkohol, oczywiście, ale też wielu palących fajki wodne i korzystających z dobrodziejstw tytoni i ziół, od których w powietrzu było gęsto i dziwnie kusząco. W innej części namiotu stały łóżka i fotele, a artyści tatuowali skomplikowane symbole na ramionach, piersiach i innych częściach ciała mężczyzn i kobiet, którzy wydawali się rozkoszować bólem, a przynajmniej tak wyglądali, bo znosili go w niewzruszonej ciszy.

– Zrobmy sobie. – Dario wskazał głową na tatuażystów. – Każdy po jednym.

– Nie wolno – przypomniała Khalila. – Chyba, że robią to henną.

– Faktycznie, nie chciałbym, żeby cokolwiek naruszyło twoją idealną skórę, kwiatku.

– Nie ma na świecie takiej ilości wina, po której zrobiłabym sobie taki tatuaż jak ty, Dario – rzuciła Glain i poszła za Wolfe'em w stronę stolika przy barze.

I tak się zaczęło.

Thomas zniknął pierwszy. Jess nawet nie zauważył, kiedy sobie poszedł, po prostu gdy za którymś razem podniósł głowę, zastał jego miejsce puste, podczas gdy inni nadal nalewali sobie kolejne szklanki. W końcu i on zakończył świętowanie i ruszył w stronę domu.

Wtoczył się do swojego pokoju w Domu Ptolemeusza, jakby odbył podróż w czasie i wylądował w innym życiu. Był już innym Jessem Brightwellem, chociaż tak naprawdę nie wyjechał wcale na długo. Zapalił światła i mrużąc oczy, przyglądał się rzeczom obcym i znajomym jednocześnie, tak jakby stały trochę inaczej. A może to on inaczej je teraz widział.

W pokoju śmierdziało kurzem. Nic dziwnego. Podszedł do okna i okazało się, że mimo uszczelnień, czerwony aleksandryjski pył zdołał się przecisnąć przez szczeliny i pokrywał kremowe poduszki leżące wzdłuż parapetu. W czasie ich nieobecności musiała szaleć burza piaskowa. Spokojnie strząsnął pościel, zrzucił buty i padł na wznak, na posłuszenie

uginający się pod nim materac. Gdy zamknął oczy, mógł być wszędzie. W pociągu, w innym łóżku z...

Przestań, idioto! Znów otworzył oczy. Pokój lekko zawirował. Widocznie wypił o szklankę wina za dużo, zanim pozwolił się pokonać Dariowi.

Już zaczął się na powrót odprężyć, gdy posłyszał spod podłogi ciche, tajemnicze stukanie. Thomas. Thomas i jego przeklęty automat!, pomyślał. Nie, żeby nie robiły na nim wrażenia, ale nie teraz. Nie, kiedy jedyne, o czym marzył, to sen.

Rytmiczne, dochodzące z oddali stukanie doprowadzało go do szaleństwa.

Zwłókł się z łóżka i z powrotem wcisnął stopy w buty, wilgotne i paskudne, ale nie mógł ryzykować wyprawy na dół na bosaka. Aleksandria to nie pustynia, ale pałętało się tu dość pustynnych stworzeń, żeby taka podróż źle się skończyła. Skorpiony, pająki, węże... Nawet mając lekko w czubie, nie chciał kusić losu.

Poza tym, skoro Thomas pracował, na podłodze leżało pewnie mnóstwo metalowych odłamków.

I jak na zawołanie, gdy tylko zszedł po schodach do słabo oświetlonego pomieszczenia, które kiedyś służyło jako składzik, coś twardego wbiło mu się w podeszwę. Poszarpany skrawek metalu. Po całej podłodze walały się najróżniejsze śmieci. Uwolnił podeszwę i warknął do poruszającego się za zaciągniętą zasłoną Thomasa:

– Przestań walić. Głowa mnie boli.

– Jess? – Thomas odsłonił spłowiałą zieloną zasłonę i przywołał go gestem. – Już prawie gotowe.

– Co?

– To, o czym ci mówiłem. Maszyna.

– A, ta tajemnicza – mruknął Jess. Naprawdę zaczynała go boleć głowa i okazało się, że jest bardziej zmęczony niż myślał. – Thomas, nie teraz.

– Wyśpisz się kiedy indziej. Chodź. Chcę to jutro pokazać uczonemu.

– Thomas... – Jednak przyjaciel nie zamierzał nawet słuchać protestów, objął go wielką łapą za ramiona i pociągnął. Jess nie miał

innego wyjścia, jak tylko wdać się z nim w prawdziwą bójkę, ale na to akurat nie miał siły. – Dobrze – mruknął. – Popatrzę.

To coś, co stało przed nim, nie było automatem. Ani nakręcaną zabawką czy spręcikiem wdzięcznym jak ptaszek, którego podarował Morgan.

Nie, to było wielkie, skomplikowane i niepokojąco industrialne. I ani trochę ładne.

– Widziałeś projekt, tak? – zaczął Thomas. Aż podskakiwał z emocji i podczas gdy Jess usiłował się zainteresować, Thomas odepchnął go na bok i zaczął prezentację. – To jest platforma, na której układasz w rzędach metalowe czcionki. Pasują jedna do drugiej, są też puste pola na przerwy między słowami. Układasz zdanie po zdaniu, od dołu do góry i od końca. To... – postukał w dużą butelkę pełną ciemnego płynu, którą wymontował ze sprzętu służącego kiedyś w Medice. – To jest atrament. Całymi tygodniami szukałem odpowiedniego, który będzie się trzymał strony i wysychał bez smug. Czekać, pokażę ci.

Jess się cofnął i obserwował, jak Thomas układa duży arkusz papieru w górnej części maszyny i włącza jakiś przycisk. Atrament rozlał się wzdłuż czcionek, a potem cała górna część, wraz z papierem, gwałtownie runęła w dół. Przez chwilę Jessowi się wydawało, że po prostu się rozpadła, ale zaraz podjechała z powrotem do góry, a biała karta znajdowała się na swoim miejscu.

Thomas wyłączył maszynę i zdjął papier. Potem w milczeniu podał go Jessowi.

Strona została starannie zadrukowana fragmentem *Argonautiki*, napisanej przez Apolloniosa z Rodos ponad dwa tysiące lat wcześniej.

– Ale... – Jess zamrugał i zamilkł, żeby zebrać myśli. Za dużo wypił. Za mało spał. – Po co to komu? To pozycja z Kodeksu. Każdy może ją przeczytać.

– Nie w tym rzecz. Możesz wydrukować, co tylko chcesz. Stworzyć całą książkę i ją zatrzymać. Dla siebie! Nie trzeba ani przepisywać ręcznie, ani szmuglować.

Jess oddał mu arkusz. Ostry, metaliczny smród atramentu drażnił, ale chodziło o coś więcej. Oczyma wyobraźni ujrzał zarysy czegoś potężnego, ale wcale mu się to nie podobało, ani trochę. Usiłował

zamaskować niepokój żartem.

– Chcesz pozbawić moją rodzinę źródła utrzymania? Myślałem, że się przyjaźnimy.

– Pomyśl, do czego mogłaby to wykorzystać Biblioteka – podsunął Thomas. Był tak pochłonięty swoimi wizjami, że nawet nie usłyszał komentarza Jessa. – Uzupełnienie Kodeksu, tak że każdy obywatel może zamówić własne wydanie i trzymać je w domu. Duplikaty rzadkich i unikalnych tomów, w nieograniczonych ilościach! Bez ryzyka kary czy więzienia za ich posiadanie. Zyski ze sprzedaży drukowanych książek pójdą do kiesy Biblioteki. Ratowali oryginały i podtrzymywali tradycje, ale to już niepotrzebne. Możemy drukować duplikaty. Jakby... reprodukcje. Tanie. Proste do wykonania.

– I niebezpieczne – dopowiedział Jess. Wciąż nie mógł objąć rozumem wszystkich konsekwencji, ale strach nie przestawał się sączyć do jego żył. – Posłuchaj, to by zastąpiło blankiety. Obaliło cały system.

Thomas zbył to machnięciem ręki.

– No właśnie, bo system musi się zmienić, wszyscy tak twierdzą. Będzie lepiej. Łatwiej. Przecież nawet Biblioteka narzeka, że jest zbyt mało wyszkolonych Obskurystów. I uspokojmy Podpalaczy, bo czego oni chcą? Wolnego dostępu do książek. Żeby Biblioteka nie patrzyła im na ręce. Chcą wolności. A w tym atramencie jest wolność. Na tej stronie. – Zamilkł, a potem dodał: – Morgan byłaby wolna.

Miał rację. Świętą rację i właśnie z tego powodu Jess był tak przerażony. Nie umiał podsumować, jak to by się mogło skończyć, więc tylko kręcił głową i patrzył na Thomasa. Wiedział, że wygląda, jakby zgłupiał, ale przeciwnie, rozumiał aż za dobrze. W tym cały problem.

– Sam właśnie zauważyłeś, że to byłby ukłon w stronę Podpalaczy. Buntowników! Zastanów się!

– Nie, nie! Nie o to mi chodzi, Maszyna ich po prostu uciszy i powstrzyma przed...

– Kuratorzy inaczej na to spojrzą. Zobaczą zagrożenie.

– Ale... – Thomas wyglądał na zagubionego i tak rozczarowanego, że Jess poczuł się winny. Ale nie na tyle, żeby zmienić zdanie, na pewno nie. – Ale jeśli ta maszyna należałaby tylko do Biblioteki, na pewno by im pomogła. Nie sądzisz?

– Sądzę, że jest po prostu nadzwyczajna! I że jesteś absolutnym geniuszem. Ale coś takiego, coś tak prostego i gigantycznego jednocześnie... Nad tym się nie da panować. Wystarczy iskra, żeby wszystko stanęło w płomieniach. – Jess spojrział na kartkę, którą wciąż trzymał. Atrament już wysechł i efekt zachwycał. Thomas miał rację, zmieniłoby się wszystko i na zawsze, tak jak odmieniły świat koncept i działania Biblioteki, która gromadziła i chroniła wiedzę przed skutkami wojen, prześladowaniami i każdą inną formą bezmyślniej, prymitywnej przemocy.

Na myśl o porażającej prostocie pomysłu ugięły się pod nim nogi. O możliwościach.

Przestraszył się.

– Komu jeszcze ją pokazałeś? – spytał. Thomas zamrugał. – Komuś z nas?

– Nie. Chciałem najpierw dokończyć, zanim im pokażę. Ty jesteś pierwszy.

– A projekty?

– Rysowałem tylko w dzienniku.

O Boże.

Jego przerażenie musiało być ewidentne, bo Thomas znieruchomiał i patrzył bardzo przytomnie.

– Uważasz, że to może być groźne.

– Nie mam pewności – przyznał Jess. – Ale tak. Myślę, że to może być bardzo groźne. – Została tylko jedna osoba, której mogli ufać. – Idę do Wolfe'a. – Oddał kartkę przyjacielowi, który usiadł na stołku obok prasy i trzymał papier w obu dłoniach. Wyglądał na zrezygnowanego. Został pokonany.

– Myślałem... – Powoli wciągnął powietrze, a potem je wypuścił. Jeszcze niżej zwiesił ramiona. – Naprawdę myślałem, że dzięki temu odzyskasz Morgan.

Cały Thomas. Jess chciał nim jednocześnie potrząsnąć i mocno go objąć. Pękało mu serce, bo jeszcze nigdy nikt nie zrobił dla niego czegoś tak wspaniałego, nawet rodzina.

– Nie trzeba było tego robić, a już na pewno nie dla mnie. Idę pogadać z Wolfe'em. Nic nie mów. Możesz to gdzieś zamknąć?

Schować?

– Tak... Ale musisz mi pomóc.

Prasa była nieznośnie ciężka, ale Thomas dokręcił do nóżek kółka, a w przeciwległej ścianie znajdowały się stare, ciężkie drzwi prowadzące do ciasnej, pustej spiżarni, gdzie kiedyś przechowywano jedzenie. Panował tam chłód. We dwóch udało im się wtoczyć prasę w ciasny otwór. Ledwie się zmieściła. W drzwiach, od zewnątrz, wciąż był skobel, ale brakowało kłódki. Thomas przegrzebał półki i znalazł jakąś starą, zardzewiałą, która jeszcze działała. Dzięki niej na pierwszy rzut oka wydawało się, że pomieszczenia nikt od dawna nie używał.

Po wszystkim obaj cali byli w atramencie i ociekali potem. Jess padał ze zmęczenia już wcześniej, ale teraz na dodatek jeszcze kręciło mu się w głowie, bo strach i wysiłek spaliły alkohol. Mdlilo go i pełen był nerwowej energii, która nieprędko zniknie, dobrze o tym wiedział.

– Spal to i idź do łóżka – polecił Thomasowi, wskazując na kartkę z prasy. – Wrócę przed świtem.

– Iść z tobą?

– Nie. Jutro dostaniemy przydziały. Jeden z nas powinien się przespać.

– Dobry z ciebie człowiek – oznajmił Thomas i klepnął go w ramię tak mocno, że na pewno zostawił siniec. – Dobry przyjaciel. Dziękuję.

– Jeszcze mi nie dziękuj. Wolfe każe ci to zniszczyć, co do ostatniej śrubki.

– Albo zabrać do Artifexu i świat zmieni się na lepsze. Czasem jesteś strasznie cyniczny.

Może i miał rację. Może dorastanie wśród Brightwellów na zawsze uszkodziło mu oczy, tak że nie widziały jasnych stron i wciąż wypatrywały cieni kryjących się w mroku.

Ale lepszy żywy cynik niż martwy optymista, pomyślał. Gdyby przyszło co do czego, coś w tym stylu mógł powiedzieć jego ojciec. A teraz jeszcze zmieniam się w ojca, pomyślał z goryczą. Cudownie!

LIST

Odręczna wiadomość od Jej Ekscelencji Magnus Obskurystów, Kerii Morning, dostarczona do jej syna, uczonego Christophera Wolfe'a.

Nie mogę przestać o tobie myśleć. Jesteś taki wściekły, Christopherze. Taki skrzywdzony. Robiłam, co w mojej mocy, żeby cię chronić, ale kiedy występowałeś przeciwko Archiwście, wiedziałeś, że przegrasz. A jednak jeszcze żyjesz. Doceń, proszę, ten dar, i porzuć wiarę, że siłą zmienisz Bibliotekę. To zbyt stara instytucja i za głęboko osadzona w swoich koleinach, przestała się zmieniać już dawno temu. Nikt z nas nic nie poradzi.

Nieważne, co się stanie, musisz myśleć o sobie, o Niccolo, a także o tych dzieciach, z którymi cię dziś zobaczyłam. Jesteś z nich dumny, widziałam. Jego Ekscelencja Magnus Artifexu też i już wie, że może ich wykorzystać przeciwko tobie.

Jesteśmy różni, ale alchemia uczy, że krew jest najsilniejszym z więzów. Nie zostawię cię.

Ale nie zdołam po raz drugi cię ocalić.

Podдай się. Opuść.

Przetrwaj.

Rozdział 15

Wezwanie taksówki w środku nocy okazało się niewykonalne, więc Jess musiał wrócić do koszar Najwyższej Straży niemal pustym pociągiem. Miał nadzieję, że znajdzie kapitana Santiago. Nie wiedział, gdzie może być Wolfe, a nie chciał wysłać wiadomości przez Kodeks. Ktoś mógł je monitorować.

Zameldował się strażnikom przed wejściem i przesunął przed czytnikiem biblioteczną bransoletkę, która, jak się okazało, była nadal aktywna. Widok strzegących przybytku posągów jak zwykle przyprawił go o gęsią skórę. Tu też pracowały sfinksy, tak jak w Serapejonie. Wyglądały na znudzone, a strażnicy, którzy sprawdzali Jessa, machnęli mu ręką, żeby wszedł.

Jeden z automatów obrócił kamienną głowę i śledził go wzrokiem. Chłopak starał się sobie nie wyobrażać, co sfinks mógłby mu zrobić. Podniósł się z kucek i przeszedł za nim kilka kroków, a przerażenie zmroziło Jessowi krew, ale zdaje się, że zrobił to tylko z ciekawości. Może wyczuwał w nim pośpiech i strach.

Przyjrzał mu się bacznie, ale po chwili się uspokoił. Brama bez przeszkód zamknęła się za Jessem.

Ale to oczywiście nie był koniec. Wewnątrz znajdowało się więcej automatów, stały przy szerokim trakcie prowadzącym do kilkupiętrowych baraków, gabinetów, kwater oddziałów i namiotu, gdzie się wcześniej bawili, zwanego Ulem. Skierował się właśnie tam, a po drodze musiał minąć automat upodobniony do spartańskiego żołnierza. Fakt, że wyglądał jak człowiek, wcale nie ułatwiał obcowania z nim, zwłaszcza gdy oczy zapłonęły mu na czerwono, a on skulił się, gotowy do skoku, z włócznią w dłoni. Była prawdziwa, miecz też. Mają całą armię takich?, zastanawiał się Jess. Możliwe. Może Thomas będzie je budował.

Myśl, że skarby Thomasa zostaną przekute w coś takiego, sprawiła, że się wściekł.

Tym razem wszedł od frontu, nie tylnym wejściem, jak poprzednio. Zatrzymał się na chwilę, żeby dojść do siebie. W środku było tak samo gwarno, jak wcześniej. A może nawet głośniejsze i tłoczniejsze, ale zdołał się

przepchnąć do stołu, przy którym pił z innymi i gdzie ostatnio widział Wolfe'a z Santim.

Żadnego z nich już nie było, ale wypytał kompletnie pijanych żołnierzy, którzy skierowali go do kwater kapitańskich, znajdujących się zaledwie kawałek drogi od bramy. Oznaczało to, że musiał ponownie minąć posągi, ale widocznie już go zaakceptowały, bo tym razem żaden nie zwrócił na niego uwagi.

Gdy stanął przed niewielkimi drzwiami do mieszkania Santiago i zapukał, był wyczerpany. O tej porze nikt zdrowy na umyśle nie składał już wizyt, ale kapitan otworzył i bez słowa cofnął się zapraszająco. Nie zadał ani jednego pytania. A wydawało się, że bez „co tu robisz o tej porze?” się nie obejdzie.

– Muszę porozmawiać z Wolfe'em – oznajmił Jess.

Santi znieruchomiał w trakcie zawiązywania paska w jedwabnym szlafroku, ale nie popatrzył na Jessa.

– Bezczelnie, ale słusznie. Mieszka tutaj. Niech pan siada.

To był rozkaz i Jess posłuchał bez zastanowienia. Kapitan usiadł naprzeciwko. Złożył dłonie na stole i popatrzył na Jessa, ale z jego miny nie dało się nic wyczytać.

– Pozwoli mi pan z nim porozmawiać, czy mam zacząć krzyczeć?

– Niech mnie pan słucha – odparł Santi. – Znam Wolfe'a odkąd obaj byliśmy postulantami. Wszyscy wiedzieli, że zostanie następnym Magnusem Artifexu albo nawet Archiwistą. Był odważny, bystry, oddany sprawie i obdarzony intuicją. Miał wszystko, czego oczekiwała Biblioteka. Ale także i coś, czego nie chcieli: wyobraźnię.

Z każdym przesunięciem wskazówki zegara zniecierpliwienie Jessa rosło. Znalazł w drewnianym stole drzazgę i nerwowo podważał ją paznokciem.

– Czy pan do czegoś zmierza?

– Wolfe widział, że rozwój Biblioteki zatrzymał się około dwustu lat temu. Nic się w niej nie zmieniało. Nie mogło, bo żeby mogła działać, potrzebowała Obskurystów, a ponieważ było o nich coraz trudniej, każdego trzymała twardą ręką. Którą potem zaciskała w pięść. Żeby udusić. – Santi powoli pokręcił głową. – Wolfe wpadł na pomysł, jak wyeliminować zapotrzebowanie na nich i zbudować Bibliotekę na

nowo. Pomysł był genialny

Jess już się nie niecierpliwił. Santiemu udało się przykuć jego uwagę.

– Ale oni nie słuchali?

– Ależ słuchali! Wolfe’a darzono wielkim szacunkiem, wówczas miał status ważnego uczonego. Słuchali. Zbadali jego propozycję. A potem zniknął.

– Co?

– Zniknął. Powiedziano mi, że został wysłany z jakąś misją dla Artifexu. W końcu zabroniono mi pytać. Ale ja pytałem. Zmusili mnie, żebym przestał.

Pierś Santiiego znaczyły blizny. Można by pomyśleć, że to pamiątki po ranach wojennych, ale były na to za równe. Zbyt symetryczne.

Zadane z rozmysłem.

– Wrócił dopiero po roku. W środku nocy. Wyglądał, jakby przeszedł przez piekło.

Rok...

– Gdzie był?

– Nie powiedział. A ja nie pytałem. – Santi zamilkł na moment. – Zniszczyli jego badania, dzienniki, wszystko. Nie znajdzie pan po nim śladu w Kodeksie, choć napisał setki prac, zanim postanowił zwierzyć się ze swojego pomysłu Archiwście. Usunęli wszelkie jego ślady. Jest żywym duchem. Od dnia, w którym go wypuścili.

Jessowi wyszło w gardle i poczuł nieprzyjemne tarcie, gdy próbował przełknąć ślinę.

– Ale przecież przyznali mu naszą grupę. Wysłali go z ważną misją. Czemu mu ufają, skoro... – Zamilkł. Santi też milczał. – Nie ufają?

– Nigdy nie był nauczycielem. Po prostu chcieli, żeby poznał wasze tajemnice, a potem im je zdradził. I poznał. Ale nie pisał słowa. Artifex musiał dowiedzieć się tego, co wie, inną drogą. – Santi uśmiechnął się przelotnie. – Taki mały buncik. Wolfe miał nie przeżyć wyprawy do Oksfordu. Jest dla nich hańbą i ciągłym ryzykiem. Żyje na kredyt.

– Ale pan wciąż jest przy nim.

– Oczywiście. – Santi spojrzał Jessowi w oczy. – Są ludzie, od których nie można odejść. I wiem, że pan to rozumie. Ale jeśli przyszedł pan w sprawie Morgan, nie pozwolę panu go w to wciągnąć. Nie zniósłby tego. Urodził się w Żelaznej Wieży. Wie, co oznacza zamknięcie tam.

– Ale... – Jess myślał, że już nic związanego z Wolfe'em go nie zaskoczy, ale tego się nie spodziewał. – Wolfe jest Obskurystą?

– Urodził się w Wieży, ale nie ma daru. Po sprawdzenie, gdy miał dziesięć lat, zabrano go do sierocińca. Jego rodzice wciąż są w Wieży. Wolfe'a uwolniono.

Uwolniono i odrzucono jednocześnie. Jess nie mógł tego pojąć. To, co mówił Santi, było dla niego całkowitym zaskoczeniem. Myślał, że zna Wolfe'a. Wszyscy tak myśleli.

Okazało się, że jest całkiem inny. Pod każdym względem.

– To... nie ma nic wspólnego z Morgan – zapewnił Jess. – Rozumiem, dlaczego nie chciałby pan, żeby się w to mieszał. Chodzi o Thomasa.

– Boże. – Santi złapał się na chwilę za głowę, jakby go rozboleła na sam dźwięk tego imienia. – Dość tego. Dość! Starał się nie przejmować panem ani pana przyjaciółmi, ale musiał, a gdy już się zaangażował... Nie chcę, żebyście go w to wciągali. Już i tak jest w niebezpieczeństwie. – Przerwał i zapatrzył się gdzieś przed siebie.

Frustracja i smutek malujące się na jego twarzy podpowiedziały Jessowi, co się stało, zanim jeszcze dobiegł ich niski głos Wolfe'a:

– To moja decyzja, Nicc. Nie twoja.

Był ubrany. Albo w ogóle się nie kładł, albo się nie rozebrał przed snem, ale ubranie miał na to zbyt świeże. Opadł na wolne krzesło i przez chwilę toczył z Santim milczącą wojnę spojrzeń.

Santi przegrał. Pokręcił głową, wstał i poszedł do małej kuchenki.

– Słyszał pan? – spytał Jess.

– Domyślam się, co powiedział. – Wolfe wpatrywał się w plecy Santiiego, który zaczął się krzątać. – Grałem o duszę Biblioteki. I przegrałem. Ale przeszłość pozostanie przeszłością. Proszę powiedzieć, po co pan przyszedł.

– Na litość Amona, Chris, nie rób tego – jęknął Santi. – Kurs się

skończył. Daj spokój.

– Jeśli robisz kawę, dla mnie z mlekiem – odparł tylko Wolfe.

– Wiem. Jess?

– Poproszę czarną. – Wychował się na naparze ojca, tak gorzkim i mocnym, że smakował jak esencja mroku. – Dziękuję. – Absurdalne podziękowania wyrwały mu się, zanim zdołał się powstrzymać. Zupełnie nie mógł się odnaleźć między nieoczekiwaną gościnnością Santiago, a wiedzą o Wolfe'ie, na którą zupełnie nie był przygotowany.

– Mów – zachęcił Wolfe. – Co ze Schreiberem?

– Jeszcze w drodze pokazał mi projekty. Nie zwracałem na nie za bardzo uwagi, bo myślałem o... innych sprawach. – O niebezpieczeństwie. Śmierci. I o Morgan, która w jakiś sposób przyćmiła inne lęki. – Ale on zbudował to, co mi pokazał. Musiało być gotowe już przed wyjazdem. Zamierzał pokazać też panu. Miał nadzieję, że przedstawi pan prototyp Artifexowi.

– Kolejny automat? – Wolfe wydawał się bardziej znudzony niż zaniepokojony. Kuszący aromat ciepłej, świeżo parzonej kawy przesycił niewielkie pomieszczenia, a Santi zaczął napełniać filiżanki. Wolfe usiadł wygodnie, a Santi postawił jedno naczynie przed nim, a drugie przed Jessem. Ten przerwał na chwilę i upił gorącego napoju.

Wrócił do opowieści.

– Nie, proszę pana. On to nazywa prasą.

Wolfe zamarł z filiżanką w połowie drogi do ust, a potem powoli ją odstawił. Ostrożnie. Santi też znieruchomiał. Jess nie wiedział dlaczego, ale rozumiał, że nie jest dobrze.

– Prasą? – powtórzył Wolfe. – Wyjaśnij.

– To coś kopiuje słowa. Atramentem na papierze. Prasa, bo odciska tusz na stronicy.

Przez chwilę panowała cisza, aż dzwoniąca w uszach. Ciemne oczy Wolfe'a spoczęły na nim, nieruchome, bez wyrazu, a potem odezwał się bardzo spokojnie:

– Gdzie się znajduje ta maszyna?

– W Domu Ptolemeusza. W piwnicy.

– A projekty?

– W dzienniku Thomasa.

Wolfe poderwał się tak szybko, że wyglądał jak czarna smuga. Jego filiżanka się przewróciła, a kawa rozlała się po ciemnym drewnie. Jess zdołał niezgrabnie wstać, a w tym czasie Wolfe był już przy drzwiach,

Santi nieoczekiwanie zablokował wyjście, a na twarzy wymalowaną miał rozpacz.

– Nie – powiedział. – Christopherze, proszę cię. – Wolfe skulił ramiona i zaszarżował na kapitana, ale Santi był wyższy, silniejszy i przygotowany na ten ruch. Bez trudu odepchnął Wolfe'a, a potem z głuchym łupnięciem rzucił go na podłogę i przytrzymał na brzuchu, gdy Wolfe próbował wstać. – Przestań. Tylko sobie zaszkodzisz. Nie chcę patrzeć, jak sam się niszczysz. Widziałem liścik. Wiem, co ci napisała matka.

– Niech go pan puści! – zawołał Jess i zrobił krok naprzód. W odpowiedzi Santi spojrzał wprost na niego i spiorunował go wzrokiem. Ale Jess szedł dalej, wbrew instynktowi przetrwania, który wszczął alarm.

– Nicc! Schreiber narysował te projekty w dzienniku.

– Nie wziął go z sobą do Walii – odparł na to Santi. – Nie mogli go szpiegować, tak jak Brightwella.

– Mylisz się. – Wolfe się śmiał, ale brzmiało to jak szloch. – Bardzo się mylisz. W Żelaznej Wieży są całe zastępy automatów czytających każde zapisane słowo. Biblioteka widzi wszystko. A najwytrwalej szukają właśnie tego. Prasy. Bo nic im tak nie zagraża. Niech cię diabli, Nicc, puść mnie!

Santi w końcu zrezygnował, a Wolfe wstał. Kapitan jednak dalej blokował drzwi, ale Wolfe nie ryzykował kolejnego ruchu. Jeszcze nie.

– Nigdy mi tego nie powiedziałaś – stwierdził Santi. – O dziennikach.

– A to by coś zmieniło?

– Może.

– Zaczęli to robić po moim aresztowaniu – wytłumaczył Wolfe. – To był jeden z nowych nakazów. Bałem się, że zmienisz swoje zapiski. Gdybyś to zrobił, aresztowaliby i ciebie. Nie mogłem do tego dopuścić.

– Thomas powiedział, że jego wynalazek wszystko zmieni –

wtrącił się Jess. – Miał rację, tak? Tak jak pana badania. Mogły zmienić Bibliotekę.

– Nie on pierwszy na to wpadł. Nazywano to drukiem, prasą, płytą atramentową czy przenośną maszyną do pisania, tak czy inaczej Biblioteka niszczy jeden prototyp za drugim, począwszy od 1455 roku, gdy uczonym był Johannes Gutenberg i skończył w celi pod Serapejonem – oświecił go Wolfe. – Jeśli w ogóle kiedyś mi ufałeś, Nicc, zaufaj mi teraz. Muszę to zrobić. Jeśli z jakiegoś powodu zostałem przy życiu, to właśnie dlatego. Żeby ocalić tego chłopca.

– Wiem – odparł Santi. – Żałuję tylko, że jesteś tak cholernie odważny.

Wolfe go przytulił. Spontanicznie, pełnym uczucia ruchem, który Santi odwzajemnił. Jess wiedział, na co patrzy, bo sam był niedawno na ich miejscu.

Miłość oraz bolesna świadomość, że to nie wystarczy.

– Idę z tobą – oświadczył Santi. – I nie kłóć się, że zamierzasz mnie chronić, bo nie możesz. To nie ma znaczenia. Idę z tobą.

Wolfe się uśmiechnął. Łączyło ich coś intymnego, więc Jess odwrócił wzrok.

– Ubieraj się – polecił Wolfe. – Mamy mało czasu.

Dom Ptolemeusza spowijała cisza. Tak jak i całą ulicę, ale w innych domach, to tu, to tam paliły się światła. W Ptolemeuszu nie. Zgaszone było nawet to nad drzwiami, które paliło się zawsze, a domowe bóstwa kryły się w ciemności.

– Kto jest w środku? – spytał Santi. Jess odpowiedział. Zajmowali już tylko pokoje na parterze, wymienił ich numery i przypisał do mieszkańców. – Najpierw sprawdźcie pokój Schreiber'a. Jeśli tam jest, niech przyjdzie. Ukryjemy go w bezpiecznym miejscu.

– Czyli gdzie? – spytał Jess. – Przecież to Aleksandria. Biblioteka włada każdym kątem!

– Zajmiemy się tym, gdy już go sprowadzicie. Idźcie. Ja sprawdzę ulicę. Chris? – Podał Wolfe'owi pistolet, a ten w podziękowaniu skinął głową. – Uważaj na siebie.

Santi dał nura w mrok i zniknął, a Jess i Wolfe wślizgnęli się do środka.

Nie paliło się żadne światło i okazało się, że żadne też nie działa, gdy Jess postukał palcami w pierwsze z kolei, które powinno uruchomić i resztę. Ponieważ jednak Jess znał Dom Ptolemeusza na tyle dobrze, by poruszać się w ciemności, poprowadził Wolfe'a korytarzem i odliczył drzwi. Pokój Thomasa był na końcu, po lewej.

– Czekał – szepnął Wolfe. Wyjął z kieszeni mały, przenośny blask i potrząsnął, żeby wzbudzić go tylko odrobinę. Następnie, gdy Jess otworzył trochę niezamknięte na klucz drzwi, schylił się i wrzucił blask do pokoju; w złotozielonym świetle pojawiło się niepościelone łóżko, sterta ubrań do prania i blankiet, który spadł z materaca na podłogę.

Na pościeli była mokra czarna plama.

Jess zrobił krok naprzód, a potem zatrzymał się, bo wiedział, co to. Czuł w powietrzu ostry, metaliczny zapach, jakby ktoś tu przed chwilą ostrzył nóż.

Krew.

– Spokojnie – szepnął Wolfe. – Sprawdź garderobę.

Jess odsunął drzwi, ale nic tam nie znalazł, tylko złożone w kostkę ubrania i poukładane na półkach narzędzia. Pudełka z częściami i kółkami zębatymi. Nie było więcej miejsc, gdzie mógł się schować Thomas.

Ale on żyje. Jest za mało krwi, żeby go to zabiło, uspokajał się Jess. W Oksfordzie każde z nich krwawiło znacznie bardziej, prawda?

– Na dole – odpowiedział. – Może siedzi przy prasie.

– Najpierw inne pokoje – nakazał Wolfe i podał mu drugie małe światło. – Ostrożnie. Jeśli śpią, nie budź ich.

Jess skinął głową i wyszedł. Po drugiej stronie korytarza mieszkała Khalila. Pokój był pusty. Pościel leżała rozrzucona, ale nie zauważył śladów walki.

Daria też nie było. Ani Glain. Wszyscy czworo zniknęli.

Serce waliło mu w piersi, gdy zaglądał do swojego pokoju, pchany zwykłą nadzieją, że ujrzy siebie, smacznie śpiącego, i okaże się, że to wszystko tylko sen. Ale pokój wyglądał tak, jak w chwili, gdy z niego wychodził. Nic się nie zmieniło.

A inne sypialnie pozostały tak samo puste.

Mieli do sprawdzenia jeszcze tylko piwnicę. Jess miał nerwy

napięte jak postronki i kiedy drzwi wejściowe nagle się otworzyły, zaskakując ich po drodze na piwniczne schody, aż podskoczył. Gdyby miał broń, właśnie zastrzeliłby Santiago, który wślizgnął się za nimi.

Może dlatego nie dostał pistoletu.

– Szybko – rzucił. – Coś tu jest nie tak.

– W pokoju Schreibera znaleźliśmy krew – poinformował go Wolfe. – Idziemy na dół.

Santi skinął głową i zamknął drzwi wejściowe na klucz.

– Wiedzą, że tu jesteśmy.

Teraz, gdy wszystko się już działo, Jess wydawał się odprężony. Sprowadził ich po kamiennych schodach do warsztatu Thomasa. Tutaj też panowały ciemności. Jess zapalił światło, które dostał od Wolfe'a i spuścił je po poręczy, żeby sturlało się na środek pomieszczenia.

Piwnica wydawała się pusta. Jakby nikogo tu nie nigdy było. Nie widzieli ani krwi, ani śladów jego przyjaciół. Thomas pozamiałał podłogę, pokrytą wcześniej skrawkami metalu.

Wówczas Jess spojrzął na drzwi w przeciwległej ścianie. Te, które zamknęli z Thomasem.

Kłódki już w nich nie było.

Santi i Wolfe pozwolili mu zejść. Złapał za zimną, żelazną obręcz w drzwiach i pociągnął.

W środku było pusto. Ani ciał, ani maszyny. Nic, tylko świeże zadrapania na ścianach, pozostałe po wyciąganiu prasy ze środka. Pokazał je Santiemu i Wolfe'owi.

– Pewnie odesłali ją za pomocą znacznika – orzekł Santi. – Do Archiwum. Nie daliby rady jej wnieść po schodach, nie uszkadzając jej. Zostałyby jakieś ślady.

– Gdzie ich zabrali?

– Sprawdźmy – mruknął Wolfe. Odwrócił się i wszedł z powrotem na górę, a gdy dotarł do drzwi wejściowych, zgasił swój blask i sięgnął do klamki. Zapomniał, że są zamknięte, pomyślał Jess.

Ale nie były, chociaż na własne oczy widział, jak Santi przekręca klucz. Gałka powoli obróciła się w dłoni Wolfe'a i drzwi stanęły otworem.

– Nie ruszać się! – zawołał ktoś za ich plecami, kryjący się w

mroku korytarza. Ktoś inny krzyczał z zewnątrz. Santi zaklął siarczyście pod nosem, choć słyszał to tylko Jess, a potem podniósł ręce. – Rzućcie broń! Jesteście aresztowani na mocy rozkazu Biblioteki!

Nie mieli wyjścia. Santi i Wolfe oddali broń, a Jessa ktoś popchnął twarzą na ścianę. Jakiś oprawiony w ramę portret, którego nie widział w ciemności, spadł na podłogę i się roztrzaskał. Jess miał nadzieję, że widniał na nim wizerunek Magnusa Artifexu.

Szybko spętano mu ręce na plecach i wygoniono na ulicę. Wolfe i Santi też zostali związani. Przy krawężniku stał nieoznakowany czarny powóz. Wepchnięto ich do środka, jednego za drugim, a zrobili to – Jess wreszcie coś widział w świetle księżyca – żołnierze Najwyższej Straży. Nie ludzie Santiiego. Tych nie znał.

Z tyłu pojazdu umieszczono metalowe ławki. Zmusili ich, żeby usiedli. Jess usiadł po prawej stronie, Wolfe i Santi po lewej i już po kilku sekundach drzwi zostały zatrzaśnięte, a pojazd szarpnął i ruszył. W środku cuchnęło potem, strachem i wymiocinami. Nad ich głowami było tylko małe, zakratowane okienko, jedyne źródło świeżego powietrza, ale ponieważ noc była bezwietrzna, dawało niewiele.

– Gdzie nas wiozą? – spytał. Towarzysze nie odpowiedzieli.

– Przykro mi, Nicc – powiedział za to Wolfe.

– A mnie nie – oznajmił Santi i skrzyżował nogi w wysokich butach. – Było warto, nieważne, co się stanie później.

Wolfe odwrócił głowę. W świetle, które na chwilę wpadło z zewnątrz, Jess zobaczył, że po twarzy płyną mu łzy.

I wtedy naprawdę się przestraszył.

Uwięzienie w ruchomej celi było potworne, ale bardziej bał się tego, co nastąpi potem. Gdy pojazd się zatrzymał, Jess spał się i przygotował do walki. Nie wiedział, na ile będzie go stać, biorąc pod uwagę spętane ręce, a ucieczka nie wchodziła w grę, bo założyli mu lokalizator, ale nie zamierzał poddać się łatwo.

– Uspokój się – odezwał się Wolfe. Sam mówił spokojnie, przynajmniej tyle. – Jess. Słuchasz mnie?

– A jeśli oni nie żyją? – Głos Jessa drżał i nie umiał nad tym zapanować.

– Żyją – zapewnił Santi. – Jeśli już, zabiją ich gdzieś poza

miastem. Na pewno nie tu. Nie trać wiary.

Wiara. Wiara w co? Wierzył w Bibliotekę, a w każdym razie w jej ideę. Wierzył, że czyni dobro, co więcej, że chce czynić dobro. Teraz jednak, kiedy zajrzał za kulisy i zobaczył brud, który się tam krył, nie mógł w to dłużej wierzyć.

Drzwi się otworzyły i zaczął mrugać, bo do środka wlał się blask rozżarzonych świateł.

– Wychodzić – warknął ktoś ukryty w ciemności. – Santi, potem Brightwell, na końcu Wolfe. Szybko.

Żołnierz Najwyższej Straży, na pewno; Jess nauczył się rozpoznawać jego głos po drodze. Wykonali rozkaz, choć Jess miał problem z wydostaniem się z wysokiego powozu bez użycia rąk. W końcu po prostu zeskoczył. Usłyszał za plecami łupnięcie o ziemię, bo Wolfe zrobił to samo.

Światła przygaszono i zdołał się przyjrzeć otaczającym ich żołnierzom. Sześciu przeciwko trzem związanym mężczyznom. Przynajmniej mieli szacunek do swoich więźniów.

– Brightwell. Tędy.

Zawahał się, ale Wolfe stanowczo skinął głową. Strażnik schwycił go za łokieć i odciągnął, podczas gdy Wolfe'a i Santiego poprowadzono w drugą stronę. Usiłował się zorientować, gdzie są i w końcu go olśniło: to Aleksandryjski Serapejon, tylko że od strony, której nigdy nie widział. Była obwarowana i ściśle strzeżona.

Tu mieściły się gabinety Jego Ekscelencji Magnusa Artifexu oraz – gdzieś w labiryncie – innych Kuratorów i samego Archiwisty.

– Gdzie zabieracie uczonego Wolfe'a? – spytał strażnika, który wyglądał na niewiele od niego młodszego. Nie odpowiedział, przyśpieszył tylko kroku, gdy szli przez bogato zdobiony przedsionek, wzdłuż którego wisiały ukryte za szkłem cenne oryginały. Później korytarze zaczęły się promieniście rozchodzić, a w nadprożu każdego widniał złoty egipski hieroglif. W każdej innej sytuacji Jess byłby zafascynowany, urzeczony szansą wędrowania korytarzami, którymi chodzili posiadacze najwspanialszych umysłów w historii.

Teraz odczuł tylko gniew, od którego go mdliło i strach, a potem przytłaczającą ulgę, niemal równie potężną, gdy z korytarza

oznaczonego symbolem Mediki wyszli ku niemu koledzy.

Pierwsza podbiegła Khalila i zarzuciła mu na szyję roztrzęsione ramiona.

– Dzięki niech będą Allahowi, że nic ci nie jest! Szukaliśmy cię, myśleliśmy, że cię zabrali do... Gdzie ty byłeś?! – Szczęśliwy uśmiech spełzył jej z twarzy, gdy zdała sobie sprawę, że ma spętane z tyłu ręce. – Jess?

Dario i Glain dotarli tuż za nią. Khalila zdążyła włożyć gruby szlafrok w paski i hidżab, ale Dario miał na sobie jedynie luźną koszulę i lniane spodnie, które pewnie służyły mu jako piżama, a Glain prostą koszulę nocną i zabłocone buciorzy, w których chodziła w Oksfordzie.

– Gdzie Thomas? – spytał Jess. Gardło miał zaciśnięte.

Wymienili spojrzenia. Dario położył ręce na ramionach Khalili.

– Podobno ucierpiał w ataku Podpalaczy na Dom Ptolemeusza.

Wyciągnęli nas z łóżek i przywieźli tutaj.

– Nic wam nie jest?

Glain stanowczo pokręciła głową.

– Jesteśmy cali. – Nawet w jej oczach lśniło coś na kształt strachu. Nie podobało jej się to. Żadnemu z nich się nie podobało. – Pytaliśmy, czemu Thomasa nie ma z nami, ale nie odpowiedzieli.

– Dowiem się – zapewnił Jess, gdy strażnik pociągnął go za rękę, żeby szli dalej. – Znajdźcie Wolfe’a i Santiago!

Żołnierz poprowadził go korytarzem z symbolem Jego Ekscelencji Magnusa Artifexu i wkrótce nie miał innego wyjścia, jak tylko skupić się na tym, co go czekało, bo przyjaciele szybko zniknęli mu z oczu.

W tej części Serapejonu pachniało drewnem sandałowym i olejkami. O tej porze miejsce wydawało się wyludnione. Po obu stronach korytarzy znajdowały się pomieszczenia z biurkami, w których najwyraźniej pracowali urzędnicy, ale Jess mógł tylko przelotnie rzucić okiem, bo wciąż niestrudzenie maszerował aż do szerokich wrót, zdobionych wizerunkiem bogini Nut, rozpościerającej złote skrzydła. Drzwi były uchylone.

Za nimi rezydował Jego Ekscelencja Magnus Artifexu. Kroczył tam i z powrotem przed wielkim, złotym biurkiem stojącym w gabinecie o jasnożółtych ścianach, udekorowanych wizerunkami bogów egipskich,

przedstawionych w tradycyjnym, aleksandryjskim stylu. Poza biurkiem i kilkoma krzesłami w pokoju znajdowały się tylko książki. Nie blankiety, a wiekowe woluminy, całe mnóstwo, w najróżniejszych rozmiarach i w formie. W pokoju pachniało starym papierem i skórą, zapach ten wygrywał z aromatem cennego drewna, dochodzącym z korytarza.

Strażnik zostawił Jessa na środku i, ku jego zdziwieniu, zdjął mu pęta. Magnus skinął do żołnierza głową.

– Proszę wyjść. I zamknąć za sobą drzwi.

Zatrzasnęły się z potężnym hukiem i rozległ się odgłos przeskakujących w zamku zapadek. Stąd nie było ucieczki. Nic dziwnego, że zdjęli mu pęta.

– Gdzie jest Thomas?

– Ustalmy zasady. Ja pytam, a pan odpowiada, bo jeśli nie, gorzko pan pożałuje. Następnie, jeśli będę miał ochotę, odpowiem na któreś z pytań. Czy to jasne? – Mówił spokojnie i z lodowatą bezwzględnością, a Jess, wbrew woli, skinął głową. – Dobrze. Dlaczego w środku nocy postanowił pan odszukać uczonego Wolfe’a?

Jess chciał ponownie spytać o Thomasa, ale wiedział, że to nic nie da.

– Chciałem się dowiedzieć, czy da mi rekomendację na stanowisko.

– Nie wygląda mi pan na kogoś, kto się przesadnie przejmuje swoją przyszłością w Bibliotece. Ach, przepraszam, poprawka. Nie wyglądał mi pan. Teraz ma pan rzeczywisty powód do obaw.

– Nie mogę wrócić do domu, jeśli tu mi się nie powiedzie. Chciałem się upewnić, czy mnie nie odeślecie. – Ojciec nauczył go, że najlepsze kłamstwa składają się w dużej mierze z prawdy. To było niemal całkiem prawdziwe, ale słyszał w swoim głosie drżenie. – Wolfe dowiedział się o mojej rodzinie czegoś, co chciałem zachować w sekrecie. Bałem się, że to zaważy na moim przydziale.

Magnus wziął z biurka marmurową kulę i zaczął przetaczać w dłoniach o wykręconych od starości palcach.

– Rozumiem. Ale nawet jeśli to prawda, dlaczego Wolfe i Santi przyszli z panem do Domu Ptolemeusza?

– Byłem pijany i rozwścieczony. Wolfe nie chciał, żebym wracał

sam, więc przyprowadzili mnie razem z kapitanem. Nic więcej.

Mężczyzna złożył dłonie za plecami i wpatrywał się w niego. Stary człowiek. Stara twarz. Oczy przeszywające jak odłamki lodu. Nie wierzy mi, pomyślał Jess.

– Mamy powód, by podejrzewać, że poza młodym panem Guillaume'em Dantonem, niech spoczywa w pokoju, wśród pana kolegów znajdował się jeszcze jeden wyznawca Podpalaczy. Pod osłoną nocy przeprowadzał niebezpieczne eksperymenty. Miał pan tego świadomość?

– Nie – odparł Jess. Dopiero po chwili go zemdliło, bo uświadomił sobie, że starzec ma na myśli Thomasa. – Jakie eksperymenty?

– Mogące wywołać chaos, rozlew krwi i śmierć. – Nie odpowiedział wprost. Skryte w białej brodzie blade wargi Jego Ekscelencji Magnusa zadrżały. – Zdziwiło mnie, że nie było pana w pokoju, gdy nasi ludzie przybyli na miejsce. Dałbym głowę, że tak jak pozostali, po wszystkich waszych... przygodach, będzie pan marzył już tylko o śnie.

Przygody. Dobre słowo dla kogoś, kto nie przyjmuje odpowiedzialności za popełniane przez siebie morderstwa, pomyślał Jess.

– Odpowiedziałem na pana pytania. Gdzie jest Thomas?

Starzec przez dłuższą chwilę wpatrywał się w niego bez słowa, jakby ważył jego losy. Jak egipska bogini Maat, kładąca na jednej szali wagi swoje pióro, podczas gdy na drugiej spoczywała ludzka dusza.

– Z przykrością muszę pana powiadomić, że ów młody człowiek uległ w Domu Ptolemeusza poważnym obrażeniom. Wygląda na to, że ktoś uderzył go w głowę podczas snu. Możliwe, że napastnik pozbył się ciała, żeby nie zostało odkryte. Trwają jego poszukiwania. – Jego lodowate spojrzenie przeszywało Jessa na wylot. – Następnie napastnik powrócił, tym razem z towarzyszymi, żeby po sobie posprzątać. Czy mam powiedzieć wprost? Mniemam, że jest pan dość bystry, żeby zrozumieć.

– Thomas nie żyje? – Jess nie czuł się bystry. Nie potrafił pojąć nawet jednego, prostego faktu, choć obawiał się tego, odkąd zobaczył w pokoju przyjaciela krew. – Niemożliwe.

– Pan go zabił – rzucił Magnus. – A w każdym razie tak to możemy przedstawić. Na przykład: pijacka bójka, która wymknęła się spod kontroli. Zdarza się, choć to bardzo przykre. Potem pan spanikował. Pobiegnął po uczonego Wolfe’a w nadziei, że ten pomoże panu ukryć zbrodnię, ale pechowo dla pana, młody Schreiber został przy życiu dostatecznie długo, żeby wezwać Straż na pomoc. Ci zabrali z domu pozostałych, oczywiście dla ich bezpieczeństwa. Niestety, pański przyjaciel nie doczekał pomocy.

– Ja nie... – odruchowo zaprotestował Jess, ale po tych dwóch wypowiedzianych z wściekłością słowach zdołał się powstrzymać. Przecież to nie miało znaczenia. Magnus świetnie wiedział, że Jess nie zabił najlepszego przyjaciela. Ale prawda wyglądała tak, jak ukształtowała ją Biblioteka. Oto lekcja, którą dostał.

– Oczywiście, że go pan nie zabił. Ale cóż z tego, skoro bez trudu mógłbym pana o to oskarżyć. Zapłaciłby pan za to życiem. Wolfe także. Jak również kapitan Santi, co byłoby prawdziwą stratą, bo jest nadzwyczaj uzdolnionym żołnierzem. – Przez cały czas obracał w palcach marmurową kulę, ale teraz odłożył ją ostrożnie na niewielką złotą podstawkę na biurku. – Podejrzenia mogą również paść na pana kolegów.

– Czego pan, do diabła, chce?! – Jess z trudem rozpoznał w tym napiętym, chropowatym głosie swój własny, tak bardzo przypominał mu głos ojca tego dnia, gdy Liama powieszono za przemyt książek. Serce ojca zostało roztrzaskane na kawałki, a gdy zaczęło z powrotem bić, było już twarde jak z żelaza.

– Od tej chwili będzie pan moimi oczami i uszami – oznajmił Jego Ekscelencja Magnus. – Uczony Wolfe to groźny człowiek o niebezpiecznych inklinacjach i chociaż ma za plecami potężnych popleczników, musi zostać doprowadzony do upadku. Pana przyjaciel Thomas znalazł się pod jego wpływem, a odpowiedzialność za jego śmierć można przypisać właśnie Wolfe’owi.

Jess zaciskał pięści, ale zdał sobie z tego sprawę dopiero, gdy poczuł ból. Zmusił się do rozluźnienia dłoni.

– Chce pan, żebym szpiegował Wolfe’a dla pana. Chociaż zabił pan mojego najlepszego przyjaciela.

– Mam pana za sprytnego, zdolnego młodzieńca, przed którym roztacza się świetlana przyszłość w Bibliotece i myślę, że zrobi pan to, co najlepsze dla pana. Jest pan pragmatyczny, bo w takiej wychował się pan rodzinie. Thomas był geniuszem, ale zgubiła go naiwność. Pan nie popełni tego błędu.

– Naprawdę pan myśli, że będę dla pana pracował?

– Och, jestem przekonany, że woli pan być szpiegiem niż zawisnąć na stryczku jak pana brat, Liam. – Jego Ekscelencja Magnus przycisnęła guzik na biurku i zamknięte drzwi otworzyły się z metalicznym kliknięciem. Jess poczuł falę powietrza z korytarza. Obejrzał się i zobaczył za plecami dwóch Strażników. Jeden wyciągał zza paska parę pęt. – Tak czy nie? Czekam na pana odpowiedź.

– Skąd pan będzie wiedział, że mówię prawdę?

– Naprawdę pan myśli, że będzie moim jednym źródłem informacji? Jeśli przyłapię pana na choć jednym kłamstwie, powieszę pana. Czekam na odpowiedź. Tak czy nie? Piasek w pańskiej klepsydrze już się niemal przesypał.

Jess na kilka sekund zamknął oczy. Nie dlatego, że nie był pewien, co robi, po prostu nie chciał już patrzeć na tego człowieka. Musiał walczyć z obezwładniającym, niemal niemożliwym do powstrzymania odruchem schwycenia marmurowej kuli i roztrzaskania nią głowy Magnusa, tak jak on to zrobił Thomasowi.

– Tak – odparł cicho. – Co powiedziec Wolfe’owi?

– Że pana przesłuchałem i zwolniłem. Od tej pory będzie pan składał odręczne raporty na temat wszelkich interesujących poczynań uczonego Wolfe’a. Czy to jasne? Tak jak powiedziałem, będą patrzeć także inne oczy. Dowiem się, jeśli będzie pan chciał mnie oszukać.

– Czemu mnie pan po prostu nie zabije? – spytał Jess. Otworzył oczy, bo chciał widzieć twarz Magnusa, kiedy będzie odpowiadał na to pytanie.

– Niektórym wrogom bezpieczniej pozwolić, żeby wykończyli się sami. – To powiedziawszy, okrążył biurko, usiadł na krześle i dał ręką znak do wyjścia, a potem otworzył oprawiony w skórę blankiet spoczywający przed nim. – Liczę na wieści od pana, Brightwell. Wkrótce.

ZAPIS PRZESŁUCHANIA

Transkrypcja z przesłuchania postulanta Thomasa Schreibera przez Jego Ekszelencję Magnusa Artifexu, na mocy rozkazu Kuratorów przekazana do Czarnego Archiwum.

ARTIFEX: *Proszę wyjaśnić, skąd wziął pan pomysł na tę maszynę.*

SCHREIBER: *Zawsze lubiłem majsterkować. Dla moich małych kuzynów zrobiłem drewniane bloczki, w których z każdej strony wyciąłem litery. Bawiliśmy się w literowanie słów, a potem moczyliśmy bloczki w błocie...*

ARTIFEX: *Kto pana zachęcił do zrealizowania projektu?*

SCHREIBER: *Nikt, proszę pana. Po prostu byłem ciekawy, czy to zadziała. Pomyślałem, że jak już to zrobię, pokażę uczonemu Wolfe'owi.*

ARTIFEX: *I zrobił pan to? Pokazał mu?*

SCHREIBER: *Nie, proszę pana, nie miałem okazji. Ledwie co wróciliśmy, a ja nie mogłem spać, więc poszedłem popracować. Dopiero dziś wieczorem uruchomiłem maszynę. Chciałem mu pokazać jutro. Nie rozumiem... Zrobiłem coś złego? Czy Biblioteka nie mogłaby czerpać korzyści z takiego sprzętu?*

ARTIFEX: *A więc Wolfe nigdy tego nie widział. A pan nie pokazywał mu projektów ani rysunków i nie omawiał z nim pomysłów. Uczony nie zachęcał pana do sabotowania fundamentów Biblioteki.*

SCHREIBER: *Ależ proszę pana! Nie, nie! Nie taki był mój zamiar! Ja chciałem tylko pomóc Bibliotece, nigdy nie zamierzałem jej zagrozić. Uczony Wolfe nic o tym nie wiedział. Czekałem, żeby mu pokazać, gdy już będzie gotowe.*

ARTIFEX: *Proszę się nie bać, postulancie. Nikt nie wątpi w pana zdolności, jest pan geniuszem. Jedyne nadzwyczaj utalentowany młody człowiek zdolałby dokonać tego, co pan i wynaleźć coś, co mogłoby... wstrząsnąć światem.*

SCHREIBER: *Dziękuję panu. Cieszę się, że pan tak uważa. Mogę jeszcze udoskonalić tę maszynę. Jeśli dostałbym dostęp do warsztatu i narzędzi...*

ARTIFEX: *Czy pan wie, co się dzieje, gdy świat się trzęsie? Miasta ulegają zniszczeniu. Ludzie giną w gruzach. Imperia upadają. Biblioteka*

drży w posadach. To, że pana wynalazek mógł wstrząsnąć światem, to nie był komplement. Raczej przekleństwo.

(SCHREIBER nie odpowiedział)

ARTIFEX: Kto jeszcze widział projekty? I maszynę?

SCHREIBER: Nikt, proszę pana.

ARTIFEX: Istnieje odręczna kopia tych projektów?

SCHREIBER: Narysowałem je tylko w moim dzienniku. Nikt ich nie widział.

ARTIFEX: Upewnimy się, ma się rozumieć, że mówi pan prawdę.

SCHREIBER: Zniszczycie prasę?

ARTIFEX: Ależ skąd, chłopcze. Wstawimy ją do magazynu pełnego wielu jej podobnych wynalazków. Nie pan pierwszy coś takiego wymyślił. Ale jak na razie – ostatni.

SCHREIBER: Zabijecie mnie.

ARTIFEX: Pewne idee są złośliwe jak wirusy i równie trudno je zniszczyć. Należy je bezwzględnie plenić, zanim infekcja się rozprzestrzeni. Niestety, znana jest medycynie zasada, że dla dobra reszty ciała odcina się zainfekowane kończyny. Po raz ostatni proszę: nich pan powie, kto jeszcze wie, a dożyje pan swoich dni w celi, zamiast gnić w nieoznaczonym grobie.

(SCHREIBER nic nie odpowiedział)

ARTIFEX: Niechaj więc bóg, w którego wierzysz, ma dla ciebie litość.

(W tym miejscu Jego Ekscelencja Magnus polecił wyprowadzić Schreibera).

Koniec nagrania.

Rozdział 16

Gdy Jessa wyprowadzano z Serapejonu, wstawał świt: niebo na wschodzie jaśniało od miękkich żółcieni i łagodnych oranżów, a zachodni horyzont wciąż skąpany był w odcieniu indygo. Trzy najwyższe poziomy piramidy oblewał oślepiający blask, a złote zwieńczenie raziło jak słońce, które w rzeczywistości jeszcze nie wzeszło.

Było pięknie, wiekuiście, ale Jess odwrócił wzrok. Głowa mu pękała ze stresu i zmęczenia, dokuczały mu mdłości. Tym razem nie został skuty. Poprowadzili go na zewnątrz, dziedzińcem, obok stróżujących posągów, potężnych jak cała kolumna wojska, a potem w cień rzucany przez ciężkie od owoców drzewa oliwkowe.

Czekali tam jego przyjaciele. Wszyscy z wyjątkiem Thomasa.

Glain ujrzała go pierwsza i dała znać pozostałym. Dario obejmował Khalilę, ale puścił ją na widok Jessa i wszyscy podbiegli, żeby się z nim przywitać. Ich widok powinien sprawić, że poczuje się lepiej, ale zaczęło właśnie do niego docierać, że nie ma przyjaciół. Jedynie ludzi, których może zniszczyć i zdradzić.

Thomas nie żyje, powtarzał sobie.

– Co się stało? – spytał Dario. – Brightwell? Jess? Psiakrew, Angolu, gadaj!

– Zostaw go. – Khalila, jak zwykle, okazała się bardziej spostrzegawcza. Nawet jeśli nie wiedziała, na co patrzy, dostrzegła szokującą przepaść między Jessem a nimi. – Źle się czuje, nie widzisz?

– Za dużo wypił, jak wszyscy – machnął ręką Dario, ale puścił koszulę Jessa i cofnął się o krok. – Znalazłeś Thomasa?

Jess pokręcił głową. Nie był w stanie tego powiedzieć na głos. Jeszcze nie.

– No to chodź. Wolfe czeka.

„Niektórym wrogom bezpieczniej pozwolić, żeby wykończyli się sami”. Mimo całej swej władzy, Jego Ekscelencja Magnus Artifexu bał się Wolfe’a? Jakim cudem?

I nagle zrozumiał, w oślepiającym olśnieniu wszystkie elementy układanki złożyły się w całość. Wolfe, urodzony w Żelaznej Wieży jako

dziecko Obskurystów. Koneksje rodzinne, o których wspominał monsieur Danton. Nagle to zobaczył: Wolfe i Jej Ekscelencja Magnus Obskurystów, stojący razem na dziedzińcu paradnym Najwyższej Straży.

Christopher Wolfe był łudząco podobny do swojej matki

Była nią Jej Ekscelencja Magnus Obskurystów.

– Jess? – Glain położyła mu rękę na ramieniu. Nie był to delikatny gest, jak w przypadku Khalili. Raczej klepięcie kolegi-żołnierza, a potem spoczywająca ciężko dłoń. – Thomas. Wiesz, gdzie jest?

– Nie żyje – rzekł Jess. Widział, jak jej źrenice rozszerzają się w wyniku wstrząsu, a twarz traci wyraz. – Chodźcie. Wolfe czeka.

Stracił rękę Glain i w subtelnym świetle świtu ruszył za nimi ku schodom.

Sfinksy były dziś niespokojne, ich czerwone oczy pały, a głowy odwracały się za nimi, gdy całą czwórką zaczęli się wspinać po niekończących się schodach. Thomas by z tego żartował. Zaproponowałby, że co najmniej dwoje z nich weźmie na plecy i miałby dość siły, żeby naprawdę to zrobić, przynajmniej na część trasy.

Jego nieobecność była jak... odcięta kończyna. Pustka tak dojmująca, że Jess nie potrafił nawet objąć jej rozmiaru.

Liczył w myślach schody, po to tylko, żeby nie zostawić w głowie miejsca na wspomnienie ostatnich chwil Thomasa. I wyobrażanie sobie Magnusa, przyglądającego się bezdusznej, cynicznej egzekucji. Może wspinaczka była męcząca, ale on tego nie czuł. Działał jak maszyna, jak jeden z zachwycających automatów Thomasa, a gdy w końcu dotarł na szczyt, zdał sobie sprawę, że pozostała trójka jest daleko za nim i ma przed sobą jeszcze jedną trzecią drogi. Ubranie – wciąż to samo, które narzucił, gdy szedł do piwnicy, obejrzeć wynalazek Thomasa – było przesiąknięte potem i nieprzyjemnie kleiło się do ciała. Gardło piekło go od szybkich oddechów. Musi się napić, inaczej ostry, pulsujący ból w łydce zmieni się w paraliżujące spazmy.

Jednak zamiast odpocząć, wszedł do środka i ruszył korytarzem do sali, w której, jak wiedział, czekał Wolfe.

Ból był dobry. Pomagał.

W Czytelnicy nie zastał nikogo poza Wolfe'em, który w czarnej todze uczonego przechadzał się tam i z powrotem pod ścianą; głowę

miał spuszczoną, a ręce splecione za plecami. Podniósł wzrok i wpatrywał się w Jessa, gdy ten podchodził do długiego stołu.

Jess usiadł na ławce.

– Gdzie Santi? – spytał.

– W domu. Wiedzą, gdzie go znaleźć, jeśli tylko będzie im potrzebny. Oczywiście Artifex zadbał, żebym wysłuchał litanii wszelkich nieszczęść, jakie mogą spotkać kapitana Najwyższej Straży, bez względu na rangę i zasługi. – Przyjrzał się Jessowi badawczo i dopiero potem usiadł. – Powiedział panu o śmierci Thomasa.

Jess milczał, ale odwrócił wzrok.

– Był nadzwyczajnym młodzieńcem. Uratowałbym go, gdybym mógł. – Co można na to odpowiedzieć? Czuł, że Wolfe się w niego wpatruje, ale nie odezwał się. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Odwrócił się i spojrzał Wolfe'owi w oczy. – Nie może mi pan dać przydziału w Bibliotece. Niech mnie pan trzyma jak najdalej od siebie. Niech mnie pan odeśle.

Może Wolfe zapytałby, dlaczego, ale w tym momencie w drzwiach stanął Dario, a za nim Khalila i Glain. Wciąż dyszeli po wspinaczce. W ich obecności Jess nie mógł sobie pozwolić na dalsze wyjaśnienia, już nikomu nie mógł ufać.

Jego Ekscelencja Magnus Artifexu mógł równie dobrze kłamać, ale Jess nie ryzykował.

Mina Wolfe'a znów się zmieniła. Gdy pozostała trójka siadała przy stole obok Jessa, na jego twarz wróciła maska

– Zamierzałem rozdać dzisiaj pięć zwojów – oznajmił. – Jednak jeden pozostanie u mnie. Ubolewam nad śmiercią Thomasa Schreiberera.

– Nie rozumiem – Khalila miała na twarzy ślady łez, a nowe strumienie wzbierały w jej oczach. – Jak to się mogło stać? – Dario wziął ją za rękę i bez słowa uścisnął. Siedział w nonszalanckiej pozie, jak zwykle, ale głowę miał spuszczoną, żeby nie pokazywać twarzy.

– Powiedziano mi, że nie cierpiał – odparł Wolfe. – Kładzie się to cieniem na naszym dzisiejszym spotkaniu, ale nic na to nie poradzimy. Wierzę, że chciałby, abyśmy pracowali dalej. – Spojrzenie jego ciemnych oczu na dłuższą chwilę zatrzymało się na każdym z nich. – Dziś zostaniecie sługami Biblioteki.

Podszedł do podręcznego stolika, na którym stała wąska, czarna szkatuła ze lśniącym złotym symbolem Biblioteki na wieku. Gdy przesunął nad nim dłonią, podskoczyło z cichym pyknięciem, a on wyjął zapieczętowany woskiem, ciasno zwinięty pergamin oraz małą szkatułkę, miniaturkę tej dużej. – Postulantko Wathen?

Glain poderwała się i stanęła na baczność jak żołnierz, z wysoko zadartą brodą. Przyjęła zwój oraz szkatułkę i skłoniła głowę.

– Nie chciałam, żeby doszło do tego w takich okolicznościach.

– Biorąc pod uwagę, że zwój przydziela panią do Najwyższej Straży w stopniu sierżanta musztry, powinna się pani oswajać z trudną sztuką tracenia bliskich. – Zamilkł, a potem dodał: – Pani przyszłość nie pozostawiała wątpliwości. Pani wartość dla Biblioteki także. Kontrakt opiewa na pięć pierwszych lat służby. W Kodeksie znajdzie pani szczegóły oraz informację, gdzie się zgłosić.

– Tak jest – odparła. – Dziękuję panu. – To nie była formalność. Mówiła szczerze i z trudem panowała nad drzeniem głosu. – Służba to dla mnie zaszczyt.

To powiedziawszy, usiadła.

– Postulant Santiago? – Dario nie wstał jak żołnierz na apelu, niemniej podniósł się. Wolfe wziął drugi zwój, szkatułkę i przekazał mu. Dario się nie skłonił, ale Jess nawet tego po nim nie oczekiwał. – Jest pan ambitnym młodym mężczyzną. Gdybym miał panu coś radzić na przyszłość, sugerowałbym okiełznać ambicję, zanim pana zatruje. Długo zastanawiałem się nad pana przydziałem. Ma pan wady. Ale pana postawa w Oksfordzie, a także poza nim, upewnia mnie w przekonaniu, że może się pan nauczyć bycia lepszym człowiekiem. Pana zwój zawiera zatem propozycję trzyletniego kontraktu na stanowisku uczonego, w miejscu i zakresie wyznaczonym przez Jego Ekscelencję Magnusa Artifexu. Jeśli się pan zgadza, proszę podpisać i włożyć bransoletkę.

Dario otworzył usta i zaraz je zamknął, a Jess wiedział, że powstrzymuje się przed rzuceniem zjadliwego komentarza na temat dłuższego kontraktu Glain. Krótco skinął głową, wymamrotał słowa podziękowania i opadł z powrotem na ławkę.

Przyszła kolej Khalili.

– Jestem przekonany, postulantko Seif, że nikt nie wątpi, iż

zapracowała pani na ten przydział po wielokroć. Propozycję taką, jak w tym zwoju, widziałem zaledwie kilka razy, tym bardziej, że pochodzi od samego Archiwisty. Proponuje pani dożywotni status uczonego-badacza, co wiąże się z posiadaniem złotej bransoletki, a także wszystkimi przynależnymi jej przywilejami i tytułami. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek miał większe predyspozycje do przyniesienia chwały Bibliotece. – Podał jej zwój i szkatułkę, a ona przyjęła je drżącymi rękami. Nadal płakała.

Dario delikatnie dotknął jej pleców, żeby ją podtrzymać, a ona wzięła głęboki, drżący oddech.

– Dziękuję Allahowi za możliwość przyniesienia chwały mojej rodzinie. Dziękuję także panu. Czy wolno mi spytać, jaki przydział dostałby Thomas?

– Taki sam – odparł Wolfe. – Z tych samych powodów.

Khalila odwróciła się do Daria i mocno go objęła.

– Postulant Brightwell? – Jess się podniósł, a Wolfe sięgnął po kolejny zwój i następną szkatułkę. Nie!, usiłował mu przekazać Jess nagłym spojrzeniem. Nie dawaj mi przydziału, nie zrozumiałeś?!

– Można panu przypisać wiele cnót, których oczekuje Biblioteka: odwagę, inteligencję, bezwzględność, ale także przywary, które jej nie posłużą. Rodzina, z której się pan wywodzi, działa na pana niekorzyść. Pana ostatnie postęпки natomiast stawiają pod znakiem zapytania lojalność wobec...

– Co? Nie!

– Nie może pan!

– Jess nie jest...

Był to chór trzech zjednoczonych głosów, zlewających się w tonie protestu: Glain, Khalila i Dario. Wszyscy poderwali się na równe nogi, gotowi do kłótni z Wolfe'em. O niego. Zaskoczyli Jessa. I wzruszyli.

Wolfe uciszył ich ostrym, onieśmielającym spojrzeniem.

– Nie skończyłem. Uznałem, że ten przydział może nauczyć pana tego, czego zabrakłoby, gdybym pana odesłał. Rokuje pan jako członek Biblioteki. Wierzę, że odnajdzie pan drogę. – Podał Jessowi zwój i szkatułkę. Wydały mu się ciężkie. I jakby ciepłe. – Zwój zawiera roczny kontrakt żołnierski w stopniu szeregowca, najniższy w Najwyższej

Straży. Jeśli się pan zgadza, proszę podpisać dokument i włożyć bransoletkę.

To nie była spontaniczna decyzja. Nie zrobił tego z powodu wydarzeń ubiegłej nocy, nie miałby czasu na przygotowanie i zapieczętowanie nowego zwoju, nie mówiąc już o aprobacie Jego Ekscelencji Magnusa.

Najniższy z możliwych stopień w jedynym miejscu, w którym nie chciał się znaleźć. Nie miał predyspozycji do bycia żołnierzem Najwyższej Straży ani tego nie chciał. Ale tam znajdzie się daleko od Wolfe'a, a jednocześnie nie będzie musiał błagać brata o litość.

Odłożył zwój i pudełeczko na stół.

– Pomyślę.

– Proszę się poważnie zastanowić – doradził Wolfe. – Rodzina nie powita pana z otwartymi ramionami. Obaj wiemy, że nie jest już im pan potrzebny.

Łajdak, pomyślał Jess. Fakt, sam sugerował, żeby Wolfe trzymał go z dala od siebie, ale on zrobił to z własnej woli, wszyscy o tym wiedzieli. Glain aż się zaczerwieniła i tylko jej sławetne wojskowe opanowanie powstrzymało ją przed wybuchem. Dario był spięty i rozwścieczony. A Khalila... wyglądała na zszokowaną, jakby nie mogła uwierzyć, że Wolfe naprawdę to powiedział.

– Proszę pana.... – zaczęła. – Jess nie zasłużył...

– Możecie odejść – rzucił tylko Wolfe i odwrócił się w stronę czarnej szkatułki. Zamknął ją z trzaskiem, wcisnął pod pachę i minął ich po drodze do wyjścia, a czarna toga powiewała za nim jak smuga dymu.

Na stole czekały długopisy. Cztery, z wygrawerowanym symbolem Biblioteki. Jess wiedział, że pozostali na niego patrzą i nie wiedzą, co powiedzieć.

Usiadł i złamał pieczęć na swoim zwoju. Zapłonęła drobnymi płomykami.

Podniósł długopis i złożył staranny, płynny podpis. Obok widniały alchemiczne symbole i kropla krwi, co oznaczało, że kontrakt podlega Doktrynie Odzwierciedlenia. Zostanie zapisany gdzieś w Kodeksie, uczyni go członkiem Biblioteki i zapewni mu utrzymanie, przywileje oraz obowiązki.

Cóż za gorzka ironia.

– Jess – odezwała się Khalila. – Jess...

– Już po wszystkim – odparł. – Bardzo się cieszę, Khalilo.

Gratuluje wam.

Zdjął tymczasową bransoletkę, którą dostał w czasie podróży do Oksfordu. Poczował się bez niej dziwnie nagi.

Wyjął ze szkatułki miedzianą opaskę, wsunął na nadgarstek i z trzaskiem zapiął. Symbol Biblioteki rozżarzył się, a aktywująca się bransoletka wydała cichy dźwięk, jakby zadrżała.

Rok służby wojskowej.

Teraz musi już tylko znaleźć sposób, jak to przeżyć.

Dom Ptolemeusza nie był już ich domem, a zajrzawszy do Kodeksu, Jess znalazł instrukcję, że po spakowaniu rzeczy ma się zgłosić do obozu Najwyższej Straży. Uznał, że inni dostali podobne wskazówki, bo kiedy zaczął gromadzić swój niewielki dobytek, słyszał dochodzące z innych pokojów odgłosy pakowania.

Ostatnie chwile, kiedy są wszyscy razem. Słodko-gorzki czas.

Jego dziennik leżał w miejscu, gdzie go zostawił, na stoliku przy łóżku. Popatrzył na jego zniszczoną oprawę i pozaginane strony i pierwszy raz w życiu żałował, że nie ma pod ręką fiolki z ogniem greckim. Chciał spalić notes na popiół, a najlepiej, żeby została po nim tylko ciemna plama na podłodze.

To, co tam zapisywał, nie było tajemnicą. Nigdy, od początku, od najwcześniejszych dziecięcych gryzmołów, po ostatnie słowa. Ale muszę pisać dalej, pomyślał. Wolfe by mu powiedział, że musi zachowywać pozory. Zabawne. Ojciec nakazałby to samo.

Podniósł dziennik, a wtedy zza okładki wypadła złożona na pół kartka papieru. Złapał ją w powietrzu i rozłożył.

Liścik od Thomasa Schreibera.

Aż go ścisnęło w żołądku. Poznał staranne, kanciaste pismo Thomasa, bez żadnych zbędnych zawijasów czy niepotrzebnych odstępów.

Jess, jeśli to czytasz, znaczy, że stało się najgorsze. Choć wiem, że się nie stanie, bo to Ty zawsze byłeś czarnowidzem, nie ja, ale widocznie trochę przeszło na mnie, bo jednak zostawiam ten liścik dla Ciebie. (Przy

okazji: wybacz, że otworzyłem Twój dziennik. Daję słowo, że niczego nie przeczytałem). Nie obwiniaj się. Jak wychodziłeś, widziałem w Twojej twarzy, że z jakiegoś powodu się za to wszystko obwiniasz, ale tym razem wina jest moja, tylko moja.

Na wszelki wypadek zostawiłem coś dla Ciebie za Starą Wiedźmą. Trzy siedem trzy. Pilnuj tego. A ten liścik zniszcz, ale pewnie już o tym pomyślałeś, bo jesteś mądry.

Czytając słowa Thomasa, słyszał jego głos i po raz pierwszy poczuł piekące pod powiekami łzy. Wściekał się na niego, że był tak głupi, rysując projekty w dzienniku, podsuwając je całej Bibliotece. I cierpiał, że już go nigdy nie zobaczy.

Przeczytał liścik jeszcze dwa razy, a potem starannie podarł na cienkie paseczki, wrzucił je do miedzianej czarki stojącej na biurku i podpalił zapalką. Gdy z kartki został już tylko popiół, rozgniół go na pył, a następnie spuścił w toalecie.

Później wyszedł na korytarz. Nikogo nie zobaczył, ale słyszał z oddali głosy, chyba Daria i Khalili. Szybko wbiegł na nieużywane drugie piętro, pełne zamkniętych drzwi.

I wiszących w szeregu zakurzonych obrazów.

Rozzarzył blask tylko na tyle, żeby dojrzeć na wyblakłych ze starości obrazach zarysy twarzy. To o trzecim z prawej musiał myśleć Thomas. Faktycznie, ta od dawna nieżyjąca uczona wyglądała jak stara czarownica, miała dziko rozwichrzone białe włosy, budzące lęk rysy i wykrzywione usta. To jakaś Magnus, prawdopodobnie z Mediki. Zdjął portret ze ściany i odstawił na bok, a potem policzył cegły. Trzy w bok, siedem w dół, trzy w bok. Zakładał, że taki jest kod, licząc od lewej do prawej, a gdy dotarł do ostatniej, poczuł, że lekko się poruszyła pod palcami. Wyciągnięcie jej wymagało użycia noża, który nosił przy pasku, ale w końcu wy dostał ją ze ściany, lekko ocierając o sąsiednie cegły.

Za nią znalazł ciasno zwinięty zwój. Sądząc po dotyku, był to pergamin. Jess wyjął go i rozwinął.

Projekty. Rysunki prasy. Thomas nie był aż tak niewinny, jak się wydawało.

Jess pozwolił pergaminowi z powrotem się zwinąć i umieścił cegłę

na swoim miejscu. Następnie odwiesił portret.

Był już w połowie schodów, gdy na pierwszym piętrze minął go Dario i dziwnie na niego popatrzył.

– Co tu robisz?

– Zajrzałem do starego pokoju – odparł Jess. – Żeby sprawdzić, czy na pewno nic nie zostawiłem.

– A zostawiłeś?

– Tylko kurz. – Jess klepnął ubranie, które miał na sobie, wzniesając tym niewielką chmurkę pyłu. Dario się odsunął. – Spakowałeś się już?

– Jestem gotowy. Będę mieszkał w Latarni Morskiej.

– A Khalila?

– Na szczęście też.

Jess popatrzył mu prosto w oczy.

– Ona jest dla ciebie za dobra, wiesz o tym.

– Mam tego pełną świadomość. – Dario uśmiechnął się smutno. – Ale może Wolfe wie, co mówi. Nauczę się, jak być lepszy i kiedyś na nią zasłużę. Przykro mi, że...

Jess przerwał mu wzruszeniem ramion.

– Zawsze to jakiś przydział. A Wolfe miał rację, nie mogę wrócić do domu.

Dario wyciągnął rękę, ale uścisk był trochę za mocny.

– Jeszcze się zobaczymy – obiecał. – Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, Angolu. Wisisz mi jeszcze ze dwie partie w *go*.

– Widzę, że lubisz przegrywać, uczoniaku.

Rozstali się. Jess wszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi. Potrzebował dobrej kryjówki i po zastanowieniu sięgnął po jedną z oryginalnych książek, które zatrzymał, oczywiście bezprawnie, i uchronił przed wścibskim wzrokiem Biblioteki. Kodeksowi ani dziennikowi już nie ufał. Przy użyciu noża ostrożnie naciał krawędź grubej, skórzanej oprawy, a następnie kilkakrotnie złożył pergamin. Potem wsunął go w przygotowaną kieszonkę. Odrobina kleju i plany zostały ukryte. Nie został ślad. Włożył książkę na dno walizki. Muszę ją gdzieś schować, pomyślał. Ale nie tu, nie w Domu Ptolemeusza, gdzie pewnie niedługo pojawi się kolejna grupa Postulantów.

Zamykał właśnie torbę, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Na progu stała reszta kolegów. Khalila przytuliła go bez słowa, a on głęboko odetchnął i obejmował ją przez chwilę. Nic nie mówili.

– Jedziemy w to samo miejsce – powiedziała Glain. – Idziemy czy bierzemy powóz na spółkę?

– Powóz – odparł. – Coś czuję, że jeszcze się w najbliższym czasie namęczymy.

Wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Jak skończę służbę przygotowawczą, będę twoim sierżantem musztry, więc daję ci słowo, że się zmęczysz.

– Czyli szczęście mnie nie opuszcza! – Ale tak naprawdę mu ulżyło. Glain będzie niedaleko. Znajdzie sposób, żeby widywać się z Dariem i Khalilą. Ich przyjaźń przetrwa, jakoś tego dokonają.

– Myślicie, że będzie jakaś uroczystość? – spytała Khalila. – Chodzi mi o Thomasa.

– Nawet jeśli, to na nią nie pójdziemy – odparła Glain. – Teraz mamy obowiązki. – Wyciągnęła rękę najpierw do Daria, a potem do Khalili i wymienili uściski.

– *Hyd nes y byddwn yn cyfarfod eto.* Do zobaczenia

– *O hasta que te vea primero* – odparł Dario. – Ja cię zobaczę pierwszy.

To było dobre pożegnanie.

Dario i Khalila wsiedli do jednego powozu i pojechali do Latarni Morskiej, starej, ale wciąż działającej budowli, symbolizującej chwałę, piękno i determinację. Na szczycie wciąż paliło się światło i prowadziło żeglarzy do domu.

Jess i Glain wsiedli do drugiego powozu. Gdy już zajęli miejsca, zabzyczał Kodeks Jessa. Otworzył go.

Na pustej stronicy niewidzialna ręka napisała: „Tęsknię za tobą”.

Słowa zniknęły sekundę później i równie dobrze mogły zaistnieć tylko jego wyobraźni, ale ręka, której ruchy znał, pisała dalej. Morgan stawiała listery, a on je widział. Jakim cudem? Jak to możliwe? A co gorsza, kto jeszcze mógł to zobaczyć?

„Kanał jest otwarty. Możesz odpisać”.

Sięgnął po rysik i odpisał jak mógł najszybciej. Glain zerknęła na

niego, ale zaraz wróciła do wyglądania przez okno, zatopiona w myślach. On za bardzo się śpieszył, żeby pisać starannie.

„Czy to bezpieczne?”

„Tak. Nikt nie widzi. Odkryłam, jak to zrobić. W archiwum nie zostanie ślad. Wszystko u ciebie dobrze?”

Nie ująłby tego w ten sposób, ale nie chciał tego mówić.

„Tęsknię za tobą. Thomas nie żyje”.

„Wiem”. Patrzenie na pisane przez nią słowa było trochę jak rozmowa twarzą w twarz. „Przykro mi”. Zamilkła na dłuższą chwilę i bał się, że poszła, ale pojawiły się nowe litery:

„Pomóż mi wszystko zmienić”.

Wpatrywał się w to zdanie tak intensywnie, że rozboleła go głowa.

W tych zwodniczo zwięzłych słowach zawarła to, w co wierzył. W co wierzył Thomas. I Wolfe, który nawet podjął próbę zmian, i został za to zniszczony.

Wiadomość powoli zniknęła i nic się więcej nie pojawiło. Morgan odeszła.

Zamknął Kodeks.

Miała rację. Trzeba wszystko zmienić. Powóz zbliżał się do bram obozu Najwyższej Straży, a on uświadomił sobie, że Thomas jest dopiero pierwszą ofiarą, jaką przyjdzie im ponieść w walce o postęp.

Lista piosenek

Jak zwykle, załączam listę piosenek, których słuchałam, pisząc tę książkę. Może Wam też się spodobać, zwłaszcza że według mnie dobrze odzwierciedlają poszczególne aspekty świata, w którym żył Jess. Jest tu trochę punk-folku, nieco czystej muzyki celtyckiej, odrobinę steampunku... Niecodzienna mieszanka, nawet dla mnie. Mam nadzieję, że będzie Wam się miło słuchało. I pamiętajcie, żeby wspierać artystów poprzez kupowanie ich muzyki, nie tylko ściąganie. Artyści potrzebują wsparcia. I kasy na czynsz.

Santiago Loreena McKennitt

Come With Me Now KONGOS

The Resistance 2CELLOS

Beautiful Decline Abney Park

No More Stones Enter The Haggis

Bad Blood Bastille

Letter Between a Little Boy & Himself As an Adult Abney Park

The End of Days Abney Park

Lanigan's Ball Fiddler's Green

Scheherazade Abney Park

Farewell to Decorum/Spanner in the Words (Live) The Killdares

Melancholy Man (Full Version) The Moody Blues

The Engine Room Runrig

Rise Up Abney Park

I'm Shipping Up To Boston Dropkick Murphys

Not Silent Abney Park

Rose Tattoo Dropkick Murphys

Boondoggle An Docha

The Anthropophagist's Club Abney Park

Rose de Lay The Killdares

Dolan's 6AM Beoga

And Dream of Sheep Kate Bush

Waking the Witch Kate Bush

Jig of Life Kate Bush

Benedictus 2CELLOS

Fierce Rising Gael
Jealousy Abney Park
Keep It In the Family Hybrid
Scalliwag Gaelic Storm
Things Could Be Worse Abney Park
The Rocky Road to Dublin The Tossers
Waiting for You Abney Park
Balto Enter the Haggis
Paella Grande Wolfstone
Ancient World Abney Park
Supermassive Black Hole (feat. Naya Rivera) 2CELLOS
Tam Lin Fiddler's Green
The Story That Never Starts Abney Park
They Boys and The Babies/Is Craig Here? The Drovers
The Broken Pledge The Drovers
The Oak & Holly Kings The Dolmen
Elegy Leaves' Eyes
Mombassa 2CELLOS
Oh, Well (feat. Elton John) 2CELLOS
Davie's Last Reel Wolfstone
Cleveland Park Wolfstone
Ne'er Do Wells Audra Mae and The Almighty Sound
Wit's End Skerryvore
Take Me to Church Hozier
To Be Alone Hozier

Podziękowania

Dziękuję moim pierwszym czytelnikom, zwłaszcza Carrie i Sarah, dzięki którym wniknęłam głęboko do świata Jessa.

Dziękuję gościom najwcześniejszych „prób czytanych”, podczas których usiłowałam uporać się z pomysłami zbyt wielkimi, żeby je ubrać w słowa.

A przede wszystkim dziękuję tym, którzy pracują nad dostarczaniem słów tym, którzy ich pragną: bibliotekarzom, nauczycielom, księgarzom i pisarzom.

Wy nie tylko sprawiacie, że świat jest lepszy.

Dzięki Wam świat jest.

